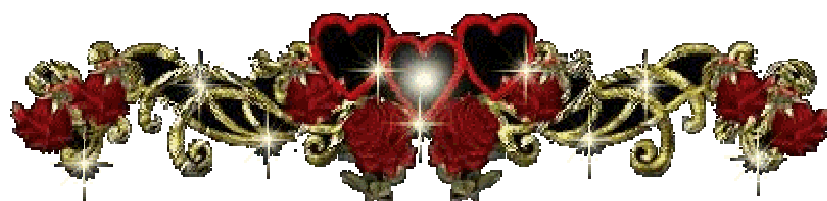




ERIC JEROME DICKEY



**PRZYJACIELE
I KOCHANKOWIE**

CZEŚĆ PIERWSZA

POŻEGNANIA I POWITANIA

1.

Tyrel

Gdyby wszystko, co wiem na temat traktowania kobiet, opierało się na obserwacji zachowania mojego ojca, tak naprawdę gówno bym wiedział.

Pierwszym sklepem taty był mały spożywczy na South Central. W każdy dzień tygodnia przesiadywał tam od świtu do zmierzchu, zgarniając kasę i pomnażając swoje zyski. To tam właśnie załapałem smykałkę do interesów. Ojciec utrzymywał całą rodzinę.

I nie tylko.

Widywałem te wszystkie jego aktualne panienki, które przychodziły popoflirtować i najeść się za darmo. Zdarzało się nawet, że ojciec wyjmował pieniądze z kasy i dawał im jakieś drobniaki. Nie zamieniłem ani słowa z żadną z nich. Podobnie moja siostra bliźniaczka Mye. Nazywaliśmy się nawzajem Bliźniakami. Mama nigdy nie ruszała się z domu, by odwiedzić ojca w pracy. Nigdy. Nawet wtedy, gdy w jednym ze sklepów wybuchł pożar. Po jej minie było widać, że chciałyby, aby cały sklep spłonął do szczętu. Przypuszczam, że wiedziała, co tam się działo. Musiała wiedzieć. Mye opowiadała jej wszystko. Mama musiała wiedzieć. Niemożliwe, by jej mąż całymi latami prowadził się w ten sposób, a ona by o tym nie wiedziała.

Kiedy ukończyłem liceum Crenshaw High, tato prowadził trzy sklepy. Zwykle po lekcjach wraz z Bliźniaczką pracowaliśmy w nich. Między mną i starym nie układało się najlepiej, gdyż cała ta sytuacja tak naprawdę mnie przerastała, za to Mye wiedziała, jak sobie radzić z tymi kobietami. Była dla nich wszystkich bezwzględna, kiedy odwiedzały sklep, spodziewając się prezentów. Całą wiedzę, jaką mam na temat dobrych i silnych kobiet, zdobyłem, obserwując matkę. Była wręcz niezniszczalna. Miała charakter i zasady. Gdyby nie mój szacunek do mamy, gdyby nie to, jak osadzała mnie w miejscu, ilekroć zrobiłem coś niegodnego, byłbym teraz taki jak ojciec.

Kiedy ja i Bliźniaczka poszliśmy na studia, choć nie na tych samych uniwersytetach, i wynajęliśmy mieszkanie w Leimert Park, rodzice doszli chyba do wniosku, że jesteśmy dorośli i pora ujawnić całą prawdę, którą już znaleźliśmy, podobnie jak wszyscy sąsiedzi i parafianie. Po trwającym trzydziestu lat papierowym małżeństwie opuścili swoje osobne sypialnie, zapakowali się do oddzielnych furgonetek i podążyli różnymi drogami. Bez kłótni czy pocałunku na pożegnanie. Ojciec sprzedał sklepy i dom, tak naprawdę sprzedając całe nasze życie, i przeniósł się do Nashville. Mama kupiła sobie mieszkanie w Diamond Bar, ale wyjechała kiedyś na weekend do Chicago i już stamtąd nie wróciła. Moja Bliźniaczka zakochała się w jednym ze swoich wykładowców prawa, starszym od niej facecie, z którym skoczyła przez miotłę.¹

Wciąż mieszkam w Los Angeles. Zastanawiam się, kiedy sam założę rodzinę. Kiedy po szczęści mi się tak jak mojej Bliźniaczce.

Właśnie o tym rozmyślałem tego ranka, kiedy moja doradczyni od planów inwestycyjnych zgodziła się wreszcie umówić ze mną na lunch. W tym dniu nie występowała w roli mojej doradczyni finansowej. Lisa Nichols to siostra², która unikała mnie przez ostatnie dwa tygodnie. Odpowiadało mi to, gdyż dzięki temu miałem dość czasu, by ochłonąć. Dość czasu, by w kółko odsłuchiwać wiadomość, którą nagrała na mojej automatycznej sekretarce. Pozwoliłem, by każde słowo wśliznęło się do mojej świadomości i nabrało realnych kształtów.

¹ Skok przez miotłę to popularny wśród Afroamerykanów, sięgający czasów niewolnictwa zwyczaj towarzyszący obrzędowi ślubnym - przyp. tłum.

² Afroamerykanie często mówią o przedstawicielach własnej rasy „brat”, „siostra” i tak też się do siebie zwracają: „bracie”, „siostrze” - przyp. red.

„Cześć Tyrel. Z tej strony Lisa. Jest wtorek, 12:38. Wczoraj wieczorem sytuacja była trochę niezręczna, to fakt. Hmm, chciałam ci to powiedzieć. Hm, chciałam ci powiedzieć osobiście, że znów spotykam się z Rickiem, no i, hm, nie skorzystałam ze sposobności. Nie skontaktowałam się z tobą, bo czekało mnie zebranie, a w planie była jeszcze odprawa, więc nie odezwałam się do ciebie i zeszłego wieczoru nie spodziewałam się, że cię usłyszę, więc wypadło trochę niezręcznie, hm, tak z moim mężem tuż obok, no i w każdym razie chciałam ci powiedzieć, chciałam, żebyś wiedział, no wiesz, bo jesteś przyjacielem i przykro mi, że znalazłeś się w takiej sytuacji, no tak, wcale nie miałam zamiaru cię spławić. Sama nie wiem. Nie wiem, jak to wpłynie na naszą przyjaźń. To znaczy, nie chodzi mi o sprawy intymne, ale o przy-

jaźń jako przyjaźń. No i nie wiem. Jeśli nie chcesz, bym do ciebie dzwoniła, po prostu powiedz. Odezwę się do ciebie później. Cześć".

Siedziałem w barze szybkiej obsługi Mandarin, u zbiegu Fairfax i Slauson. W lokalu tłoczyli się robotnicy - Meksykanie, czarni i Azjaci, którzy zamawiali na lunch specjalne zestawy po trzy dolary. Większość z nich brała jedzenie na wynos i wychodziła. Z boks, w którym siedziałem, roztaczał się widok na Home Base, LA Hot Wings i stację benzynową sieci Union 76. Czekałem od piętnaście po jedenastej, a Lisa przyjechała swoim volvo kombi dopiero kilka minut po dwunastej. Nigdy wcześniej się nie spóźniała. Zaparkowała na wprost mnie. Nasze spojrzenia się spotkały. Skinęła głową na powitanie, a ja odpowiedziałem jej tym samym. Otworzyła drzwi i siedziała tak przez chwilę, jakby się zastanawiała, czy wejść do baru, aż wreszcie po chwili wygramoliła się z wozu. Wzięła głęboki oddech, a jej ciałem, pomimo upału, wstrząsnął dreszcz. Pod niewzruszoną miną skrywała zamiar odbycia poważnej rozmowy.

Niczym jakaś gwiazdka pozująca do zdjęcia stanęła obok samochodu, zwrócona plecami do stacji benzynowej, chowając za ciemnymi okularami to, co zdążyłem już dostrzec. Sposób, w jaki oddychała, zdradzał niepokój. Patrzyłem na jej mahoniową skórę, wysmukłą sylwetkę i włosy ścięte na pazia, na jej błękitny kostium w prążki, ciemne pantofle Ferragamo, diamentowe kolczyki i ślubną obrączkę.

Skinąłem głową. Bez uśmiechu. Tylko ruch głowy.

Przyglądała marynarce, odgarnęła włosy z twarzy, poprawiła wiszącą na ramieniu torebkę i ruszyła niespokojnym krokiem w moim kierunku.

W mojej głowie wciąż rozbrzmiewało echo wiadomości, którą zostawiła mi na automatycznej sekretarce nazajutrz po tamtym zajściu. Nie zdobyła się na to, by zadzwonić na mój domowy telefon. A ja nigdy nie opuściłem ani jednego dnia pracy, odkąd zacząłem pracować.

Od naszego ostatniego burzliwego spotkania Lisa zdążyła zmienić fryzurę i kolor lakieru do paznokci. Sprzedała też mazdę, której miejsce zajęło rodzinne volvo.

Dosiadła się do mojego stolika i obdarzyła mnie uśmiechem, jakbym był interesantem w wydziale komunikacji. Zapach jej perfum osłodził smak goryczy, jaki czułem w ustach.

- Zamówiłeś coś? - spytała.

- Tak. Kurczaka z brokułami. A dla ciebie to, co zwykle.

- Tak naprawdę nie jestem aż tak głodna, by zjeść cały zestaw.

- To weź na wynos.

Otworzyła torebkę i położyła przede mną banknot pięciodolarowy. Sięgnąłem po portfel i wydałem jej dolara.

- Czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybyśmy przenieśli się do stolika, który nie wychodzi na Slauson? - spytała, rozglądając się nerwowo.

- Dlaczego?

- No bo tak.

- Gdzie?

- Tam z tyłu, w kącie.

Usiedliśmy tam, gdzie nie było nas widać z ulicy. Kiedy zajęliśmy już miejsca, zapytałem:

- Jak tam dzieciaki?

- Malik i Jasmine mają się dobrze - odpowiedziała.

Nie miałem pojęcia, dlaczego spytałem ją o dzieci, zwłaszcza że nigdy ich nie spotkałem. Wiedziałem, że takie pytanie, taka dawka rzeczywistości, wprawi ją w zakłopotanie. Zachowywała się tak, jakby dzieci były powodem do wstydu. Mieszkały z jej mężem. Kiedy opuściła go przed sześcioma miesiącami, zostawiła mu dzieci i dom w View Park. Mieszkali tuż obok rezydencji Raya Charlesa. Lisa wyprowadziła się do apartamentowca w Hermosa Beach, gdzie zajęła mieszkanie z widokiem na Pacyfik.

Prowadzący bar Azjata podszedł do nas, niosąc tacki z jedzeniem.

- Jak się macie? Miło was widzieć - powiedział skłoniwszy się lekko. Zamieniliśmy kilka zdań, po czym zostawił nas i popędził z uśmiechem do kolejnych klientów.

Talerze parowały, tak samo jak moja głowa. Lisa chwyciła pałeczki i w zawrotnym tempie zaczęła pochłaniać jedzenie. Siedziała przygarbiona i z opuszczoną głową, nie podnosząc wzroku znad talerza.

- Myślałem, że nie jesteś głodna - odezwałem się.

- To z nerwów.

Przez chwilę żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Jedliśmy, bijąc się z myślami. Zastanawiałem się, czy powiedzieliśmy już sobie wszystko, co należało powiedzieć. Albo czy to, co należało powiedzieć, było w ogóle tego warte.

- Tak jest najlepiej dla moich dzieci - Lisa przełknęła ostatni kęs i przerwała milczenie.

Kiwnąłem potakująco głową. To był wyświechtany argument. Cholernie wyświechtany.

- Nie cierpię, kiedy tak się zamykasz - powiedziała.

- Trudno cokolwiek powiedzieć w takiej popieprzonej sytuacji.
- Jak się w tym wszystkim czujesz? Nie odcinaj się ode mnie, Tyrel.
- Och, teraz bawisz się w terapeutkę?
- Nigdy nie byłam w takiej sytuacji.
- Teraz kolej na ciebie. A ty jak się czujesz?
- Samotnie - odparła. - Sama muszę uporać się z tą decyzją.
- Tak naprawdę, skoro chodzisz ze swoim mężem do łóżka, klamka zapadła - powiedziałem. - Chcę tylko wiedzieć, co się stało, żeby znów nie popełnić tego błędu.
- Błędu... - powtórzyła drżącym głosem.
- A jak byś to nazwała? Chyba że jestem jakimś panem P?
- Panem P?
- Panem przejściowym. Przelotną znajomością.
- Nie. To nie tak. Wszystko było w porządku, dopóki nie zdarzyła nam się ta okropna wpadka dwa tygodnie temu w poniedziałek.

- Kiedy wcześniej wyszedłem z pracy, żeby spotkać się z tobą w Hiltonie?
- Tak, kiedy wynajęłam ten pokój. Kiedy pękła ci ta cholerna prezerwatywa.
- A ty wpadłaś w popłoch.
- Nie wpadłam w popłoch. Zdałam sobie sprawę z tego, co robię.
- Ale krzyczałaś, miotałaś się po podłodze, kopałaś w ścianę, a potem zamknęłaś się w łazience i lamentowałaś, dlaczego właśnie ciebie to spotkało.
- No dobra, spanikowałam. Byłam w szoku. To znaczy, jesteś miły i zależy mi na tobie, ale mogłam wtedy zajść w ciążę.

Czy to by było aż tak straszne? Wiesz, że chcę mieć dzieci.

- Ale ja nie chcę już więcej dzieci.
- Masz dopiero dwadzieścia dziewięć lat.
- Dwadzieścia dziewięć lat i dwoje dzieci. I to zdecydowanie wystarczy. Nie chcę mieć domu pełnego dzieci różnych ojców. Jak czarny margines społeczny. Musiałabym im tłumaczyć, dlaczego mam dziecko z mężczyzną innym, niż ich ojciec, z mężczyzną, który nie jest moim mężem. Do cholery, ja mam córkę. To mogłoby wpłynąć na jej system wartości.
- A co z systemem wartości twojego syna?

Lisa zatrzepotała powiekami, rozchyliła usta i z trudem przełknęła ślinę. Stukając paznokciami w blat stolika, posłała mi spojrzenie, które mówiło: „Nie rób mi tego”.

- Wystarczająco trudno jest im wyjaśnić, dlaczego nie jestem z ich ojcem - powiedziała.

- A jak doszło do tego, że znów się z nim zeszałaś?

- To było nieplanowane.

- Ale nie było tak nieprawdopodobne, jak to przedstawiłaś.

- Byłam wtedy wściekła.

- No, no...

- Wystawił mnie do wiatru, kiedy miałam widzieć się z dziećmi. Powiedział, że mogę je wziąć na weekend, a kiedy przyjechałam, okazało się, że wyjechał z nimi na cały dzień. Potem tłumaczył, że zapomniał o mojej wizycie.

- Mówię o tym, jak ponownie skonsumowaliście swoje małżeństwo tuż po tym, jak spędziłaś noc ze mną.

- Wiesz, co do niego czuję. Nie chcę mężczyzny, który zaczyna się bać, ilekroć chcę, żeby było mi odrobinę lepiej.

- Ale wróciłaś do niego.

- Sam wiesz, jak to jest.

- Wolałbym nie wiedzieć. W poniedziałek opowiadasz, jak bardzo nim gardzisz. A we wtorek spławiasz mnie, kiedy do ciebie dzwonię.

- Ten moment, kiedy pękła prezerwatywa, sprawił, że spojrzałam na to perspektywicznie. Mam rodzinę i uważam, że warto zaryzykować drugie podejście.

- Trzecie podejście.

- No dobra. Trzecie podejście.

- Kochasz swojego męża?

- Jest moim mężem. Nie muszę go kochać. Roześmiałem się.

- Co cię tak bawi? - spytała Lisa.

- Teraz ja spojrzałam na to perspektywicznie.

Chciałem zakończyć ten związek, który właściwie nigdy nie był związkiem. Skoro ona nie chciała mieć już więcej dzieci, wszystko to prowadziło donikąd. Powinienem zainteresować się jakąś wolną, rozsądną i zrównoważoną dziewczyną.

- A co słyhać u twojego przyjaciela Leonarda? - odezwała się Lisa.

- Wszystko w porządku.

- Słyszałam jego nazwisko w radiu KJLH. Chyba występuje w Color of Comedy, czy w czymś takim.

- Nie rozmawiałem z nim od paru tygodni - wzruszyłem ramionami.

- Widziałam go w jakiejś komedyjce. Dalej jest w trasie?

- Tak. Występy pochłaniają go bez reszty. Wraca z Waszyngtonu i w ten weekend będzie grał na Sunset Boulevard - zawiesiłem głos. - Wiesz, że kupiłem już dla nas bilety na Playboy Jazz Festival?

- Wiem.

- Wykupiłem miejsca w boksie. Po stówie za bilet.

Lisa potarła dłonią kark i wydała z siebie słaby, nerwowy śmiech.

- Nie pójdziemy tam. W każdym razie nie razem - powiedziała.

- A ty idziesz?

- Tak. Wybieram się tam z moim mężem.

- O, macie już bilety?

- No pewnie. Zabieramy ze sobą dzieci. A ty nadal masz zamiar tam pójść?

- Może uda mi się skontaktować z Leonardem - wzruszyłem ramionami. - Jeżeli go namówię, to pieniądze nie pójdą w błoto.

- Mogłabym ci zwrócić koszty.

- Zrobiłaś to już z nawiązką.

Nim zdołała opanować napięcie i sięgnąć po swoją torebkę z brązowej skóry, zmieniłem ton na oficjalny i zapytałem, kto teraz będzie opiekował się moimi finansami.

- Nadal mogę zajmować się twoim portfelem - powiedziała. - Utrzymywanie kontaktów na stopie zawodowej nie stanowi dla mnie problemu. Od tego wszystko się zaczęło. To by mogło się udać. Nie mielibyśmy ze sobą zbyt wiele kontaktu.

- Nie wiem, czy potrafiłbym ci teraz zaufać.

- Biznes to biznes.

- A reszta to bzdury.

- Właśnie tak. Prowadzę swoje interesy, a nigdy nie zaniedbywałam twoich.

Opróżniłem tace nad koszem i ruszyliśmy w stronę wyjścia. Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, Lisa włożyła ciemne okulary. Zrobiłem to samo. Tego dnia Los Angeles zdawało się strasznie małe.

- Chcę, abyś wiedziała, że nie boli mnie twój wybór i to, że na pierwszym miejscu stawiasz dobro dzieci - powiedziałem. - Nie lubię tylko dowiadywać się o wszystkim jako ostatni. Nie znoszę, gdy decyzje zapadają bez mojego udziału.

- Twoje słowa świadczą o tym, że lubisz nad wszystkim mieć kontrolę.

Przemilczałem jej uwagę. Zawarte w podtekście oskarżenie dotknęło mnie do żywego. Ochłonałem, spoglądając na zegarek.

- Chcesz wynająć pokój? - dotknęła mojej ręki i zapytała.

- Ten ostatni raz na pożegnanie?

- Nie. Chodzi mi o to, że moglibyśmy od czasu do czasu się spotykać. Gdyby nam obojgu to odpowiadało. Kiedy tylko udałoby nam się wyrwać.

- Mówisz, jakbyś to ty nie chciała stracić kontroli.

- Tu nie chodzi o kontrolę. Będzie mi ciebie brakować.

- W charakterze dawcy spermy?

- Czy to oznacza, że się zgadzasz, czy nie? Dobrze nam razem.

- A więc wciąż jesteśmy na schadzce, skarbie.

Oblizwała górną wargę i wlepiała wzrok w ziemię. Sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała uderzyć w błagalny ton.

- Widujesz się z kimś? - zapytała.

- Nie twoja sprawa.

- Masz już kogoś?

Nie odpowiedziałem jej.

- Jak tam twoje dzieci? - zmieniłem temat.

- Możesz poświęcić mi dziś godzinę? - powiedziała, zaciskając wargi.

- Muszę wracać do pracy.

- Konferencja?

- Tak. Jeszcze jedna korporacyjna randka.

- Przemyśl moją propozycję. Jestem wolna po szóstej. Byłem zdecydowany usunąć się z jej życia.

- Dziękuję, że wzięłaś mnie pod uwagę.

- Masz rację. Sama nie wiem, dlaczego to robię.

Cały ten podły nastrój, który tłamsiłem w sobie podczas zebrania, doszedł do głosu, kiedy tylko wyszedłem na zewnątrz, a chłód zamienił się w upał. Zewsząd otaczały mnie samochody pełne kobiet. Jechałem niczym demon, opuszczony dach, ciemne okulary i krawat powiewający na wietrze. Nagle cała ta moja rozbuchana wolność została poskromiona przez czerwone światło na skrzyżowaniu przy Pepperdine University.

Obok mnie zatrzymał się range rover. Kątem oka dostrzegłem siostrę o wystających zębach i zwichrzonej fryzurze, która uśmiechała się, jakby osiągnęła błogostan. Nacisnąłem guzik i podniosłem dach samochodu.

Dochodziła pierwsza, więc Leonard powinien już się obudzić. Sięgnąłem po telefon i wybrałem numer przyjaciela.

Kumplowaliśmy się od podstawówki. Oprócz Bliźniaczki Leonard był jedyną osobą, która знаła mnie na tyle dobrze, by po tonie mojego głosu rozpoznać, w jakim naprawdę jestem nastroju. Wtajemniczyłem go w szczegóły.

- Powinieneś się tego domyślić, kiedy do ciebie nie oddzwoniła - powiedział. - Jak się teraz czujesz?

- Spoko.

- Nie ściemniaj.

- Naprawdę - zachichotałem. - Jestem spokojny.

- Wiesz co, dla ciebie wytargam ją za kudły i poprzetrącam kolana. Przypelźnię z powrotem do ciebie.

Parsknęliśmy śmiechem. W słuchawce usłyszałem sygnał oczekującego połączenia. To brat, który zamawiał Color of Comedy, dzwonił do Leonarda w sprawie piątkowego występu.

- Co będziesz teraz robił? - zapytałem.

- Mam kilkuminutową rozmowę z jednym z tych ocalonych narkomanów w programie o przeciwdziałaniu uzależnieniom. Potem wpadnę pokazać się w Comedy Store. To co zwykle. Znajdziesz chwilę wieczorem, żeby wpaść na siłownię?

- Pewnie. Załatwiał swoje sprawy. Zobaczymy się o szóstej.

- Zadzwoń do ciebie za parę godzin, żeby się upewnić, że nie wpadłeś w szal i nie zrobiłeś nikomu krzywdy.

- Zrób to.

- Naucz się odreagowywać.

- Jestem spokojny.

- Trzymaj się.

- Do zobaczenia.

Rozłączyłem się. Od razu zrzędnęła mi mina, a braterski uśmiech umknął wraz z wiatrem, jak smog splukany przez letni deszcz.

2.

SHELBY

Nie chciało mi się wracać do domu z powodu tego faceta, który właśnie spał w moim łóżku. Ale Bryce jest pewnie pogrążony w głębokim śnie. Mogłabym zginąć w katastrofie lotniczej, a on nie miałby nawet o tym pojęcia. To cholerny wstyd, gdy kobieta nienawidzi kłaść się do swojego, kupionego za własne pieniądze łóżka.

Ostatni z moich lotów był opóźniony z powodu burz, jakie podążały za nami od wschodu. W Los Angeles było około drugiej w nocy.

Kiedy tylko L1011 dotknął kołami płyty lotniska, zdawkowo pożegnałam wszystkich pasażerów i zaczęłam kierować ich do wyjścia, zanim jeszcze samolot całkowicie się zatrzymał.

Ciągnąc za sobą walizkę na kółkach, przemknęłam przez lotnisko z niespokojnym stukotem obcasów. Marzyłam tylko o tym, by zedrzeć z siebie ten błękitny kostium zwany tutaj mundurem, rozpuścić włosy i rzucić w kąt służbowe pantofelki. Nie mogłam się doczekać, kiedy wsiądę do swojego czteroletniego nissana 300ZX z otwieranym dachem i pomknę do domu, jak wsunę się do swojego łóżka i zasnę na swoim nowiutkim materacu.

Jednak jak już wspomniałam, w moim łóżku spał ten mężczyzna. Mężczyzna, do którego nie pałam zbyt dużą sympatią. Mogłam mówić mu po trzykroć to samo, a Bryce nie pamiętał nawet, kiedy odezwałam się po raz pierwszy. Jeszcze kilka miesięcy temu byliśmy dla siebie wyłącznie współlokatorami, ale wystarczyła chwila słabości, by przekroczyć granicę zwaną pożądaniem.

Wiercie mi, pociąg fizyczny i parę kieliszków wina o północy to niezawodna recepta, by potem pluć sobie w brodę. Kiedy tylko było mu dane zakosztować seksualnych uniesień, stało się oczywiste, że to wszystko, na czym mu zależy. Seks odbierał mu rozum. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że mogłabym się w nim zakochać, ale on zapewniał, że kocha się we mnie. Wiedziałam jednak, że jedyną rzeczą, którą Bryce kochał, było udawanie.

Powinnam jechać do mieszkania Debry, ale było późno, a ona chodziła spać o jedenastej i wstawała o piątej, by robić coś, co można robić o tak wczesnej porze. Debra to jedna z tych kobiet, które budzą się szczęśliwe bez wyraźnego powodu, czytają Biblię i *Don't Block the*

*Blessings*³, wciąż słuchają muzyki, śledzą kronikę towarzyską w KJLH i krzątają się żwawo po domu, popijając kawę o smaku orzechowym. To dlatego przestałam z nią mieszkać. Osiem lat pod jednym dachem z panią nieustannie szczęśliwą wykończyło mnie nerwowo.

³ Wspomnienia amerykańskiej wokalistki Patti LaBelle - przyp. tłum.

Zatem dom, którym aktualnie dysponowałam, był jedynym miejscem, gdzie mogłam się udać. Wracałam do mieszkania Bryce'a, które mieściło się po drugiej stronie Fox Hills, tuż przy skrzyżowaniu drogi numer czterysta pięć i La Tijera. W tej milej, otoczonej płotem dzielnicy żyła licząca blisko pięćset osób społeczność Afroamerykanów. Jakieś dziesięć minut drogi od lotniska zaczynały się domy obrosnięte przybudówkami, wysokie ogrodzenia, kilka głębokich na dwa i pół metra ogrodowych basenów, jacuzzi i masa innych bajerów, które sprawiały, że tamtejsze posiadłości kosztowały fortunę.

Kiedy mijalam budkę strażniczą, siedząca w niej ciemnoskóra dziewczyna była pogrążona w głębokim śnie, a jej głowa w kształcie fistaszka kołysała się z boku na bok. Mogłam bez jej wiedzy otworzyć bramę automatyczną za pomocą karty, ale zatrzymałam się, nacisnęłam klakson i zawołałam ze dwa razy „Hej, siostrzyczko!”. Dziewczyna ani drgnęła.

Westchnęłam, zaklęłam pod nosem i wysiadłam z samochodu. Zapukałam w okienko, ale dziewczyna wciąż spała. Chwyciłam klamkę i potrząsnęłam nią z całej siły, a potem kopnęłam w drewniane drzwi tak mocno, że odpadła z nich metalowa tabliczka z napisem: „Mieszkańcy są zobowiązani do przedstawienia dokumentu tożsamości. Goście muszą się rejestrować przy wjeździe i wyjeździe” i zaczęła z brzękiem tańcować po podłodze. To wystraszyło dziewczynę na dobre. Wrzasnęła i podskoczyła tak gwałtownie, że jej warkocze przez moment sterczały niemal poziomo. Szeroko otworzyła oczy i zerwała się z krzesła, balansując niepewnie, jakby obudziło ją trzęsienie ziemi.

- Teraz wszystko w porządku - powiedziałam.

Dziewczyna z trudem łapała oddech, trzymając się oburącz za serce. Wyglądała jak gwiazda dramatu podczas próby.

Miała co najwyżej dwadzieścia lat, jakieś metr pięćdziesiąt wzrostu, brązową karnację i cienki, lekko zadarty nos. Poprawiła błękitną ochroniarską marynarkę i rozejrzała się dookoła. Patrząc na jej filigranową sylwetkę, zaczęłam się zastanawiać, co do cholery takie chuchro mogłoby zrobić w razie zagrożenia.

- Wystraszyłaś mnie - powiedziała.

- Lepiej, że to ja, a nie kto inny. Wiesz, że ludzie chodzą na skargę, kiedy widzą, jak przysypiacie na służbie.

- Nie wiem, kiedy zapadłam w drzemkę.

- Mało kto wie. Właśnie dlatego mówi się o „zapadaniu”. Siostra parsknęła nerwowym śmiechem.

- Nudno tu - powiedziała.

- A nie masz jakiegoś radia albo czegoś takiego?

- Nie. To, które było, szlag trafił. Czytałam *Essence* i chyba mi się przysnęło.

- Bądź czujna.

Dziewczyna wyglądała na zawstydzoną. Pomachała mi, po czym ziewając i pocierając prawe oko, usadowiła się znów na stołku. Wróciłam do samochodu i ruszyłam w stronę garażu, podskakując na garbach zwalniających. Wiecie co? Uwielbiam ten pisk opon, kiedy wchodzę w ostry zakręt. Tak bardzo kocham ten dźwięk, że wycofałam i zapiszczałam sobie jeszcze raz.

Bryce zaparkował swoją terenową toyotę na naszym podwójnym stanowisku, ale jak zwykle nie dostawił jej do ściany. Samochody stały zderzak w zderzak na wprost pojemników na śmieci, tuż pod ścianą z gazobetonu. Oznaczało to, że musiałam wysiąść i przestawić jego auto o jakiś metr, aby nikt nie zahaczył o mój bagażnik, przejeżdżając obok. Wciąż mówiłam mu, żeby nie parkował w ten sposób. Kolejna z jego wad przejawiała się w takim nierozważnym postępowaniu.

Dotknęłam maski jego samochodu, zanim znalazłam zapasowe kluczyki i uruchomiłam silnik. Była zimna. Bryce siedział w domu od jakiegoś czasu.

Bryce ma jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu i pracuje w Northwest przy załadunku samolotów, a w niepełnym wymiarze prowadzi zajęcia w LAX Family Fitness. Zajmuje się szkoleniem trenerów, ma ekscytujące ciało, ale jest nudny jak diabli. Godziłam się na to wspólne życie przez trzy miesiące, czyli o trzy miesiące za długo. Było prawie tak, jakbyśmy nie mieszkali razem, bo przez większość czasu latałam od miasta do miasta, więc widywaliśmy się kilka razy w tygodniu, albo i rzadziej, jeśli miałam na to jakiś wpływ. Podsumowanie? Nie przychodzi mi na myśl żadna dodatnia liczba.

Kiedy weszłam do mieszkania, Bryce siedział ubrany w kraciaste bokserki i drapiąc się po genitaliach, oglądał ESPN. Prawdopodobnie gnił tak przed telewizorem przez cały wieczór. Miałam zamiar powiedzieć mu coś o parkowaniu, ale zawsze sprawiał, że czułam się, jakbym robiła z igły widły.

- Byłeś w domu przez całą wieczór? - zapytałam.

- Taa...

- Dzwonił ktoś?

Siedział w salonie, rozparty w skórzanym fotelu, a jego ogromne stopy spoczywały na otomanie. Nie usłyszałam nawet zdawkowego mruknięcia na powitanie, nie mogłam więc oczekiwać, by raczył dźwignąć tyłek i mnie objąć. Widział, jak szarpię się z bagażem, ale nie był skory do pomocy. Byłoby to chyba zbyt wiele jak na niego.

- Dzwonił ktoś? - powtórzyłam.

- A nie dzwoniłaś przed paroma minutami i nie odsłuchiwałaś wiadomości? - odparł Bryce.

- No tak.

- Więc wiesz, kto dzwonił.

Usłyszałam, jak moje nerwy zaczynają trzeszczeć, napinając się do granic wytrzymałości. Przeczesałam palcami włosy i chwyciłam je mocno w garść, jakbym chciała wyszarpnąć całe napięcie wraz z korzeniami, a potem policzyłam od dziesięciu w dół. Robiłam tak zawsze w chwilach, kiedy ogarniała mnie irytacja.

- Bryce - odezwałam się.

- No? - wstał i dumnym krokiem ruszył w moją stronę.

- Myślę, że pora, bym poszukała sobie innego mieszkania.

- Kiedy się wyprowadzasz? Musisz jeszcze zapłacić za kolejny miesiąc.

- Cholera. Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. Zupełnie nie takiej. Myślałam, że przynajmniej zapytasz, jak sobie radzę.

- Należysz do tych, co ciągle powtarzają, że to nic nie daje.

- Bo nie daje.

- Więc kiedy się wyprowadzasz?

- Bryce, mogę zadać ci pytanie?

- I tak to zrobisz. Dlaczego zawsze pytasz, czy możesz mi zadać pytanie?

- Bo kiedy to robię, masz takie spojrzenie, jakbyś mówił „Czego ona do cholery znowu chce?”. Takie jak teraz.

- Widać tak jest. Zadawaj to swoje głupie pytanie.

Wzdrygnąłem się, kiedy nazwał moje pytanie głupim. Zbyt często wplatał takie subtelne zniewagi w swoje szorstkie odzywki. Zdobyłam stopień naukowy na Uniwersytecie Stanowym,

a ten dupek po jakiejś szkółce niedzielnej nazywał mnie głupią? Upłynęły dwie sekundy, nim przełknęłam zniewagę i powstrzymałam się od wybuchu. Na mojej twarzy pojawił się nikły cień uśmiechu, kiedy zapytałam nieprzyjemnym, ale niepodniesionym tonem:

- Dlaczego uważasz, że moje pytania muszą być głupie?
- Gdybyś się zastanowiła, zanim je zadasz, toby takie nie były.
- Nieważne.

Weszłam do łazienki, wzięłam szybki prysznic, a potem przemyłam twarz tonikiem, posmarowałam kremem i z powrotem spięłam włosy. Czułam ucisk w skroniach. Na moment zamknęłam oczy i opierając się o szafkę, policzyłam od stu w dół. Potem zabębniłam kilka razy paznokciami o blat szafki. Bębniłam tak i rozmyślałam.

Kiedy weszłam do sypialni i zapaliłam światło, zobaczyłam, że łóżko jest zaścielone, ale nie w taki sposób, jak sama zwykłam to robić. Zawsze zostawiałam łóżko zasłane lepiej niż w hotelu Hilton, tymczasem Bryce przyglądał tylko zielone prześcieradło i okrywał wszystko kołdrą w czerwone kwiatki, by nie było widać, jak wygnieciona jest pościel. Był to i tak jakiś postęp w porównaniu z tym, co robił wcześniej - a nie robił nic.

Upewniłam się, że budzik jest nastawiony, po czym ułożyłam się na swojej połowie łóżka i zamknęłam oczy. Wzięłam głęboki oddech. Węszyłam niczym ogar, raz za razem wciągając powietrze. Nie mogłam wprost uwierzyć, że czuję ten zapach. Otworzyłam oczy tak szeroko, że aż zabolalo. Jeszcze raz pociągnęłam nosem i ogarnął mnie szal. Było to coś, co nie umywało się nawet do wszystkich tych rzeczy, które zazwyczaj mnie wkurzały.

Powąchałam swoją poduszkę. Potem sięgnęłam po drugą i zrobiłam to samo. Poduszka, na której spoczywała moja głowa, poduszka, która leżała po mojej stronie łóżka, zajeżdżała jakimiś cholernymi perfumami. I nie były to moje perfumy.

Zerwałam się i wróciłam do salonu. Bryce oderwał wzrok od telewizora.

- Co jest? - spytał.
- Źle robisz, Bryce. Cholera. Nie do wiary!
- Chcesz, żebym przyszedł do łóżka i cię bzyknął, księżniczko?
- Księżniczko?
- Jesteś moją księżniczką, prawda?

Mierzyłam go przez chwilę wzrokiem, po czym wróciłam do łazienki. Moje szczotki do włosów leżały w jednej szufladzie. Przyjrzałam się dokładnie wszystkim po kolei. Na jednej dostrzegłam kosmyki włosów, które nie należały do żadnej z osób mieszkających w tym domu.

Długi włos. Wyrwałam jeden z moich i położyłam obok dla porównania. Włos nie był tak ciemny i tak gruby jak mój, a do tego wyglądał, jakby został wyczesany z jakiegoś splotu. W żadnym wypadku nie był to włos czarnej kobiety.

Spojrzałam w górę.

Czasem włosy unoszą się i przywierają do ścian, sufitu albo kabiny prysznicowej. Właśnie na suficie zauważyłam kilka takich samych włosów jak w mojej szczotce.

Bryce stał za mną. Delikatnie położyłam na jego dłoni mały kosmyk.

- To nie moje włosy - powiedziałam.

Zapaliłam światło w sypialni i zdarłam kołdrę z łóżka. Na samym środku prześcieradła widniał suchy, zaskorupiały ślad miłosnych igraszek.

- To nie tak, jak myślisz... - odezwał się Bryce.

Nie byłam wzburzona ani nie zachowałam się opryskliwie. Przeszłam obok niego spokojnym krokiem, poruszając się tak jak moja przyjaciółka Debra. W kuchni zagotowałam wodę, zaparzyłam waniliową kawę i wlałam ją do termosu, a potem wyjęłam z szafy odtwarzacz płyt CD, który kiedyś podarował mi Bryce. Byłam boso, miałam na sobie bokserki i pasiasty podkoszulek Calvina Kleina. Moje ciało płonęło od środka. Czułam, jak pot spływa mi po karku. Wzięłam klucze i ruszyłam w stronę drzwi.

- Gdzie się wybierasz w piżamie, z tą kawą i radiem? - zapytał Bryce.

- Na zwiady.

Przemierzyłam trzy ciągi schodów i podwórko, aż dotarłam do budki strażniczej. Siedząca w środku siostra była przytomna, ale zmagiała się z opadaniem powiek. Kiedy zastukałam do drzwi, podskoczyła wystraszona jak diabli, przypuszczalnie dlatego, że było ciemno, a ja zakradłam się od niewidocznej strony. Kiedy mnie rozpoznała, zrobiła dziarską minę i otworzyła drzwi.

- Nie spałam - powiedziała, ziewając.

- Widzę.

Przeciągnęła się i zaśmiała.

- Przyniosłam ci coś - powiedziałam.

- Ojej. Strasznie ci dziękuję.

- Mogę wejść na chwilę?

- Co ty tu robisz dziewczyno, taka roznegliżowana? Jeszcze ktoś cię zgwałci, kiedy będziesz tak się włóczyć.

- Już zostałam zgwałcona. Jak większość z nas.

- Ja też. Kiedy miałam dwanaście lat, mój wujek...

- Nie w tym sensie. Mówię, o tym, że jeśli sypiasz z facetem, który cię oszukuje, to jest jak gwałt. Jeśli facet udaje kogoś, kim nie jest, żeby cię wykorzystać, to jest gwałt.

Dziewczyna zajęła się termosem i podłączaniem radia do sieci, zaczęłam więc przeglądać książkę, w której zapisywała wszystkich przekraczających bramę gości. Chciałam zobaczyć, kto ostatnio przyjeżdżał w odwiedziny do apartamentu E313.

- Co robisz? - zapytała.

- Nie widziałam, jak wtedy spałaś, więc ty teraz nie widzisz, że tu sobie szperam - mru-gnęłam do niej porozumiewawczo.

- Dobra.

Odwróciła się do mnie plecami i popijała kawę, poruszając głową w rytm muzyki.

Wodziłam palcami wzdłuż każdej kolumny. Data. Godzina. Nazwisko. Zaczęłam od po-ludnia trzy dni wcześniej. Tamtego popołudnia około drugiej wpisała się Nancy Zi. Wyjechała wczoraj o dwudziestej pierwszej. Oto skutki tego, że przypięłam na lodówce swój harmono-gram lotów. Facet nie przepuści okazji, kiedy dokładnie wie, gdzie jesteś.

Nancy była instruktorką hip-hopu i aerobiku w klubie fitness. Ja i Debra byłyśmy kilka razy na jej zajęciach. Cofnęłam się o kilka stron, by sprawdzić swoje poprzednie wyjazdy. Nancy Zi wpisywała się kilkakrotnie, przynajmniej w ciągu ostatniego miesiąca.

Dziesięć minut później wracałam do mieszkania, zgrzytając zębami i z głową pełną mor-derczych myśli. Bryce rozmawiał przez telefon. Rozłączył się w pół zdania, kiedy trzasnęłam drzwiami. Byłam pewna, że ten huk postawił sąsiadów na równe nogi.

- Z kim rozmawiałeś o tej porze? - zapytałam.

- Dzwoniłem do Debry, bo myślałem, że u niej jesteś.

- Jesteś pewien, że nie do Nancy z klubu?

Bryce milczał. Przeszłam obok niego i podniosłam słuchawkę.

- Do kogo dzwonisz o tej porze? - spytał.

- Do Debry - skłamałam naciskając redial, a kiedy w słuchawce rozległ się całkiem przy-tomny kobiecy głos, powiedziałam: - Cześć, Nancy.

- Kto mówi?

- Shelby. Z klubu fitness. Z sypialni Bryce'a. Tego, który posuwał cię przez cały tydzień.

Mogliście chociaż zmienić pościel.

Wyobraziłam sobie, jak tę małą azjatycką dupcię ogarnia popłoch.

- O Boże! Skąd masz mój numer? - krzyknęła.

- O Boże! Cud techniki - odliczyłam od pięciu i westchnęłam ciężko. - Dlaczego gziłaś się w moim łóżku? Nie jestem wkurwiona tym, że gziłaś się z Bryce'em. Po prostu nie podoba mi się, że robiłaś to w moim łóżku. Czemu nie zaprosiłaś go do siebie?

Kiedy Nancy zaczęła gadać jak opętana, oddałam Bryce'owi słuchawkę. Rozmawiał z nią, a ja spakowałam trochę ubrań i wyjęłam z szafy swoje służbowe kostiumy. Stał nade mną, kiedy do sportowej torby upchnęłam kilka par butów i ciuchy.

- To nie jest do końca moja wina - odezwał się.

- Oczywiście, że nie. Mam pilota do twojego kutasa i przez pomyłkę zaprogramowałam go na kanał innej pochwy.

- Nie byłaś dla mnie najczulszą z kobiet.

- Azjatka też nie, o ile mi wiadomo.

- Nie doszłoby do tego, gdybyś zwracała uwagę na moje potrzeby. Zawsze byłaś u Debry i nie miałaś dla mnie czasu.

- Wiesz co? Gównu mnie to obchodzi. Bo skoro każde z nas pieprzy kogoś na boku, co sama też już zdążyłam zrobić, nie ma o co się rzucać. I nie odpowiada mi związek, gdzie wszystko rozbija się o seks.

- Od ponad miesiąca nie dbałaś o moje potrzeby.

- I co z tego?

- Chodzi mi tylko o kompromis.

- Kompromis?

- Gdybyśmy tak mogli to robić w poniedziałki, środy i weekendy.

Nie wierzyłam własnym uszom. Miał czelność mówić o tym tak, jakby to było najlogiczniejsze wyjście na świecie. Ale gdybym chciała użerać się ze smarkaczami, zostałabym nauczycielką.

- Dokąd się wybierasz o czwartej nad ranem? - zapytał.

- Do Debry.

- Czyżby?

- Nie próbuj nawet zgrywać zazdrośnika. Idę do mojej przyjaciółki.

- Gadanie. Dlaczego nie zostaniesz? Możemy jeszcze o tym pomówić.

- I tak jestem tu już zbyt długo.

- Jesteś wściekła?
- Gdzie tam. Tylko zawiedziona.
- Nie chciałem cię zawieść.
- I nie zawiodłeś. Jesteś na to za cienki. Zawiodłam się sama na sobie.

Bryce wziął co cięższe rzeczy, ja niosłam resztę. Uwijał się tak szybko, że nie byłam pewna, czy się wyprowadzam, czy jestem wyrzucana. Samochód miałam tak załadowany, że z trudem go domknęłam i ledwie mogłam zmieniać biegi.

- Potrzebujesz jeszcze czegoś? - zapytał Bryce.
- Chcę, żebyś mi zwrócił za moje łóżko.

Spojrzał na mnie, jakbym była królową debili, i powiedział:

- A jak zabierzesz resztę rzeczy?
- Przyjadę tu z Debrą. A jeśli masz zamiar pieprzyć na moim materacu którąś ze swoich dziwek, podłóżcie sobie, proszę, jakiś ręcznik, żeby nie było plam.

Wyjechałam z parkingu z piskiem opon głośnym jak wrzask demona. Chyba nigdy w życiu nie byłam tak zadowolona, rozstając się z facetem. Nie bolało mnie to ani trochę. Mam taką zaletę, że wystarczy mi byle powód, a odchodzę od kolesia w mgnieniu oka. Odchodzę i nie oglądam się za siebie. Jest tak, ponieważ kobieta może spodziewać się po mężczyźnie jedynie trzech rzeczy - ale o tym opowiem później.

* * *

Debra spała jak zabita. Nie słyszała, jak weszłam do jej wynajętego mieszkania i rzuciłam swoje rzeczy na sofę i fotel, tuż obok galerii zdjęć przedstawiających mnie i całą jej rodzinę. Jej dwudziestoosmioletni kuzyn Bobby, nasz rówieśnik, jest fotografem i to dzięki niemu Debra ma pod dostatkiem rodzinnych portretów. Trzyma całą masę naszych wspólnych fotek, począwszy od tych, które powstały w czasach, gdy chodziłyśmy do gimnazjum, aż po te zrobione w zeszłym miesiącu na Bahamach.

Debra nawet nie drgnęła, gdy weszłam do sypialni i wyłączyłam telewizorek stojący na komodzie. Całe mieszkanie wypełniało żółtawe światło nocnych lampek. Debra boi się ciemności. Spała, leżąc na plecach, zarumieniona niczym szesnastolatka.

Debra jest w moim wieku, z tym że ja jestem Rakiem, a ona Lwem. Jesteśmy prawie takich samych rozmiarów, tylko ja mam większy tyłek, a ona szersze biodra. Moje pośladki są nieznacznie większe niż jej, ale za to zdecydowanie pełniejsze, bardziej jędrne i przy każdym moim kroku roztaczają czar Afryki. Robię mnóstwo przysiadów, by nie pozwolić im obwisnąć,

i ćwiczę brzuch, by mieć wąską talię. Debra tak samo. Ale mój tyłek jest kształtny i wystarczy, że zakręcę nim dwa razy, a każdy facet traci głowę.

Debra ma jasnobrązowe włosy i karnację, która przy mojej przypomina osełkę masła. Moja skóra jest ciemnobrązowa. A gdyby ktoś pytał, mogłabym być jeszcze o dwa lub trzy odcienie ciemniejsza. Odpowiadałoby mi to. Debra łechce moją próżność, mówiąc, że wyglądam cudownie i mam najpiękniejszą skórę, jaką kiedykolwiek widziała w życiu. I tak jest. Nie zdarzały mi się kłopoty z cerą, odkąd ukończyłam szkołę średnią. Rzadko miewałam wypryski podczas miesiączki. Dzięki wydatnym kościom policzkowym moja twarz sprawia wrażenie wiecznie roześmianej i wesołej, nawet kiedy jestem wkurzona, tak jak teraz. To dlatego ludzie jakoś to znoszą, kiedy jestem zgryźliwa i sarkastyczna. Takie humory to po części kwestia charakteru i po części mechanizm obronny. Potrzeba wyjątkowego faceta, bym złagodniała. Jak na razie nie udało mi się poznać takiego mężczyzny.

Zakradając się do sypialni, wpadłam na dziwaczne urządzenie do ćwiczenia mięśni brzucha, które Debra kupiła w sklepie Target, i uderzyłam się w palec u nogi. Kulejąc, umieściłam przyrząd między komodą z sosnowego drewna a siedmiokilowymi hantlami leżącymi na podłodze. Kiedy ciężko klapnęłam na łóżko, Debra podskoczyła, ale nawet nie otworzyła oczu ani nie usiadła. Coś takiego zdarzyło mi się nie po raz pierwszy. I zapewne nie ostatni, przy moim podejściu do życia.

- To ja - powiedziałam.

- Wiem.

- Mimo że wiesz, mogłabym być jakimś zboczonym mordercą.

- Morderca nie miałby kluczy.

- Też prawda.

- Jak tam rejs?

- Po staremu. Pracowałam z nową siostrą. Ma na imię Chiquita.

- Szczęściara z ciebie. A co chcesz teraz robić?

- Włożyć legginsy, podkoszulek, okrążyć uniwersytet i pobiec aż do Crenshaw i z powrotem.

- Na czym polega twój problem?

- Muszę przebiec kilkanaście kilometrów i pozbyć się stresu.

- Nie zrobisz tego. Jest ciemno, a wszędzie pełno psycholi, którzy tylko czyhają na jakąś darmową cipkę.

- Nie przelecisz tego, czego nie możesz dogonić.

- Shelby, kładź się do łóżka, i to już. Pobiegamy później. Westchnęłam ciężko, zrzuciłam buty, usiadłam na łóżku i ziewnęłam.

Prawdę mówiąc, uwielbiam, gdy ktoś o mnie dba. Uwielbiam być adorowana przez mężczyznę. Uwielbiam, gdy moja przyjaciółka troszczy się o mnie i trochę mi matkuje. Wpełzłam do łóżka. Najbezpieczniejsze miejsce po tej stronie matczynego raju. Gdzieś w głębi zostałam zraniona, ale nic umiałam znaleźć źródła tego bólu i uśmierzyć go. Wciąż odgrywałam swoją rolę, wydając pomruki, jęki i chrząknięcia, aż wreszcie Debra otworzyła jedno oko.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

Wzruszyłam ramionami, a potem opowiedziałam jej, co się stało.

- Gratuluję - powiedziała. - Pora była z nim zerwać.

- Dzięki za współczucie. - Rzuciłam w nią poduszką. - Teraz jestem bezdomna. A Bryce posuwał jakąś laskę w moim łóżku.

- Na twoim nowym materacu?

- No i czy to nie jest upokarzające?

Nie musiałam niczego wyjaśniać, by Debra zrozumiała, co czuję. Kiedy dorastałam, nie miałam własnego łóżka ani nawet materaca. Być może zabrzmiało to trywialnie, ale miało to dla mnie duże znaczenie. Większość nocy przesypiałam na podłodze, opatulona kocami. Szczęście, że w mieszkaniu był dywan. Czasami sypiałam w podwójnym łóżku z moją mamą, ale tylko wtedy, gdy było naprawdę zimno, a ona nie ogrzewała właśnie swojego faceta. Najczęściej mościłam sobie posłanie i spałam na twardej podłodze. Samotna i odizolowana. Mieliśmy jeszcze sofę, ale na sofie nikt nie sypiał.

- On nigdy nie traktował cię z szacunkiem - powiedziała Debra.

- Przynajmniej udawaj, że jesteś zaskoczona.

- Nie jestem zaskoczona. Zawsze oglądał się za innymi kobietami. Nienawidzę tego. Nigdy nie umawiaj się z facetem, który nie lubi twoich przyjaciół.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że zasługujesz na coś lepszego. Zawsze spotykasz się z facetami, którzy są poniżej twojego poziomu. Podnieś poprzeczkę i daj sobie spokój z tym trenerem. Boisz się przyzwoitych facetów, czy co?

- Dlaczego do tej pory nic nie mówiłaś?

- Mówiłam ci, żebyś mnie w to nie wciągała. Nie chciałam się mieszać.

- Dopóki nie jest już po wszystkim. - Poklepałam ją po głowie.

- Może poznasz kogoś miłego na Playboy Jazz Festival - zachichotała Debra. - Kogoś na poziomie.

- Nie próbuj mnie swatać, kiedy właśnie z kimś zerwałam.

- Nigdy nie byłaś z nim związana. W każdym razie nie w taki sposób, jak należy.

- Debra...

- Co?

- Idź już spać.

- Przerabiałaś waginą nadliczbowe kilometry - powiedziała Debra. - Będzie taka przechodzona jak Pico Boulevard.

Wymierzyłam jej kopniaka w tyłek. Mocnego kopniaka. Tym razem był to odruch. To, co powiedziała, dotknęło mnie do żywego. Przyjaciele mają do tego prawo, ale nie chciałam dać po sobie poznać, jak bardzo mnie uraziła. Moje życiowe błędy nie wprawiają mnie w entuzjazm. Naprawdę powinnam była od razu iść pobiegać. Bieganie zawsze pomagało mi uporać się z każdym problemem.

- Shelby?

- Czego? - krzyknęłam.

- Ty płaczesz?

- Taa...

- Chodź do mnie. Niech cię przytulę, dziewczynko.

- Weź te łapy ode mnie.

- Co się dzieje?

- Nie jestem zachwycona tym, co powiedziałaś o mojej cipce, przechodzonej jak Pico Boulevard.

- Żartowałam.

- To nie było śmieszne.

- Przepraszam.

- Już dobrze. Chyba właśnie tak się czułam, a ty nazwałaś to po imieniu. Szkoda, że nie jestem zarozumiała, nie żyję w celibacie, samotnie, z wyschniętą i zardzewiałą cipką, tak jak ty.

- Odwal się.

- Idź już spać.

Moja przyjaciółka wymierzyła mi kopniaka i uciekła na przeciwległy kraniec łóżka, bym nie mogła jej oddać. Kiedy tylko dotknęłam głową poduszki, zapadłam w sen. Nie był to najspokojniejszy sen w moim życiu, ale jednak sen. Wciąż jeszcze czułam w nozdrzach zapach tanich perfum pozostawiony przez jakąś wywłokę.

3.

Debra

Pozytywny. Pozytywny. Pozytywny.

- Debra - Faith powtórzyła moje imię trzy albo cztery razy, za każdym razem coraz głośniej i dobitniej. Słyszałam ją, ale nie reagowałam.

- Trzy razy wyszło pozytywnie - powiedziała. - Każdy test ciążowy ma wysoki poziom HCG. Hormony nie kłamią. Nie mam żadnych wątpliwości i ty też nie powinnaś mieć.

Dygotałam przez kilka sekund, a potem ścisnęło mnie w dołku. Nie mogłam uspokoić rąk, wypielegnowanymi paznokciami miętosilałam i przyglądałam mankiety brzoskwiniowego pielęgniarskiego uniformu. Moje oczy nie łzawiły, choć miałam ochotę się wypłakać. Faith otoczyła mnie ramieniem i poprowadziła w stronę krzesła, ale nie chciałam siadać. Ucisk w żołądku zelżał i stał się znośny. Krzyknęłam z niedowierzania.

- Wszystko w porządku. Tylko jestem w szoku - powiedziałam.

- Czemu miałabyś być? To nie twój problem.

Omiotłam wzrokiem pokój zabiegowy. Pomalowane na fiołkowo ściany udekorowane fluorescencyjnymi strzałkami były takie czyste. Bawełniane tamponiki. Lateksowe rękawiczki. Zapach alkoholu. Wszystko takie sterylne i nieskalane. Trochę kręciło mi się w głowie. Może dlatego, że od rana nie zjadałam nic poza kilkoma kawałkami pomarańczy, ciastkiem otrębowym i napojem jabłkowym. Omiotłam językiem wnętrze ust, natrafiając na okruszki ciastka. Potem kilka razy głęboko zaczerpnęłam powietrza i poczułam się lepiej. Uśmiechnęłam się do Faith. Nie był to prawdziwy uśmiech, tylko grymas, który miał dać jej do zrozumienia, że odzyskuję profesjonalny spokój. Osobiste uczucia leżały spakowane w szafie.

- Wierzyć mi się nie chce - powiedziałam.

- Jej też nie. Kiedy ktoś tyle razy powtarza test ciążowy, znaczy, że nie może się z tym pogodzić. Pieprzysz się, to i zajdziesz. Jasne i proste.

Faith mówiła jak pozbawiona uczuć nauczycielka szkoły średniej. Niepokoilo mnie to i zastanawiałam się, ile jeszcze czasu upłynie, nim stanę się taka sama.

- Faith, lekarz nie powinien mówić takich rzeczy.

- Tu nie chodzi o żaden kodeks etyczny. Jeżeli masz stosunek, ruchanko czy jak tam teraz mówią na to dzieciaki, zostajesz zapłodniona, zapyłona czy jak tam sobie to nazwiesz.

Faith przygładziła swój lekarski kitel ozdobiony afrykańskim wzorem. Sięgnęłam po kartotekę pacjentki i przeczytałam nazwisko. Erica Stockwell. Z dokumentów wynikało, że pani Stockwell wykłada na wydziale socjologii w Rincon Intermediate w Culver City, a pan Stockwell pracuje w zakładach lotniczych Hughesa w El Segundo. Faith poprawiła swój stetoskop. Zrobiłam to samo. Krótko obcięte siwiejące włosy i okulary sprawiały, że Faith wyglądała bardziej jak profesor medycyny, a nie lekarz ginekolog.

- Przepraszam, że cię w to mieszam - powiedziałam.

- Jesteś tylko człowiekiem. Pamiętasz, co ci powiedziałam, kiedy byłaś na studiach?

- Żebym zostawiała osobiste uczucia za drzwiami.

- No właśnie. Inaczej dasz się zjeść problemom innych ludzi.

- Jestem pielęgniarką. Powinnam być bardziej odpowiedzialna.

- Co ty nie powiesz.

Udałyśmy się do sąsiedniego pokoju zabiegowego, który tymczasowo pełnił funkcję prywatnego gabinetu.

- Proszę wejść - w odpowiedzi na pukanie do drzwi rozległ się nosowy głos pani Stockwell, która życzyła sobie, by tak właśnie się do niej zwracać, chociaż w Los Angeles wszyscy mówili sobie po imieniu. Powiedziała to takim tonem, jakbyśmy wdarły się nieproszone do jej domu. W jej głosie irytacja i gniew mieszały się z rozczarowaniem.

Pani Stockwell jest w wieku Faith, czyli tuż po czterdziestce. Miała na sobie sięgającą poniżej kolan kwiecistą spódnicę, która trochę za mocno opinała jej obwisły niczym torba kangura brzuch. Przychodzi tu od dziesięciu lat na coroczne badania. Pracuję w tej klinice dopiero cztery lata i raz do roku mam wątpliwą przyjemność zaglądać w pochwę pani Stockwell. Są ludzie, których nie chciałoby się znać aż tak dobrze.

Stałam obok Faith, która przy swoich stu osiemdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu górowała nade mną. Mierząc niecałe metr siedemdziesiąt, prezentowałam się przy niej dość licho.

Pani Stockwell, kobieta skromnej postury, miała jakieś metr sześćdziesiąt, wliczając w to pięciocentymetrowe obcasy.

Jej trzynastoletnia córka przysiadła na kozetce, tuż za plecami matki. Z początku nerwowo bawiła się strzemionami i próbowała unikać naszego wzroku, kiedy weszliśmy do pokoju. Kiwała nogą i zaczęła kręcić młynka kciukami. Ericka była jakieś piętnaście centymetrów wyższa od matki. Miała na sobie workowate spodnie i obszerną bawełnianą bluzę w zielone i czerwone słoneczniki o uśmiechniętych twarzach. Przez środek jej głowy przebiegał zygzakowaty przedziałek, a rozczesane na boki włosy upięte w kucyki zwisały po obu stronach twarzy, potęgując wyraz smutku i zgryzoty. Obok niej spoczywał gimnazjalny podręcznik *Wypisy z literatury*. Wyglądało to, jakby czekając na wynik, próbowała zająć się pracą domową. Jej matka była tak zdeterminowana, tak niewzruszona i pełna niedowierzania, że kazała biednemu dziecku trzy razy przeprowadzić test ciążowy.

- No i co? - powiedziała pani Stockwell.

Jej słowa zabrzmiały obcesowo, ale oszczędziło to nam momentu niezręcznego wyczekiwania. Tego momentu, w którym Faith z uśmiechem Miss Czarnej Ameryki mówi „Moje gratulacje!”, a kobiety, niezależnie od rasy, wyznania czy koloru skóry, zalewają się łzami, krzyczą albo na ich drżących wargach pojawia się szyderczy uśmiech. Przypuszczam, że częścią naszej pracy jest udawanie, że pojawiający się w brzuchu załążek nowego życia jest zawsze czymś dobrym. Powinno tak być. Szkoda, że tak nie jest. W takim momencie widziałam niewiele radosnych uśmiechów. Słyszałam za to zapłakane siostry, które mówiły: „Ale ja nie wiem, kto jest ojcem!” albo kurczowo zaciskały skrzyżowane ramiona i chodząc w kółko powtarzały: „O Boże!”. Pewna dziewczyna zemdląła, jakby sędzia właśnie uderzył młotkiem, ogłaszając, że została skazana na karę śmierci.

Mając to wszystko w pamięci, nie wiedziałam, jak postąpi pani Stockwell. Nie miałam pojęcia, jak zareaguje jej córka. Nastolatka z dzieckiem. Ericka miała trzynaście lat, co oznaczało, że będzie jeszcze pryszczatą nastolatką, kiedy jej dziecko zacznie chodzić do przedszkola.

- Może powinnam powiedzieć jej to osobiście - odezwała się Faith. - Ericko?

Dziewczyna przestała na chwilę kręcić palcami i uniosła twarz, by spojrzeć Faith w oczy. Jej kucyki zakołysały się w tył i w przód, jakby odmierzały czas. Potem przestały się kołysać. Jej czas minął. Spoglądało na nią tyle par oczu. Dorosłych oczu. Była taka osamotniona. Zaczęłam się zastanawiać, jak musi teraz wyglądać świat z jej perspektywy.

- Test wyszedł znowu pozytywnie, Ericko - powiedziała Faith.

- Jest pani pewna? - skrzekliwy, jeszcze nie całkiem dojrzały głos dziewczyny kontrastował z jej wybujałym ciałem.

- Tak. Byłam pewna już po przeprowadzeniu pierwszego testu. Jesteś w czwartym miesiącu.

Dłoń pani Stockwell zacisnęła się na torebce tak mocno, że skóra aż zaskrzypiała. Jej pierś uniosła się, po czym wolno opadła, ale twarz pozostała niewzruszona. Była spokojna. Całkowicie spokojna jak na całą tę sytuację.

Nadeszła pora na podjęcie decyzji i miałam wrażenie, że czas się zatrzymał. Wtedy zauważyłam, że Ericka wpatruje się w moją twarz. Nasze spojrzenia się spotkały. Może dlatego, że obie miałyśmy taką samą karnację i ten sam jasnobrązowy kolor włosów. Taki sam owalny kształt twarzy i grube wargi.

Szukające było dla mnie to, że Ericka nie wyglądała na dziewczynę tego pokroju. Nie pasowała do stereotypu dzieciaka z getta, któremu zdarza się pójść na całość.

- Ericka. Moje dziecko! - krzyknęła pani Stockwell - Ericka, owoc mojego ciała!

Ericka powoli i niepewnie wzruszyła ramionami. Potem zadygotała i powtórzyła ten gest.

- Może chciałybyście skonfrontować swoje opinie? - powiedziała Faith. Jej ton był taki urzędowy. Oficjalny i pozbawiony współczucia.

- Mogłabym zostać na chwilę z moją kochaną małą córeczką, byśmy mogły podjąć decyzję? - odparła pani Stockwell. - Zrobiliśmy to już wprawdzie dziś rano, ale zdaje się, że Ericka zadbała, by sprawy przyjęły nieco inny obrót.

Faith wyszła z pokoju. Ruszyłam za nią i obie udałyśmy się do sąsiedniej sali, gdzie czekała kolejna pacjentka. Idąc korytarzem, popatrzyłyśmy wymownie na siebie. Te porozumiewawcze spojrzenia wymienione w milczeniu mówiły, że będziemy plotkować o tym przypadku, jedząc lunch w chińskiej knajpie, i szybko zapomnimy o nim, kiedy w przyszłym tygodniu wydarzy się coś ciekawszego.

- O czym myślisz, że wyglądasz tak poważnie? - zapytała Faith.

- To cholernie przykre, kiedy trzynastolatka uprawia seks częściej niż ty - odpowiedziałam, przełamując niezręczne milczenie.

- Mów za siebie.

- Przecież mówię.

Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czułam obok siebie zapach mężczyzny, kiedy czułam w sobie jego twardość, kiedy słyszałam, jak w ekstazie powtarza moje imię, i czułam się tak dobrze, że chciało mi się płakać i jęczeć. Wiedziałam, że w mgnieniu oka mogę zawładnąć jakimś penisem. Było ich pełno dookoła i chcąc wypożyczyć sobie jednego na chwilę, nie trzeba było nawet bliżej znać właściciela. Wystarczyło tylko puścić oczko i napraszali się sami.

Nie miałam obecnie nikogo na stałe, nie chodziłam zbyt często na randki, co oznaczało, że niewiele się działo w moim życiu erotycznym. Nie musiałam zmagać się z emocjonalną udręką i poczuciem winy, ale też brakowało mi przyjemności i satysfakcji. Nie wiedziałam, czy chwalić sobie taki stan, czy przeklinać. Nie chodzi o to, czy żyje się w związku, czy nie, czy ma się w pogotowiu stałego dostawcę, serwisanta, czy jak zwał, tak zwał. Nocne pragnienia pojawiały się nieustannie. Czasami nawiedzały mnie przez cały dzień. Zamiast leżeć w objęciach kochanka, próbowałam na klęczkach wymodlić sobie spokój, ale z marnym skutkiem. Dlatego też w ciągu ostatnich siedemnastu miesięcy stałam się niesłychanie napalona, a w moich snach pojawiali się mężczyźni bez twarzy którzy wyczyniali z moim obolałym ciałem zboczone rzeczy.

Wtem usłyszałam coś, co przywróciło moje wędrujące myśli do rzeczywistości. Ten odgłos, jaki wydaje ciało uderzające o ciało, wciąż przybierał na sile. Towarzyszyły mu stłumione krzyki. Po korytarzu niosło się żałosne skomlenie.

Bez słowa obróciłam się na pięcie i biegiem ruszyłam w stronę pokoju zabiegowego, który właśnie opuściliśmy. Faith rzuciła wszystko i pobięła za mną.

Kiedy stanęłyśmy w drzwiach, ujrzałyśmy panią Stockwell, która z wybałuszonymi oczami i pianą na ustach, ciężko dysząc, unosiła zeszytniałe ręce, w których niczym katowski topór trzymała protestanckie wydanie Biblii Króla Jakuba. Wyglądała, jakby miała zaraz zgilotynować Słowem Bożym swoje zapłakane dziecko.

Ericka rozciągnięta na podłodze wierzgała nogami i próbowała uciec, zasłaniając twarz ręką.

Faith odepchnęła mnie na bok i podbiegła do pani Stockwell, stając pomiędzy nią a Ericą. Odbiłam się od framugi i skoczyłam, by zasłonić dziewczynę swoim ciałem. Nim Faith zdążyła złapać panią Stockwell za rękę, Biblia przeleciała przez pokój i trafiła mnie w oko, uderzając twardą krawędzią tuż poniżej lewego łuku brwiowego. Byłam bardziej zaskoczona niż obolała.

Odciągnęłam Ericę na bok. Dziewczyna mocno przywarła do mnie.

- Wszystko w porządku, panno Mitchell? - zapytała, dotykając miejsca, gdzie ugodziła mnie Biblia.

- Co?

- Nic pani nie jest? - przyglądała się mojej twarzy. - Jak przyłoży pani trochę lodu, to nie spuchnie. Nikt nie zauważy.

Zaszokowały mnie jej słowa. I ta wiedza.

Pani Stockwell znalazła się na przeciwległym końcu pokoju, obok aparatu do mierzenia ciśnienia. Wypychając dolną wargę i nadymając policzki niczym ropucha, przyglądała sobie fryzurę i poprawiała makijaż. Z Biblią wciśniętą pod pachę cały czas wyzywała swoją córkę od kurew, nierządnic, wywłok i zdzir i cytowała biblijne wersety o cudzołóstwie, przeplatając je wulgaryzmami.

- Pani Stockwell! - krzyknęła Faith.

Zanim jednak zdążyła powiedzieć coś więcej, w drzwiach pojawił się mężczyzna o skórze koloru dojrzałego banana. Był nieco wyższy od Ericki, ale bardzo szeroki. Nie gruby - po prostu szeroki. Miał bujną brodę i przerzedzające się faliste włosy. Był ubrany w ciemne spodnie, miał poluzowany krawat, wyglądał na znużonego i przepracowanego.

- Mamy problem, panie Stockwell - powiedziała Faith.

- A więc jest w ciąży? - mężczyzna się zawahał.

- Bez dwóch zdań - krzyknęła jego żona.

- Pani Stockwell zaatakowała Ericę - wtrąciłam.

- Ja tylko skarciłam swoje dziecko, mogę z nim robić, co mi się do cholery podoba - odparła pani Stockwell, wymachując Biblią. - Ericka jest moim dzieckiem, dałam jej życie...

- Betty. Zamknij się - przerwał jej pan Stockwell.

Drobna kobieta skrzyżowała ręce na piersi i naburmuszyła się. Ericka wciąż kryła się za mną, używając mej niepozornej sylwetki jako tarczy. Służyłam jej za schronienie. Gdy cofnę-

łam się lekko, poczułam na plecach dotyk jej piersi. Sama też byłam wystraszona, ale bardziej rozgniewana. O wiele bardziej.

- Pani Stockwell, rozumiem, jak pani się czuje... - powiedziałam.

- Jest pani mężatką, panno Mitchell? - zapytała.

- Nie, ale...

- Ma pani dzieci, panno Mitchell?

- Nie mam...

- To skąd do jasnej cholery pani wie, jak ja się czuję? Moje dziecko miało pierwszą miesiączkę zaledwie pół roku temu i już jest w ciąży. W czwartym miesiącu. Czy rozumie pani, w jakiej sytuacji mnie to stawia?

- Pani Stockwell - odezwała się Faith.

- To ja będę musiała kupować pampersy, butelki i ubranka, to ja będę musiała zmieniać osrane pieluchy i bawić rozwrzeszczane dziecko. Wszystko będzie na mojej głowie.

- Pani Stockwell - powtórzyła Faith tonem, jakiego nigdy u niej nie słyszałam.

Kiedy kobieta wreszcie się uspokoiła, Faith poruszyła kilka kwestii. Jej wypowiedziane profesjonalnym tonem słowa opanowały sytuację. Przypomniała pani Stockwell, jaka jest jej, a jaka nasza rola, poinformowała ją, jakie zachowanie jest dopuszczalne i co będzie od tej chwili tolerowane, po czym dodała, że jeżeli zajdzie taka potrzeba, wezwie opiekę społeczną i policję. Potem wszyscy momentalnie powrócili do swoich ról, starając się jak najlepiej je odgrywać.

Pan Stockwell wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, zadzwonił nimi, potarł twarz, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł bez pożegnania. Nie odezwał się ani słowem do Ericki, pozostawiając ją na pastwę surowej matki.

Przypomniałam sobie coś, co kiedyś powiedziała moja matka: „Mężczyźni nie płaczą. Oni robią uniki”. Potem pani Stockwell zaklęła i wyszła.

Zapadła cisza, którą mącił jedynie szum klimatyzatora i dobiegający ze szpitalnego radiowęzła jazz. Były to dźwięki, których zrazu nie zarejestrowałam, gdyż byłam do nich przyzwyczajona. Toni Braxton śpiewała melodyjną smutną piosenkę, a Kenny G. akompaniował jej na saksofonie. Przypomniałam sobie o koncercie jazzowym, który miał się odbyć w Hollywood Bowl. Nie wiedzieć czemu, właśnie w takim momencie przyszło mi to do głowy. Chciałam chyba uciec od tego obłędu i znaleźć ukojenie, myśląc o czymś bezpiecznym.

- Co ja powinnam zrobić, panno Mitchell? - Ericka patrzyła na mnie.

- Co? - odpowiedziałam zdezorientowana.

- Chciałam zapytać, co pani zdaniem powinnam zrobić.

- A co chcesz zrobić? - Staralam się, by mój głos brzmiał profesjonalnie, akcentując różnicę wieku między nami.

Dziecinne oczy zwróciły się w stronę Faith, która przybrała mniej oficjalną postawę. Przez jej twarz przebiegały miliony subtelnych emocji i myśli. Wiedziałam, że jedna z nich na pewno dotyczy telefonu do opieki społecznej. W końcu zrobiła minę, która mówiła, że mamy kolejną sytuację patową.

- Ericko, czy twoja matka cię uderzyła? - zapytałam.

- Sama upadłam - odpowiedziała, zanim jeszcze zdążyłam dokończyć pytanie.

- Wygląda, jakbyś sama upadła pięć czy sześć razy. W drzwiach pojawiła się pani Stockwell.

- Ericko - powiedziała. - Nie każ nam czekać.

Faith skinęła na mnie głową. Odeszłam na bok. Poruszając się powoli, odsłoniłam dziewczynę, która stanęła twarzą w twarz ze swoją matką. Ericka bezwolnie ruszyła w stronę tamtego świata. Wyglądała jak pozbawiona osobowości. Pani Stockwell uśmiechała się, jakby właśnie był niedzielny poranek w niebiosach. Uśmiechała się tak promiennie, że wprawiało mnie to w zakłopotanie.

Ericka podeszła do matki, która jedną dłonią chwyciła ją za rękę, a drugą przyglądała jej włosy.

- Ericko, powinnaś zrobić testy na choroby weneryczne, badanie krwi i tak dalej - odezwała się Faith. - Czy mam ci zapisać witaminy i żelazo?

- To nie będzie konieczne - odparła pani Stockwell. Poprawiała ubranie córki, ale zwracała się do Faith. - Czy RU 486 zostało zalegalizowane?

- Nie, pani Stockwell - powiedziała Faith. - Mifepriston nie jest dozwolony. A gdyby nawet został dopuszczony do użytku, można go stosować jedynie w ciągu pierwszych siedmiu tygodni w celu wydalenia embriona.

Znów zapanowała cisza. Oczy Ericki zwilgotniały. Pojawiła się w nich niepewność i lęk. Miała trzynaście lat, ale w tym momencie wyglądała na co najwyżej dziewięć. Nie potrafiłam sobie wyobrazić jej uprawiającej seks. Nie potrafiłam sobie wyobrazić rozwijającego się w niej życia. Takie jednak były fakty i musiałam otrząsnąć się z niedowierzania.

- Macie jakieś lewe dojścia do RU 486? - zapytała pani Stockwell. - Dobrze zapłacę.

- Nie wiem, czy pani słuchała, pani Stockwell, ale Ericka jest już w drugim trymestrze.

Ericka przygryzła dolną wargę. Jej oczy zaokrągliły się i nabiegły łzami, które zaczęły ściekać po twarzy. Nie miała pojęcia, o czym rozmawiamy.

- Radzę, aby pani córka zasięgnęła porady przez podjęciem dalszych kroków - powiedziała Faith.

- Miłego dnia - odparła pani Stockwell. - Zgłoszę się jutro albo parę dni później po skierowanie na zabieg przerwania ciąży. Przynajmniej tyle może pani dla mnie zrobić, prawda?

Faith, zgrzytając zębami, kiwnęła potakująco.

4.

Tyrel

- To cholernie przykre, kiedy zameżna kobieta opuszcza cię dla swojego męża - powiedziała Mye.

- Zastanawiam się, dokąd ten świat zmierza.

- A potem zapanuje pokój na Bliskim Wschodzie.

Zamknąłem się w biurze i, trzymając nogi na szklanym blacie, rozmawiałem przez telefon ze swoją zamieszkałą w Atlancie siostrą. Okna mojego biura w Culver City wychodzą na wschód i widać z nich Pepperdine University oraz cmentarz, na który nikt nigdy nie zwraca uwagi. Mogłem stamtąd dojrzeć nawet położone nieopodal centrum handlowego osiedle, gdzie wynajmowałem segment. Miałem widok na niekończący się ciąg palm, szarą linię horyzontu i drogi zapchane samochodami, które zderzak w zderzak posuwały się na północ do Sepulveda Pass i na południe, w stronę lotniska. Obiecałem sobie, że był to ostatni raz, kiedy wypowiedziałem imię Lisy. Poza kontaktami natury zawodowej, których zresztą nie czekało nas zbyt wiele, gdyż poleciłem już przekazanie swoich spraw finansowych innemu doradcy. Lisa straciła już wszystko w moich oczach i nie zasługiwała, by trwonić na nią słowa.

- Jak się miewa wybuchowy duet? - spytałem.

- Doprowadza mnie do szału. Szkoda, że nie mam bliźniaczek. Chłopcy są okropni. Biją się, ciągną za włosy, wrzucają zabawki do toalety. Kiedy tylko jeden się uspokoi, drugi zaczyna. A gdybym chciała choć na moment zamknąć oczy, zaraz któryś zaczyna się wydierać bez powodu. Wiem, że robią to celowo. Słyszysz ich w tle, jak demolują dom.

- Tak. Powinnaś im zaaplikować trochę ritaliny.

- Arsenik byłby lepszy.

- Też prawda.

- A do tego zobaczyli Leonarda w jakimś głupim programie komediowym i teraz między zabawami biegają po domu i opowiadają jego kawały, zresztą w swoim wydaniu czterolatków. Zaśmiewali się, a wiadomo, że nie rozumieli ani ciut z tego, o czym Leonard opowiadał. „Mamo, mamo, kup nam książkę z dowcipami, żebyśmy mogli opowiedzieć jakiś wujkowi Leonardowi, kiedy do nas zadzwoni”. Ostatnia rzecz, jakiej mam ochotę słuchać, to dowcipy.

- Bliźniaczko.

- No?

- Powiedziałaś *ani ciut*.

- Powiedziałam?

- Powiedziałaś. Z lekko nosowym zaśpiewem.

- Zbyt długo mieszkam na Południu. Staję się jedną z nich. Chłopcy zrobili się tutaj tacy ograniczeni. Wyrażają się prowincjonalnie i nabierają niewolniczej mentalności. Jeszcze trochę, a będziemy zbierać bawełnę. Wilgoć i te cholerne moskity. A co do białych - nawet nie pytaj. Nie kłaniam się nikomu. Nie wiem, gdzie miałam głowę, kiedy przyjechałam tu za Dannym. Oświadczyłam, że dam mu dwa lata na rozkręcenie kancelarii. A jeżeli to nie wypali, wracam do Los Angeles, z nim czy bez niego.

- Mówiłaś, że Los Angeles nie jest dobrym miejscem do wychowywania dzieci.

- Będę musiała się przenieść do Westchester albo coś w tym rodzaju.

- Zbyt mocno kochasz tego człowieka, by go opuścić.

- Miłość ma swoje granice - roześmiała się. - Cholera, tęsknię za plażą, zawsze za nią tęsknię, kiedy jest ładna pogoda. Tęsknię za Beverly Center, za przyjaciółmi ze studiów, za tobą.

- Też za tobą tęsknię.

- Kiedyś wydawało mi się, że małżeństwo i dzieci to coś wspaniałego, ale teraz chcę prowadzić sprawy, a nie zmieniać pieluchy. Nie wiem, jak mama mogła się w tym babrać i nie zwariowała.

Wiedziałem, co Mye ma na myśli. Wystarczyły dwie sekundy milczenia i już wiedziałem. Jesteśmy bliźniętami dwujajowymi, ale pewne cechy mamy identyczne.

- Czy... - zaczęliśmy równocześnie. Potem obydwójce parsknęliśmy śmiechem. Niespokojnym, ale harmonijnym śmiechem.

- No mów, Bliźniaczko - powiedziałem.

- Nie rozmawiałeś z ojcem?

- Nie. Nie zadzwonił do mnie. Odezwiesz się do niego?

- Myślałam, że...

- Myślałaś, że skoro jestem facetem, to czemu nie miałbym z nim pogadać jak mężczyzna z mężczyzną.

- Tak. Ty do niego zadzwoń i porozmawiaj jak mężczyzna ze skurwielem. Wiesz, że go nie cierpię, nie cierpię powietrza, którym oddycha.

- On też o tym wie.

- Mam nadzieję, że pójdzie do piekła ze wszystkimi swoimi dziwkami. Sprawdź, czy żyje, a gdyby czegoś potrzebował, wyślę ci to, a ty wyślesz jemu.

- Jesteś pewna, że nie chcesz z nim porozmawiać osobiście? Moglibyśmy porozmawiać we trójkę.

- Nie lubię niczego robić we trójkę. To dlatego zerwałam z Raheimem.

- Chcesz, żebym mu coś od ciebie przekazał, kiedy zadzwonię?

- Ani słowa. Ale gdyby o mnie pytał, powiedz, że zostałam lesbijką, poślubiłam afrykańską kapłankę i mieszkam w Zimbabwie. I że zgodnie z obyczajem plemiennym zakłamanymi dziadkowie nie mogą oglądać swoich wnuków.

- Czy to dzwoni twoja komórka? - zapytałem, śmiejąc się.

- Ta, to mój mąż.

- Odbierz, a ja wracam do pracy.

Po kilku sekundach namysłu sięgnąłem po notes elektroniczny i wstukałem hasło „skurwiel”. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko mojego ojca i jego numer telefonu. Podniosłem słuchawkę i wprowadziłem numer kierunkowy do Nashville, ale po chwili zmieniłem zdanie. Może innym razem.

Po kilku minutach znalazłem się na konferencji poświęconej naszym najnowszym planom podboju świata komputerów, opanowania internetu i objęcia prowadzenia w erze informacji. Wymieniałem z ludźmi uściski dłoni i nie widziałem ich twarzy. Nie słuchałem, co mówią o tym, jak zawładnąć rynkiem komputerów osobistych na przestrzeni kilku przyszłych pokoleń. Zająłem miejsce przy okrągłym stole i zamieniłem się w jednego z rycerzy, ale opowieści o bitwach toczonych z Microsoftem i Netscape'em nie miały dla mnie żadnego znaczenia. Nie powiedziano tam nic, co mogłoby przyciągnąć moją uwagę.

Dwie godziny później siedziałem znowu w biurze z poluzowanym krawatem na szyi i popijając wodę mineralną, wertowałem dokumenty. Od czasu do czasu rzucałem lotką w tęczową tarczę, na której środku przyklejone było zdjęcie Bilia Gatesa.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do osiemnastej, kiedy to wszyscy wychodzili do domów, brakowało kilku minut. Nie lubiłem, kiedy ludzie zostawali w pracy do tak późnej pory. Rozłożyłem papiery na biurku i podjechałem z krzesłem do komputera.

- Proszę - powiedziałem pogodnie mimo ponurego nastroju. Przede mną stał brat ubrany w granatowy garnitur i buty marki Steeple Gate. Miał koło pięćdziesiątki, nosił cienki wąsik i był gruby niczym pień drzewa. Na przelewającym się ponad paskiem od spodni brzuchu spoczywał wzorzysty krawat w odcieniach głębokiej czerwieni.

- Tyrel Williams? - zapytał.

- Tak - wstałem, wyciągając do niego rękę.

- Joshua Cooper.

Był to człowiek, którego unikałem od wielu tygodni.

- Miło pana widzieć - powiedziałem, ściskając mocno jego dłoń i obdarzając go promiennym uśmiechem. - Słyszałem o panu wiele dobrego. I czytałem pochlebne opinie w firmowym biuletynie. Przyjechał pan z San Francisco, by omówić strategię?

- Właściwie nie.

Zajął miejsce na jednym z dwóch krzeseł stojących naprzeciwko mojego biurka. Przesunąłem kalendarz, by móc wiedzieć jego twarz.

- Jesteśmy zaznajomieni z pańskimi dokonaniem - powiedział. - Wiemy, że pracuje pan tu od dwóch lat, że ukończył pan Uniwersytet Stanowy, a potem Pepperdine.

- Zgadza się. A pan studiował na Cornell University i w Nowym Jorku, pracuje pan w firmie od dwudziestu pięciu lat, z czego dwa lata w Paryżu.

- Bliżej trzydziestu, a w Paryżu spędziłem cztery. Wygląda na to, że jest pan dobrze zorientowany.

- Podobnie jak pan.

- Tyle ostatnio szumu wokół pana, że mam uczucie, jakbyśmy znali się od paru tygodni. Chcemy, by przeniósł się pan do San Francisco.

To właśnie z powodu owej niepożądaney propozycji unikałem jego e-maili, faksów i ciągłych telefonów. Mówiłem już jego pracownikom, że nie jestem zainteresowany. Powiedziałem im „nie”, ale czasem trudno zrozumieć takie proste słowo.

- Nasza rozmowa jest raczej nie na miejscu - powiedziałem. - Może przed podjęciem dalszych kroków powinien pan porozumieć się z moim zwierzchnikiem?

- Uwzględniliśmy już wszystkie stopnie w hierarchii. Może się pan czuć swobodnie.

Potem zaczął mówić o korzyściach, podwyżce podstawy wynagrodzenia, wolnej od podatku premii i moim nowym stanowisku. Czekają mnie około trzydziestu nowych dodatków.

- Przypuszczamy teraz nowy szturm na Microsoft, a poza tym mam tu pewne zobowiązania - powiedziałem.

- Może pan ją zabrać ze sobą - uśmiechnął się.

- To nie wchodzi w rachubę.

- Ma pan czas - zachichotał. - Proszę niczego nie przekreślać. Wszystko gruntownie przemyśleć. W każdym razie bez pośpiechu. Będziemy w kontakcie. Powie mi pan, jak rozwija się kariera. A ja zawsze będę miał dla pana miejsce.

- Wezmę to pod uwagę.

- Powiem to jak czarny czarnemu - zniżył głos i mówił z przejęciem. - Zjeździłem cały ten kraj i jestem dumny, że poznałem kogoś takiego jak pan. Jest pan w tej firmie wysoko ceniiony.

Tych kilka słów miało w sobie moc. Było to coś, co znaczyło dla mnie naprawdę wiele. Wysunąłem środkową szufladę biurka i rzuciłem wizytówkę mojego gościa na stos pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu podobnych.

Joshua wyszedł. Kiedy ucichł odgłos jego kroków, usłyszałem hałas dobiegający z korytarza. Brzmiało to tak, jakby wszyscy zbierali się do wyjścia w tym samym czasie. Większość kobiet chodziła do hotelu Hilton na prowadzony przez Evelyn kurs aerobiku. Między innymi w taki sposób przejawiała się troska firmy o dobre samopoczucie i kondycję pracowników. Kiedy wyciągałem sportową torbę spod biurka, znów rozległo się pukanie. Seria szybkich, figlarnych uderzeń. Nim zdążyłem się odezwać, w drzwiach stanął Leonard. Był ubrany w dżinsową koszulę, znoszone lewisy i czapkę bejsbolową. Przez ramię miał przewieszoną czerwoną torbę sportową.

Gdziekolwiek się pokazał, wszyscy wpadali w amok. Zostawiając za sobą roześmiane towarzystwo na korytarzu, Leonard westchnął, wszedł do mego gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Doskonale znałem jego prawdziwą naturę, którą skrywał pod maską trefnisia. Również i on wiedział, co kryje się pod uśmiechem, który właśnie miałem na twarzy.

- Nie wyglądasz, jakbyś był w nastroju do uprawiania sportu - powiedziałem.

- No, niespecjalnie.

- Ale musimy.

- Jasne. Daj mi minutę.

Leonard rzucił swoją torbę obok biurka i podszedł do okna. Zrobił kilka tanecznych kroków i, przyglądając wężom, wyjrzał przez okno, po czym znieruchomiał pogrążony w myślach. Przez dłuższą chwilę nie drgnęła mu nawet powieka. Potem ożył, przyglądził koszulę i poprawił ubranie. Rozsiadł się na krześle i zaczął wybijać stopą jakiś niesłyszalny rytm.

Odsunąłem na bok swoją torbę i z górnej szuflady wyjąłem pudełko glazurowanych drażetek. Leonard uśmiechnął się, kiedy podsunąłem mu cukierki.

- O kurwa. Pierwszy gatunek? - powiedział.

- Dokładnie. Nie kupuję gorszych.

Nasypał sobie pełną garść i położył nogi na moim biurku. Zrobiłem to samo.

- Coś nie tak? - zapytałem, widząc niepokój na jego twarzy.

- Boję się - odparł, kiwając głową.

- Czego?

- Muszę zdecydować, czy przestać traktować komedię z doskoku i wejść w to na całego, czy nie. Mógłbym tak zrobić, ale wiesz, jaki to niepewny grunt. Kluby zamawiają występy, a potem je odwołują, projekcje filmów są często przekładane, telewizyjny show zawsze mogą zdjąć z anteny, a menedżerowie wypruwają ze mnie flaki. Nigdy nie mam gwarancji, że dostanę w piątek wypłatę.

- Wiesz, że możesz na mnie liczyć. Mógłbym wziąć pożyczkę z funduszu rezerwowego, żeby wesprzeć cię na jakiś czas.

- Człowieku, nie narażaj swoich interesów. Jeszcze nie tonę.

- Powiedz tylko słowo, a wykładam gotówkę - powiedziałem. Leonard machnął ręką i wziął głębszy oddech.

- Zresztą tu jest Hollywood.

- Co masz na myśli?

- Wystarczy, że spodobaś się jednej osobie i jesteś ustawiony. Ale z drugiej strony wystarczy, że jednemu podpadniesz i po tobie, zanim jeszcze zdążysz zaistnieć. A co, gdybym wystąpił w filmie i coś bym spieprzył? To znaczy, produkcja na wielki ekran i klapa. Albo co gorsza, gdyby wycieli mnie w montażu.

- Kevina Costnera też wycięli z jego pierwszego filmu⁴ i popatrz na niego. Wielki gwiazdor, który teraz odcina kupony.

- Chociaż pokazał się nawet z Whitney Houston, nie o to idzie w tym biznesie. Sam wiesz, że pozwalają nam tylko na ten jeden raz. Szczują nas jednych przeciw drugim.

- Twój scenariusz jest inny. Ty masz talent.

- Skąd wiesz?

- Czy zawsze musisz kogoś wyruchać albo samemu nadstawić dupy, żeby zaprosili cię na casting i dali jakąś rolę?

- Nie.

- To nie mam więcej pytań.

- Dzięki, bracie - powiedział, uśmiechając się jak dziecko w Disneylandzie.

⁴ Mowa o filmie *The Big Chill* (*Wielki chłód*, reż. Lawrence Kasdan) z 1983 roku, gdzie Costner zagrał rolę samobójcy, którego śmierć stanowi osnowę fabuły. Wystąpił w kilku scenach planowanych jako retrospekcje, jednak zostały one pominięte w trakcie montażu. Jedyny ślad Costnera w tym filmie to ujęcie okaleczonych nadgarstków w początkowej scenie - przyp. tłum.

Poprawiłem krawat, wsunąłem stopy do butów i podniosłem z podłogi sportową torbę. Ruszyliśmy w stronę drzwi, z głośnym mlaskaniem jedząc cukierki.

Gdyby to coś pomogło, byłbym skłonny upłynić swój kapitał, by pomóc mu osiągnąć, co chce. Leonard zrobiłby dla mnie to samo. Spędziliśmy wiele letnich wieczorów, siedząc na twardych krzesłach w barze 5th Street Dick's przy Degnati Boulevard, popijając kenijską kawę, grając w szachy i rozmawiając o przyszłości. Snuliśmy wizje rześkich wieczorów, które pozwolą nam wyluzować się po upalnym dniu i patrzeć, jak nasze żony robią to, co do kobiet należy. A kiedy już zaczynaliśmy o kobietach naszego życia, od razu widzieliśmy gromadki dokazujących dzieci. Uśmiechaliśmy się, patrząc, jak bawią się w to samo, co my kiedyś, jak razem dorastają, zżywają się ze sobą i stają się najlepszymi przyjaciółmi na resztę życia.

Moglibyśmy zrobić dla siebie wiele, ale nawet najszczęsza przyjaźń ma swoje granice. Rozmyślałem o tym od czasu do czasu. Niezależnie od siły naszej przyjaźni, niezależnie od braterskiej miłości, jaką się darzyliśmy, tylko jeden z nas mógł nieść trumnę na pogrzebie drugiego.

5.

Debra

- Zwolnij, zanim mnie zabijesz - powiedziałam.

Zbliżała się północ, a ja byłam w podłym nastroju. Shelby zachowywała się na drodze, jakby pilotowała samolot. Mówienie jej, by zwolniła, prowadziło do wręcz odwrotnego efektu. Mrugała długimi światłami, zmuszając ludzi do ustępowania jej z drogi. Jechaliśmy z odsuniętym dachem, z radia płynął jazz, a dżinsowe kurtki chroniły nas przed chłodnymi powiewami o posmaku morskiej bryzy. Nad nami świecił księżyc w pełni, a niebo było upstrzone rojem połyskujących gwiazd. Właśnie opuściliśmy Playboy Jazz Festival, gdzie tak spaliło nas słońce, że kiedy zdjęłam okulary, miałam wokół oczu białe obwódki jak szop.

- Chcę jechać do Roscoe's w Hollywood - powiedziałam.

- Koło domu jest Denny's. Nie masz wyboru.

- Ale z ciebie suka.

- Idę o zakład, że następnym razem ty będziesz prowadzić, spasiona dupo.

- Do przyszłego tygodnia sama zdążysz się spaść. Zaraz się okaże, kto ma większy apetyt.

Przejeżdżając przez Culver City, zatrzymałyśmy się na czerwonym świetle, dokładnie pod estakadą, którą droga stanowa czterysta pięć przebiega nad Jefferson Street. Spojrzałam na betonowe słupy z nadzieją, że właśnie w tym momencie nie przewróci ich żadne trzęsienie ziemi. Co gorsza, poczułam się jak schwytna w potrzask, gdyż ze stojącego przed nami samochodu dobiegała głośna muzyka. Jakiś prostacki, hałaśliwy dupek. Jego muzyka tak szarpała mi nerwy, że od razu zapomniałam, co mnie wkurzyło.

- Oto jedzie kolejny głupek, któremu się wydaje, że wszyscy chcą słuchać tego, co on - krzyknęłam.

- Do cholery, przestań narzekać - Shelby uderzyła dłońmi w kierownicę.

- Moje życie toczy się różnymi torami, ale zawsze we właściwym kierunku. - Potrząsnęłam głową. - Zablokowali moją głupią kartę Unocal.

Przecież zawsze płacę rachunki na czas. Zadzwonię do biura obsługi, kiedy tylko wrócę do domu. Ale teraz jestem głodna.

Na sąsiednim pasie jacyś starsi biali ludzie siedzieli w luksusowym infiniti, którego okna zamknięte były szczelniej, niż Ericka powinna była trzymać swoje dziecięce nóżki. Z ich min mogłam wywnioskować, że również nie są zachwyceni tym ogłupiającym hałasem, jaki serwował nam tamten brat. Jego publicznie demonstrowany brak obycia sprawił, że poczułam się zawstydzona.

Shelby nacisnęła klakson, by przyciągnąć ich uwagę.

- My go nie znamy - krzyknęła, kiedy spojrzeli w naszą stronę.

Tamci skulili się w sobie i przejechali autem kawałek dalej. Światła zmieniły się i Shelby musiała zatrąbić, żeby tamten idiota przejechał przez skrzyżowanie. Jego celica skręciła na ten sam parking co my. Facet zatoczył krąg i włączył cholerne reflektory, świecąc mi prosto w twarz. Zaparkował dwa sektory dalej, w stronę stacji Unocal i delikatesów Lucky's. Cholerny Unocal. Bez żadnego powodu zablokowali moją kartę.

Silnik hałaśliwego samochodu zgasł, ale jego światła pozostały włączone. Zerknęłam w jego stronę. Gapił się na mnie. Zadrżałam i odwróciłam głowę. Czy to środek nocy, czy biały dzień, na ulicach Los Angeles roiło się od różnych szaleńców.

Podniosłam z podłogi blokadę na kierownicę i wyciągnęłam z niej metalowy pręt.

- Co robisz? - spytała Shelby.

- To na wypadek, gdyby tamten brat zachowywał się niegrzecznie. Użyjemy tego jako pałek. Rób tak, jakbyś grała w softball i musiała trafić żywą piłkę.

- Oddaj mi to.

Zmontowała blokadę i założyła ją na kierownicę. Z samochodu brata pohukiwał Snoop Doggy Dogg. Gangsterski rap nie zwiastował niczego dobrego.

- Shelby, odpuśćmy sobie - powiedziałam.

- Coś ty. - Shelby poprawiła na głowie granatową bejsbolówkę i burknęła: - Skoro tak trulaś dupę, że jesteś głodna, teraz wysiądziesz i pójdziesz jeść.

- Nie jestem głodna.

- Jesteś.

- Nie, już nie jestem.

- Owszem, jesteś.

W momencie kiedy otwierałyśmy drzwi, tamten wysiadł ze swojego samochodu. Jakby się z nami zgrał. Rozległ się chrzęst, który jeszcze bardziej mnie wystraszył. Facet nadepnął na puste opakowanie po chipsach. Czułam, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Moje oczy po-

wędrowały w jego stronę, a potem szybko zwróciły się ku Shelby. Nie chciałam wykonywać żadnych pospiesznych ruchów, więc udając, że szukam czegoś w torebce, przeszłam na drugą stronę samochodu. Wzywanie pomocy na dwa głosy zawsze brzmi donośniej.

Wtedy w ciemności rozległ się jego stonowany głos o miłej barwie. Robił dobre wrażenie. Ale jak już mówiłam, to nic nie znaczy. Ted Bundy też był czarujący, zanim trafił do celi śmierci.

- Jak wam mija wieczór, siostry? - odezwał się.

Stanął w świetle. Ciemna skóra i oczy Azjaty. Szerokie ramiona, choć takie wrażenie mogła sprawiać krótka skórzana kurtka. Wypielegnowane włosy miał obcięte krótko po bokach, a dłuższe na czubku głowy. Nosił baczki na całą długość uszu i cienki wąsik nad starannie przystrzyżoną bródką. W obu uszach miał okrągłe kolczyki. Nigdy nie podobało mi się to u mężczyzn.

Nasze spojrzenia spotkały się na moment. Moment, który ciągnął się jak wieczność.

- Och, mowę wam odjęło? - powiedział beztrąsko. - Oto co dolega czarnym kobietom. Brat mówi cześć, a siostry idą sobie dalej.

- O co chodzi? - zapytała Shelby. Odchrząknęłam i wycedziłam powoli:

- Cześć.

- Cześć - odpowiedział.

Pamiętałam tylko, żeby wciągnąć brzuch, i miałam nadzieję, że nie przekrzywił mi się stanik. Modliłam się, aby wszystko, włącznie z przykrym zapachem przypalonej słońcem skóry, ukryło się pod dzinsową kurtką. Nie otwierając ust, przejechałam językiem po zębach, które okrywała warstewka śluzu. Marzyłam o szczoteczce i nitce dentystycznej.

- Dobrze się czujesz? - spytał, uśmiechając się do mnie.

- Tak, wszystko w porządku - odparłam. - Zaskoczyłeś mnie.

- Obie macie koszulki z nowego festiwalu jazzowego. - Jego uśmiech i spojrzenie przylgnęły do mnie. Oderwałam od niego wzrok i przygryzłam dolną wargę. Żałowałam, że zamiast białych obwódek wokół oczu nie mam makijażu. Szłyśmy z Shelby ramię w ramię w stronę wejścia, a on podążał za nami. Czułam jego aurę. Prezentowałam się przy nim dość kiepsko, roztaczając woń wymieszanych z potem i zwietrzałych perfum. Ścisnęło mnie w gardle. Poprawiłam kurtkę, żeby zająć czymś ręce. Brat przyspieszył kroku, był już bardzo blisko. Ścisnęłam mocniej torebkę i otwierałam usta do krzyku, ale on tylko nas okrążył, by otworzyć przed nami drzwi.

Stanęliśmy wszyscy przy barze i czekaliśmy, aż przyjdzie kelnerka i znajdzie dla nas jakieś miejsca. W Denny's było tak tłoczno, jakby właśnie zatrzymał się tu autobus pełen braci, którzy przyjechali poflirtować z panienkami. Kiedy wchodziłyśmy, spojrzenia wielu z nich powędrowały w naszą stronę. Widząc ich zainteresowanie, stałam się jeszcze bardziej czujna. Musiałam przyznać, że w lepszym oświetleniu nasz nowy towarzysz prezentował się poważniej. Chyba teraz poczułabym się bezpieczniej na ciemnym parkingu albo w tłumie.

- Jak w tym roku wypadł koncert? - zapytał brat.

- Co mówiłeś? Powtórzył.

- Było wspaniale - powiedziałam. - Naprawdę wspaniale. Cudownie. Everette Harp i Wayne Shorter byli powalający. Zespół Billa Cosby'ego wypadł bombowo. A wszystkich przyćmiła Gladys Knight.

- Tak? Teraz naprawdę żałuję, że mnie tam nie było. Chciałem zobaczyć, jak spiszą się Stanley Clarke i Hugh Masekela. Ale musiałem być w pracy.

- Zostaje ci jeszcze Pasadena i Long Beach.

Wyrecytował mi całą listę. Znał kolejność imprez JVC, wiedział o Creole Festival w Lancaster. Był zorientowany lepiej ode mnie.

- Niewielu młodych braci lubi jazz - zauważyłam.

- Nie jestem taki młody. Ale to zależy od tego, ile ty masz lat.

- No dobra. Ile masz lat, jeśli wolno zapytać?

- Dwadzieścia dziewięć. A ty?

- Nie wypada pytać kobiety o jej wiek. Pierwsze zbiecie.

- Nie wiedziałem, że należę do przeciwnej drużyny. To ile masz lat?

- Dwadzieścia osiem - uśmiechnęłam się lekko. - Drugie zbiecie.

- Muszę wam przerwać - wtrąciła się Shelby.

Roześmialiśmy się. Mój śmiech był nerwowy i nie trwał długo. Shelby stała za nami i uśmiechając się debilnie, bez słowa wskazała na damską ubikację. Czekala, aż do niej dołączę. Była to dla mnie szansa, by się wyrwać. Iść do łazienki z przyjaciółką, zostać tam przez chwilę, a potem wrócić na salę i zająć jakieś miejsce, byle z dala od niego. A może nawet od razu się zmyć.

Nie ruszyłam się z miejsca. Shelby uniosła brew ze zdziwienia. Nie miałam zamiaru przerywać rozpoczętej przed chwilą rozmowy z nowym znajomym. Nie wiedziałam, czemu tak robię, ale to robiłam. Chyba pod wpływem jego oczu, a może również tego chłopięcego uśmie-

chu. Zachowywał się uprzejmie. Nie był nachalny, dotrzymując nam towarzystwa. Raczej delikatny. Delikatność nie zawsze była odpowiednia, ale on potrafił mnie rozśmieszyć. Miał dobre maniery i podrywał mnie. Robił to zdecydowanie, ale nie agresywnie. Wiedziałam, że mogę się z nim pożegnać bez żadnego problemu. Że mogę nawet dojść do samochodu, nie słysząc za plecami wyzwisk. Nie byłam tylko pewna, czy odwzajemniam jego zaloty i też z nim flirtuję, czy nie.

Może po prostu się bawiłam, próbując sprawdzić, czy potrafię go onieśmielić tak, jak robiłam to z wieloma innymi. Przeważnie, kiedy opowiadałam facetem, czym się zajmuję, i mówiłam, że chciałabym ukończyć studia medyczne, oni natychmiast próbowali skierować rozmowę na inne tory. Odślaniali swoją próżność. Bracia, którym na rozumie nie zbywało i którzy najzwyczajniej uganiali się za dupami.

- Jestem Debra - powiedziałam.

- A ja Leonard DuBois.

Kiedy Shelby wróciła z ubikacji, zajęliśmy już miejsce w boksie i siedząc naprzeciwko siebie, rozmawialiśmy o koncertach sezonu. Leonard był czarujący. Shelby trzymała w ręku numer „Timesa” i była pogrążona w lekturze. Być może chciała w ten sposób uniknąć kontaktu wzrokowego. Wyprostowana, wypinając piersi, z każdym ruchem emanowała potęgą kobiecości. Zauważyłam facetów, którzy odwracali wzrok od kobiet, z którymi właśnie rozmawiali, i uśmiechając się wymownie, spoglądali na Shelby od pasa w dół. Kiedy unosili oczy, by przekonać się, że cała reszta jest równie olśniewająca, ich rozanielone spojrzenia mówiły więcej, niż byliby w stanie wyrazić słowami.

Leonard zdjął skórzaną kurtkę i poszedł umyć ręce. Nieomal spadłam z krzesła, patrząc na jego niesamowite ciało. Byłam zaskoczona. Takie bezpośrednie spojrzenia nie licowały z moim subtelnym charakterem. Zapach jego wody kolońskiej Wings rozpałał moją wyobraźnię.

Shelby podała mi serwetkę.

- Na co mi to? - zapytałam.

- Otrzyj usta, zanim cała się zaślinisz.

- Nie gapię się.

- A Popeye nie jest marynarzem.

- Przymknij się i nie zasłaniaj mi widoku. Niezły kąsek.

- Bez znaczenia. Tacy zawsze się obnoszą w dzień wypłaty.

- Zazdrościsz mi, bo jest miły i taktowny.

- Daj mu pięć minut, a pokaże ci prawdziwą twarz. Ostatnią rzeczą, na jaką powinnaś sobie teraz pozwolić, jest to głupawe spojrzenie.

- Jakie spojrzenie?

- Te cielece oczy, dzięki którym wyglądasz, jakbyś bujała w obłokach - ziewnęła. - Zbierajmy się, zanim tu wróci.

- Zostajemy.

- Jeżeli zostajemy, ty płacisz.

- Zapłacę.

Kiedy Leonard wrócił, Shelby otarła usta serwetką i powiedziała:

- No dobra, bracie, skoro już wzbudziłeś nasze zainteresowanie, zdradź nam, gdzie pracujesz, skoro nie mogłeś wyrwać się w niedzielę na festiwal.

- Pracuję na pół etatu dla maleńkiej firmy komputerowej. Niedaleko Watts Tower. Jeżeli nie będziesz mrugać, przejeżdżając drogą numer sto trzy, to może jej nie przegapisz.

- I co tam robisz?

- Instalacje, usprawnienia, proste operacje w bazach danych. Co sobotę uczę smarkaczy obycia z komputerem.

- Sobota była wczoraj. A co robiłeś potem?

- Mam taki mały monolog kabaretowy. Występowałem dziś wieczorem na Sunset Boulevard.

Shelby posłała mi spojrzenie, które mówiło: „Błagam, tylko nie następny komediant”.

Po części czułam to samo. Natychmiast wróciło wspomnienie rozjuszony kelnerki, która odciąga mnie na stronę, mówiąc, że sypia z facetem, który właśnie występuje na scenie. Facetem, w którym byłam zakochana i któremu pożyczyłam parę stówek na remont samochodu, nie słysząc nawet słowa podziękowania.

Ton mojego głosu ostygł, a niepewny uśmiech zniknął. Rozsądek podpowiadał mi, że ten człowiek powinien iść w diabły od naszego stolika. Ale chyba nigdy nie słuchałam głosu rozsądku.

- Nic dziwnego, że jesteś taki zabawny - powiedziałam.

- On wcale nie jest taki zabawny - zauważyła Shelby. - To ty się zaśmiewasz z każdej głupoty, którą powie. Jesteś niedzielnym komikiem czy się z tego utrzymujesz?

- Od czasu do czasu wpadnie mi jakiś grosz - wzruszył ramionami.

- Każdemu bratu w Los Angeles wydaje się, że jest śmieszny - powiedziała Shelby. - Oglądam *Def Comedy Jam* i *Comic View*, ale nigdy cię tam nie widziałam.

- Występowałem w *Evening at the Improv*. Kiedy zaczynałem, na antenę MTV wrócił właśnie półgodzinny program komediowy. *Caroline's Comedy Show*.

- Przykro mi, bracie - pokręciła głową Shelby. - Kawały dla białasów się nie liczą. Oni śmieją się z byle czego.

Spojrzałam na Shelby, po czym włączyłam się do rozmowy.

- Ona ma rację. Jesteś komikiem dla białych czy naprawdę komicznym komikiem? - zapytałam.

- Daj mi swój numer - Leonard puścił do mnie oko. - Zaproszę was na występ, a wtedy ty i panna przemądrzała wyrażicie swoje opinie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czułam się osaczona przez to, co było nie do uniknięcia.

Shelby przybiła mi piątkę i parsknęła śmiechem.

- Cholera, ale to było wytworne! Widziałas, jak próbował wyciągnąć od ciebie ten numer? Nasz brat nieźle sobie poczyną. Poznaj Debrę

Mitchell. Jest samotna. Nie była na porządnej randce od czasu, kiedy narodził się nam zbawiciel. Ale kiedy umówi się z tobą, pójdę z nią jako przyzwoitka, na wypadek, gdybyś okazał się jednym z tych napalonych psycholi.

- Będzie fajnie, jeśli ty i twój facet nam potowarzyszycie - powiedział Leonard.

- Nie mam faceta - odparła Shelby. - Nie chcę faceta. Nie potrzebuję.

- Ale lubisz mężczyzn, prawda? - spytał.

- Mężczyźni są przykrą koniecznością.

- Przykrą koniecznością? - powtórzył.

- Tańszą od baterii.

- Powiedz Leonardowi to, co zawsze mówisz o mężczyznach - wtrąciłam.

- Mężczyźni potrafią tylko trzy rzeczy. Zapłodnić, zarazić i zostawić cię dla innej kobiety - powiedziała Shelby.

- Ojej - skulił się Leonard. - Widzę, że musisz się wyładować. Wystawiasz porządnemu facetowi złą opinię, zanim zdążysz poznać jego zamiary. To, co złowisz, zależy od tego, czego użyjesz na przynętę.

- Shelby robi się upierdliwa, kiedy jest śpiąca - powiedziałam.

- Mów lepiej za siebie. Czy wyraziłam się dostatecznie uprzejmie? Odgrywasz taką słodko pierdzącą tylko ze względu na niego.

Leonard zanosił się od śmiechu.

- Shelby - powiedziałam - czy byłabyś tak miła i zaczekała w samochodzie.

- Taa... - postukała palcem w zegarek. - Ale się streszczaj.

- Pięć minut.

Shelby pomachała mi ręką, jakby chciała wystawić środkowy palec. Miała opuchnięte i przekrwione oczy. Otworzyła gazetę na dziale ogłoszeń drobnych i zaczęła studiować rubrykę z mieszkaniami do wynajęcia. Potem rozłożyła wkładkę z ofertami handlowymi i coś musiało popsuć jej nastrój, bo wymamrotała kilka przekleństw i zrobiła najsroższą z min.

- Coś nie tak? - zapytałam.

- Mój cholerny materac jest na wyprzedaży. Trzydzieści procent rabatu. Ile to jest trzydzieści procent z pięciuset?

- Zaraz wezmę kalkulator - powiedziałam.

- Sto pięćdziesiąt - odezwał się Leonard, zanim zdążyłam otworzyć torebkę.

Shelby sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała eksplodować.

- Mogłam kupić nowy zestaw w Macy's - krzyknęła.

- Mogłaś zainwestować w fundusz emerytalny - powiedział Leonard. Shelby zerwała się z miejsca i ruszyła niczym burza w stronę automatu telefonicznego.

- Wygląda na wkurzoną - zauważył Leonard.

- Bo jest. Jest uczuciowa i spontaniczna.

- To niebezpieczna kombinacja.

- Racja. Zapytaj każdego, kto umówił się z nią więcej niż raz.

Kiedy skończyliśmy jeść, Leonard zaproponował, że zapłaci za nas rachunek. Nie zgodziłam się. Być może spodziewał się tego, że będę chciała, by to zrobił, że będę typową oportunistką i zgodzę się bez wahania. Przyjemna rozmowa z nim była korzyścią samą w sobie, ale nie znałam go i wolałam zapłacić za siebie. Nie należę do tych, które lubią żerować na twarzy tylko dlatego, że jest skłonny fundować. A do tego, gdyby Leonard stawiał, nie byłabym do końca przekonana, że powinien zapłacić również za Shelby. Dał mi tyle, ile kosztowała szarlotka i ziołowa herbata, którą zamówił, a ja wręczyłam kelnerce moją kartę kredytową.

Wtedy nastąpiła kolejna zawstydzająca sytuacja w tym dniu.

Moja karta Visa została odrzucona, podobnie jak wcześniej Unocal. Leonard siedział obok, kiedy poirytowana kelnerka oddała mi kartę, ale Shelby jeszcze nie wróciła. Całą gotówkę wydałam na festiwalowe koszulki, a Visa była jedyną kartą, jaka mi została.

- Chyba nie będę musiała dzisiaj zmywać tu naczyń - próbowałam rozładować sytuację żartem.

- Biorę to na siebie - Leonard przeciągnął rachunek na swoją stronę.

- Będę ci zobowiązana.

- Żaden problem. Jak dla mnie nie musisz w zamian taplać się w mydlinach.

Parsknęłam nerwowym śmiechem.

- To krepujące.

- Daj spokój. Mnie też zdarzyło się to raz czy dwa.

- Przecież wysłałam im potwierdzenie wpłaty tydzień temu czy jakoś tak.

- Może jeszcze się nie zaksięgowало.

Leonard bez wątpienia mógł sobie pomyśleć, że zrobiłam to celowo albo że jestem siostrą, która nie potrafi ogarnąć swoich finansów. Wyglądałoby to na poważną wadę. Oczywiście, gdybym była nim zainteresowana. Ale nie byłam, więc nie miało to znaczenia. Chodziło wyłącznie o zasady. O moje mniemanie o sobie.

- Kurwa. Przepraszam za łacinę - powiedziałam.

- Sam używam łaciny, więc nie ma sprawy. Co się dzieje?

- Mój kuzyn Bobby dał mi czek i... nieważne.

Parę minut później moje zawstydzenie znikło. Śmiejąc się, szliśmy przez parking. Stałam obok samochodu Leonarda, a Shelby zajęła miejsce pasażera w swoim nissanie. Odchyliła do tyłu oparcie fotela i wierząc się, zapadała co chwilę w drzemkę.

- Wspomniałeś kilka razy o swoim przyjacielu Tyrelu - powiedziałam.

- Jest moim najserdeczniejszym przyjacielem. To coś więcej niż brat.

Zapytałam go, czy chodzi do kościoła. Zrobiłam to, ponieważ miał na szyi złoty krzyżyk. Powiedział, że chodzi do Faithful Central, głównie na czytania Biblii. Odpowiedziałam, że ja kilka razy w miesiącu chodzę do FAME.⁵

- Mogłabyś pójść ze mną do kościoła w przyszłą niedzielę - powiedział.

- Zapraszasz mnie na randkę w kościele?

- No.

- Hmm.

- Co?

- Sama nie wiem, wielu braci stroni od kościoła. Wystarczy powiedzieć jakieś słowo z Biblii, a już są przy drzwiach.

- Siostry tak samo. Zbierają się do biegu jak Flo Jo.⁶

⁵ First African Methodist Episcopal Church - Pierwszy Afrykański Episkopalny Kościół Metodystyczny - przyp. tłum.

⁶ Florence Griffith-Joyner - amerykańska lekkoatletka, trzykrotna mistrzyni świata w biegu na 100 i 200 m, rekordzistka świata w biegu na 100 m (10,49 s) - przyp. tłum.

- To prawda. Cóż, skoro już mowa o bieganiu, należymy do klubu i biegamy rano co niedzielę.

- Na jakim dystansie?

- Od dziesięciu do piętnastu kilometrów. Czasami urządzamy sobie półmaraton. Zależy.

- Imponujące - uśmiechnął się.

- Więc jeśli mamy wybrać się razem do kościoła, musi to być późne nabożeństwo. Muszę najpierw zażyć trochę ruchu, a potem zapanować nad nogami.

- Nie ma problemu. On zrozumie.

Staliśmy, patrząc na siebie. Wtem poczułam mrowienie, przenikające mnie od stóp do głów. Jeden z tych dreszczy, które ukryłam pod uśmiechem.

- No dobra - westchnęłam, po czym zapytałam zdecydowanie. - Co jest grane?

- O co ci chodzi?

- Jesteś żonaty, właśnie się rozwodzisz, mieszkasz ze swoją żoną, ale życie osobno, ukrywasz się przed policją, masz nieślubne dzieci z siedmioma różnymi kobietami w ośmiu różnych miastach? O to mi chodzi. Faceci zawsze mają coś na sumieniu.

Roześmiał się.

- Co cię tak bawi?

- Ty. To, co powiedziałaś.

- Mówiłam poważnie.

- I dlatego to jest zabawne.

- Więc jak?

- Samotny jak w dniu, w którym przyszedłem na świat. A co u ciebie?

- Niewiele.

- Niewiele to nie to samo co nic.

- Niewiele - westchnęłam ciężko. - W ogóle nic.

- Dlaczego się zawahałaś?

- Ciężko mi się do tego przyznać, bo wielu facetów uważa, że skoro wyglądasz tak, a nie inaczej, to na twoim progu wyje stado wilków.

Na Jefferson Street pojawiły się policyjne radiowozy, które z wyciem syren pognały, błyskając światłami, w stronę Westchester. Typowa noc w Los Angeles.

- Zadzwoń do mnie, jak dotrzesz do domu - powiedziałam. - Daj znać, że wróciłeś.

- Jeśli dojedziesz pierwsza, zrób to samo.

Przez moment staliśmy na wprost siebie w milczeniu.

- Cieszę się, że nie byłem na tym koncercie.

- Dlaczego?

- Bo wtedy nie spotkałbym ciebie.

Nachylił się do mnie, a moje usta rozchyliły się niczym pąk róży.

Leonard odprowadził mnie do samochodu, otworzył przede mną drzwi i wrócił do swojej toyoty. Pomachał w naszą stronę, zaczekał, aż ruszymy, uśmiechnął się i odjechał. Znowu usłyszałam jego muzykę. Nastawiłam radio na tę samą hiphopową stację i podkreślałam głośność, dopóki Shelby nie zaczęła krzyczeć.

Leonard skręcił w prawo i skierował się w stronę Leimert Park. Ja pojechałam w lewo, w kierunku Culver City. Uśmiechałam się. Nie mogłam uwierzyć w to, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich minut. Potem mój uśmiech znikł. Nie mogłam uwierzyć w to, co właśnie robiłam.

Shelby dyszała ze złości.

- Co ci się stało? - spytałam.

- To mi się stało, że zamknęłaś mnie samą w moim cholernym samochodzie. Gdybym to ja wywinęła ci taki numer, wściekałabyś się na mnie przez cały rok.

- Nie wygłupiaj się. Musisz trochę odpocząć.

- Tylko o tym nie zapominaj.

- Nie zapomnę o tobie i twojej cholernej gębie.

- A co z twoją gębą? Musiałaś się z nim całować?

- Nie całowałam się z nim - zapłonęłam rumieńcem. - Tylko uściśnęłam go na pożegnanie.

- Wszystko widziałam. Musiałaś się z nim całować?

- Tak - uśmiechnęłam się trochę szerzej.
- W taki sposób? Lizaliście się na samym środku parkingu.
- Tak, tak. Miałam chwilę słabości, wiem.

Shelby nie przestawała mnie besztać tonem rozgniewanej matki, ale moje myśli krążyły wokół tego niesamowitego mężczyzny o azjatyckich oczach. Mężczyzny, o którym próbowałam przestać myśleć, bo czułam złość na samą siebie. Zapomniałam o zablokowanej karcie. Musiałam skoncentrować się na drodze. To było Los Angeles, a noc to pora zbrodni. Ale wciąż myślałam o nim.

Potem cofnęłam się myślami nieco wstecz, do innych wspomnień. Wolałabym, aby pewne rzeczy nigdy się nie wydarzyły. Przypominałam sobie, ile razy oddawałam się mężczyźnie, będąc przekonana, że zmieni to coś w naszym związku. Odkryłam, że potem każdy taki związek osiągał punkt krytyczny, a mój partner wychodził bez pożegnania.

Przed zaledwie paroma chwilami wymieniliśmy z Leonardem pożegnalny uścisk dłoni, a potem trzymaliśmy się za ręce przez co najmniej minutę, jakby żadne z nas nie chciało wypuścić tego, co przyniosła mu noc. Wszystkie moje uczucia kłębiły się w chaosie i wiedziałam, że on mógłby powiedzieć to samo. Oblizawałam wargi, by przekonać się, czy znajdę resztki smaku, który po sobie zostawił. Trudno jest smakować wspomnienia, ale chciałam spróbować. Jednak mój język natrafił tylko na śluz pokrywający zęby. Zaczęłam się zastanawiać, czy miałam nieświeży oddech, kiedy Leonard dotknął ustami moich ust.

Było cicho. Zbyt cicho. Rozejrzałam się i zobaczyłam, że Shelby śpi z ramieniem podłożonym pod głowę i półotwartymi ustami.

Obiecowałam sobie, że kiedy tylko dotrę do domu, odwołam piątkową randkę z Leonardem. I niedzielną wyprawę do kościoła też. Wiedziałam, że tej nocy nie zmruję oka. Byłam wściekła na siebie, że pozwoliłam, by facet, którego nie znałam i nie zamierzałam poznać, pocałował mnie przed trzecią randką, do której nigdy miało nie dojść.

6.

SHELBY

Pociłam się. Byłam tak mokra, że mój zielono-purpurowy podkoszulek żeńskiego klubu uczelnianego przywarł mi do pleców. Od czubka głowy aż po buty ociekałam potem, który spływał na plastikowe podnóżki stepera marki StairMaster. Z każdym stęknięciem i sapnięciem moje ciało pozbywało się kolejnej dawki płynów. W korytarzu unosił się stęchły odór rozgrzanych ciał zmieszany z zapachem tanich perfum. Stacjonarne rowerki oblegali ludzie, którzy trafili tu zbyt późno, by móc jeszcze coś ze sobą zrobić, a ich ciała drgały niczym galareta.

Obdarzona wielkim biustem dziewczyna Bryce'a, Nancy, prowadziła w sali trening stepu z grupą liczącą około trzydziestu osób. Byli to przeważnie bracia i siostry, którzy wygłupiali się, rujnując sobie stawy kolanowe. Nancy miała na sobie obcisły błękitny trykot w białe gwiazdy i wyglądała, jakby brakowało jej tylko jednego koloru do przebrania Wonder Woman. Wiedziałam, że ta suka mnie zauważyła, bo specjalnie zajęłam miejsce na przyrządzie ustawionym na wprost jej sali. Zresztą idąc tam, musiała przejść obok mnie. Kiedy prowadziła rozgrzewkę, patrzyłam spode łba na jej pozbawiony krągłości tyłek. Z przyklejonym do twarzy głupawym uśmiechem wydawała ćwiczącym polecenia, podczas gdy jej piersi podskakiwały i odbijały się od siebie jak klik-klaki.

Najpierw zaczął wibrować mój pager. Na wyświetlaczu pojawił się numer kliniki, w której pracowała Faith. Dzwoniła Debra. Spojrzałam na swój sportowy zegarek. Prawie południe. Zbliżała się pora lunchu, a byłyśmy umówione na spotkanie o pierwszej.

Potem za plecami usłyszałam głośnie stękanie.

Na siłowni było kilku roślących, obleśnych braci, którzy rzucali lubieżne spojrzenia. Chodzili napuszeni dokoła, rozglądając się, jakby byli w klubie go-go. Niczym wielkie psy ślinili się na widok smakowicie wyglądających pośladków. Trudno kobiecie się przemóc i rozchylić szerzej nogi, kiedy właśnie siedzi na przyrządzie do ćwiczenia mięśni ud.

Obejrzałam się, by sprawdzić, co to za odgłosy. Zobaczyłam brata, który z głupawą miną oblizywał mięsiste wargi, a jego oczy wędrowały w górę, zatrzymując się na moim tyłku. Pożałowałam, że nie mam przy sobie gazu. Facet ćwiczył, napraszając się o uraz kręgosłupa i stękając przy tym niemiłosiernie.

- Dlaczego nie weźmiesz czegoś na zatwardzenie? - spytałam.

- Cały czas ćwiczysz tak ostro?

Nie odpowiedziałam. Odwróciłam się, by przemyśleć swoje sprawy.

- Jak masz na imię? - zapytał.

- Czy wyglądam, jakbym przyszła tutaj zawierać znajomości? - odparłam i posłałam mu spojrzenie typu „Na co do cholery się tak gapisz?”, po czym dodałam: - Zboczeniec.

- Mógłbym zostać mężczyzną twoich marzeń - oznajmił. - Mógłbym cię doprowadzić do wielokrotnego organizmu.

- *Organizmu?* - powtórzyłam.

- Tak. Kiedy ostatnio przeżyłaś organizm?

- Spraw sobie piątą klepkę i obejrzyj *Ulicę Sezamkową*, jak będziesz miał okazję.

Brat przyłożył do ust butelkę z wodą, pociągnął łyk i spojrzał na mnie z dezaprobatą, jakbym była szalona, nie chcąc z nim flirtować. Wybił mnie z rytmu, gdyż usiłowałam pojąć, jaki *organizm* miał na myśli.

Przez trzydzieści minut ćwiczyłam na rowerku, potem siedemdziesiąt minut mordowałam się na stepperze. Złapałam uchwyt, jakbym zaciskała palce na czyjejś szyi. Ilekroć dotykałam stopą podłogę, wyobrażałam sobie, że rozdeptuję krocze Bryce'a. Za każdym razem, kiedy podnosiłam nogę, w wyobraźni wymierzałam Nancy kopniaka za to, że gziła się na moim cholernym materacu. To się nazywa motywacja złością.

W przeszklonych drzwiach pojawił się Bryce i przeszedł obok recepcji. Szedł dumnym krokiem z wypiętą piersią. Miałam nadzieję, że skończę trening i pójdę sobie, zanim on się pokaże, ale teraz było już za późno. Miał na sobie spodnie w biało-czarne paski, podkoszulek bez rękawów i dźwigał purpurową torbę sportową. Zeskoczyłam z maszyny, wytarłam ją i zbiegłam po schodach. Chciałam dotrzeć do jego biura, zanim zacznie zajęcia. Zobaczył, że za nim idę, ale się nie zatrzymał. Miał nawet czelność przyspieszyć kroku. Zwiększyłam tempo i dopędziłam go koło wagi. Dokoła byli ludzie, więc musiałam się opanować, by nie zrobić mu sceny w pracy. Otarłam twarz i zarzuciłam ręcznik na kark.

- Dlaczego nie odpowiedziałeś na mój telefon? - zapytałam jakby od niechcenia.

- Po co?

- Żeby umówiła się z tobą, kiedy mogę zabrać resztę rzeczy.

- Masz dla mnie swoją dolę na czynsz?

- Nie dam ci żadnych pieniędzy.

- Dlaczego?
- A jak myślisz?
- Nie możesz wynieść się tak z dnia na dzień i zostawić mnie w takiej sytuacji.
- Chcę swój materac.
- Pod warunkiem, że zapłacisz mi za trzydziestodniowy okres wypowiedzenia.

Przypomniałam skurwielowi, kogo pieprzył na moim nowiutkim materacu, który kosztował pięćset dolarów, i kto zaplamił moje prześcieradła. Kiedy mówiłam, Bryce się zmył, a ja szłam dalej w przeciwnym kierunku i dokończyłam rozmowę sama. W przeciwnym kierunku powinnam była pognać już dawno. Wtedy, gdy po raz pierwszy go zobaczyłam.

Dochodziłam do siebie przez chwilę, a potem zajęłam się przyrządami do ćwiczeń mięśni brzucha. Ćwiczyłam mięśnie skośne i dolne partie mięśni prostych. Ćwiczyłam zawzięcie, zgrzytając zębami, przeklinając pod nosem i stękając jak niedźwiedź, a mój pot rozpryskiwał się dookoła. Wtem zobaczyłam, jak Nancy idzie po schodach i kieruje się w stronę damskiej szatni. Miała czelność gapić się na mnie, jakbym była przygłupem tygodnia. Zatrzymała się, przekrzywiła głowę i zaczęła przyglądać mi się w jakiś dziwny sposób. Na tyle dziwny, że przestałam mamrotać przekleństwa, choć nadal zgrzytałam zębami. Przyrzekłam sobie, że nie odezwę się do niej ani słowem. Powtarzałam sobie, że to sprawa pomiędzy mną a Bryce'em. Ona też nie mogła mieć pilota do jego kutasa i byłam pewna, że prędzej czy później to odkryje, kiedy on przestroi się na kanał innej pochwy.

Debra się pewnie niepokoiła, gdyż jeszcze do niej nie oddzwoniłam, ale automat telefoniczny znajdował się w szatni. A tam właśnie poszła Nancy. Do innego telefonu musiałabym iść piętro wyżej, do hotelowego holu. Owszem, mogłabym wysoko unieść głowę, wypiąć pierś i przyjąć pewną siebie postawę, ale w środku czułam się nieswojo. Bardzo nieswojo. Czułam się jak królik w przebraniu lwa. Nie chciałam stanąć twarzą w twarz z Nancy, głównie dlatego, że straciłam, cokolwiek miałam do stracenia, jeśli chodziło o Bryce'a. Te uczucia były bez znaczenia.

Odczekałam kilka minut, ćwicząc w tym czasie mięśnie grzbietowe. Czekałam na tyle długo, że znów odezwał się mój pager, informując mnie, że jestem spóźniona na lunch. Dałam już Nancy dość czasu, by poszła sobie w diabły. Pomyślałam, że zaraz spakuję swoje rzeczy, wejdę do sauny na jakieś dziesięć minut, wezmę prysznic, ubiorę się, wskoczę w sandały, lewisy i biały podkoszulek, a potem zjem lunch z Debrą i Faith.

Szatnia była pusta. Ani śladu po Nancy. Mniejszy stres. Rozebrana do czekoladowej nagości, wzięłam ręcznik oraz maszynkę, by ogolić sobie nogi i pachy, po czym weszłam do sauny. Chciałam zebrać myśli i trochę pomedytować przed spotkaniem z przyjaciółkami.

W najdalszym kącie sauny na drewnianej ławeczce siedziała Nancy. Całkiem naga, podłożyła sobie żółty ręcznik pod pośladki, a jedną stopę oparła na ławce. Pewnie tak samo rozkładała się na moim cholernym materacu. Zauważyła mnie, kiedy robiłam krok do środka. Miałam ochotę zawrócić i wyjść, ale nie mogłam pozwolić, by ta suka wypłoszyła mnie z mojej sauny. Do cholery, płaciłam za to gównie piętnaście dolarów miesięcznie. Przez ostatnie pięć lat płaciłam za wstęp. Zawsze płaciłam za siebie. Więc był to mój klub. Pożałowałam, że nie towarzyszy mi Debra, gdyż wtedy czułabym się o wiele silniejsza, o wiele pewniejsza siebie. W sytuacjach intymnych stawałam się bezbronna.

Jej oczy spoczywały na mnie. Moje na niej. Później obie odwróciłyśmy od siebie wzrok. Byłam zadowolona, że nie doszło do pojedynku na spojrzenia. Podeszłam do przeciwległego rogu, zdjęłam z siebie ręcznik i podłożyłam sobie pod pośladki. Pośladki z prawdziwego zdarzenia. Pokazałam jej, z czym nie mogłaby konkurować, nawet gdyby chciała. Pokazałam jej, co może się podobać jedynie prawdziwemu czarnemu mężczyźnie.

Nim upłynęło pięć minut - kiedy to wdychałam obleśną woń perfum, którymi zbrukana była moja poduszka - zaczęło robić mi się duszno.

Chociaż kręciło mi się w głowie, chyba trafiłby mnie szlag, gdybym wyszła pierwsza. Po kolejnych pięciu minutach nasze spojrzenia znów się spotkały. Kiedy uniosłam głowę, by pociągnąć łyk wody z butelki, zobaczyłam, że Nancy mi się przygląda. Wlepiłam w nią wzrok, a ona po chwili opuściła głowę. Zrobiłam to samo. Sprawiała wrażenie swobodnej, jakby przywykła do bagna, w którym żyła. Znów patrzyła w taki osobliwy sposób jak wtedy, gdy obserwowała mnie w klubie.

- Shelby? - odezwała się.

Uniosłam głowę. Syknęłam przez zęby i posłałam jej takie samo gniewne spojrzenie jak bratu, który gapił się na mnie, gdy ćwiczyłam na stepperze.

- Przeprowadzam się do Bryce'a - powiedziała. - Poprosił mnie o to. Zagryzłam wargę od wewnątrz.

- Bryce powiedział mi parę rzeczy o tobie - dodała.

- Chciałabym tylko, byś wiedziała, że nic do ciebie nie mam - odparłam. - Ja i Bryce musimy załatwić jeszcze parę spraw. Im szybciej to zrobimy, tym lepiej dla wszystkich dokoła.

- Jesteś piękną kobietą - zauważyła Nancy.

- Co?

- Powiedziałam, że jesteś piękną kobietą. W życiu nie widziałam kogoś takiego jak ty.

Można się kiedyś z tobą umówić?

- Chcesz się ze mną umówić? Zapraszasz mnie na randkę?

- Nie. Ja i Bryce. Może spotkalibyśmy się wszyscy razem.

Mrugnęłam kilka razy. Słyszałam tylko, że mówi coś o winie. Zamrugałam ponownie i ciężko przełknęłam ślinę. Mówiła, że to wcale nie jest takie niezwykle i że patrząc na mnie, odkrywa, ile mamy ze sobą wspólnego. Zdawało mi się, że widzę między każdym kolejnym mrugnięciem, jak ta wywłoka zbliża się do mnie. Rzeczywiście tak było, bo gdy przestałam mrugać, siedziała tuż obok. Głaskała mnie po udzie, rozmazując pot na skórze.

Odepchnęłam ją i zerwałam się na równe nogi. Nancy wyglądała na cholernie wystraszoną.

Otworzyły się drzwi i do sauny weszło kilka rozszczębiotanych i chichoczących sióstr. Naraz wszystkie zamilkły, widząc mnie i tę nimfomankę, stojące na wprost rozżarzonych węgli. Stały z rozdziawionymi ustami i wybaluszonymi oczami, a miny miały takie, jakby właśnie natrafiły na parę duchów.

- To nie ta impreza - krzyknęłam.

Byłam naga i wściekła, tak wściekła, jak nigdy. Wycelowałam palec w twarz Nancy i powiedziałam parę słów, ale wyrzuciłam je z siebie tak szybko i było wśród nich tyle przekleństw, że wszystko brzmiało jak bełkot.

Wybiegłam z sauny i wpadłam pod prysznic. Z całych sił szorowałam miejsce, w którym mnie dotknęła. Błyskawicznie narzuciłam na siebie ubranie i wyszłam.

Tyrel

Był piątek, szósta wieczorem. Leonard siedział na mojej sofie i czytał dział rozrywkowy „Timesa”, śmiejąc się z reportażu poświęconego występowi, jaki dał w Improv kilka dni wcześniej.

Zaczął spacerować po pokoju, nucąc bluesową piosenkę Keb Mo'. Zatrzymał się przed biblioteczką i zaczął oglądać zdjęcia mojej siostry bliźniaczki z mężem i dziećmi. Podnosił je po kolei, jakby nie widział każdego z nich już z tysiąc razy. To samo zrobił ze starym zdjęciem moich rodziców, na którym byli jeszcze młodzi i szczęśliwi.

- Denerwujesz się czymś, bracie? - spytałem.
- Ta dziewczyna, Debra, nie daje mi spokoju. To wszystko.
- Jak chcesz, możesz pościerać kurze. Nie krępuj się.
- Tu nie ma nic zakurzonego.
- Wczoraj była sprzątaczką.

Leonard znów zaczął snuć się po pokoju i stanął przed nowym, oprawionym w trójdzielne passe-partout, cyklem abstrakcyjnych grafik, które kupiłem w Leimert Park Village. Od sześciu lat starałem się kupować jedno oryginalne dzieło sztuki rocznie. Małe co nieco, które mógłbym zostawić w spadku dzieciom, o ile natrafię kiedyś na odpowiednią kobietę, która da mi potomstwo. Mój przyjaciel oglądał grafiki i dotykał ich, jakby był krytykiem zwiedzającym muzeum sztuki afroamerykańskiej.

Poszedłem do łazienki, żeby przystrzyć swoją kocią bródkę. Potem wmasowałem we włosy trochę zmiękczej odżywki i odrobinę żelu, by nadać im połysk.

- Jak tam w pracy? - zapytał Leonard.

Opowiedziałem mu o naciskach, jakie wywiera Bill Gates i Microsoft, próbując się pochlebić Dan L. Steel. Udziałowcy poczuli się niepewnie i kurs akcji spadł w tym dniu o kilka dolarów. Powiedziałem mu też, że biuro w San Francisco kontaktowało się ze mną pięć razy w ciągu ostatnich pięciu dni, chcąc wypożyczyć mnie do swego nieudolnego działu marketingu.

- Swoją drogą - wtrącił Leonard. - Potrzebuję jakichś sześciu komputerów.
- Co się stało?

- Miałem włamanie.

- Jak tym razem to zrobili?

- Użyli palnika acetylenowego, wycięli zamki i wynieśli wszystkie komputery. Nawet nie tknęli książek.

- Książki są zbyt ciężkie od mądrości.

- Co możesz dla mnie zrobić?

- Byłbym w stanie wygospodarować z nadwyżek parę zabytkowych trzysta osiemdziesiątek szóstek. W najlepszym wypadku kompatybilne IBM. Ale niczego nie gwarantuję. Moja firma jest bardziej skłonna obdarowywać Beverly Hills niż South Central.

- Powiedz swojemu szefowi, że jeśli dzieciaki uczą się przez cały dzień obsługi komputera i dzięki temu dostaną pracę, to nie włamią się kiedyś do jego rezydencji, żeby wykraść przepis na tartę.

- Zapiszę to na pierwszym miejscu w planie zadań na poniedziałek.

- A co u twojej mamy?

- Spotyka się z facetem ze swojego kościoła. Poznała go na warsztatach biblijnych dla samotnych. Ma czterdzieści trzy lata. Dziesięć lat młodszy od niej. Właśnie tak mama sobie żyje w Chicago. Odzyskuje wigor.

Nie wspomniałem nic o ojcu i jego nowej głupkowatej żonie. Leonard też nie chciał mówić o swej matce i ojczyźnie. Pewne rzeczy obydwoje się bez słów.

- Kto jest na tym starym zdjęciu? - spytał Leonard. - Ci dwaj bracia z krzywymi nogami i dołkami w brodach?

- Mój dziadek i jego siostra bliźniaczka.

- Ale ona ma krótkie włosy.

- To było w latach czterdziestych, kiedy obydwójce grali w jakiejś kapeli jazzowej czy bluesowej. Nosila włosy spięte z tyłu. I chodziła w spodniach, co wtedy było niespotykane. Wyprzedzała swoją epokę.

- Wyglądają prawie tak samo jak ty i Mye. Powgniatane twarze i koślawe nogi. Dziedziczny defekt.

Nigdy nie uważałem, że Leonard jest wyjątkowo zabawny, ale za to szalony i głupkowaty. To zgrywus, który znał tyle dowcipów z serii „Twoja mama jest...”, że jeszcze w szkole średniej zostawał za karę po lekcjach. Zналиśmy się od zawsze. Wszyscy postrzegali go jako komika albo aktora, widząc tylko to, czym się akurat zajmował. Ja poznałem go jako brata, któ-

ry w dzieciństwie był zadzierającym nosa rozrabiaką, wciąż naprzykrzał się mojemu ojcu, by pozwolił mu popracować za parę groszy, a w szkole prosił mnie o pomoc w rachunkach.

Leonard opowiadał mi o dziewczynie, którą spotkał. Jeżeli była tak wspaniała, jak zapewniał, jej koleżanka musiała przypominać jakiegoś Quasimodo z afro na głowie. Ładne dziewczyny zawsze włączają się w towarzystwie kaszalotów, które nie stanowią dla nich żadnej konkurencji.

- A co jest nie tak z tą drugą? - zapytałem.

- Nastawienie.

- Jak się zachowuje?

- Jak pitbull ze szczękosciskiem.

- I chcesz, żebym odwrócił jej uwagę?

- Jak duży pies. Jeżeli się pojawią.

- Jeżeli?

- Wiesz, jak zmienne potrafią być siostry. Wezmą twój numer telefonu, a potem biorą cię na trzydniowe przetrzymanie.

- Szkoda gadać. Pewnie korzystają z tych głupich poradników.

- Im nie trzeba żadnych porad. One stosują wudu. Dodają ci czegoś do jedzenia, żebyś się za nimi uganiał. A myślisz, że jak brzydula usidlają przystojnych facetów? Wudu.

- O czym rozmawiałeś z tą Debrą? - zapytałem rozbawiony.

- Luźne pogawędki przez telefon. Dzwoniła do mnie dziś rano. Przegadaliśmy pół nocy, kiedy ją poznałem. Teraz jesteśmy na etapie „być może”.

Przebrałem się w strój, który zawsze wkładam po pracy, czyli džinsy i skórzane buty, ale Leonard miał na sobie brunatne spodnie, koszulę bez kołnierzyka i kamizelkę, a pachniał niczym stoisko perfumeryjne w Macy's. Czulem, że też powinienem bardziej się postarać. Włożyłem brązowe spodnie i oliwkową marynarkę zapinaną na trzy guziki, a kiedy siedziałem w sypialni, pastując buty, usłyszałem, jak Leonard podskakuje na skórzanej sofie.

- Żadna z sióstr, z którymi się umawiałem, nie guzdrała się tak jak ty - powiedział.

- I nie była równie piękna.

Słyszałem, jak wyżera wszystkie lukrowane drażetki ze szklanego słoja, który stał na stoliku do podawania kawy. Potem trzasnęły drzwi lodówki i Leonard postawił dzbanek z sokiem na szklanym blacie. Zrobił to tak gwałtownie, jakby chciał coś roztrzaskać.

- Nie demoluj mi domu, wariacie - krzyknąłem.

- Wiesz, co sędzę o zakupach na pchlim targu, wariacie.

- Gdzie pracuje ta dziewczyna?

- Ta, którą masz się zająć, lata samolotem.

- Znaczy, jest stewardesą?

- Taa. Jest stewardesą - powiedział. - Szybko, kartkę i długopis! Właśnie wymyśliłem dowcip.

Mieliśmy spotkać się z siostrami w Color of Comedy. W epoce filmów *Shaft* i *Superfly* był to nocny klub ze striptizem i skromnym parkietem do tańca. Potem zmienił właściciela, przeznaczenie i został wyremontowany. Małe, naprędce sklecone podium zamieniło się w przestronną scenę otoczoną potężną aparaturą nagłaśniającą.

Kiedy otworzyłem podwójne dębowe drzwi i przeszedłem po biało-popielatej terakocie, zauważyłem wymalowane na ścianach karykatury komików. Naturalnej wielkości Dick Gregory, Bill Cosby i Robin Harris znajdowali się naprzeciwko sięgającego od podłogi do sufitu fresku, który przedstawiał piramidy i Sfinksa. Jego szeroki, płaski nos był nienaruszony.

Przyszliśmy wcześniej, więc zajrzałem do garderoby, gdzie komicy zaczynali już formować szereg. Żaden z nich nie chciał wyjść na scenę pierwszy, ponieważ to jemu przypadłoby w udziale niełatwe zadanie rozgrzania widowni. Nikt nie chciał również występować ostatni, gdyż publiczność jest wtedy znużona i poirytowana.

Podszedł do nas brat zwany Kwamaine i poklepał Leonarda po ramieniu. Miał na sobie czarny podkoszulek z numerem 90220 - kodem pocztowym Compton.

- Gratuluję dobrej prasy - powiedział, rozkładając numer „Timesa”. - Czuję, że niedługo zaczniesz wypływać.

- I nikomu się nie pochwalił? - odezwał się ktoś.

- Napisali, że jestem „świetnie się zapowiadającym, młodym afroamerykańskim komikiem, który obiecująco debiutuje na scenach Los Angeles” - Leonard czytał na głos, powstrzymując śmiech. - Srutututu, same bzdury. Występuję na scenie od pięciu lat i właśnie teraz mnie zauważyli.

- Smaczek tygodnia - wtrącił ktoś.

- Lepsze to niż w ogóle być bez smaku.

Prawie wszyscy mu gratulowali. Do Leonarda podszedł niejaki Jackson, trzymając w dłoni pognieciony numer gazety. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, choć niektórzy mówili, że dobija pięćdziesiątki. Miał zwalistą sylwetkę, zawsze nosił na głowie ciemną chustę i po-

ruszał się z przesadną arogancją. Był ubrany w sportowe buty, wielki podkoszulek i kilka numerów za duże spodnie, które opadały mu na biodra.

- Myślisz czarnuchu, że ci się należy, bo tak napisali w gazecie dla białych dupków - powiedział. - Jak to się stało, że trafiłeś do tego szmatławca?

- Dlaczego chcesz to wiedzieć, skoro nienawidzisz białych?

- Próbujesz mnie obrazić?

- Wszystko w porządku, bracie? - odparł Leonard. - Wchodzisz tu cały podminowany i zakłócasz nam pozytywne wibracje.

Wyprężyłem się. Pomyślałem, że należałoby zdjąć marynarkę, ale Leonard pozostał niewzruszony. Nie okazywał gniewu.

- Gówno masz do pokazania poza tą wyświechtaną rutyną na koniec występu - powiedział Jackson. - A nawet to ukradłeś Robinowi. Wsadź to sobie w dupę i nie pokazuj się na scenie.

- Skoro mowa o podkradaniu dowcipów, to chyba masz siebie na myśli.

- Ja kradnę dowcipy? Powtórz te bzdury, no już.

- Kradniesz pomysły wszystkim. Grasz stare numery, z którymi występowali Leroy i Skillet, Pigmeat Markum i Moms Mabley, i myślisz, że nikt się nie zorientował. Ale uważaj, ja znam ten fach. To dlatego nikt się nie odzywa, kiedy się pojawiaasz. Każdy widzi, jak czaisz się z magnetofonem, żeby potem sklecić kilka słów i zarzekać się, że wymyśliłeś to sam.

Jackson rozejrzał się dookoła, po czym utkwiał wzrok w Leonardzie.

- Nie próbuj wciskać mi takich bzdur - powiedział.

- Ja tylko mówię prawdę.

- Wydaje ci się, że wszystko wiesz.

- Skądże znowu. Nie wiem nawet połowy tego, co mi się wydaje, że wiem.

Kilka osób parsknęło śmiechem. Na karku Jacksona wystąpiły nabrzmiące żyły, pod skórą na czole pulsował nerw.

- Myślisz, że jak w białej gazecie pokazali twoje gówniane zdjęcie, to jesteś lepszy, co?

- Człowieku, wykazuj. Dlaczego wszystko musi kręcić się wokół białych?

- Powiedziałem już, nie jesteś śmieszny.

- Do zobaczenia na scenie - uśmiechnął się Leonard.

- Wchodzisz po mnie. Zobaczymy, czy przebijesz mój występ, bracie.

- To pokaż coś, co mógłbym przebić. Coś oryginalnego.

Jackson poprawił workowate spodnie i rozkołysanym krokiem wyszedł z garderoby. Inni komicy stali w milczeniu, próbując otrząsnąć się z napięcia.

- Jego matka jest tak głupia, że przykleiła bony żywnościowe na rachunku telefonicznym i chciała go wysłać - powiedział Leonard.

Wszyscy parsknęli śmiechem, a potem zaczęli bezlitośnie obgadywać brata, który właśnie wyszedł. Rozluźniłem się. Rozwarłem zaciśnięte pięści i zatarłem mokre od potu dłonie.

- Pozwolisz, żeby tak tobą pomiatał? - spytał jeden z komików.

- Kto wchodzi przed nim? - odpowiedział pytaniem Leonard.

- Ja - odezwała się kobieta o ciemnej skórze z pomarańczowym odcieniem. Miała cienkie nogi, zwalisty tułów, a jej sięgające do pośladków włosy mieniły się paletą barw niespotykanych w naturze.

- Zamieńmy się miejscami - zaproponował Leonard. Usłyszeliśmy dobiegającą z zewnątrz muzykę. W garderobie ucichło.

Zaczął się występ. Kilka osób chwyciło się za ręce, tworząc modlitewny krąg. Stałem po prawej stronie Leonarda, który prowadził modlitwę.

Inni stali na uboczu. Niektórzy chodzili w kółko, powtarzając na głos swoje role.

Jackson wrócił, kiedy właśnie padło ostatnie „amen”. Chodził po pokoju, miotając wściekłe spojrzenia, a twarz miał tak zeszywniałą, jakby była odlana z betonu. Spojrzałem pytająco na Leonarda i wzruszyłem ramionami. W odpowiedzi skinął głową, zapewniając mnie tym subtelnym gestem, że wszystko jest w porządku. Leonard zawsze był subtelny. Jego milczenie oznaczało, że da sobie radę sam.

Kilka minut później zająłem miejsce przy okrągłym stoliku, na którym przy błękitnej świeczce leżał znaczek rezerwacji. Obok mnie stały jeszcze trzy wolne krzesła. Na scenie chudy niczym anorektyk Kwamaine opowiadał o tym, jak bardzo chciał się naćpać i co robił, żeby dostać kokainę, włącznie z pracą dla CIA, „bo tam mają dostęp do najlepszego towaru”.

Moje serce zaczęło uderzać szybciej, gdy zobaczyłem, że na salę wchodzi Lisa ze swoim mężem. Miała na sobie cynamonowy kostium, a on był ubrany w dżinsy i rozchełstaną koszulę, by należycie zaprezentować złoty łańcuch, który nosił na szyi. Trzymali się za ręce, jakby się obawiali, że coś znów ich rozdzieli, i mrużyli oczy, niczym uciekinierzy oślepieni światłem policyjnego szperacza. Ścisnęło mnie w piersi i po raz setny zmieniłem pozycję. Wierciłem się na krześle, jakbym cierpiał na świerzb.

Usiedli przy stoliku po mojej lewej stronie i wtedy Lisa mnie zauważyła. Jej usta przybrały kształt litery „O”, przypominając otwór w plastikowej masce klauna z wesołego miasteczka, w który należy trafić strumieniem wody. Potem ciężko przełknęła ślinę i przywołała na twarz wymuszony uśmiech. To tylko biznes.

Jej mąż, mulat o przerzedzonych włosach i wzroście, z którym mógłby grać w drużynie Lakersów, zorientował się, że Lisa patrzy na mnie zbyt długo. Zerknął w moją stronę i gdy nasze spojrzenia spotkały się, skinąłem mu głową. Odpowiedział mi tym samym. Lisa nachyliła się do jego ucha i znów obejrzał się na mnie. Uśmiechnął się. Byłem pewien, że przedstawia mnie jako jednego ze swych klientów. Zacząłem się zastanawiać, ilu takich jeszcze miała.

Obróciłem trochę krzesło, by nie musieć patrzeć w stronę Lisy, i siedziałem w milczeniu, podczas gdy wokół przetaczały się huragany śmiechu. Było wpół do dziesiątej i Leonard szykował się do wyjścia na scenę. Postanowiłem odczekać jeszcze minutę, wstać od stolika i precyzyjnie przejść w stronę wyjścia. Zamierzałem wyjść, a z Leonardem skontaktować się później. Chciałem opuścić to miejsce i tylko to było dla mnie ważne.

Ktoś poklepał mnie po ramieniu. Poczułem dotyk drobnej kobiecej dłoni. Drgnąłem. Jakaś siostra pochyliła się nade mną. Pomyślałem, że to kelnerka, która przysłała mnie nękać, bym zamówił minimum dwa drinki, ale obsługa w tym lokalu nigdy nie sprawiała tak inteligentnego wrażenia.

- Jesteś przyjacielem Leonarda? - zapytała i poczułem jej świeży oddech.

- Tak - odpowiedziałem. - Jesteś Denise?

- Debra.

- Przepraszam cię. Myślałem, że już nie przyjdiesz.

- Odrobinę się spóźniłam - powiedziała z przepraszającą miną. - Musiałyśmy z przyjaciółką doprowadzić łazienkę do porządku.

Miała skórę w kolorze kawy z mlekiem i kręcone włosy. W typie Leonarda. Zazwyczaj gustował w przereklamowanych kobietach o zawyżonej wartości, które czuły pociąg do facetów o ciemnej skórze. Oczywiście zdarzały się również odwrotne sytuacje. Jej głos był miękki, choć sprawiał wrażenie silnego. Zachowywała się w sposób zdecydowany.

Lisa śmiała się z dowcipów, ale zerknęła w moją stronę. Tak długo mierzyła Debrę wzrokiem, że wysoki mulat znów się obejrzał.

Przedstawiłem się i wyjaśniłem, że Leonard zarezerwował ten stolik.

- Dla ciebie i osoby, z którą przysłaś - powiedziałem.

- Chciałam tylko wstąpić i oddać mu pieniądze, które założył za mnie tamtej nocy w Denny's. Nie zamierzałam zostawać.

- Zostań na chwilę. Przynajmniej zobacz jego występ.

- Jeszcze się nie skończył?

- Leonard wchodzi następny. Słyszałem od niego wiele pozytywnych rzeczy na twój temat.

- O tobie też mówił wiele dobrego. - Uśmiechnęła się i odczytała różowy bilecik leżący na stoliku. - Madam C.J. Walker.

- Pierwsza siostra, która została milionerką. Urodziła się w 1867 roku.

- Wiedziałaś to?

- Przeczytałem na karcie.

Roześmiała się, ale sprawiała wrażenie niespokojnej.

- Dziewczyna zbiła fortunę na kosmetykach dla czarnych kobiet. I Leonard wybrał to dla nas?

- W szczególności dla ciebie.

- To miłe z jego strony - powiedziała, poklepując się dłonią po udzie.

- Podziękujesz mu później. Usiądź, zanim komicy zobaczą, że stoisz, bo oświetlą cię punktowcem i będziesz miała swój występ.

Debra zerknęła na zegarek, rozejrzała się i dała komuś sygnał ręką. Parę sekund później zobaczyłem, że druga kobieta przepycha się między stolikami. Poczułem ulgę. Nie była brzydka. Nie chciałem, aby Lisa zobaczyła, że siedzę przy stoliku z jakimś kaszalotem.

Debra i jej przyjaciółka różniły się od siebie jak dzień od nocy, ale obie były ucieleśnieniem piękna. Debra zaczekała, aż jej przyjaciółka usiądzie. Dziewczyna zawahała się i zajęła miejsce obok mnie. Jej włosy zakołysały się kilka centymetrów od mojej twarzy, zanim dotknęła pośladkami krzesła. Debra zasiadła po jej prawej ręce.

Obie miały na sobie dzinsy i wzorzyste bawełniane bluzki. Przyjaciółka Debry promieniowała kolorami Afryki. Nogawki jej spodni były rozdarte nad kolanami, odsłaniając świeże czekoladowe ciało. Włosy miała spięte w koński ogon złotą klamrą. Debra była ostrzyżona na pazia, a włosy opadały jej do ramion.

- Shelby, to jest Tyrone - powiedziała Debra, nachylając się do przodu.

- Tyrel - poprawiłem. - Tyrel Williams.

- Przepraszam cię. Tyrel, poznaj Shelby Daniels.

Shelby uśmiechnęła się i wymieniliśmy uścisk dłoni. Miała gładką ciemną skórę i mały, zgrabny nos. Typowe afroamerykańskie cechy. Łabędzia szyja. Kształtne brwi. Przenikliwe oczy. Wszystko na swoim miejscu. Najprawdziwsza czarna kobieta o nie za mocno rozcieńczonej karnacji. Przyłapałem się na tym, że się jej przyglądam, a potem zerkam w stronę stolika Lisy. Lisa straciła dla mnie swój powab. Znikło zaufanie, a wraz z nim jej łagodny blask. Stała się szorstka.

Shelby wyglądała pięknie jak wschód słońca na plaży. Zapewniałem sam siebie, że widziałem wiele wschodów słońca, a ona jest jeszcze jedną siostrą. Zmuszałem się, by dla niepoznaki patrzeć w innych kierunkach, ale moje oczy uporczywie wracały do niej. Shelby przywabiała moje ciekawskie spojrzenie, które omiatało jej twarz.

Skinąłem na chudą kelnerkę o bujnej fryzurze i wszyscy zamówiliśmy drinki w nieprzyzwoicie wysokich cenach. Debra poprosiła o mimozę, Shelby o białe wino, a ja o colę bez lodu. Dziewczęta były rozbawione moim zamówieniem.

- Jeśli płacisz cztery dolary za napój w maciupieńkim plastikowym kubeczku, mógłbyś równie dobrze wziąć jakiś alkohol - oznajmiła Debra.

- Daj mu spokój. Niech pije to, na co ma ochotę - wtrąciła się Shelby i spojrzała na mnie.

Przytaknąłem, a ona odwróciła głowę i rozejrzała się po sali. Jeden z komików właśnie opuścił scenę i konferansjer zapowiedział Leonarda.

Leonard objął kontrolę nad publicznością, kiedy tylko oświetlił go krąg punktowca. Wszedł na scenę, tańcząc parodię makareny. Najpierw poruszał się niezdarne, naśladując styl białych, potem zaczął podrygiwać lubieżnie, jak robią to wysztafirowane mamuśki.

Tłum wył ze śmiechu.

Przeprowadził quiz, by pokazać, że czarni ludzie znają na wyrywki wszystkie teksty Tupaca, a nie potrafią zaśpiewać narodowego hymnu czarnych⁷, nawet gdyby zależała od tego ich wolność. Zademonstrował, jak zdezorientowani są bracia i siostry, kiedy rozlega się ta pieśń, a wielu wymyśla słowa albo pomrukuje coś, zamiast śpiewać.

⁷ Black National Anthem, pieśń gospel napisana w 1900 roku przez Jamesa Weldona Johnsona, uznana za hymn społeczności afroamerykańskiej - przyp. tłum.

Cała sala trzęsła się, jakby wszyscy od piętnastu minut cierpieli na atak drgawek, a wtedy...

- Kiedy byłem w samolocie, zawołałem: „Przepraszam, pani stewardeso!” - zaczął Leonard. - Ale ta suka miała wygórowane mniemanie o sobie.

Publiczność pokładała się ze śmiechu. Leonard zaczął odgrywać zarozumiałą siostrę. Wybałuszył oczy, wykręcił szyję i kiwając palcem wskazującym, zaczął mówić głosem podniesionym o oktawę.

- Nie jestem stewardesą. Należę do personelu pokładowego. Stewardesa kojarzy mi się z kelnerką, a ja kelnerką nie jestem.

Leonard stanął w aroganckiej pozie, wydał usta i zrobił dzióbek. Widownia szalała. Potem zmienił postawę i zaprezentował drugie oblicze stewardesy. Wykonywał zniewieściałe, przesadnie uprzejme ruchy, mówiąc przy tym bardzo seksownym, gejowskim tonem.

- Co mogę panu podać? Kurczaka czy rybę? Coś do picia? A może poduszkę?

Po sali przetoczyła się salwa śmiechu.

- No i nie była to suka? - zwrócił się Leonard do młodej zakochanej pary siedzącej w pierwszym rzędzie. Chłopak skinął potakująco głową, a wtedy jego partnerka szturchnęła go mocno łokciem.

- Jak ja nienawidzę latać, o ludzie, jak ja tego nie cierpię - kontynuował Leonard. - A tu nagle samolot zaczyna się trząść, o tak...

Nachylił się, zakołysał ciałem i wprawił je w takie wibracje, że jego wargi zaczęły trzepotać. Miał przy tym tak zdezorientowaną minę, że z widowni znów buchnął śmiech.

- Pytam: „Co to jest do cholery?”, a ona wyjaśnia: „To kieszeń powietrzna”, więc ja na to: „Przecież powietrze nie ma kieszeni”. Wtedy ona kazała wszystkim przyjąć pozycję awaryjną. No to włożyłem głowę między nogi. Jej nogi.

Na sali rozległy się nieprzyzwoite westchnienia i okrzyki. Shelby uśmiechnęła się znacząco do Debry, która splonęła rumieńcem. Leonard trzymał całą publiczność w garści.

- A ona krzyczy: „Pozycję awaryjną, powiedziałam!”, więc jej mówię: „To jest pozycja awaryjna. Bo kiedy nastąpi awaria i zaczniemy spadać, chcę być właśnie w takiej pozycji”.

Zaraźliwy śmiech niósł się echem po sali i narastał. Kobiety krzyczały, przybijając sobie piątkę nad stolikami.

- Jaki to ma smak? - zapytał Leonard, oblizując pełne wargi. - To musi być truskawka. To jest truskawka, tak?

Shelby omal nie wylała na siebie zawartości szklanki, próbując powstrzymać się od śmiechu. Trąciła mnie łokciem w żebra, aż ochlapałem się colą. Debra, podrygując ze śmiechu,

nie mogła się opanować i uderzyła tak mocno dłonią w kolano przyjaciółki, że ta aż podskoczyła.

Na twarzy Leonarda malował się szeroki, pełen zadowolenia uśmiech.

- Dobranoc. Dbajcie o swoje dzieci i dbajcie o naszą przyszłość - pozdrowił rozentuzjzmowaną publiczność, która nie chciała pozwolić mu zejść ze sceny. Ukłonił się, uniósł dłoń z palcami rozłożonymi w znaku pokoju i zszedł ze sceny przy wtórze muzyki rapowej i gromkich oklasków.

- On jest szalony - wyła Debra. - Twój przyjaciel to wariat.

Przekrzywiła głowę, zmrużyła oczy i z wycelowanym we mnie palcem wskazującym próbowała naśladować miny Leonarda. Patrząc na jej twarz primadonny, pomyślałem od razu, że jest jeszcze jedną zarozumiałą siostrą z Ladera Heights, która nie pamięta o tym, że jest czarna, bo nikt jej tego nie uzmysłowił.

- Był taki poważny, kiedy się poznaliśmy - kręciła głową Shelby.

- Nie wiedziałam, że go na to stać - uśmiechnęła się Debra.

Chwilę później Leonard dołączył do nas. Debra wstała od stolika i uściśnęła go, po czym przysunęła się z krzesłem bliżej niego.

Leonard nachylił się nad blatem i uściśnął dłoń Shelby. Wtedy to zauważył, że Lisa nas obserwuje i w kąciku jego ust pojawił się nikły uśmiech. Lisa szybko odwróciła wzrok. Leonard przelotnie spojrzał mi w oczy, a ja zapewniłem go kiwnięciem głowy, że to nic wielkiego. Odwrócił się z powrotem do Debry.

- Miło mi, że się zdecydowałyście - powiedział. - Nie zauważyłem, że takie wytworne, ponętne, błyskotliwe Afrykanki mieszkające w Ameryce, ciemnoskóre, inteligentne i seksowne siostry są na sali. Myślałem, że dałyście sobie spokój.

Obie dziewczyny roześmiały się, zbywając jego komplementy machnięciem ręki.

- Mam z tobą do pogadania, bracie - powiedziała Shelby.

- O co chodzi, panno przemądrzała? - spytał Leonard. Shelby pstryknęła palcami. - Ta stewardesa musiała być suką? Parsknęliśmy śmiechem. Byłem zadowolony, że obie dziewczyny mają poczucie humoru.

- Przypomnij mi, żebym oddała ci pieniądze - odezwała się Debra do Leonarda.

- Pieniądze?

- Te, które założyłeś za mnie w Denny's. Kiedy odrzucili moją kartę - Debra wyglądała na zawstydzoną, ale mówiła dalej. - Jesteś bardzo zabawny, panie DuBois.

- Dziękuję, panno Mitchell.

- Ale...

- Ale co? - zapytał Leonard.

- Dlaczego nie usuniesz ze swojego monologu tego słowa na „s”? A właściwie całego fragmentu, w którym tak mówisz o kobiecie. Nie jest źle, kiedy klniesz na całą sytuację, ale to razi, jak wyzywasz czarną kobietę. Takie jest moje zdanie. Kilka sióstr na sali też się wzdrygnęło. Śmiały się, ale było im nieprzyjemnie. Mam nadzieję, że cię tym nie uraziłam.

- Załatwione. I dziękuję ci za szczerość.

- No i nie była to suka? - powtórzyłem, naśladując Leonarda, i wszyscy zaczęliśmy się śmiać.

Na scenie pojawił się Jackson. Leonard obserwował go uważnie. Nim upłynęły dwie minuty jego występu, ludzie zaczęli ziewać, rozmawiać i wychodzić do toalety.

Kiedy Jackson zaczął wykorzystywać cudzy materiał, inni komicy zgromadzili się za jego plecami i w kulminacyjnym punkcie skeczu chórem wykrzykiwali puentę, co jeszcze bardziej psuło ten i tak już nieudany występ.

- No już, chłopie, zabieraj dupę ze sceny - krzyknął ktoś z widowni.

Minutę później wyszliśmy. Idąc gęsiego w stronę wyjścia, przecisnęliśmy się obok stolika Lisy, która popatrzyła na mnie wyzywająco, jakby prosiła, bym zadzwonił. Odpowiedziałem jej gniewnym spojrzeniem typu „pieprz się” i odszedłem w towarzystwie nowych i doskonalszych kobiet. Wydostaliśmy się na parking i przystanęliśmy obok hyundaia Debry.

- No cóż, Leonardzie, dobrze, że nas rozbawiłeś, bo nie sądzę, byśmy wraz z Debrą zniosły dzisiaj jeszcze jedną porażkę - powiedziała Shelby.

- Zły dzień? - zapytał Leonard.

- Śmiech był tym, czego potrzebowałam - Debra skinęła głową.

- Nie można się śmiać i denerwować jednocześnie - powiedział Leonard.

- To prawda - przytaknąłem.

- Ale przynajmniej żaden z was nie padł dzisiaj ofiarą lesbijskich zalotów - burknęła Shelby.

Miałem nadzieję, że rozdzielimy się i pójdziemy w różne strony, ale Leonard zapytał, czy dziewczęta mają ochotę iść do klubu reggae, położonego niedaleko weneckiego nadbrzeża. Zwrócił się z tą propozycją do Debry, aby tańcząc, mogła całkiem uwolnić się od stresu. Nie był to pomysł, który odpowiadał mojemu nastrojowi. Shelby poruszyła się niespokojnie. Wy-

glądała na równie poirytowaną jak ja. Spojrzałem na zegarek. Zbliżała się jedenasta. Wcześniej i późno zarazem. Ale nie za późno.

- Shelby musi iść wcześniej rano do pracy - powiedziała Debra.

- Debra! - zgromiła ją Shelby, marszcząc brwi.

- Mój błąd - bąknęła Debra. - Musiałam cię wcześniej źle zrozumieć.

Debra zaparkowała na wprost wejścia do klubu. Zanim zdążyliśmy przejść przez ulicę, ze środka wyszedł przysadzisty biały mężczyzna w koszulce uniwersytetu stanowego i odciągnął Leonarda na stronę.

Kiedy na niego czekałem, zauważyłem, że Lisa zaparkowała swój samochód obok mojego. Niemal tak blisko, jak blisko byliśmy ze sobą przez ostatnie kilka miesięcy. Splunąłem na jej auto. Plułem raz za razem. Na asfalcie leżało kilka cegieł, pozostałość po ostatnim trzęsieniu ziemi. Patrząc na nie nabierałem ochoty, by urządzić własną klęskę żywiołową.

Leonard rozmawiał z białym mężczyzną, który uśmiechał się, gestykułował i chichotał. Na pożegnanie mocno potrząsnął jego dłonią, poklepał go po plecach, wręczył mu wizytówkę i oddalił się energicznym krokiem.

Leonard był spokojny, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

- Przestań opluwać auto tej dziewczyny - powiedział.

- Plułem na ziemię, ale auto wciąż mi się nadstawiało.

- Przestań. Źle robisz. Wciąż jeszcze to przeżywasz?

- Jest znowu ze swoim mężem. Zaproponowała mi, żeby było tak jak dawniej, a potem miała czelność go tutaj przyprowadzić.

- A ty co? Chcesz się z nią spotykać czy jak?

- Zastanawiam się nad tym. Powinienem pieprzyć ją z czystej złości.

- Nie pakuj się w to. Możesz sobie przez nią nieźle namieszać. Zanim się zorientujesz, jej mąż wyważy drzwi i strzeli ci prosto w głowę.

Splunąłem ostatni raz.

- Kim był ten biały? - zapytałem.

- To facet z CBS. Rozmawialiśmy o przesłuchaniu.

- No to mamy co świętować.

- Czcza gadanina i tyle - odparł Leonard, rzucając wizytówkę na ulicę. - Obietnica nie jest nic warta, dopóki nie zostanie spełniona. Inni bracia wysłuchują takich propozycji co wieczór.

- Co się stało? - schyliłem się po wizytówkę. Leonard kiwnął głową w stronę klubu.

- Miałem dostać stówę za wieczór, ale szefowa zapłaciła mi tylko dwadzieścia pięć. Powiedziała, że ma lekki przestój i musi obniżyć wszystkim gáže.

- Dzisiaj mnóstwo ludzi zapłaciło za wstęp i za drinki.

- To samo dziadostwo, co ostatnim razem. Zamówili mój występ, a potem nie chcieli zapłacić tego, co obiecali.

- Hej, spokojnie - powiedziałem. - Weź głęboki oddech.

Leonard przyglądał ubranie i obejrzał się, by sprawdzić, czy Debra już nadjeżdża. Światło we wnętrzu samochodu było włączone, ale dziewczęta nie ruszały się z miejsca. Przepuszczalnie prowadziły jakąś babską pogawędkę.

- Masz w zasięgu ręki piękną kobietę - powiedziałem. - Wyluzuj.

- Racja, racja.

Przez moment wyglądał, jakby się postarzał. Wyglądał staro, jak jego ojciec, Duży Leonard, kiedy wrócił z wojny w Wietnamie, ubrany w buty z dziurami w podeszwach. To nie był pierwszy raz, kiedy widziałem, jak Leonard daje bombowy show, a potem schodzi ze sceny i zaczyna wątpić w siebie i całe swoje życie. Nieraz się zastanawiałem, gdzie jego komiczna natura ma swój kres. Chyba tak jak my potrzebował wytańczyć z siebie trochę napięcia.

Czułem się nieśmiertelny, ale Leonard był poważny, jak gdyby przytłoczony brzemieniem życia, i wyglądał, jakby nie miał zamiaru żyć wiecznie.

Jackson wypadł z klubu. Pchnął drzwi z takim impetem, że uderzyły o tynkowaną ścianę i ruszył przez parking żołnierskim krokiem. Zatrzymał się kilkanaście metrów od nas i wlepił wzrok w Leonarda. Wyglądał, jakby był gotów wszcząć awanturę.

Oświetliły nas reflektory samochodu. Stałem pomiędzy Leonardem a Jacksonem, uniemożliwiając im kontakt wzrokowy. Wyzywające spojrzenie Jacksona trafiało w próżnię. Splunąłem ponownie na samochód Lisy, zastanawiając się, ile szkody mogłaby wyrządzić jedna cegła.

Debra i Shelby podjechały do nas. Debra miała na twarzy szeroki uśmiech, a Shelby malowała się kredką do ust. Stałem na tyle blisko samochodu, że kiedy Debra opuściła szybę, poczułem woń dwóch rodzajów perfum. Shelby znów popatrzyła na mnie, po czym odwróciła twarz do swej przyjaciółki, jakby czekała na rozwój sytuacji. Pomyślałem sobie, że pszczoły dają miód, ale potrafią też użądlić, kiedy podejdziesz się zbyt blisko.

Leonard realizował swój plan.

- Debro, może ja pojechałbym z tobą, a Shelby z Tyrelem? - zaproponował.

- To chyba nie najlepszy pomysł - natychmiast zareagowała Shelby.

- Nie wygłupiaj się - uciszyła ją przyjaciółka.

Leonard wszedł do samochodu Debry, a Shelby powlokła się w stronę moją. Od momentu, kiedy zamknąłem za nią drzwi, nie odezwała się ani słowem. Siedziała w milczeniu, odsuwając się ode mnie. Nie zwracałem na nią uwagi. Włączyłem radio i znalazłem stację, która puszczała spokojne stare przeboje.

Cofając, spojrzałem po raz ostatni na auto Lisy, którego szyby pokryte były zaciekami mojej śliny.

Chwilę później dotarliśmy do nocnego klubu reggae w Marina Del Rey, gwarnej okolicy pełnej parkingów, sklepów przyozdobionych motywami plażowymi i minicentrów handlowych. Na zatłoczonym parkiecie Leonard i Debra poruszali się w erotycznym transie, wśród rozpalonego do granic hysterii tłumu. Mnie przypadło w udziale niańczenie sekutnicy o czekoladowym ciele.

Tańczyliśmy na uboczu, w spokojniejszym otoczeniu, poruszając się gładko i kołysząc biodrami. Shelby była obdarzona znakomitym wyczuciem rytmu i temperamentem. Kiedy znaleźliśmy się na parkiecie, większość czasu spędziłem, podpierając ścianę, gdyż Shelby raz po raz chodziła do telefonu. Pomyślałem, że pewnie umawia się na randkę z jakimś kochasiem, ale jej gniewne spojrzenie mówiło, że tej nocy nic takiego nie wchodzi w rachubę.

- Nie sprawiasz wrażenia, jakbyś miała ochotę tu zostać - powiedziałem.

- Więc to widać. Po czym poznałeś?

- Twoja mina. Chodźmy na spacer.

Przecisnęliśmy się przez tłum i wyszliśmy na Lincoln Boulevard. Powietrze było chłodne i orzeźwiające. Shelby wachlowała się bluzą, a ja stanąłem pod ścianą i papierową serwetką otarłem pot z twarzy. Spojrzała na zegarek, a potem zobaczyła, że ją obserwuję.

- Nie masz mi za złe, że się tak gapię? - zapytałem.

- Posłuchaj - odparła szorstko. - Dotrzymuję ci towarzystwa, żeby Debra nie pomyślała, że próbuję odgrywać przyzwoitkę.

- Ja tak samo. Byłem skłonny iść do domu po występie.

- Tak jak ja. I nie mam ochoty na żadne bzdury. Chciałabym, żebyś to wiedział, zanim... no wiesz.

- Nie mam zamiaru ci się narzucać. Uwierz mi.

- I dlatego silisz się na taki szpanerski krok. Myślisz, że jesteś czarnym Carym Grantem, czy co?

- To było banalne. Mogłabyś porównać mnie z kimś czarnym?

- Nie. Mogę dotknąć twojego dołka w brodzie?

- Najpierw mi dokuczasz, a potem chcesz mnie dotykać?

- Tylko ten dołek. To nie jest wstydlive miejsce.

- No pewnie. Całkiem miło i elokwentnie sobie poczynasz.

- A ty oskarżasz mnie o banał. Nie jesteś hojny w mówieniu komplementów.

Shelby dotknęła mojej brody, wodząc wokół palcem.

- Jest jak zatoczka na plaży - zauważyła.

Rozmawialiśmy przez chwilę, dla zabicia czasu. Najpierw Shelby powiedziała, jak bardzo cieszy ją to, że Debra wyszła z domu, gdyż zaczynał dokuczać jej stres. Zapytałem, czy mieszkają razem. Zrobiłem to, bo Shelby stwierdziła, że ich wspólne przesiadywanie w jednym pokoju jest szkodliwe dla ludzkości.

- Nie - odpowiedziała. - Pomieszkuję u niej, dopóki nie ureguluję swoich spraw.

Nie mówiła nic więcej na ten temat. Oparła dłonie na biodrach i wybijała palcami łagodny rytm piosenki Boba Marleya. Rozpogodziła się nieco. Zapytała mnie o pracę w dziale marketingu Dan L. Steel Computer Inc. Nie opowiadałem o sobie zbyt wiele. Kobiety tego nienawidzą. Najpierw zadają ci takie pytania, a kiedy na nie odpowiadasz, uważają cię za egoistę.

- Robisz dość imponujące wrażenie - powiedziała Shelby.

- To wyolbrzymione, ale odwzajemnione odczucie.

- To jest krępujące.

- Co?

- Dobieram słowa, zanim coś powiem, bo nie chcę, żebyś pomyślał, że zadaję głupie pytania.

- Pytania to element porozumienia.

- Odpowiedzi też. Faceci zasypują nas pytaniami, ale sami nie udzielają odpowiedzi. A kiedy siostra zada jedno cholerne pytanie, okazuje się ono głupie - zamilkła na chwilę. - Czego szukasz w kobietach?

- Przeskoczyłaś na inny kanał. A więc to jest wywiad?

- Po prostu rozmowa. Czego szukasz?

- Charakteru. Uczciwości.

- Dobra odpowiedź. Zdecydowanie dobra odpowiedź.

Shelby znów zrobiła długą pauzę, nerwowo okręcając wokół palca kosmyk włosów. Robiła to przez cały czas, odkąd zostaliśmy sami.

- Chcesz się wymienić numerami telefonów?

- To było niespodziewane.

- Powiedziałam to, o czym myślałeś.

- Doprawdy? Dzięki za uświadomienie mi, o czym myślę.

- Nie mów, że tak nie było.

- Ostatnia rzecz, jaka przyszłaby mi na myśl.

- To dobrze. Mnie też. Zresztą to nie jest najlepszy pomysł.

- Jesteś pewna?

- Daj mi wizytówkę. Moglibyśmy kiedyś umówić się na lunch czy coś w tym rodzaju. A jeżeli nie, znowu wpadniemy na siebie.

- Prędzej czy później.

- Sądząc po tym, jak Debra i twój przyjaciel chichoczą i dobrze się ze sobą bawią, będzie to raczej prędzej niż później.

Staliśmy, patrząc się na siebie, a nasze spocone twarze omiatał delikatny powiew od Pacyfiku. Tak jakbyśmy poznawali się bez słów

Wciągnąłem w płuca haust rześkiego powietrza. Chciałem odświeżyć umysł, zmobilizować się i zacząć flirtować z Shelby by usidlić tę wyniosłą tajemniczość i obłaskawić kąśliwy charakter.

Na myśl przyszła mi Lisa. Nie potrafiłem już przypomnieć sobie jej twarzy, tej jej miny zwiastującej ekstazę, nie słyszałem jej zziąjanego oddechu, nie czułem paznokci rozdrapujących mi plecy, nie czułem tego języka, który błędził w górę i w dół mojej pachwiny. Wszystko to, co mi dawała, było zasnute chmurami gniewu.

- Kupujesz płyty z muzyką? - głos Shelby wytrącił mnie z zadumy.

- Tak. Większość zamawiam na stronie BMG albo Blockbuster.

- Przy zjeździe ze stojedynki w Sherman Oaks jest sklep detaliczny Tower Records. Coś w tym rodzaju jak Nordstrom's Rack w Chino, Jeżeli chodzi o samą muzykę, można tam zebrać niezłą kolekcję za psie pieniądze. Nowe płyty też. Wstąpiłam tam przy okazji, kiedy kupowałam materac. Wydałam dziesięć dolarów na jakieś osiem płyt.

- Dzięki, że mi powiedziałaś.

- Mówię o tym wszystkim, nie tylko tobie.

- To jest zamiar, jakiego potrzebuję. Masz adres?

- Mogłabym ci go podać przez telefon. Albo poproszę Debrę, by przekazała Leonardowi, a on przekaże tobie. I daj znać, kiedy będziesz się tam wybierał, bo sama chciałabym jeszcze tam wrócić.

- Zostawię Leonardowi wiadomość dla Deby, a ona przekaże tobie. Uznałem swoją odpowiedź za zabawną, ale Shelby się nie śmiała.

Z niecierpliwością zerknęła w stronę klubu. Zrobiłem to samo.

Szyby w oknach trzęsły się od głośnej muzyki. Impreza rozkręciła się na całego. Leonard i Debra stali pod ścianą, ona przodem do niego, bliżej niż blisko. Shelby ziewnęła i pokazała przyjaciółce zegarek, stukając palcem w tarczę. Debra w odpowiedzi pokazała pięć palców i cała jej uwaga oraz bezgraniczny uśmiech skupiły się z powrotem na Leonardzie.

- Debra wygląda na szczęśliwą - powiedziała Shelby, ziewając.

- Tak samo Leonard.

- Debra słyszała od twojego przyjaciela, że masz siostrę bliźniaczkę.

- Tak. Ona też urodziła bliźniaki.

- Dwa małe brzdące?

- W mojej rodzinie rządzą bliźnięta.

- Ja jestem jedynaczką. Szkoda, że nie mam brata albo siostry.

Ziewnęła, przysunęła się bliżej i znów dotknęła mojego dołka w brodzie. Wodziła po nim palcem jak dziecko, które zapoznaje się z nową zabawką. Nie uśmiechała się. Na jej twarzy malowała się powaga i ciekawość.

- Jak go nazywasz? - zapytała.

- Co nazywam?

- Swój dołek.

- Nijak.

- Mogę go nazwać?

- Zrób użytek z wyobraźni.

- Jaskinia Shelby.

8.

Debra

Po tym, jak przebiegłyśmy rano dziesięć kilometrów, Shelby oznajmiła, że ma zamiar objąć się przez cały dzień i urządzić sobie leniwą niedzielę. Dzień był słoneczny, a ja miałam ochotę na odrobinę przyjemności. Musiałam gdzieś wyjść i odetchnąć. Zresztą potrzebowałam trochę wytchnienia od mojej Królowej Pszczół.

Wtedy zadzwonił Leonard i zaprosił mnie na lunch do California Pizza Kitchen w Beverly Center. Umówiliśmy się tam po jego przesłuchaniu. Leonard starał się o udział w programie nadawanym przez CBS.

Cztery razy zmieniałam buty i nie mogłam się zdecydować, jak ułożyć sobie włosy.

W końcu postanowiłam je rozpuścić. Włożyłam dzinsy Guess, sandały w rzymskim stylu i purpurową bluzkę.

Wlałam do baku trochę benzyny i przejechałam przez myjnię, po czym ruszyłam w stronę mieszkania Leonarda na rogu Stocker i Degnan. Skoro już umawiałam się z kimś na randkę, najpierw musiałam zobaczyć, jak mieszka.

W Leimert Park mieściła się kolonia pięknych, jedno- i dwupiętrowych domów, wybudowanych w latach sześćdziesiątych i wcześniej, zanim jeszcze nie zaczęto stosować seryjnych projektów. Prawie wszystkie otoczone były elegancko wystrzyżonymi trawnikami i prezentowały to, co odeszło już w przeszłość wraz z dobrą architekturą. Diabeł tkwi w szczegółach. Jednak niemal każdy budynek miał w oknach żelazne, więzienne kraty. Znamiona naszych czasów i konfrontacja z rzeczywistością.

Leonard zajmował przytulny apartament w mieszczącym dwanaście mieszkań czerwono-brązowym budynku, utrzymanym w hiszpańskim stylu, który miał kształt litery „U”. Zobaczyłam beżowe ściany, łukowe drzwi, wysokie sufity, meble w odcieniu głębokiego brązu i ogromną biblioteczkę zajmującą całą ścianę w salonie. Miał więcej książek, niż kiedykolwiek widziałam u jednego mężczyzny. Jego wszechstronność sprawiła, że poczułam się ograniczona. Leonard uśmiechnął się na mój widok. Zarumienił się i delikatnie wziął w ramiona. Pocałował mnie i powiedział, że pięknie wyglądam. Uśmiechnęłam się. Wtedy pocałował mnie jeszcze raz, tak jak tej nocy, kiedy go poznałam. Nie agresywnie ani pożądliwie. Po prostu miły poca-

łunek na powitanie, ale na tyle namiętny, by rozmazać szminkę. Przez moment poczułam się niezręcznie. Przyszłam sama do mieszkania mężczyzny i właśnie go pocałowałam. Pocałowałam go zbyt wcześnie. Ten związek jest już skazany na zagładę.

- Ładne mieszkanie - powiedziałam. - Masz dużo książek.

- Tak. To mój fetysz. Książki i księgarnie.

- Wiedza i potęga.

- Wiedza jest potęgą.

- Musiałeś wydać majątek w Eso Won - uśmiechnęłam się.

- To moje ulubione miejsce. Czasem stoję tam tak długo, czytając książki, że zaczynam się zastanawiać, kiedy każą mi dorzucić się do czynszu.

- Za co są te trofea?

- Bejsbol i boks.

- Trenowałeś boks?

- W ciągu minuty zdobyłem złote rękawice.

Wyglądał nieźle z kolczykami w obu uszach, ale wciąż byłam przekonana, że wolalbym, aby nosił tylko w jednym. Tak naprawdę najlepiej, gdyby wcale nie nosił.

Na ścianie wisiały zdjęcia. Wszystkie w czarnych ramkach.

- Kim są ci ludzie? - zapytałam.

- To moja rodzina - wyjaśnił. - Ten w mundurze to mój ojciec.

- Wyglądasz dokładnie jak on.

- Dziękuję. A to moja mama, ta w niebieskiej sukience. A reszta to moi bracia i siostra.

Na zdjęciu było czterech braci i siostra. Większość fotografii wyglądała na zrobione przed kilku laty.

- Jesteś najmłodszy?

- Przedostatni - odpowiedział. - Jest jeszcze brat młodszy ode mnie o dwa lata. Najstarszemu stuknęła już czterdziestka.

- A ja mam dwie starsze siostry i młodszego brata - powiedziałam.

- Gotowa do wyjścia? - zapytał.

- A czy mogłabym jeszcze skorzystać z łazienki, zanim wyjdziemy?

- W korytarzu po lewej.

W korytarzu wisiało oprawione zdjęcie Milesa Davisa. Zobaczyłam ścinki włosów w umywalce, nad którą przystrzygał swój zarost. Uśmiechnęłam się. Trochę z żalem, że nie mo-

głam obserwować, jak brał prysznic, golił się i ubierał, że nie mogłam być świadkiem codziennych męskich rytuałów.

Nie musiałam korzystać z łazienki. Po tym numerze, który Bryce wyciął Shelby, postanowiłam obejrzeć dokładnie ściany kabiny prysznicowej Leonarda. To samo zrobiłam z podłogą. Zajrzałam nawet do kosza na śmieci, by upewnić się, że nie ma tam opakowań po wkładkach higienicznych. Spojrzałam na sufit i zlustrowałam dokładnie sedes. Nie znalazłam ani kawałka kobiecego włosa.

Zdałam sobie sprawę ze swojego niepokoju, widząc w lustrze paranoiczne spojrzenie. Przeczesałam dłonią włosy i zajrzałam do szafki z medykamentami. Nie znalazłam tam niczego poza wodą po goleniu Magic Shave, dezodorantem i pastą do zębów Colgate, wodą kolońską Wings i zielonym płynem do nacierania obolałych mięśni. Niczego, co mogłoby sugerować, że powinnam czym prędzej stamtąd czmychnąć. Dla zachowania pozorów spuściłam wodę w muszli, poprawiłam szminkę i wróciłam do salonu.

Czekałam na niego obok stojaka na płyty. Słyszałam, że jest w sypialni, ale nie byłam aż tak ciekawska. Nie zachowywałam się jak mysz, która szuka sera. Cokolwiek tam jednak robił, zajmowało mu to już dłuższą chwilę, więc wychyliłam się lekko, próbując dojrzeć, co się dzieje. Miałam przyjaciółkę, która przyszła w odwiedziny do brata, którego właśnie poznała, a on wyszedł do niej ze swej sypialni całkiem nagi. Odetchnęłam i zrobiło mi się głupio, kiedy zobaczyłam, że Leonard sprawdza, czy wszystkie okna są zamknięte i opuszcza rolety.

- Mogłabym wziąć sobie trochę wody? - zapytałam.

- Nie krępuj się.

W zlewie stało siedem czy osiem szklanek. Nie zauważyłam śladów szminki na obrzeżach żadnej z nich. Butelka wody mineralnej stała obok kuchenki mikrofalowej. Nalałam sobie pół szklanki i próbowałam ugasić w sobie to szaleństwo. Upłynęło wiele czasu, odkąd czułam cokolwiek do mężczyzny. Zbyt wiele. I dlatego zrobiłam się taka lękliwa. No i pięknie. Znow musiałam poprawić szminkę.

- Powinieneś zostawić radio ustawione na jakąś stację informacyjną doradziłam.

- Dlaczego?

- Przez cały czas będzie słyhać jakieś głosy. To sprawia wrażenie, jakby ktoś był w środku.

- Świetny pomysł. Nie wpadłem na to.

- Zostaw też włączone światło w przedpokoju.

- Nie będzie mnie aż tak długo? - zachichotał. - Wygląda na to, że zamierzasz mnie uprowadzić.

Zarumieniłam się. Poczułam się, jakbym miała ochotę na jeszcze jeden przelotny pocałunek.

Wskoczyliśmy do jego toyoty i przejechaliśmy przez miejską część La Brea, a potem przecięliśmy żydowską dzielnicę San Vincente. Droga prowadziła do Fairfax i mieszczącej się tam dzielnicy etiopskiej. W powietrzu unosił się zapach miejscowej kuchni.

- Próbowalaś kiedyś etiopskich przysmaków? - spytał Leonard.

Spojrzałam na afrykańskie sklepy mieszczące się naprzeciw baru Carl's Jr. i pociągnęłam łyk wody z butelki.

- Nie miałam tej przyjemności - odparłam.

- Moglibyśmy czasem spróbować. W niektórych restauracjach mają w weekendy muzykę na żywo.

- Niezły pomysł - uśmiechnęłam się, słysząc, że planuje coś na przyszłość. - Jestem ciekawa, jak wygląda takie przesłuchanie.

- Oglądają nas i obszturchują jak bydło. Spędzasz pół minuty w jednym pokoju z kimś, kto ma w rękach twoją przyszłość, i żyjesz nadzieją, że przepchnie cię do kolejnego etapu.

- To jest władza.

- No jasne.

Weszliśmy do biurowca stojącego na skrzyżowaniu Fairfax i Melrose. Słowo daję, zobaczyłam tam około setki czarnych mężczyzn o różnych odcieniach skóry, w swobodnych strojach, którzy wyglądali tak, jakby spóźnili się na autobus dowożący uczestników marszu miliona mężczyzn.

Rozpoznałam kilka twarzy, które widziałam w telewizji albo w kinie. Sala była wypełniona ludźmi oczekującymi na tych, którzy ich obejrzą i zdecydują o ich czarnym losie. Miałam nerwy napięte jak postronki, chociaż nie czekałam na przesłuchanie.

- Na pewno spóźnimy się na lunch - oświadczył Leonard.

- Nie ma sprawy - poklepałam go po dłoni. - Najpierw sprawy zawodowe.

Leonard skinął głową bratu, który właśnie pojawił się w drzwiach. Tamten zauważył go, ale nie odpowiedział. Jego opryskliwe zachowanie mnie zaskoczyło.

- Kto to był? - zapytałam.

- Jackson. Jeden z komików.

- Ach, tak. Został wygwizdany podczas występu.

Miał na sobie ten sam strój co wtedy. Sportowe buty, luźny podkoszulek i workowate spodnie.

- Na czym polega jego problem?

- Przestał się starać, kiedy odpadł z naboru do jakiegoś programu w stylu *In Living Color*.

- Tamtego programu już nie ma. To było dawno temu.

- Niektórzy ludzie nigdy nie podnoszą się z upadku.

Przypomniała mi się pewna zgorzkniała czarna kobieta, która nigdy nie otrząsnęła się z bólu. Blizny pozostały.

- Kto go pokonał?

- Lepszy okazał się brat w stylu Tommy'ego Davidsona.

- I co się stało?

- Jackson wpadł we wściekłość, kiedy producenci i jurorzy się nie śmiali i odrzucili jego program. Usiłował obsikać brata, który przypominał trochę Keenana Wayansa.

- Co?

- Jest bardziej szalony niż naćpany pracownik poczty.

Leonard znalazł dla nas trochę miejsca i zaczął powtarzać scenariusz. Był skupiony, błyszczał dowcipem.

Pojawił się ubrany w dżinsy i podkoszulek biały mężczyzna, który wyglądał jak młody Danny DeVito. Spojrzał na mnie z uśmiechem. Przysunęłam się bliżej Leonarda. Mały człowieczek podszedł do mnie.

- Co ty tu robisz? - Jego piskliwy głos omal nie wywołał u mnie ataku śmiechu.

- Jestem z nim.

- Mówiłem do niego.

Zorientowałam się, że nie patrzy na mnie. Miał zeza i kiedy nie patrzył na nikogo, sprawiał wrażenie, jakby patrzył na każdego.

- Cześć - odezwał się Leonard, odrywając wzrok od scenariusza.

- Co tu robisz? - powtórzył mały człowieczek.

- Czekam.

- Na casting do pilota *Brother, Brother*?

- Tak. Mówiłeś, żebym się na to zgłosił, prawda?

Niski mężczyzna ściszył głos, ale jego szept brzmiał donośniej, niż gdyby mówił normalnie.

- Te dziwolągi są na pięć albo mniej. Ty jesteś jednostką rzeczywistą⁸.
- Nie ma sprawy.

⁸ Aluzja do postaci algebraicznej liczb zespolonych - przyp. tłum.

Mężczyzna kiwnął na Leonarda, by poszedł za nim. Oparłam się o ścianę. Leonard obrócił się i uśmiechnął w moją stronę. Naśladował kaczy chód białego i zrobił komicznego zeza. Zachichotałam, splonęłam rumieńcem i pokazałam mu uniesiony kciuk. W tym momencie Jackson podniósł się z krzesła i wpadł na Leonarda. Zderzył się z nim tak mocno, że z jego twarzy znikł uśmiech. Na widok tego grubiaństwa poczułam ból. Na usta cisnęły mi się plugawe słowa i wykrzywiłam paznokcie niczym szpony. Nie zdawałam sobie sprawy, że moje uczucie do Leonarda jest tak silne. Byłam gotowa bronić go przed facetem większym od nas obojga.

- Wybacz, bracie - zachichotał Leonard. - Nie miałem zamiaru cię potrącić. Proszę, przyjmij moje najszczęszone przeprosiny.

Leonard wyciągnął do niego dłoń, ale Jackson ani drgnął. Trzymając scenariusz, przeszedł na drugą stronę pomieszczenia i wmieszał się w tłum zaczytanych ludzi na pięć albo mniej, cokolwiek miało to oznaczać. Niemal każda z twarzy była naznaczona desperacją.

Znalazłam sobie trochę miejsca i usiadłam na podłodze. Rozluźniłam się, zamknęłam oczy i zaczęłam w myślach odmawiać modlitwę za swoją rodzinę, nie wyłączając Leonarda i jego marzeń, Shelby, a nawet Tyrela. Ktoś usiadł obok mnie, więc odsunęłam się trochę, nie przerywając modlitwy. Byłam tak zajęta błaganiami, aby ktoś opiekował się Ericką, tak nieobecna, że nic innego się nie liczyło. Osoba, która siadła obok, przysunęła się bliżej, napierając na mnie. Uniosłam głowę. To był Jackson. Zalatywało od niego zatęchłym tytoniem i tandetnym płynem po goleniu. Przysunął się jeszcze bliżej.

- Masz jakiś problem? - zapytałam.

- Chcę cię zaprosić na obiad.

- Co?

- Na dupka, z którym tu przysłaś, nie masz co liczyć - powiedział. - Potrzebujesz prawdziwego mężczyzny. Chodźmy stąd. Masz takie ładne usta.

Poczułam się naga. Miałam ochotę dać mu w mordę, ale moja ręka zastygła przyciśnięta do ust.

Kilku siedzących obok ludzi słyszało, co powiedział, ale nikt się nie odezwał ani nic nie zrobił. Jakiś głupek parsknął śmiechem. Jego idiotyczny chichot dopełnił mego upokorzenia. Inni nie zwracali na nie uwagi, zajęci sobą, z nosami wetkniętymi w głupie scenariusze.

Wstałam i pędem ruszyłam w stronę stojącego na końcu korytarza wodotrysku. Cały czas próbowałam naśladować pewny siebie krok Shelby, ale efekt moich starań był mizerny. Zaciśnęłam zęby i żałowałam, że nie jestem Shelby, że nie mam w sobie ani grama jej odporności i że nie potrafię jak ona posługiwać się rysztozkowym słownikiem.

Napiłam się wody, ale nie zdołałam ugasić w sobie burzliwych uczuć ani zmyć upokorzenia. Otarłam gniew, który objawił się pod postacią kropelek potu nad moją górną wargą. Wytarłam w spodnie wilgotne dłonie. Pocierałam nimi tak długo, aż poczułam gorąco.

Jackson nie odrywał ode mnie wzroku. Uśmiechał się triumfalnie i machał językiem jak chorągiewką.

Odwróciłam się plecami do całego tego świata i zaczęłam oskubywać skórki z lewej dłoni. Stałam z opuszczoną głową, nie odzywając się do ludzi, którzy zagadywali mnie przyjacielsko. Wzburzenie popychało mnie, bym szła bezwiednie, aż w końcu rozdygotana stanęłam w promieniach słońca.

9.

Shelby

Tak, zadzwoniłam do Tyrela. Zaraz po tym, jak Debra wyszła na spotkanie z Leonardem, kiedy tylko zatrzęsnęły się za nią drzwi, zrzuciłam z siebie kołdrę i podbiegłam do telefonu. Gawędziliśmy przez chwilę, a ponieważ on okazał się mało domyślny, zaproponowałam wprost, abyśmy wybrali się do kina albo odetchnęli świeżym powietrzem na wybrzeżu. Jak przyjaciele. Dałam mu to wyraźnie do zrozumienia. Gdyby spodziewał się czegoś więcej niż moje towarzystwo i niezobowiązująca rozmowa, byłoby to wielkie nieporozumienie.

Kiedy Tyrel przyjechał po mnie, był ubrany w czarny nylonowy dres z kapturem i sportowe buty Nike. Wyglądał jak niedzielny biegacz. Z przodu jego czapki widniał duży napis „Just Do It!”. Włożyłam krótkie dżinsowe spodni i obszerną, różowo-zieloną bluzę, która nadawała mi kobiecy i swobodny wygląd. Nie pytając brata, czy ma coś przeciw zapachowi

moich stóp, zdjęłam buty i skarpetki, po czym oparłam nogi na desce rozdzielczej. Rzuciłam swoją czapkę na tylne siedzenie i pozwoliłam, aby przyjemna morska bryza rozwiewała mi włosy. Rozkoszowałam się jazdą po nadmorskiej autostradzie, podjadając jogurt truskawkowy i słuchając Marvinu Gaye.

- Dokąd chcesz jechać? - spytał Tyrel.

- Jedź, póki się nie zmęczysz.

- Debra nie chciała się z nami zabrać?

- Wyszła na spotkanie z Leonardem.

Mieliśmy radio nastawione na stację grającą stare przeboje, ale wyłączyłam je, byśmy nie musieli przekrzykiwać muzyki. Prowadziliśmy ożywioną rozmowę. Kilkakrotnie wzrok Tyrela spoczął na moich nogach. Kiedy spotykały się nasze oczy, patrzył na mnie delikatnie i badawczo. Byłam ciekawa, co wtedy widział. Opuściłam zasłonę przeciwsłoneczną, by sprawdzić w lusterku, czy coś nie wystaje mi z nosa. Potem potarłam dłonią skórę i roześmiałam się.

- Co cię rozbawiło? - zapytał.

- Kiedy chodziłam do pierwszej czy drugiej klasy, dolewałam sobie wybielacza do kąpielni. Wcierałam go sobie w skórę.

- Po co?

- Uważałam, że jest zbyt ciemna - wyjaśniłam, po czym zapytałam: - Z jakimi siostrami się umawiasz?

- Dużo blasku, a żadnej głębi - zachichotał.

- Zawsze trafiam na braci, którzy są marzycielami, a nie ludźmi czynu. Takich, którzy się zaprzyjaźniają, a potem zdradzają. Facetów bez charakteru.

Po dwóch godzinach od chwili, kiedy minęliśmy Santa Barbara, Tyrel wiedział wszystko o mojej rodzinie, i vice versa. Jego matka mieszkała w Chicago, a moja w niebie. Jego ojciec był dziwkarczem, ja swojego nigdy nie poznałam. Rozmowa o rodzicach sprawiła, że stałam się ostrożna. Zaczęłam rozmyślać i kalkulować.

- Ilu znałeś w dzieciństwie kolegów, którzy mieli matkę i ojca? - zapytałam. - Chodzi mi o naturalnych rodziców, nie o macochę czy faceta, który akurat zaspokaja matkę, dopóki nie pojawi się następny.

- To trudne pytanie. Moi rodzice byli razem.

- Nie liczy się. Niewierność jest podstawą do dyskwalifikacji.

- Liczy się.

- No dobra, zaliczam. A ilu spośród tych rodziców było wciąż aktywnych seksualnie ze sobą i to wyłącznie ze sobą?

- Monogamicznych?

- Tak.

- To trudniejsze niż rachunek różniczkowy.

- Nie wiem, co to jest rachunek różniczkowy.

- No dobra. Trudniejsze niż finałowe pytanie w *Jeopardy*.

- To do mnie przemawia. A co ze starymi Leonarda?

- Jego ojciec został postrzelony w Wietnamie.

- To przykre.

- Podawano mu jakiś narkotyk na uśmierzanie bólu, a potem jakieś inne środki, aby go odzależnić, jeśli istnieje takie słowo...

- Teraz już istnieje.

- A więc, aby odzależnić go od tego pierwszego. Mówiąc krótko, przedawkował.

- Jaki on był?

- Przed wojną uprawiał boks.

- A jego matka?

- Często znikwała bez wieści. Czasem Leonard dzwonił do mnie w środku nocy i szukaliśmy jej po całym Western Boulevard.

- Na Western nie ma nic poza motelami i baremi.

- Otóż to. Właśnie tam można było w środku nocy znaleźć matkę Leonarda.

- A jego bracia?

- Ich to nie obchodziło. Pozostawiałem ja, Leonard i moja siostra Mye. Pakowaliśmy się do auta i wyruszaliśmy na poszukiwania. Potrafiła być tak pijana, że aż strach.

- Czy ona żyje?

- Tak. Mama Leonarda jest teraz bardzo porządna. W każdym razie dość często taka jest. Ale ani on, ani żaden z jego braci nie utrzymuje z nią kontaktu.

- Dlaczego?

- Poczucie krzywdy i wyższe aspiracje.

- Moja mama nigdy się nie szlajała, ale pracowała na dwóch etatach, więc rzadko ją widywałam. Pracowała wieczorami, więc nigdy nie bywała na moich szkolnych uroczystościach

jak mama Debry. Nie przyszła nawet na mój bal maturalny. Musiała zarabiać na nasze utrzymanie.

- Byłaś dzieckiem biegającym z kluczem na szyi?

- Jak wszyscy inni, których znałam - uśmiechnęłam się, nadając swojej twarzy radosny wyraz i udając, że nie chce mi się płakać. Tyrel dotarł do miejsca, o które inni bracia nigdy nawet nie pytali. Żyłam z Bryce'em od miesiący, a on nigdy nie zadał mi pytania związanego ze mną. Niewielu to robiło. Chyba nikt nie zabiegał specjalnie o taką chwilę szczerości, nikt nie przystanął, by poznać moje wnętrze. Nikt nie zwracał się do mnie takim zatroskanym tonem jak ten siedzący obok mnie seksowny czarny mężczyzna, który zaczynał mnie podniecać.

- Musiałam wychowywać się sama. Cały czas byłam w domu Debry. Przez większość czasu.

Nie powiedziałam, że tyle u niej przesiadywałam, bo kiedy mama nie pracowała, musiała mieć jakieś towarzystwo i męczyło mnie słuchanie odgłosów ich nocnych zabaw. Męczył mnie widok półnagich obcych mężczyzn siedzących rano przy naszym kuchennym stole. Pamiętałam twarze ich wszystkich. Żaden nie zostawał na dłużej. Marzyłam wtedy, by jeden z nich poślubił moją mamę, bym mogła nazywać go tatą, a w formularzach, które wypełniałam w szkole, nie musiała zostawiać pustej rubryki na informację o ojcu. Nigdy o tym nie mówiłam. Nigdy nie mówiłam o tym, jak niczyja się czułam, dopóki nie poznałam Debry. Nigdy nie opowiedziałam o tym żadnemu mężczyźnie. I nigdy nie powiedziałam niczego takiego, przez co mama krzywo by na mnie popatrzyła.

- A jak układają się twoje relacje z ojcem? - zapytałam, wciąż jeszcze błądząc myślami wśród marzeń z dzieciństwa.

- Sztucznie.

- Kontaktujesz się z nim?

- Nie. Nie rozmawiałem z nim od dłuższego czasu. Westchnęłam ciężko.

- O co chodzi? - zapytał Tyrel.

- Nic. Ja tam żałuję, że nie mam ojca, do którego mogłabym czasem zadzwonić, kiedy jest mi ciężko. Prezentujesz typowo męski punkt widzenia. Powinieneś się do niego odezwać.

- Zbyt wiele wydarzyło się w przeszłości.

- Nie mogło być aż tak źle.

- Pewnej nocy długo nie wracał do domu. Była to jedna z tych nocy przepełnionych odgłosami strzałów, policyjnych syren i helikopterów.

- Prawie każda noc jest taka.

- Tak. Ale z jakiegoś powodu mama szczególnie się wtedy martwiła. Obudziła mnie i posłała razem z Bliźniaczką do sklepu. I co tu dużo mówić, nakryliśmy go tam z inną kobietą. Byli na zapleczu, całkiem nadzy i robili to właśnie na leżance. W telewizji występował Johnny Carson, a obok stała butelka z resztką wina.

- Nie gadaj! Matka się dowiedziała?

- Nie ode mnie. Mye jej powiedziała. Ojciec błagał ją, by tego nie robiła, obiecywał, że kupi jej mustanga kabrio, ale ona powiedziała mu, gdzie sobie go może wsadzić, i zrobiła skandal na całą rodzinę. Potem była wściekła na mamę, że nie chce odejść od ojca. Doprowadziło to również do spięcia między mną a matką. Myślała, że stanąłem po jego stronie. A ja chciałem być neutralny, ale jeśli w sytuacjach takich jak ta nikogo nie potępiasz, uznają cię za współwinnego.

- Przyłapaliście własnego ojca z inną kobietą. To żenujące.

- Zmienia sposób, w jaki go postrzegasz.

- Domyślam się. Ale dla mnie nie byłby to powód, żeby się do niego nie odzywać - uznałam, a po chwili milczenia zapytałam: - Czy zdradziłeś kiedyś którąś ze swoich dziewcząt?

- Zdarzało mi się coś na boku przy niektórych, jeśli nie przy wszystkich.

- Coś w stylu twojego ojca?

- Nie byłem żonaty.

- I nie spotkało to twojej matki. Myślę, że na tym polega różnica. Zapadła cisza.

- Jakie było twoje dzieciństwo? - zapytał po chwili.

- Zapomogi i bony żywnościowe. Nic niezwykłego. A twoje?

- Mój stary przyjmował bony żywnościowe i pieniądze z zasiłków w swoim sklepie.

- No widzisz? Byliśmy sobie potrzebni - powiedziałam. - Lubię cię. Jako przyjaciela. Jesteś w porządku.

- Nawzajem.

Nagle zorientowaliśmy się, że od domu dzielą nas cztery godziny jazdy. W San Luis Obispo zjechaliśmy z autostrady numer sto jeden i klucząc bocznymi drogami, odwiedziliśmy kilka małych rodzinnych winnic. Po szybkim zwiedzaniu i degustacji kupiliśmy trzy butelki najśłodsze wino, jakie kiedykolwiek piłam.

Dojechaliśmy do Hearst Castle, a stamtąd skierowaliśmy się w stronę oddalonego o jakieś trzydzieści pięć kilometrów Morrow Bay. W tym przyczajonym nad brzegiem oceanu mia-

steczku pachniało owocami morza, a echo niesło krzyki mew i szum fal uderzających o plażę. Było tam uroczo aż do granic dobrego smaku. Takie nadmorskie Mayberry⁹, gdzie roilo się od sklepów ze sprzętem do surfingu i turystyki rowerowej. Nie sprzedawali tam ani jednej rzeczy przeznaczonej dla czarnych. Mam na myśli prawdziwych czarnych. Tamci dwaj, których spotkaliśmy, nieśli deski surfingowe i zwracali się do Tyrela per „koleś”. Obaj byli w towarzystwie szczupłych blondynek i nadmiar słonej wody w ich diecie miał zastąpić towarzystwo sióstr.

⁹ Nazwa fikcyjnej miejscowości w Karolinie Północnej, która pojawiła się w dwóch amerykańskich serialach telewizyjnych. Dzięki ich popularności nazwa ta stała się synonimem spokojnego prowincjonalnego miasteczka - przyp. tłum.

Panował tam europejski styl. Było tak spokojnie, romantycznie i pogodnie, że miałam ochotę wziąć Tyrela za rękę i położyć mu głowę na ramieniu. Okolica ujmowała swym pięknem i urokiem. Główną atrakcją stanowiło ogromnych rozmiarów skaliste wzgórze, które znajdowało się w części miasteczka przypominającej półwysep. Zaparkowaliśmy tam, podobnie jak robili to wszyscy.

- Tyrel?
- No.
- Kiedy masz urodziny?
- Dziewiątego lipca.
- Kłamiesz.
- Nie mam powodu, by kłamać.
- Ja mam siódmego.
- Więc chyba możemy urządzić imprezę Raków.

Przez chwilę obserwowaliśmy ludzi, którzy patrzyli na wielkie wzgórze wrzynające się w ocean.

- Jak myślisz, dlaczego oni wszyscy ściągają tutaj, by gapić się na tę skałę? - zapytałam.
- Bo ona wygląda jak wielka czarna pierś.
- Typowy facet.
- Przecież pytałaś.
- A owszem.
- O czym myślisz?
- Zastanawiam się, jak wielki musiałby być sutek.
- Typowa baba.

- Przecież pytałeś.

Postawiliśmy samochód naprzeciw betonowego pacholka. Słupek sterczał pionowo na metr i miał jakieś dwadzieścia centymetrów średnicy. Imponujący. Twardy. Prosty. Poczułam mrowienie w piersiach, które domagały się, by ktoś je pocałował i popieścił. Czuję się tak przez większość drogi wzdłuż wybrzeża. A teraz uczucie to przybrało na sile z powodu martwego kawałka betonu. W tym momencie rzucił mi się w oczy napis widniejący na czapce Tyrela: Just Do It! Przyłapałam się na tym, że oblizuję wargi i bezwiednie zaciskam uda. Przełknęłam ślinę i usadowiłam się wygodniej na fotelu.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak. Wsiądźmy, żeby rozprostować nogi.

Spacerowaliśmy nad urwiskiem, które wychodziło wprost na ocean. Obejrzałam się, by popatrzeć na skałę, której wierzchołek nikł w pochmurnym niebie. Chyba ogarniała mnie jakaś obsesja. Otaczające wierzchołek obłoczki przypominały mi swym wyglądem kępę puszystych włosów łonowych. Wykręcając szyję, rozmyślałam o tym, co znajduje się wyżej, i aż zaczęłam pojękiwać w wyobraźni. Tyrel wpatrywał się w skałę z takim samym napięciem jak ja. Chrząknął, obrócił się w miejscu, a jego oczy raz za razem natrafiały na moje. Miał poważną minę.

- O czym myślisz? - zapytałam.

- O niczym.

Odwrócił wzrok, a jego myśli poszybowały w dal. Rozejrzałam się dookoła.

Przyglądałam się ludziom, którzy przejeżdżali albo przechodzili obok restauracji serwującej owoce morza. Większość z nich nosiła wiatrówki, szorty, żeglarskie buty. Wszyscy byli opaleni i wyglądali na zamożnych.

- Jak się czujesz? - zapytał Tyrel.

- Świetnie. Wino, którego próbowaliśmy, wzmacnia pragnienie.

- Wino pobudzające pragnienie?

- Tak. Pragnienie - wyszeptałam delikatnie, uśmiechając się.

Ponieważ Tyrel nie próbował naruszyć mojej przestrzeni, to ja nachyliłam się do niego, przytknęłam palec do jego twarzy i zakręciłam nim w środku Jaskini Shelby. Uśmiechnął się, a ja poczułam przyjemne mrowienie.

- Można gdzieś tutaj kupić jakiś dres? - spytałam.

- Zimno ci?

- Trochę. Ale bywało gorzej. I chciałabym się napić ziołowej herbaty. Widziałam jakieś centrum handlowe w Obispo.

- Jest przy Madonna Road.

- Gdziekolwiek.

- Dobra - przeciągnął się Tyrel. - Powinni też mieć tam jakiś bufet.

- Nie masz nic przeciwko zakupom w towarzystwie kobiety?

- Nie, jeśli się zmieścisz w dwóch godzinach.

- To przyzwoity kompromis - uśmiechnęłam się. - No cóż, przyjacielu. To był wspaniały dzień. Chcę ci za niego z góry podziękować.

- Kiedy zechcesz, przyjaciółko. Ciekawe, jak tam u Leonarda i Debry.

- A kogo to obchodzi? Takie z nich zakochane gołąbki, że aż mdli.

- To prawda.

Idąc wzdłuż sklepów, zatrzymaliśmy się w dwóch miejscach. Kupiłam prosty szary dres i przybory do czyszczenia zębów. Czułam w ustach niesmak i musiałam coś z tym zrobić, nie chcąc powalić wszystkich dokoła swoim oddechem. Tyrel miał chyba ten sam problem, bo kiedy przymierzałam bluzy, pobiegł również kupić sobie szczoteczkę i pastę.

Był to całkiem przyjemny kompleks handlowy, przylegający do hotelu Embassy Suites. To właśnie tam zatrzymaliśmy się na herbatę. Zeszliśmy po schodach na otoczony drzewami dziedziniec, położony na wprost wejścia do hotelu. Nad nami ludzie wchodzili i wychodzili z pokoi. Niektórzy nieśli walizki, z czego wywnioskowałam, że właśnie się wymeldowują i wracają tam, skąd przyjechali. Tyrel patrzył na tę samą parę starszych białych ludzi, których obserwowałam, kiedy zmagając się z bagażami opuszczali swój pokój.

- Czyż nie wyglądają na szczęśliwych? - zapytałam.

Tyrel spojrział na mnie i uśmiechnął się. Odpowiedziałam mu tym samym.

Rozdarłam saszetkę z miodem, który zamierzałam dodać do herbaty. Trochę lepkiej słodkiej mazi wyciekło mi na palec, więc uniosłam go do ust i oblizałam. Wtedy zauważyłam, że Tyrel mi się przygląda. Była to jedna z tych rzeczy, które robiłam bez zastanowienia, nie zdając sobie sprawy z nasuwających się skojarzeń. To tak, jakbym nagle zorientowała się, że jedząc banana, wsuwam go sobie w otwarte usta. Albo, co gorsza, ssała bądź lizała loda na patyku w obecności mężczyzny. Były to rzeczy, których, jak mawiała Debra, nie przystoi robić publicznie.

Jednak Debry przy mnie nie było. Ponad trzysta kilometrów dzieliło mnie od wszystkich, których znałam. I od wszystkich, którzy znali mnie.

Nabrałam na palec jeszcze trochę miodu i znów go zlizalam. Potem nalałam jeszcze więcej, dużo więcej, i pozwoliłam, by ściekał. Tyrel nachylił się, chwycił moją dłoń i oblizał. Nie opierałam się. Udawałam, że nic wielkiego się nie dzieje. Zresztą żadne z nas nie dało po sobie niczego poznać. Czekałam na rozwój wypadków. Moje piersi nabrzmiwały, aż poczułam, że stają się tak wielkie jak wzgórze, które widzieliśmy w zatoce. Zacisnęłam zęby, by powstrzymać jęk, który wzbierał mi w gardle. Powtarzałam w myślach „Oddychaj, dziewczyno, oddychaj”.

- Co robisz, przyjacielu? - zapytałam, a mój głos zrobił się niski i chrapliwy.

- Naprawdę chcesz być moją przyjaciółką?

- Opuść sobie te bzdury.

- Opuuszczam.

- O czym teraz myślisz?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Nie bądź nieśmiały.

- To może nie być stosowne wśród przyjaciół.

- Nigdy się nie dowiesz, póki nie zapytasz.

Wciąż ściskając moją lepką dłoń, wstał i pociągnął mnie za sobą. Myślałam, że wracamy do samochodu, ale szliśmy w stronę windy.

- Dokąd się wybieramy? - spytałam.

- Podziwiać krajobraz. Sprawdźmy, jaki jest widok z góry.

Przez moment wychylaliśmy się przez poręcz tarasu i wtedy Tyrel otoczył mnie ramionami. W moich ustach panowała susza niczym w San Bernardino, a wnętrza dłoni tak mi się pociły, jakby ktoś odkręcił kran. Patrzyliśmy na ludzi, którzy chodzili między sklepami a hotelem. Minęła nas latynoska pokojówka, pchając swój wózek. Zatrzymała się przed jednym z pokoi, zapukała do drzwi, po czym zadzwoniła pękiem kluczy i znikła w środku. Tyrel wziął mnie za rękę i pociągnął w tamtą stronę.

- Co robisz? - zapytałam.

- Chodź ze mną.

Kobieta, którą zastaliśmy w pokoju, była w średnim wieku, niska i pulchna, o przyprószonych siwizną skroniach. Na jednym z podwójnych łóżek leżała rozgrzebana pościel, drugie było nietknięte. Pokojówka uśmiechnęła się do nas.

- Och, przepraszam - powiedział Tyrel. - Nie zdążyliśmy się jeszcze wyprowadzić. Czy mogłaby pani wrócić później?

- Za ile?

- Jakies dwie godziny. A dostalibyśmy jakieś świeże ręczniki? Kobieta skinęła głową, podała nam ręczniki i wyszła. Ot tak, po prostu, bez zastanowienia kupiła bajeczkę Tyrela.

Tyrel wywiesił na zewnętrznej klamce znaczek z napisem „Proszę nie przeszkadzać” i zamknął za nią drzwi. Byłam przerażona. Jak ja się tu znalazłam? W San Luis Obispo, w cudzym pokoju hotelowym. Drżałam cała, od palców u nóg aż po końcówki włosów.

- No i co teraz? - odezwałam się.

- Pragnienie - odparł z uśmiechem.

- Co?

- Po prostu pragnienie.

Ujął moją twarz w dłonie i pocałował. Poczułam się jak w niebie. Było mi tak dobrze, że zaczęłam się miotać i drobić nogami. Tyrel całował mnie przez jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. Omotał mnie swoją zniewalającą namiętnością. Dotykał moich piersi, jakby były najwspanialszą rzeczą od czasu wynalezienia pieczywa tostowego. Jego dłonie błędziły po całym moim ciele, jakby był Kolumbem szukającym tego, czego Kolumb mógł szukać.

- Możemy trafić do więzienia za takie wtargnięcie do pokoju - powiedziałam.

Zamknął mi usta pocałunkami i przycisnął do mnie całe ciało, zataczając krocem małe kręgi. Był taki twardy, że zapomniałam o betonowym słupku, który widziałam przed paroma chwilami.

- Przestań - jęknęłam. - Nie mamy żadnego zabezpieczenia.

Z saszetki z przyborami do mycia zębów wyjął paczkę prezerwatyw. Kiedy przymierzałam dres, wymknął się do pobliskiego sklepu i wrócił lepiej wyposażony niż harcerzyk przed wycieczką.

Całował mnie jeszcze namiętniej i delikatnie gryzł po karku. Lekkie, przyjemne ukąszenia sprawiły, że zaczęłam pomrukiwać i wzdychać. Zatraciłam się w tych doznaniach. Podniecało mnie to, że zakradliśmy się do pokoju podstępem.

- Nadal chcesz być moją przyjaciółką? - wyszeptał.

- Tak. Przyjaciółką. Kochanką. Wszystkim.

Ściągnęłam mu kurtkę, posadziłam go i zdjęłam z niego resztę ubrania. Potem sama zaczęłam się rozbierać, powolnymi i opanowanymi ruchami. Zdjęłam różowo-zieloną bluzę i upuściłam na podłogę. Patrzył, jak wyslizguję się z nisko wykrojonych spodni, jak z łatwością zrzucam buty i skarpetki. Jego wymierzony we mnie dyszel unosił się i opadał, jakby chciał wskazać godzinę szóstą. Moje rozpalone ciało modliło się o choćby odrobinę tego rytmu. Poczulałam wyuzdane pragnienie, by skosztować, jak smakuje jego czarodziejska różdżka. Żałowałam, że nie mam pod ręką jednej z butelek wina, które kupiliśmy, że nie mogę go skropić i delektować się i delektować. Potem pocałowałam go, dzieląc się smakiem aperitif, jaki pozostał w moich ustach. Położyłam go na plecach i dosiadłam, lecz nim zdążyłam się poruszyć, pieścił już ustami moje piersi. Ten dotyk ciepłego języka był cudowny. Smakował moje sutki, ssał je, skubał i kąsał.

Poruszałam się tak, jakby typowy seks stał się niemodny. Wyzwoliłam całą energię i popuściłam wodze fantazji. Straciłam nad sobą kontrolę, ale jak w piosence En Vogue, miałam do tego prawo i właściwie to wykorzystałam. Kołysałam się w tył i w przód, i w przód, i w tył, czując, jak pęcznieje we mnie jego męskość. Docierały do mnie jęki, które sama wydawałam. Zawodzącym głosem wypowiadałam jakieś słowa, mówiąc mu, jak bardzo go podziwiam. Jak podziwiam jego słabości. Jak podziwiam wszystko to, co sobą reprezentuje.

- Co lubisz najbardziej? - wyszeptał mi do ucha.

Objęłam go, zamknęłam oczy, pozwalając, by wypełniły mnie fantazje, i pokryłam jego twarz pocałunkami. Obrócił mnie na plecy. Rozkrzyżowałam ramiona i przyjęłam go, a on brał mnie tak, jakbym była jego spełnionym marzeniem. Był w tym tak dobry, że powinien sztukę kochania ujmować w swoim życiorysie.

Brał mnie, wchodząc głęboko, to znów płytko i znów głęboko. Brał mnie.

Cholera, chciało mi się płakać z radości. Nie powstrzymywałam się, a Tyrel zlizywał z mojej twarzy łyżki rozkoszy.

Kochał się ze mną w niepowtarzalny sposób, z pasją ssał moje piersi i wbijał się we mnie, doprowadzając do ekstazy. Podczas tej uczty zastanawiałam się, czy mógłby się we mnie zakochać tak, jak ja sama właśnie zakochiwałam się w nim.

Tyrel

- Halo. Czy mogę rozmawiać z panem Vardamanem Williamsem?
- To ja. Kto mówi? Co się stało?
- Co u ciebie?
- Próbowałem zasnąć, kiedy zadzwonił telefon. Dobry Boże, jest prawie północ. Kto dzwoni o tej porze?
- To ja.
- Kto?
- Tyrel Anthony Williams. Twój najstarszy i najmłodszy syn.
- Tyrel? Co ty... Gdzie jesteś synu? Przyjechałeś do Nashville?
- Cały czas mieszkam w Kalifornii.
- Jesteś w więzieniu?
- Nie, nie jestem w więzieniu. Dostałeś kartki, które Ci wysyłałem?
- Tak. Ale ostatnio nic nie przychodzi. Wszystko w porządku?
- Nie słyszeliśmy się od ponad roku.
- Tak długo ze sobą nie rozmawialiśmy?
- Tak. To wtedy ostatni raz zadzwoniłem do ciebie do domu. Pamiętasz? Byłeś zajęty i powiedziałeś, że oddzwonisz do mnie później.
- Widocznie miałem coś na głowie. Ten nowy sklep pochłania cały mój czas.
- Ani też nie odpisałeś.
- Wiesz, że nie jestem skory do pisania.
- Zapisałem ci swój numer na kartce na Dzień Ojca.
- Dlaczego dzwonisz tak późno?
- Ja i Mye martwiliśmy się o ciebie.
- Gdzie ona teraz jest?
- Została lesbijką i wyjechała do Afryki, żeby poślubić tam jakąś arcykapłankę.
- W sam raz dla niej.
- To był żart.
- I dlatego dzwonisz?
- Po części chyba tak.
- Ile ty masz teraz lat? Dwadzieścia cztery czy pięć?

- Dwadzieścia dziewięć.
- Aż tyle?
- Tak. Aż tyle.
- A co tam u Leonarda?
- Całkiem nieźle. Pytał o ciebie.
- Dalej opowiada dowcipy i takie tam?
- Tak.
- Powiedz mu, że go pozdrawiam.
- Powiem.
- Ożeniłeś się już?
- Nie.
- A nie byłeś zaręczony, kiedy ostatnio rozmawialiśmy?
- Nie. Mye zaręczyła się pięć lat temu.
- Masz dzieci?
- Nie. Mye przed czterema laty urodziła bliźniaki.
- No cóż, właśnie rozbudowaliśmy dom, więc nie mam pieniędzy, żeby wysłać tobie i twojej siostrze.
- Nie potrzebujemy pieniędzy. Ale mógłbyś wysłać coś swoim wnukom.
- Trzymaj się.
- Tato...
- Ojej, Tyrel...
- Tak?
- Jest środek nocy, a ja i moja żona musimy wstać, żeby nakarmić konie. Telefony o tak późnej porze wytrącają ją z równowagi i trudno jej potem zasnąć. Mnie to nie przeszkadza, lecz o ile mi wiadomo, Phyllis nie życzy sobie, abyś ty czy ktokolwiek inny dzwonił do nas tak późno.
- Pani Williams nie życzy sobie, abyśmy dzwonili i koniec.
- Mogę odezwać się do ciebie jakoś w przyszłym tygodniu?

Przez moment stałem się na powrót dziesięcioletnim chłopcem. Ja i mój tato staliśmy przed domem i zmienialiśmy olej w silniku jego mustanga. Potem miałem jedenaście lat i wszyscy pakowaliśmy się do jego lincolna, by pojechać do Las Vegas i spędzić weekend w hotelu Circus-Circus. Z zakamarków pamięci wyłaniały się obrazy, kiedy to miałem sześć lat, a

ojciec, siedząc przy kuchennym stole, pomagał mnie i Mye pojąć znaczenie słów i liczb. Kiedy miałem piętnaście lat, powierzył mi swój pierwszy sklep, pozwalając mi go samodzielnie otwierać. A teraz, niezależnie od wszystkiego, czułem się jak mały Tyrel. Jak dziecko, które siedziało na jego rozkołysanym kolanie, pokrzykując „Wio, koniku!”.

- Tato - powiedziałem.

- Co, Tyrel?

- Niezależnie od tego, z kim się ożeniłeś, jesteś wciąż naszym ojcem.

- Dziękuję, synu.

Shelby była obok mnie. Spojrzałem na nią. Uśmiechała się i dawała mi znak ręką, bym nie przestawał mówić.

- Tato.

- Słucham cię, synu.

- Dlaczego ty i mama nigdy nie pytacie o siebie?

- Nie zaczynaj z tym.

Przez moment trwaliśmy w milczeniu.

- Rozmawiałeś z Virginią? - zapytał.

- Robię to w każdą niedzielę. U mamy wszystko dobrze.

Znów zapadła cisza.

- Tato?

- Tak, synu.

- Myślę, że powinniśmy machnąć ręką na przeszłość i zacząć żyć.

- To nie jest takie łatwe.

- Powinniśmy wszyscy trzymać się razem. Albo przynajmniej dzwonić do siebie.

- Może przyjdzie na to czas.

- W porządku. Przypomnij sobie piosenkę *The Cat's in the Cradle*¹⁰. Nie izoluj się tak, staruszk.

¹⁰ Nagrana w 1974 roku piosenka Harry'ego Chapina *Cat's in the Cradle* opowiada o relacjach syna z ojcem. Ojciec nie ma czasu dla chłopca, który go podziwia i chce być taki jak on. Kiedy syn dorasta, okazuje się, że również jest zbyt zajęty, by znaleźć czas dla ojca - przyp. tłum.

- Prowadzenie sklepów i rancza zajmuje mnie bez reszty.

- Nie bądź zbyt zajęty dla swej starej rodziny.

- Pogadamy jeszcze, koziołku.
- Wszystkiego dobrego.
- Tobie też. Powiedz Mye, że ją kocham.
- Mógłbym dać ci jej numer. Powiesz jej to osobiście.
- Gdyby chciała, żebyśmy znał jej numer, zadzwoniłaby do mnie dużo wcześniej.
- Zadzwoń do niej i pogadaj ze swoimi wnukami.
- Daj mi znać, czy czegoś jej nie trzeba.
- Pozdrów ode mnie nową panią Williams.
- Dobrej nocy, koziołku.

Odłożył słuchawkę na widełki. Zrobiłem to samo z automatem telefonicznym, z którego rozmawiałem. Rozłączyliśmy się po raz kolejny.

Shelby masowała moje ramiona. Miała silne palce. Jej czułość wypędzała ze mnie furję. Powolne okrężne ruchy sprawiały, że napięcie zniknęło.

Ruszyliśmy do samochodu. Shelby miała na sobie nowy dres, a inne jej rzeczy niosłem w plastikowym worku. Odwróciłem sobie czapkę daszkiem do tyłu, a ona swoją niosła w rękę.

Po opuszczeniu pożyczonego pokoju usiedliśmy w holu i, popijając sok pomarańczowy, staraliśmy się odzyskać trochę energii. Wciąż nie mogliśmy otrząsnąć się ze zdumienia po tym, co właśnie zrobiliśmy. Nasza rozmowa była jak konstruowanie związku przeprowadzone w odwrotnej kolejności. Przytrafiło się nam nieplanowane zbliżenie, a teraz czekaliśmy, by przekonać się, do czego ono doprowadzi. Był to moment, w którym niczego nie byłem pewien. Wspomnienie Lisy uleciało z wiatrem, ale wiedziałem, że ona jeszcze zadzwoni. Zwłaszcza że widziała mnie w towarzystwie kobiety, z którą nie mogłaby się mierzyć.

Shelby potrafiła mnie namówić, bym zadzwonił do ojca.

- Nie poszło zbyt dobrze, co? - spytała.
- Prawie tak samo jak zwykle.
- Jest późno. Może następnym razem to twój stary zadzwoni do ciebie.
- Nic wielkiego. Jeśli zadzwoni, to zadzwoni, a jeśli nie, to zwisa mi to.
- Nie mów tak. Rodzina zawsze jest ważna.

Ścisnąłem mocniej jej dłoń. Przez kilka chwil czułem się jak mały Tyrel. Szybko jednak wyprostowałem plecy, przyglądałem ubraniu, wziąłem głęboki oddech i znów stałem się mężczyzną, jakim powinienem być.

Jechaliśmy Madonna Road, zbliżając się do stanowej stojedynki.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - uśmiechnąłem się i nachyliłem, by pocałować ją w usta.

- O siódmej rano muszę się znaleźć na pokładzie samolotu albo będę bezdomna i wyrzucą mnie z pracy.

- Nie ma sprawy. Możesz odchylić siedzenie i spać aż do Los Angeles.

- Dobrze - westchnęła i poklepała mnie po ręce. - Tyrel?

- Co się dzieje?

- Dzisiaj to tylko dzisiaj.

- W porządku.

- Nie powinniśmy robić nic więcej, niż jest. Czy też było.

- O czym mówisz?

- To się już nie powtórzy.

- W porządku.

Znów westchnęła, a samochód wypełniła atmosfera skruchy i przygnębienia. Nie wiedziałem, czy Shelby zasnęła, ale nie odzywała się do mnie. Cały nastrój uniesienia gdzieś przepadł i z każdym kilometrem zbliżaliśmy się do rzeczywistości. Shelby potarła nos i cofnęła rękę. To nie miało znaczenia. Byłem gotowy poddać się biegowi wypadków.

Kiedy dotarliśmy do Los Angeles, było około wpół do drugiej w nocy. Debra zdziwiła się, widząc, jak zakradamy się do pogrążonego w mdłym świetle salonu. Shelby była wciąż poważna, a spojrzenie jej ciemnobrązowych oczu wyrażało nadzieję, że Debra już śpi. Widząc, jak wyskoczyła z mojego samochodu, zanim jeszcze zdążyłem wyłączyć silnik, nie przypuszczałem, że chce, bym odprowadził ją do drzwi.

Jak już wspomniałem, Debra wcale nie spała, ale nie była sama. Na podłodze siedział Leonard. Na stoliku do kawy stały dwie opróżnione do połowy szklanki spumante i klocki do gry w jengę. Shelby poruszała się bardzo subtelnie, jakby wiedziała, że w czymś przeszkadza. Widząc ich obojwoje, jak bez butów, w wypuszczonych ze spodni koszulkach, słuchają romantycznych piosenek, zacząłem się zastanawiać, w co mogłaby przerodzić się ich gra w ciągu najbliższej godziny.

Debra miała rozpaloną twarz i posłała Shelby ukradkowy uśmiech. Jej rumieniec świadczył o tym, że pojawiliśmy się w niestosownym momencie. Shelby syknęła. Jej mina pozostała niezmienna. Nic nie mówiąc, lekko machnęła ręką.

- Jak leci, szefuniu? - odezwałem się.

- Na razie wszystko pod kontrolą - odparł skupiony na grze Leonard. - Po dwóch rundach remis.

Debra zerknęła na tarczę ściennego zegara.

- Domyślam się, że pojechaliście na wycieczkę - powiedziała.

- Coś w tym rodzaju - wyjaśniła Shelby. - Wybraliśmy się na przejażdżkę wzdłuż wybrzeża.

- Wiedziałam, że gdzieś się wyrwiecie.

Wymieniły jedno z tych dziewczęcych spojrzeń. Shelby szybko zamykała i otwierała oczy, a jej powieki trzepotały jak skrzydła motyla. Debra zrobiła to samo i nie zadawała żadnych pytań. Ponownie skoncentrowała się na grze. Była głęboko zanurzona w tym samym świecie co Leonard. Obydwoje mieli skupione twarze, wyrażające chęć rywalizacji. Wyglądało to bardziej na rytuał zespolenia umysłów niż na grę towarzyską.

Przy kolejnym ruchu Leonarda wieża z klocków runęła. Debra, wierzgając nogami, krzyknęła z entuzjazmem.

Kiedy pakowali grę do pudełka, Shelby w milczeniu ściągnęła buty i rzuciła czapkę na kuchenny stół.

- Shelby - upomniała ją przyjaciółka.

- Przepraszam - Shelby chwyciła czapkę i podniosła buty z podłogi.

Kiedy się schylała, jej pośladki ułożyły się w miły dla oka, nieuchwytny kształt serca. Popatrzyłem w inną stronę. Odwróciła się ku mnie i spojrzała na mnie otępiąłym, pustym wzrokiem.

- No cóż, Tyrel - jej słowa miały plastikowe, odległe brzmienie - dzięki za wycieczkę. I nie zapomnij o sklepie płytowym. Trzymaj się.

- Pewnie. Dziękuję - odparłem. - Chciałabyś pojechać ze mną, kiedy będę się tam wybierał?

- Nie. Mam już dość płyt i nie wiem, gdzie je trzymać. Debra, czy dzwonił ktoś do mnie w sprawie mebli?

Debra pokręciła głową.

Shelby podała mi rękę na pożegnanie, unikając kontaktu wzrokowego. Nie był to nawet przyzwoity uścisk dłoni. Dotknęła mnie krótko i powierzchownie, jakbym miał jakąś zarazę. Potem udała ziewnięcie i, nie oglądając się, poszła korytarzem w stronę sypialni.

Ja i Leonard wyszliśmy minutę później. Przystanęliśmy na chwilę na parkingu dla gości.

- Co sądzisz o Debrze? - Sprawiał wrażenie spiętego.
 - Ważne jest to, co ty o niej sądzisz. - Wzruszyłem ramionami.
 - Myślę, że tak naprawdę nie powinienem angażować się w żaden związek. Nie teraz.
 - Boisz się, że może cię to rozjarzyć?
 - Tak. Siostry działają na koncentrację jak czarna dziura.
 - Myślisz, że panna kawa z mleczkiem jest z byle jakiego baru?
 - Nic z tych rzeczy - pokręcił głową. - A jak z tobą i panną przemądrzałą?
- Spojrzałem przez ramię w okno kobiety, która upokorzyła mnie jak gdyby nigdy nic.
- Nic z tego - odparłem.

Leonard powiedział mi, jak zachował się Jackson podczas przesłuchania. Dłonie same zacisnęły mi się w pięści.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - zapytałem.
- Nic nie mogę zrobić - Leonard kopnął leżący na ziemi kamień.
- Dlaczego?
- Debra wymogła na mnie obietnicę. Powiedziała, że muszę dotrzymać słowa.
- To brednie - roześmiałem się. - Kobiety wciąż zmieniają zdanie. One wymyślają takie jednostronne zobowiązania.

Leonard był wściekły. Potrząsnąłem głową. Przypomniałem sobie, jak w szkole spuszczaaliśmy komuś manto albo sami obrywaliśmy. Teraz zostaliśmy gladiatorami intelektu.

- Skoro ja nie mogę nic zrobić, ty też nie możesz - warknął.
- Rozumiem.

Leonard opowiedział mi o tym, jak wspaniale zachowała się Debra. Z jakim spokojem po mistrzowsku zapanowała nad sytuacją. Nie docierało do mnie żadne z jego słów. Nie był na tyle skupiony, by dostrzec, w jakim naprawdę jestem nastroju, albo też zbyt na to nie zważał. Gapił się w okno Debry niczym Romeo, który szuka Julii. Ruszyliśmy do samochodów. Każdy w swoją stronę.

Kiedy jechałem do domu, wszystko wydawało mi się farsą. Wyjazd z Shelby nie przyniósł nic konkretnego. Osiągnąłem jedynie tyle, że zdarłem trochę opony i opróżniłem bak. Nie warto było nawet zaliczać tego wieczoru do moich wspomnień. Shelby zachowała się jak Lisa. Takie samo zero. Zadzwoiłem, by odsłuchać pocztę głosową swojej komórki. Lisa dzwoniła dziesięć razy. Wiedziałem, że to zrobi po tym, jak zobaczyła mnie z Shelby, i dlatego na cały dzień wyłączyłem telefon.

Wybrałem numer Lisy. Odebrał jej mąż, ale ja nie byłem w nastroju, aby się czymkolwiek przejmować.

- Czy Lisa jest w domu? - spytałem.
- Mogę wiedzieć, z kim rozmawiam?
- Jesteś jej mężem?
- Tak. Kto mówi?
- Więc dzisiaj twoja kolej na posuwanie tej dupci.
- Co?
- Cholera. Myślałem, że wyjechałeś.

W tle słyszałem głos Lisy i wyobraziłem sobie, jak wpada w panikę. Rozłączyłem się i parsknąłem śmiechem. Przyniosło mi to trochę satysfakcji.

Po powrocie do domu wpatrywałem się w zdjęcia swojej rodziny zrobione w czasach, kiedy jeszcze byliśmy rodziną. Potem stanąłem na tarasie, jak człowiek na bezludnej wyspie, czekający na kolejny cichy poranek. Wlepiałem wzrok w ciemne niebo, patrzyłem na gwiazdy i sierp księżyca. Patrzyłem na to samo niebo, które unosiło się nade mną, nad moją matką i nad ojcem, nad Bliźniaczką i moimi siostrzeńcami. Wszystko zdawało się takie pełne, a zarazem niespełnione. Każda widoczna na niebie cząstka piękna była niczym zaprzeczenie.

Czułem coś, z czego próbowałem się otrząsnąć. Coś, z czym nie chciałem zasypiać. Coś, czego nie czułem nigdy dotąd. Nie miało to nic wspólnego z Lisą ani Shelby, ani kimkolwiek innym, kto mnie porzucił. To dotyczyło Leonarda. Mojego najserdeczniejszego przyjaciela. Mojego brata.

Kiedy tej nocy, uśmiechając się, tak czule rozmawiał z Debrą, przypomniało mi się, że mój ojciec pytał o niego. Nie zapytał o nikogo z rodziny. Ani o moją siostrę, ani o wnuki, których nigdy nie widział. Zapytał tylko, co u Leonarda. I chyba właśnie dlatego nie powiedziałem mu, że dzwoniłem do starego. Przypuszczalnie powodem tej urazy był ból. Dotkliwie poczuć krzywdy. Ból, który pojawia się, kiedy czegoś się po kimś spodziewasz, a on zawodzi twoje oczekiwania. Zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek odezwę się jeszcze do ojca.

Położyłem się na łóżku i, przewracając się z boku na bok, zasnąłem w ubraniu.

O wschodzie słońca obudził mnie dzwonek telefonu.

- Czy pan Tyrel Anthony Williams?
- To ja. Kto mówi?
- Jak się masz?

- Próbuję zasnąć. Z kim rozmawiam?

- Zgadnij.

- Shelby?

- Tak.

Na moment zawiesiłem głos, aż wreszcie zapytałem:

- Co się stało?

Jej milczenie mnie zirytowało.

- Zostawiłaś coś u mnie w samochodzie?

Odchrząknęła. W tle rozlegał się gwar. Odgłosy kroków i klaksony. Wywoływano jakieś nazwiska. Usłyszałem komunikat, że biała strefa przeznaczona jest wyłącznie dla przylatujących i odlatujących pasażerów.

- Co się stało? - zapytałem ponownie.

- Mogę zadzwonić do ciebie dziś wieczorem z Nowego Jorku?

- Po co pytasz, skoro wiesz, że możesz? Zresztą właśnie dzwonisz.

- Jesteś cholernie trudny.

- A ty to niby nie.

- Nie zachowuj się jak dupek - zamilkła na chwilę. - Tyrel?

- No?

Westchnęła ciężko.

- Nigdy nie zrobiłam czegoś takiego, jak to, co wyczynialiśmy wczoraj. - W jej podniesionym głosie kipiał gniew. - Chcę, żebyś wiedział, że... że... że nie jestem panienką na jedną noc.

- Dobrze, umówię się z tobą.

- Z czego wnioskujesz, że chcę się z tobą widzieć?

- Powiedziałem to, co miałaś na myśli.

- To nie jest śmieszne.

- Słyszałaś, żebym się śmiał?

- Życz mi pomyślnego lotu.

- Pomyślnego lotu.

Usłyszałem w słuchawce coś, co brzmiało jak cmoknięcie. Potem się rozłączyła.

CZEŚĆ DRUGA

Pora deszczowa

11.

Tyrel

- Shelby przeprowadza się do mnie.

- Debra mi mówiła.

- Czy jest coś, o czym ona ci nie mówi?

- Skąd mam wiedzieć? - Leonard porównał godzinę, którą wskazywał jego zegarek, z czasem na desce rozdzielczej.

Przed trzema miesiącami Shelby przeprowadziła się do samodzielnego mieszkania, ale przeważnie była poza domem, a kiedy wracała, większość czasu spędzała u mnie. Moja kuchnia jest wygodniejsza, a poza tym ona nie miała w tej swojej klitce wanny, tylko prysznic. Opowiedziałem to wszystko Leonardowi. Powiedziałem mu też, jak Shelby lubi moczyć się w wannie przy blasku świec, słuchając muzyki i popijając wino.

Ostatnie sześć miesięcy zleciało w mgnieniu oka. Shelby mieszka w moim domu. W mojej przestrzeni. W moim życiu.

- Dałem Shelby trzy klucze - powiedziałem po chwili milczenia, która miała spotęgować efekt dramatyzmu.

- Trzy klucze? - Leonard wyprostował się na fotelu.

Odstawiałem numery, na jakie ostatnim razem pozwalałem sobie w liceum. Przyłapywałem się w samym środku konferencji na bujaniu w obłokach. Tworzyłem akronimy z jej imienia, S jak Seksowna, H jak Hoża i tak dalej, a potem wysyłałem jej wraz ze sprośnymi wierszykami, które układałem. Wysyłałem jej drobne upominki, małe składane afrykańskie laleczki.

Być może Leonard wszystko to już wiedział, gdyż kobiety nie trzymają w tajemnicy takich rzeczy. Jeżeli Debra wiedziała, wiedział i on.

- Wręczyłeś jej trzy klucze? - powtórzył to takim tonem, jakbym do świtu miał chodzić zakuty w kajdany. - Mówisz poważnie?

Uśmiechnąłem się tak szeroko, że gdyby świeciło słońce, moje dziąsła pokryłyby się opalenizną. Zachichotałem, a przez pół sekundy w moich myślach zagościła Lisa Nichols i nasz romantyczny lot bez końca samolotem, który nigdy nie oderwał się od ziemi. I całe szczęście. Powiedziałem Leonardowi, że Shelby wyręcza mnie teraz w takich rzeczach jak zaopatrywanie lodówki.

- Staramy się stworzyć drużynę - powiedziałem. - Wspólne wysiłki w kierunku spełnienia naszej wizji.

- Tyrel?

- Co?

- Nie chrzań. Parsknęliśmy śmiechem.

- Masz w mieszkaniu dosyć miejsca na jej rzeczy? - zapytał.

Shelby urządziła się w pokoju gościnnym. Rozłożyła tam swoje rzeczy, tak samo jak mój komputer i telewizor, które przeniosła tam z sypialni. Było to coś, do czego musiałem przywyknąć. Co innego jej poranna zrzędlliwość. Ostatniego wieczoru zmieniła wystrój salonu, bo kupiła całą masę nowych roślin. Kiedy wróciłem z pracy, chodziła po domu w wystrzępionych spodniach, drapiąc się po tyłku, z upiętymi włosami i maseczką na twarzy. Na podłodze wałało się kilka par tenisówek, a w kącie sterta ubrań. Shelby potrafi żyć w takim bałaganie przez kilka dni, zanim wszystkiego nie poukłada, ale zawsze myje po sobie szklanki i talerze zaraz po użyciu. Nasza kuchnia jest czystsza niż twarze większości ludzi.

- Siostry wiedzą, jak się zakrzętnąć - zauważył Leonard.

- Bez wątplenia. Teraz szafka łazienkowa jest pełna wacików, lakierów i podpasek.

- Powinieneś trochę zwolnić.

- Myślisz, że przeprowadziła się zbyt szybko?

- Chodzi mi o to, żebyś tak nie pędził. Jedziesz sto trzydzieści. Zwolniłem do setki i spojrziałem w lusterka.

- Co się dzieje?

- Za nami z prawej na Indian Hill jadą gliny.

Samochód, który uważaliśmy za patrol policyjny, przemknął obok nas. Był to jeden z tych niskobudżetowych wozów ochroniarskich z żółtymi światłami na dachu. Przyspieszyłem z powrotem do stu trzydziestu, wyprzedziłem domniemany radiowóz, zostawiając w tyle miasto

Montclair targane ostrą bryzą wiejącą od Santa Ana. Te doprowadzające do oblędu wiatry, które były na tyle silne, by miotać w powietrzu małymi samolotami i zrywać linie wysokiego napięcia, przyczyniały się do powstawania korków na kilku wylotowych drogach.

- A więc ty i Shelby rozkręcacie się na całego - powiedział Leonard. - Wyjedź człowieku na tydzień do Nowego Jorku, a tu tyle zmian.

- Wiedziałaś, że się na to zanosi.

- Nie sądziłem jednak, że do tego dojdzie.

- Sam jestem zaskoczony.

Cholera. Spotykałem się z Shelby przez sześć namiętnych miesięcy. Wszystko zaczęło się od tamtej wycieczki, słuchania starych przebojów w samochodzie i przelotnych chwil rozkoszy wykradzionych w cudzym pokoju w Obispo, ale coś nas już wtedy połączyło. Shelby miała w sobie pewien magnetyzm, któremu próbowałem się oprzeć, ale nie byłem w stanie.

Po tamtym wyjeździe nie widziałem się z nią przez dwa tygodnie, dopóki wszyscy nie spotkaliśmy się, by uczcić moje i jej urodziny. Dwutygodniowa rozłąka to niby nic takiego, ale jeżeli myśli się o kimś w każdej sekundzie, potrafią trwać wieczność. Shelby była w rozjazdach, a ja miałem parę długich seminariów w Arizonie i Utah.

Potem nadeszła ta noc, kiedy umówiłem się z Shelby na randkę w Ebony Fashion Fair. Kupiłem bilety, zanim jeszcze się poznaliśmy, gdyż zamierzałem pójść tam z Lisą, ale życie potoczyło się inaczej. Wiatry powiały w zupełnie inną stronę.

Kiedy przyjechałem po Shelby, miałem na sobie smoking, trzymałem czerwoną różę i emanowałem pozytywnym nastawieniem.

Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Chociaż wcześniej wiele razy rozmawialiśmy, jej reakcje bywały skrajnie różne. Czasami słysząc mnie, tryskała radością, innym razem była podobno zajęta i nie oddzwaniała przez dwa czy trzy dni. Stariała się postępować zgodnie z zasadami.

Powiało od niej ekscytującym aromatem subtelnej słodyczy, kiedy otworzyła drzwi, ubrana w czarną, odsłaniającą plecy suknię wieczorową, której fałdy spływały wokół jej pośladków. Każdy skrawek materiału emanował rozkoszą. Suknia była bardzo gustowna i radośnie obejmowała całe jej ciało, niczym zachłanny kochanek. Zwieńczeniem wszystkiego były oszałamiające, świeżo ufryzowane loki, które świadczyły o tym, że Shelby spędziła wiele godzin w jakimś salonie piękności. Wyglądała po królewsku, jak ósmy cud świata, jak kobieta, której bracia i nie tylko oddają boską cześć. Zasypałem ją komplementami, zanim jeszcze zdą-

żyłem się przywitać. Shelby usiłowała powstrzymać uśmiech, ale jej się to nie udało. Promieniała, słysząc moje komplementy, i z rumieńcem na twarzy przytuliła mnie i wyszeptała do ucha parę słów, które sprawiły, że poczułem się jak Zeus. Wciąż nie rozluźniając uścisku, wydała głębokie westchnienie, świadczące o zmieszaniu. Cofnęła się o krok z poważną miną, położyła palec na moim dołku w brodzie i obdarzyła mnie długim pocałunkiem. Potem otarła mi szminkę z twarzy i przez kilka sekund uśmiechała się do mnie. Uśmiech znikł z jej ust, przygryzła wargę i spojrzała zalotnie.

- Jedźmy po wszystkim do ciebie - wyszeptała, przyciągając mnie bliżej.

- Spakuj torbę - kiwnąłem głową.

- Daj mi pięć minut. - Jej słowa zabrzmiały bardzo zmysłowo.

Piątkowa noc zamieniła się w sobotę, która minęła zbyt szybko, błyskawicznie stając się niedzielnym popołudniem. Wciąż spleceni w uścisku dotykaliśmy się, kąsaliśmy i pokrywaliśmy pocałunkami. Skosztowałem każdego skrawka jej seksownego, czekoladowego ciała. Było nam ze sobą tak dobrze, że właściwie bez żadnych oporów rozkoszowaliśmy się każdym słowem i pocałunkiem, czyniąc ze swoich ciał ucztę.

Trudno w to uwierzyć, ale dałem jej trzy klucze. Nikt nie dostał ode mnie nigdy trzech kluczy. Nikt.

Po tej zaimprovizowanej przejażdżce wzdłuż wybrzeża, jak już wspomniałem, zaczęliśmy budować nasz związek w odwróconej kolejności, poznając się nawzajem poza łóżkiem. Byliśmy w Tilly's Terrace i tańczyliśmy hip-hop, oglądaliśmy występ Leonarda, który trząsał salą w Townhouse, słuchaliśmy nocnych koncertów jazzowych w Baked Potato.

Ostatniego wieczoru Shelby miała jeden z tych rzadkich domatorskich nastrojów. Wdarła się do kuchni i przyrządziła przepyszne słodkie placki ziemniaczane, po czym zaprosiła Leonarda i Debrę. Na kolację podała krewetki z makaronem w sosie pomidorowym, małe czosnkowe grzanki i białe wino. Kiedy śmialiśmy się i rozmawialiśmy, obserwowałem zachowanie Leonarda i Debry. To, jak ona strzepuje kłaczki z jego koszuli, jak on bawi się jej włosami, jak obydwójce bezwiednie okazują sobie czułość. Mój przyjaciel był olśniony tą kobietą, która chwyciła go za rękę przy każdej okazji. Debra była rozszczebiotana i promieniała tak mocno, że swoim zachowaniem przypominała pierwszy dzień wiosny. Wpatrywali się w siebie, jak gdyby właśnie odkryli blask słońca i poświatę księżyca. Leonard ani razu nie wypuścił jej dłoni z uścisku. Kiedy się poruszali, robili to powoli, jakby czas był ich własnością.

- A więc przechodźcie na wyższy poziom - powiedział Leonard.

- Tak, przenosimy się. - W moim ciele rozchodziło się ciepło i błogość. - Zamieniamy to parterowe mieszkanie na apartament na ostatnim piętrze.

- A mnie trudno znaleźć wolną chwilę dla Debry. Pół nocy poza domem i tyle czasu w rozjazdach, że minęło parę tygodni, chyba trzy, jak się nie widzieliśmy.

- Masz kontrakt z HBO, robisz filmy na uniwersytecie stanowym, chodzisz na przesłuchania. Leonardzie, nie masz ani chwili wytchnienia.

- Powiedz mi, jak to jest - powiedział, zmieniając kanał radiowy. Z jego tonu wywnioskowałem, że wolałby być z Debrą. - Czy takie wspólne życie jest na pewno tym, czego chciałeś?

- A jak sądzisz?

- Skoro już sypiacie ze sobą, mieszkacie razem, to co jeszcze pozostało?

Zastanowiłem się nad tym pytaniem, a jego słowa wciąż rozbrzmiewały mi w uszach. Powiedział to jak ojciec, który rozmawia ze swoim synem. Takie odniosłem wrażenie. To, co powiedział, sprawiło, że poczułem się nieswojo.

Leonard ustawił radio i wrócił do rozmowy.

- Ja nie muszę z nią mieszkać - powiedział. - Nie wiem, jak ty sobie z tym radzisz. Pytam tylko, czy jesteś pewien, że to jest to, czego chcesz?

- Jestem pewien.

- Bez nacisków?

- Bez nacisków.

- To moje gratulacje.

Znajdowaliśmy się o godzinę drogi na wschód od cywilizacji, gnając drogą numer dziesięć prosto w pustynny upał hrabstwa San Bernardino. Nawet o ósmej wieczorem było tam o jakieś dziesięć stopni cieplej niż w Los Angeles. Jechaliśmy do prowincjonalnego miasteczka Redlands, gdzie występ Leonarda zamykał sobotni wieczór czarnych komików w meksykańskiej restauracji prowadzonej przez białych. Aby zobaczyć Chocolate Comedy Night, czarni wychodzili ze swoich kryjówek, przydrożnych mięscin i zapadłych dziur, jak Rialto, Riverside, Moreno Valley i piętnastu innych widocznych na mapie. Na takim zadupiu wielkim wydarzeniem była wizyta kogoś, kto przyjechał z Los Angeles i zatrzymał się na tyle długo, by opowiedzieć kilka dowcipów. Tego wieczoru porzuciłem biały kołnierzyk, a wskoczyłem w dżinsy i buty na miękkiej podeszwie, by pędząc autostradą, pogadać z przyjacielem. Urządziliśmy sobie kawalerskie wychodne.

Leonard opowiadał o tym, jak Debra, nie ulegając pokusom cielesnym, dostarcza mu zwyczajnych przyjemności. Podczas gdy ja i Shelby oddawaliśmy się co noc pieszczotom, Leonard i Debra dawali sobie buzi na progu i udawali się do osobnych łóżek w oddzielnych zakątkach miasta.

Skoro zależało im na sobie, a ona kochała go tak, jak się zarzekała, nie mogłem pojąć, jak mogli odmawiać sobie tego najwspanialszego sposobu okazywania miłości.

- Pozwolisz jej, by zmuszała cię do życia w celibacie?

- Czy Debra zmusza mnie do życia w celibacie?

- Skoro twoja dziewczyna nie zamierza się z tobą przespać, a ty nie chcesz zaspokajać swoich potrzeb gdzie indziej, ona krępuje twoją seksualność i zmusza cię do celibatu. W większości wypadków celibat jest dobrowolny. Ale w twoim jest wymuszony.

Leonard zrobił taką minę, jakby się nad tym zastanawiał, ale po raz pierwszy rozpatrywał to pod takim kątem.

- Czy przynajmniej pomaga ci w jakiś sposób? - zapytałem.

- Nie - westchnął. Musiałem wyteńczyć słuch, by dosłyszeć jego odpowiedź.

- W żaden?

- W żaden. Tylko trochę ostrego pettingu za każdym razem.

- Człowieku, spójrz prawdzie w oczy. To jest liceum.

- W porównaniu z tym, co wtedy wyprawialiśmy, to nawet mniej.

- Jesteś dorosły. Ona jest dorosła. W czym tkwi problem?

- Ona mnie nie chce dopuścić - jęknął. Roześmialiśmy się.

- Skoro jest twoją kobietą, stanowi to część waszego związku - powiedziałem. - Część jej roli.

Leonard słuchał moich słów i chichotał jak obłąkany.

- To, że ona ma opory, wcale nie oznacza, że nie możesz zabiegać o swoją przyjemność.

- Na warsztatach biblijnych wszyscy mówią, żeby nie robić tego przed ślubem. Co tydzień wysłuchujemy kazania na wstrzymanie.

- Więc przestańcie chodzić na te warsztaty.

Znów parsknęliśmy śmiechem. Leonard opowiedział mi, jak poszli na warsztaty biblijne dla samotnych i słuchali nauk o cudzołóstwie. Potem przyszedł ten moment, w którym ludzie gromadzą się przy ołtarzu i modlą o duchową ulgę od nieślubnych pokus, a wtedy osiemdzie-

siąt procent sióstr z płaczem i dygotem podeszło po czerwonym dywanie i stanęło pod świecznikiem na wprost pastora, zawodząc żałośnie jak syreny okrętowe.

- To są kobiety, które powinieneś poderwać - zachichotałem.

- To, że ty spełniasz swoje lubieżne fantazje... - powiedział.

- Spełniam przy każdej okazji.

- ... nie oznacza, że z moim programem jest coś nie tak.

- Stosujesz ten program? Leonard zrobił niepewną minę.

- Dziewięćdziesiąt procent ludzi, którzy bzykają się przed ślubem, nie przeskakuje przez miotłę - powiedział.

- O kurwa. Ty się powołujesz na statystyki? Roześmialiśmy się znów.

- Opieram się na nich, prowadząc interesy. A jeśli chodzi o związki, to czemu nie.

- Jesteś zadowolony? - spytałem.

- Jestem - odparł po chwili milczenia.

- Bzdura.

- Zadowolony i napalony jak jasny chuj.

Zaśmiewając się do rozpuku, skręciłem gwałtownie, omijając światelka odblaskowe na krawędzi pasa.

- Tak. Jestem zadowolony - powtórzył.

- No to moje gratulacje.

- Drażni mnie teraz to, że kiedy jestem z kimś związany i znalazłem odpowiednią kobietę, prawie po każdym występie jakaś śliczna siostra próbuje wsunąć mi swój numer telefonu.

- Przyjmujesz?

- Cholera, nie. Ale gdzie one się podziewały, kiedy byłem samotny?

- Może płakały na warsztatach biblijnych.

Leonard po raz dziesiąty ustawił radio. Stacja KACE puszczająca stare nastrojowe kawałki zaczęła zanikać, a na jej fali przebijały się jakieś wymęczone piosenki country. Nakładające się na siebie utwory brzmiały, jakby Brandy i Kenny Rogers śpiewali w duecie.

- Ci z San Francisco wciąż zawracają ci dupę? - spytał.

- Joshua Cooper podchodzi mnie jak zawzięty pies.

- A co z Lisą?

- Zostawia wiadomości na lewo i prawo.

Parking przed klubem był pełny, więc stanęliśmy na sąsiednim, przed restauracją El Goto Goro, pod rzędem meksykańskich palm. Leonard przyglądał luźne spodnie w kolorze musztardy i kremową koszulę z krótkimi rękawami, kiedy szliśmy w stronę gwarnego klubu. Nagle przestaliśmy się śmiać i przystanęliśmy. Nie mogliśmy uwierzyć własnym uszom. Z głośników dobiegało coś, co spędziło uśmiechy z naszych twarzy.

- Co jest, kurwa - powiedział Leonard głosem faceta, który wrócił do domu i przydybał żonę ze swoim najlepszym przyjacielem.

Spojrzeliliśmy po sobie i ruszyliśmy szybkim krokiem. Zdecydowany sposób, w jaki szedł Leonard, napawał mnie lękiem.

Z parkingu widać było wnętrze klubu. Na scenie stał Jackson i prezentował wieloosobowy skecz Leonarda. Mocny kawałek z getta rodem o zezowatej siostrze i jej napszonym pie-sku. Kariera Leonarda nabierała rozpędu i wszyscy, od Hollywood aż po Apollo Theater, znali jego skecze. Powodem tego był pilot *Brother, Brother*. Pojawiły się tylko dwa odcinki, ale Leonard zrobił tak doskonale wrażenie, że jego nazwisko zaczęto powtarzać w Hollywood. Tak doskonale wrażenie, że odezwała się do niego HBO.

Determinacja w oczach Leonarda i jego energiczny krok świadczyły jednak o tym, że tamto uznanie nie ma teraz znaczenia. Teraz na scenie stał Jackson i wygłaszał jego monolog, dokładnie słowo w słowo. Z taką tylko różnicą, że nie potrafił wywołać śmiechu.

Kiedy stanęliśmy w drzwiach, Jackson schodził właśnie ze sceny przy wtórze tak słabych oklasków, jak gdyby zmęczona publiczność dziękowała mu, że wreszcie skończył.

Leonard zaczekał na niego przy głównym wejściu, a kiedy Jackson się zbliżył, zawołał go na stronę.

- Jestem zachwycony twoją umiejętnością odtwarzania cudzych dzieł, i to nawet bez użycia pędzla. Ale proszę, zwracam się do ciebie jak do kolegi po fachu i zdeklarowanego Afroamerykanina. Nie lekceważ tego, co ja dopracowywałem dniami i nocami do perfekcji, wykorzystując znowu mój materiał.

Jackson szarpnął się, jakby był gotów wyskoczyć ze swojego podkoszulka.

- Bo co mi zrobicie pieprzone dupki, hę? - warknął.

Leonard z trudem panował nad sobą. Stał w agresywnej pozie, ale jego głos wyrażał rozsądek.

- Posłuchaj, ostatnio omal nie doszło do bitki. Tym razem okazuję ci szacunek i proszę o to samo. Dotyczy to mnie i moich przyjaciół. A w szczególności kobiet.

Wpatrywali się w siebie, dysząc wściekłością.

- Leonardzie, wyluzuj - zrobiłem krok, stając między nimi.

- Lepiej, żebyś posłuchał - poradził Jackson.

- Złój mu tyłek - powiedziałem, odchodząc.

Wszyscy czekaliśmy w napięciu, aż któryś odwróci wzrok i okaże słabość. Awantura wi-
siała w powietrzu.

Leonard opuścił głowę i spojrzał w ziemię, a potem odszedł. To mnie wkurzyło. Nigdy
nie widziałem, żeby Leonard odpuścił.

- Trzeba odpuścić - powiedział. - Chodźmy. Zaraz mam dać występ.

- Opowiedz im parę kawałków, chłoptasiu - odezwał się Jackson.

- To dupki opowiadają kawały - odparł Leonard po chwili milczenia. - Prawdziwy komik
przeżywa wszystko na nowo. Dobrej nocy, dupku.

Jackson oddalił się, a w ślad za nim poszła jego kobieta. Leonard trzymał ręce w kiesze-
niach i kołysał się z boku na bok.

- Uspokoileś się? - spytałem. Zamknął oczy i potrząsnął głową.

- Daj mi minutę - powiedział. Wyszedł z lokalu wprost w wietrzną noc i stał samotnie na
przeciwległym końcu parkingu ze spuszczoną głową i skrzyżowanymi ramionami.

Kiedy wrócił, na jego twarzy nie było śladu uśmiechu. Ale znikła też surowość. Emano-
wał pozytywną energią.

Leonard wszedł na scenę rozluźniony i spokojny, ale skoncentrowany. Najpierw omiół
wzrokiem publiczność i uśmiechnął się ironicznie.

- Zdaje się, że moje dowcipy dojechały tu na długo przede mną - powiedział.

Tłum zaryczał ze śmiechu.

- Nie wiedziałem, że jestem bruchomówcą, ale przemawiałem głosem jakiegoś dupka.

Ludzie śmiali się tak głośno, że sala trzęsła się w posadach.

Leonard wykpił słaby występ swego poprzednika i parodiując jego nieudolne popisy,
spuścił mu intelektualne manto. Potem odebrał owację na stojąco za zaprezentowanie swego
skeczu we właściwy sposób.

W drodze powrotnej Leonard usiadł za kierownicą. Rozmawialiśmy o tym, co zaszło na
parkingu. Byłem zdania, że powinniśmy dokopać temu złodziejowi. Spieraliśmy się, a potem
zgodnie uznaliśmy swoją różnicę zdań. Odniosłem wrażenie, że Leonardowi jest żal Jacksona.

- Nie warto się o to awanturować - oświadczył. - Gdybym chciał walczyć za każdym razem, gdy ktoś ukradnie mi dowcip, toczyłbym wojnę do końca życia.

W moim życiu znów zagościł rozsądek, zaczął krążyć w żyłach, przypominając mi, że nie jestem już chłopcem z liceum.

- On kiedyś skończy, sądzony przez dwunastu albo niesiony przez sześciu - powiedziałem.

Powróciłem myślami do Shelby Janine Daniels. Wypad z przyjacielem był miły, ale nie mogłem doczekać się powrotu do domu, do swojej kobiety. Kobiety, która żyła w mojej przestrzeni, pobrzękując trzema kluczami, które jej dałem.

Przejechaliśmy kolejne trzy kilometry, kiedy Leonard wydał z siebie zduszony jęk. Jakby był starcem.

- Coś nie tak, bracie? - zapytałem.

- Będę musiał napisać dwa kolejne skecze na miejsce każdego, który mi ukradli - powiedział, robiąc śmieszna minę.

- Lepiej trzy.

- Tak, trzy.

12.

Debra

Dni zamieniły się w tygodnie. A tygodnie w miesiące. Zanim zdążyłam się obejrzeć, nadszedł kolejny marzec. Zbliżała się kolejna pełna kolorów wiosna. Przez ostatnie dziewięć miesięcy trzymałam Leonarda za rękę i zaliczyłam tyle koncertów jazzowych, wypadów do kina i występów kabaretowych, że niejednej siostrze wystarczyłoby na całe życie. Większość z Leonardem, a niekiedy towarzyszyli nam Tyrel i Shelby.

Nie widywałam się z nim tak często, jak bym tego chciała, ponieważ w ciągu dnia pracował w Watts przy komputerach, a nocami do późna występował na scenie. Nie chciałam żyć w takim związku, w którym facet wraca do domu w środku nocy, wślizguje się pod kołdrę, a wychodzi bladym świtem.

Między innymi dlatego nie oddałam się Leonardowi. Obiecałam sobie, że nigdy więcej nie będę uprawiała seksu przedmałżeńskiego. Gdyby w moim życiu nie pojawił się Leonard, spełnienie tej obietnicy nie stałoby się tak wielką torturą.

Przez cały ostatni tydzień Leonard był zajęty. Z radością przyjął rolę w filmie Ala Pacino i wyjechał na trzy dni do Kanady. Dzwonił codziennie, ilekroć udało mu się znaleźć przerwę w czternastogodzinnym rozkładzie zajęć. Z powodu tego wyjazdu musieliśmy zrezygnować z koncertu George'a Bensona w Universal Amphitheatre. Leonardowi proponowano otwarcie tej imprezy, ale wybrał szansę zagrania w filmie. Początkowo miało mu to zająć tylko jeden dzień, ale reżyser zachwycił się nim i rozbudował jego rolę, pozwalając mu improwizować większość kwestii. A po powrocie biegał z jednego przesłuchania na drugie. Potem miał występ w Venturze i kolejny w Barstow. Ani chwili, którą mógłby poświęcić mnie. Zastanawiałam się, gdzie w jego życiu jest moje miejsce. Czy moja osoba ma dla niego jakieś poważniejsze znaczenie, czy jestem tylko dodatkiem.

- Dlaczego wciąż dajesz te małe występy na zadupiach?

- Żeby dopracowywać nowe skecze i doskonalić stare. To żadna przyjemność wyjeżdżać z Hollywood. Nie ma to jak na Sunset Boulevard.

Moja dłoń spoczywała na jego dłoni, kiedy zmieniał biegi. Był taki szczery, kiedy przebywał ze mną. Podobało mi się to.

- Masz jeszcze jakąś gumę? - zapytał.

- Tak.

Oderwałam kawałek gumy do żucia, polizałam, dotknęłam nią jego warg i włożyłam mu do ust. Lubił, kiedy tak robiłam.

- Dokąd jedziemy? - spytałam.

- Obejrzeć parę domów. Mówiłaś, że lubisz patrzeć na domy, prawda?

- Pamiętasz wszystko, co ci mówię? - uśmiechnęłam się.

- Taki mam zawód.

- To drobiazg, który imponuje kobiecie takiej jak ja.

Leonard zaparkował swoją toyotę naprzeciwko pokrytego beżowym stiukiem domu w San Diego. Znaleźliśmy się w ciasnym zaułku, gdzie na wąskiej jezdni brakowało nawet linii oddzielającej pasy. Dom stał na końcu ślepej uliczki, usytuowany w takim miejscu, że sprawiał wrażenie najwyższego punktu Baldwin Hills. Widać było stamtąd śródmieście Los Angeles i wzgórze z napisem „Hollywood”. W promieniach zachodzącego słońca Afroamerykanie krząta-

li się wokół swoich domów. Palmy oraz wiecznie zielone drzewa i krzewy mieniły się trzydziestoma różnymi odcieniami zieleni, tworząc obraz raju na ziemi.

Siedzieliśmy przez chwilę w samochodzie, oczarowani widokiem, rozkoszując się wzajemną obecnością. Opuściliśmy do połowy szyby w oknach, a z głośników płynęły stare instrumentalne kawałki jazzowe. Wyszliśmy z auta i stanęliśmy w miejscu, skąd rozciągał się widok na La Brea w stronę Hollywood i połyskujące światła miasta. Leonard stanął za mną i objął mnie bardzo delikatnie. Przytuliłam się do niego pośladkami, oparłam plecy na jego piersi i wiercąc się lekko, szukałam najwygodniejszej pozycji. Poczułam, jak pęcznieje. Uwielbiałam podniecać go w ten sposób, co budziło we mnie uśpione namiętności. Rozpalając go, napawałam się jego ciepłem. Rozluźniłam mięśnie karku i oparłam głowę na jego piersi. Pochylił twarz nade mną, odgarnął włosy i przytknął wargi do ucha. Poczułam na twarzy jego ciepły oddech. Sprawiał wrażenie takiego wyciszonego. Takiego spokojnego. Byłam wyciszona wraz z nim.

- O czym myślisz? - spytałam.

- O czytaniu poezji. O puszczaniu latawców. O opowiadaniu baśni - wyszeptał.

Jego słowa przenikały mnie, napelniając spokojem. Czułam się, jakbyśmy byli w miejscu, gdzie prócz nas nic się nie liczy. I ze wszystkich spraw w życiu obchodziło mnie jedynie to. Nie mogłam myśleć o niczym negatywnym, a przynajmniej nic takiego nie miało znaczenia. Jego obecność w moim życiu sprawiała, że czułam się lżej, dawała mi swobodę, a każdy mój krok był manifestacją szczęścia. Lśniłam takim blaskiem, że wzbudzało to pełne szczęścia uśmiechy innych sióstr. Wielu braci przyglądało mi się, próbując dociec, dlaczego jestem taka rozpromieniona. Leonard sprawił, że zapłonęłam. Ogarniał mnie ogień. Sama stałam się ogniem. Gdzieś w głębi czułam płomień życia i wiedziałam, że wszystkie te uczucia składają się na to jedno. Traciłam kontrolę i walczyłam o przetrwanie.

- Czego ode mnie chcesz, Leonardzie?

- Chcę ciebie.

- To dość sporo.

- Stać cię na to.

- Byłeś już kiedyś zakochany?

- Nie tak jak teraz. A ty?

- Nie tak jak teraz. Co sprawia, że to jest takie wyjątkowe?

- Każda część ciebie.

- Co masz na myśli?

- Gdybym wiedział, co w tobie kocham, gdyby to był twój uśmiech albo to, jak chodzisz, albo twój głos czy cokolwiek, wtedy mogłoby to się zmienić albo zniknąć i już bym cię nie kochał. Po prostu kocham każdą część ciebie, wszystko, co sobą przedstawiasz.

- Każda część ciebie. Jak w tej starej piosence Gladys Knight.

- Tak. Słucham jej i myślę o tobie.

- Naprawdę?

- Tak.

- Ja też kocham każdą część ciebie.

- Zimno ci?

- Tylko na zewnątrz.

- Chcesz już iść?

- Nie, chcę tu stać w twoich ramionach.

- Jak ci się podoba tutaj na wzgórzach?

- Podoba mi się.

- Chciałabyś tu mieszkać?

- Tak. Chciałabym.

- W którym domu?

- Przestań mi zadawać pytania.

- Za minutę. W którym domu?

Moje oczy prześlizgnęły się po budynku restauracji Don Diego i zaczęły badawczo obserwować piękne domy w starym hiszpańskim stylu, te parterowe i te piętrowe, pokryte ozdobnym tynkiem. Wtedy moim sercem zawładnął żółty dom stojący po naszej prawej stronie, z którego moglibyśmy spoglądać na Los Angeles jak z Olimpu. Sprawiał wrażenie najbardziej imponującego i najbezpieczniejszego miejsca w zasięgu mego wzroku. Wyglądał niemal tak samo bezpiecznie, jak bezpiecznie czułam się w ramionach, które właśnie mnie otaczały.

- W tym otoczonym zielenią - wskazałam palcem na dom.

- Obejrzyjmy go z bliska.

- Możemy narobić sobie kłopotów.

- Więc naróbmy sobie kłopotów.

Leonard chwycił mnie za rękę i pociągnął w stronę żółtego budynku otoczonego zielenią. Do ogrodzenia przymocowana była tablica biura pośrednictwa nieruchomości Red Carpet.

Był to dom z czterema sypialniami i ogrodem. Obeszliśmy go dookoła i stanęliśmy obok garażu mogącego pomieścić dwa samochody. Za budynkiem znajdował się basen i jacuzzi. Ogród był na tyle przestronny, że można było w nim wyprawiać przyjęcia. Miejsca starczyłoby dla rodziny i przyjaciół oraz przyjaciół rodziny. Mnóstwo przestrzeni, co w samym środku miasta było dosyć niezwykle. Pomarańczowe i cytrynowe drzewka przepełniały powietrze cytrusowym aromatem.

- Kuchnia wygląda przyjemnie - powiedział Leonard, zaglądając przez tylne wejście. - Marmurowe blaty. Stół na środku. Pełne wyposażenie.

Otarłam kurz z okiennej szyby i również zerknęłam do środka.

- Tak, przyjemna kuchnia - przyznałam. - Tyle szafek. I tyle miejsca. Mogłyby tam wejść trzy albo cztery osoby i nie wpadać na siebie.

- Mówisz, jakby to była restauracja.

- Też by mogła być - przekreśliłam gałkę w drzwiach. - Jest otwarte.

- Poważnie?

- Tak. Chcesz wejść?

- Nie wiem. I tak już dokonaliśmy wtargnięcia.

- No chodź, strachajło. Bądźmy wścibscy.

Wnętrze było puste i rozlegało się w nim słabe echo. Panował tam taki nastrój, jak w budynku, który jeszcze nie stał się niczym domem. Trzymając się za ręce, chodziliśmy od pokoju do pokoju i wyobrażaliśmy sobie, jakie meble wstawilibyśmy do każdego z nich, gdyby był to jego albo mój dom. Od korytarza poprzez sypialnie aż po salon omówiliśmy wszystko, nie wyłączając żyrandoli, wentylatorów czy dywaników. Ale nawet w pustym domu wejście do sypialni w towarzystwie mężczyzny wydawało mi się niestosowne.

W pewnym momencie zauważyłam, że nie trzymamy się już za ręce, ale tulimy się do siebie, głaszczemy i wymieniamy w ciemnościach pocałunki. Stąpaliśmy po dywanach pokrytych arabskimi wzorami i dotykaliśmy się, odwzajemniając pieszczoty. Nasze języki złączyły się w pocałunku, kiedy przystanęliśmy pod secesyjnym kryształowym żyrandolem, idąc w stronę przeszklonej ściany wychodzącej na taras. Przy każdym pocałunku napelnialiśmy ten opustoszały dom burzą uczuć. Byliśmy rozpaleni. Tak bardzo rozpaleni. A spojrzenie Leonarda przejmowało mnie lękiem.

Przenikający przez szyby blask księżyca padał na jego twarz. Byłam przerażona.

Na twarzy Leonarda malowało się skupienie, a jego oddech zdradzał, jak bardzo mnie pożąda. Tak samo jego na wpół otwarte usta. Sposób, w jaki na mnie patrzył. Wiedziałam, co dostrzega. To, czego nie potrafiłam ukryć. To, co do niego czułam. Pragnęłam go na tyle różnych sposobów. I w ten jeden, szczególny sposób. Właśnie teraz.

Bałam się słabości, która ogarniała mnie pod wpływem tych uczuć. Nie wstydziłam się okazać przed nim lęku, ponieważ teraz ta granica, która zdawała się być tak oczywista, stała się krucha, cienka i łatwa do przekroczenia. Zbyt łatwa do przekroczenia. Staliśmy na niej czekając, aż się okaże, po której stronie jesteśmy.

To, co czułam, było takie pierwotne. Zbyt prymitywne, bym mogła pojąć to rozumem. Miało w sobie zbyt wiele tego, z czego zostaliśmy stworzeni. Zbyt wiele tego, czego pragnęłam, lecz bałam się na to pozwolić. Mrowienie w brzuchu było tak silne, że czułam, jakby mięśnie podbrzusza i kończyn wymykały się spod kontroli. Tak jakbym miała rozerwać się na pół albo stanąć w płomieniach. Czułam wszystko to, nad czym nauczyłam się panować, ale jeśli chciałabym zrobić to teraz, byłoby już za późno.

Najpierw oparłam się plecami o ścianę. Potem znalazłam się na podłodze. Leżałam na dywanie. Czułam pocałunki na szyi, a jego ręce dotykały moich piersi. Czułam na sutkach dotyk jego warg. Te szalone zaloty trwały tak długo, aż rozpały mnie do granic wytrzymałości. Czułam się dzika, jakbym znalazła się w samym środku godowego rytuału.

Wtedy osunęłam się w błogą przestrzeń, gdzie przestałam już istnieć. Każdy nerw mojego ciała ożył, zamieniając mnie w burzę emocji. Leonard wsunął dłoń pod moją dzinsową spódniczkę i zaczął mnie pieścić. Poczułam zakłopotanie, bo byłam tam mokra. Zbyt mokra. Nie chciałam, aby się dowiedział, że tak na mnie działa. Ale teraz już to wiedział. Szczególnie kiedy rozpięłam zamek w jego spodniach i wypuściłam go na wolność. Masowałam go, podczas gdy on pieścił mnie palcami, i wiedziałam, że działałam na niego tak samo. Każdy ruch mej dłoni wydobywał z niego jęk.

Przerażało mnie to, że nie miałam prezerwatyw. Nie zadbałam o to i nie podejrzewałam też, żeby on miał przy sobie choć jeden kondom albo choćby folię do pakowania żywności czy woreczek na kanapki.

Wiem, wiem, byłam na to za mądra, ale teraz ogarnęła mnie słabość i mogłam tylko żyć nadzieją, że jemu starczy siły za nas obydwoje. Był to moment, w którym poddałabym się wszystkiemu, czego by zapragnął, nie zważając na nic, gdyż nie potrafiłam w tej chwili kierować się rozsądkiem. Nie zważałam na nic, poza tą cholerną namiętnością, która napełniała mnie

bolesnym drzeniem, a z każdym ciężkim oddechem, z każdą kropelką potu wzbierało pożądanie, które domagało się zaspokojenia.

A więc wsuwa dłoń pod moją spódniczkę. Jego palec wślizguje się do moich majtek. Bawi się mną. Potem próbuje rozsunąć fałd skóry. Część mnie chce go odepchnąć, ale silniejsza okazuje się ta część, która pozwoliła mu zostać. Fałdka ustępuje i palec wślizguje się we mnie, delikatnie, niczym szept. Jest we mnie. Wzdycham ciężko. Dotyka tego wrażliwego punktu, który nabrzmięwa. Zatacza kręgi. Wygrywa na mnie akordy. Najpierw jeden, potem dwa. Przy trzecim pojękuję z bólu. Wydaję czułe pomruki zadowolenia, w których rozbrzmiewa miłość.

Zaczęłam zmagać się z tym, co mnie przepełniało. Położyłam dłoń na ustach, by stłumić odgłosy rozkoszy i wydawałam tylko delikatne stęknienia. Obydwoje byliśmy opętani namiętnością, ale zachowywaliśmy się jak powściągliwi kochankowie, którzy zanim pozwolą sobie pójść na całość, z początku poruszają się niepewnie. Staralam się ujarzmić westchnienia, nad którymi nie należało panować. Czułam się pochłaniana przez jego pocałunki i przez to, jak jego ręka dotykała mnie tam, i wszędzie, gdzie tylko mógł sięgnąć. Kiedy dotknął palcami mojej twarzy, zaczęłam łapczywie brać je po kolei do ust i delektować się nimi. Leonard pieścił mnie tak samo.

Im większa ogarniała mnie rozkosz, tym mniej zajmowałam się jego ciałem. Dyszałam ciężko jak przy ogromnym wysiłku. A kiedy pomyślałam, że już nie może mi być lepiej, poczułam, jak pęcznieje we mnie rozkosz. Ruchy jego palca stały się jeszcze powolniejsze, jakby drażnił się ze mną, a ja pragnęłam, aby nie był taki spokojny, taki delikatny, aby dał mi tę rozkosz. Natychmiast.

I zrobił to. A ja byłam tak mokra, że aż wstyd.

Kiedy przekroczyłam ten próg, zajęłam się nim od nowa. Masowałam go, pieściłam, drażniłam i odnalazłam ten rytm, który pozwolił mu znaleźć się tam, gdzie sama byłam przed chwilą.

Potem ogarnął nas błogi spokój. Czułam się trochę zawstydzona, bo Leonard widział mój orgazm. Było to dla mnie bardzo osobiste doznanie. Nie wiedziałam, czy po tym zbliżeniu będzie mnie jeszcze szanował. Mężczyźni zmieniają swoje opinie po tym, jak już dokonają podboju. A ja po części czułam się zdobyta. Zbyt dobrze zdawałam sobie sprawę z tego, co właśnie zrobiłam, ale musiałam udawać, że nie stało się nic nadzwyczajnego.

- Wszystko w porządku? - zapytał Leonard, całując mnie.

- Tak. Jesteśmy nienormalni. Na podłodze jest pełno twoich dzieci.

Roześmialiśmy się obydwoje. Poczulałam się trochę lepiej, ale była to wymuszona ulga.

- Jak się czujesz? - zapytał.

Wiedziałam, że w moim zachowaniu widać różnicę. Było to poczucie niepewności i zagrożenia, będące następstwem tego, co się stało. Wzburzenie, które pojawiło się, kiedy zadałam sobie pytanie: „Co teraz?”. Byłam oszołomiona tym, co zrobiłam w pustym domu stojącym przy ślepej uliczce na Baldwin Hills.

Leonard objął mnie. Mocno, ale nie za mocno. Byłam zadowolona, że nie muszę się domagać, aby po wszystkim ktoś mnie przytulił. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek było tak, abym nie musiała o to prosić. Emocje zdawały się mnie przepelniać. Byłam tym zachwycona i żałowałam tego zarazem. Czułam się załamana i bezsilna.

- Nie powinienes teraz opowiedzieć jakiegoś dowcipu? - odezwałam się.

- Nie - pocałował mnie w czoło.

Nie miałam zamiaru trwonić swoich uczuć. Znałam zbyt wiele kobiet, które robiły to całymi latami. Nie podobało mi się to, co z nich pozostało. Zgorzkniałe czarne kobiety. Pozbawione złudzeń. Sfrustrowane. Bezsilne wobec własnego losu. Polujące na cudzych mężów, cudzych chłopaków albo przyjaciół swoich nastoletnich synów. Wyjałowione do stanu emocjonalnego zubożenia. Otepiały z wyczerpania. Żyjące z bliznami na duszy. A większość z nich nie przekroczyła jeszcze trzydziestki.

Chciałam z nim o tym porozmawiać, ale obawiałam się, że zlekceważy moje słowa, a to, co czuję, uzna za nieważne.

- Leonardzie, czy ktoś widział kiedyś twoje poważne oblicze?

- Niewiele osób.

- Odsłoniłeś je przed mężczyzną?

- Przed Tyrelem. On jest szczery. Prowadzimy szczere rozmowy. Rozmawiamy o swoich uczuciach. To dlatego jest moim przyjacielem.

- Możemy przez chwilę porozmawiać o naszych uczuciach?

- Pewnie.

- Miałam na myśli nas. Nie Tyrela czy Shelby, czy twoją albo moją rodzinę, czy kogoś innego.

- W porządku.

Usiadłam na wprost niego, tak że mogłam widzieć w półmroku jego azjatyckie oczy. Chciałam zobaczyć jego reakcję na moje słowa.

- Posłuchaj mnie, Leonardzie.

- Tak długo, jak tylko zechcesz.

- Mam nadzieję, że to, co powiem, ma jakiś sens.

- Oczywiście.

- Muszę określić to, co robimy, abyśmy mogli nazwać rzecz po imieniu. Jeżeli to jest nic, tak to nazwiemy. Jeżeli to tylko przelotna znajomość, nazwijmy ją w ten sposób. Dzięki temu dowiem się, ile z siebie mogę zainwestować. Nie wiem, czy oczekujesz, że będę umawiała się wyłącznie z tobą na randki, czy spotykała się z innymi ludźmi, czy co. Nie wiem, czy mam prawo myśleć o tobie tak dużo. Myślę o tobie i jest mi z tym dobrze, ale niepokoi mnie to, bo nie wiem, czy mam prawo tak myśleć o tobie.

- Kocham cię.

- Mówienie o tym nie czyni z tego prawdy - odparłam.

- A do czego chciałabyś doprowadzić?

- Słyszę rezygnację w twoim głosie.

- No cóż. Skoro mówię ci, co czuję, a ty w to wątpisz, znaczy, że moje słowa nie są odbierane poważnie.

- Chcę ci wierzyć. No dobra, wierzę ci. Ale z pewną rezerwą. Mam trochę doświadczeń, więc nie jest to dla mnie łatwe.

- A więc zapytam jeszcze raz. Do czego chciałabyś doprowadzić? Zawahałam się. Moje uczucia natrafiły na opór.

- Boję się o tym mówić - powiedziałam.

- A wiesz co?

- Tak - ściszyłam głos. - Wiem.

- Więc powiedz. Słucham.

- Ostatecznie chciałabym pewnego dnia wyjść za ciebie.

Milczał. Pozostało mi niezręczne oczekiwanie.

- Nie mówię tego, żeby... - zająknęłam się. - Nie chcę, byś pomyślał, że próbuję cię przypierać do muru. Ale rozmyślałam o tobie, marzyłam i wyobrażałam to sobie. Sądzę, że to naturalny proces. Kolejny etap związku. Być może bardziej dla kobiety niż dla mężczyzny. Co znaczy dla ciebie zbliżenie intymne? Czy osłabia związek, czy wznosi go na wyższy poziom?

- Podchodzisz do tego bardzo intelektualnie - uśmiechnął się.
- Chyba za dużo słucham doktor Laury¹¹ - parsknęłam śmiechem.

¹¹ Laura Schlessinger to popularna, słynąca z konserwatywnych poglądów amerykańska dziennikarka prowadząca radiowy program dla kobiet. Jest również autorką poradników i gospodynią programów telewizyjnych - przyp. tłum.

Przez dłuższą chwilę trwaliśmy w milczeniu. Czułam unoszący się w powietrzu zapach seksu i marzyłam, aby czuć go codziennie po przebudzeniu. Ale zaraz potem pożałowałam tego marzenia.

- Też bym chciał - odezwał się Leonard.
- Czego byś chciał?
- Ożenić się. Naprawdę. Myślałem o tym. Ale przeraża mnie to, więc unikałem tej kwestii.
- Ale co właściwie sądzisz na ten temat?
- Może powinniśmy o tym pomyśleć. Otworzyć się na to, czego każde z nas pragnie. Rozmawiać o tym. Moglibyśmy umówić się na spotkanie z pastorem, żeby o tym pomówić. Zasięgnąć rady.

- Przerażasz mnie.
- Mówię poważnie. Potrzebuję kogoś, z kim mógłbym zamieszkać w tym domu.
- W jakim domu?
- W tym domu.
- W tym domu?
- Mam zamiar go kupić.
- Jeszcze raz. O jakim domu mówisz?
- O domu, do którego się włamaliśmy.
- Chcesz kupić ten dom? - roześmiałam się. - On musi kosztować co najmniej ćwierć miliona.
- Tak, dokładnie. Powiedziałaś, że chciałabyś tu zamieszkać.
- Tak, powiedziałam. Ale to było hipotetyczne. Przestań mówić o takich sprawach. Ledwie się znamy.

Kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, zrobiło mi się głupio. Poczułam się, jakbym miała dwanaście lat. Uświadomiłam sobie, jak mało ludzie wiedzą o sobie, nawet kiedy uprawiają seks. Znajomość nie jest warunkiem intymności.

- Więc poznamy się lepiej - powiedział. - Opowiedz mi coś o sobie.

- Co?

- Opowiedz mi o swoich chłopakach. O tym, co z tobą robili.

- To dziwaczne pytanie - zjeżyłam się. - Dlaczego interesują cię moje osobiste sprawy?

- To jedyny sposób, w jaki mogę cię poznać, skoro już mowa o związkach. Jeśli będę wiedział, co przeszłaś i na co narazili cię inni, mogę się postarać tego uniknąć.

Zaczęłam obawiać się tego mężczyzny jeszcze bardziej niż przedtem. Pozwoliłam mu dotykać moich intymnych miejsc i patrzeć, jak robię miny, więc nie mogłam się już cofnąć.

- Faceci nie lubią słuchać takich rzeczy - powiedziałam.

- Uważasz, że nie jesteś warta, by cię wysłuchać?

Jego głos brzmiał łagodnie i budził zaufanie. W niczym nie przypominał teraz mężczyzny, którego widziałam na scenie albo z Tyrelem i Shelby. Ani ja nie miałam teraz w sobie nic z kobiety, którą on widział w ich towarzystwie. Nic z kobiety, którą poznał w Denny's. Byliśmy ponad tym. Niewiele osób mogłoby przyznać, że kiedykolwiek widziało mnie tak otwartą.

Przysunęłam się do niego i oparłam plecami o jego klatkę piersiową. Otoczył mnie ramionami, więc nie mógł widzieć mojej zamyślonej twarzy.

Opowiedziałam mu. Nie wymieniając żadnych imion, opowiedziałam mu o tych, którzy odchodzili bez pożegnania, o znajomościach, które uważałam za coś ważnego, a które okazały się jednorazową przygodą. Opowiedziałam mu o takim jednym, który mnie uderzył, o tym, który wziął mnie siłą na randce, o tym, który mnie zostawił, bo nie chciałam się zgodzić na seks przedmałżeński. Inny uważał, że za często chodzę do kościoła, jeszcze inny był zdania, że za dużo pracuję i się uczę. Opowiedziałam mu o kilku takich, których nie obchodziło to, czego potrzebuję, więc od nich odeszłam. Nie rozgadywałam się, trwało to może jakieś pięć minut, ale dostatecznie długo, by powróciły przykre wspomnienia. Dostatecznie długo, bym zaczęła się zastanawiać, czy nie powielam jakiegoś schematu.

Shelby miała sporo podobnych doświadczeń. Inne twarze, inne imiona, ale przecież jakby to samo. Miałam nadzieję, że nie zazna już cierpienia ze strony Tyrela. Sprawiał miłe wrażenie, ale czasami tacy są najgorsi. Nie odsłoniłam jednak przed Leonardem ani skrawka tych przemyśleń. Nigdy nie rozmawiałam o osobistych sprawach swojej przyjaciółki. Nigdy. To dlatego jesteśmy sobie tak bliskie.

- Jesteś taki chętny do żeniaczki, bo kogoś straciłeś? - zapytałam.

- O co ci chodzi?

- O to, że dostałeś kopa i teraz próbujesz na skróty przejść tę drogę, którą przechodzą faceci po zawodzie miłosnym?

- Absolutnie nic z tych rzeczy. Zerwałem z kilkoma osobami, ponieważ moje priorytety były nieodpowiednie.

- Co masz na myśli?

- Na pierwszym miejscu stawiałem rozrywkę, potem dopiero związek.

- Typowy komediant.

- Tak. Zamiast pielęgnować to, co miałem, dochodziłem do wniosku, że związek straciłby dla mnie wartość, gdybym opuścił scenę.

- Ale tak nie było.

- Nie. Ale wkrótce wciąż nie zostawało mi nic poza scenariuszem w dłoni i nową serią dowcipów. Nie to liczy się w życiu.

- A co się liczy?

- Przyjaciele i rodzina.

- Brzmi to jak reklama spółki telekomunikacyjnej - uśmiechnęłam się.

- Znakomity dowcip, co? - parsknął śmiechem. - Ale to ja jestem komikiem.

- A ja jestem motylem - zachichotałam. - Przepraszam. Nie miałam zamiaru ci przerywać. Mów dalej, kochanie.

Zaskoczyłam samą siebie, mówiąc do niego „kochanie”. Byłam zaskoczona, gdyż nie wiedziałam, czy mam prawo używać tak czulego określenia.

- Mój najstarszy brat przekroczył czterdziestkę i wciąż bawi się w randki - powiedział Leonard. - Czterdziestka na karku, a ten ciągle ugania się za dwudziestolatkami i żadnej nie przepuści. Romansuje z kilkoma kobietami naraz.

- To też przejaw okropnego braku szacunku dla kobiet.

- Tylko to go obchodzi. Zachowuje się, jakby był szczęśliwy, podrywając kolejną kobietę, ale jest samotny jak cholera. Pierwszy przychodzi do klubu, a wychodzi ostatni. Nie chciałbym skończyć tak jak on.

- Ma jakieś dzieci?

- Kilkoro.

- Z tą samą kobietą?

- Z kilkoma. - Pokiwał głową.

Zamilkłam. Rozmyślałam o tych sfrustrowanych kobietach, które znałam.

- Nie chcę skończyć jako stary, samotny człowiek, który siedzi na werandzie i patrzy, jak cudze dzieci wracają ze szkoły - oznajmił cicho Leonard.

Nie poruszałam już więcej tematu małżeństwa. Wolałam, aby jego słowa i obietnice pozostały tym, czym są - słowami i obietnicami. Puściłam je mimo uszu, aby pozostawić swoje oczekiwania w spokoju.

- Mój przyjaciel ma pewien problem - powiedział Leonard. - Doradź mi.

- Jaki?

- Zakochał się w kobiecie swoich marzeń.

- No, no...

- Gdyby chciał poprosić tę wymarzoną siostrę, aby za niego wyszła, aby żyła z nim do końca świata i jeszcze przez trzy dni, jak twoim zdaniem powinien jej to powiedzieć?

Przełknęłam ślinę. Staralam się zachować spokój.

- Może zaprosić ją do miłej restauracji - powiedziałam. - Na kolację przy świecach. Tylko we dwoje.

- Powinien mieć wtedy pierścionek?

- Przydałoby się. Zazwyczaj tak to się odbywa.

- A gdyby zechciał wybrać go razem z nią?

- To też niezły pomysł. Może zachowywać się uroczyście, a potem jej się oświadczyć. Ale sądzę, że może jednak najpierw poprosić ją o rękę. Zależy, jaki jest ich związek.

Pocałował mnie w policzek. Znów poczułam w sobie ogień, ale siłą woli stłumiłam płomień.

- Co robisz jutro po pracy? - zapytał.

- Nic. - Mój głos był tak miękki jak nigdy. Nigdy nie słyszałam siebie przemawiającej tak słodkim tonem. - A dlaczego pytasz?

- Chcę zaprosić cię na kolację. Świece. Kwiaty. A może wybralibyśmy się na zakupy, kiedy wrócę z Arizony?

- Po co na zakupy? - spytałam po chwili milczenia.

- Po mały drobiazg, który ogrzeje twój palec. Ścisnęło mnie w gardle, a w oczach zakręciły mi się łzy.

- Może tak być? - zapytał.

Zamurowało mnie. Nie potrafiłam wykrztusić słowa. Byłam oszołomiona. Zglupiałam w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Jedyne, co mogłam zrobić, to kilkakrotne kiwnięcie głową.

- Muszę sprawdzić swój plan dnia - odezwałam się. - Powinnam być wolna.

- Jeśli nie, zrozumieć to. - Znów mnie pocałował.

- A co do twojego przyjaciela, który chce poślubić tę dziewczynę...

- Tak?

- Mógłby po prostu się jej oświadczyć. Uroczyste kolacje są niemodne. Jeśli ją kocha i nie rzuca słów na wiatr, a ona kocha jego i chce z nim być, to powinno wystarczyć. Aż nadto.

- Może o wschodzie słońca na plaży. Patrząc, jak mroczne wczoraj zamienia się w promienne dziś. Wschód słońca mógłby symbolizować początek czegoś nowego. Koniec starych cierpień, pozostawienie ich w przeszłości.

- To byłoby piękne. Większość kobiet nigdy nie została poproszona o rękę przez swego wymarzonego mężczyznę. Jestem tego pewna.

Leonard trzymał mnie w objęciach i przez moment kołysaliśmy się z boku na bok.

- Debra.

- Tak?

- Pójdiesz rano popatrzeć ze mną na wschód słońca?

- Tak. Z wielką przyjemnością.

Łzy popłynęły mi po twarzy. Nie ocierałam ich. Nigdy dotąd nie czułam takiej radości jak w tym momencie.

Żadne z nas nie wróciło już do tego tematu. Rozmawialiśmy o wszystkim innym, o różnych ludziach, o Tyrelu i Shelby, o jego rodzinie, o mojej rodzinie. O wszystkim, tylko nie o tym, co tłuło się w naszych myślach, zanim ubraliśmy się i wyszliśmy.

W domu wzięłam prysznic. Byłam niespokojna i bałam się zasnąć. Wyczekiwałam, miotając się między słowami „tak” i „nie”.

O świcie Leonard i ja mieliśmy znaleźć się na plaży. Kiedy tylko rozproszy się mrok, a nad szczytami gór pojawią się promienie słońca, wypełniając złocistym blaskiem czarny jak smoła poranek, Leonard mnie pocałuje, przyklęknie na jednym kolanie, a brzask rozjaśni jego twarz. Rozjaśni również moją. Leonard powie mi, jak bardzo mnie kocha, a z kieszeni wyjmie pierścionek. Pierścionek, który kupił wiele tygodni temu.

Nim zdoła wypowiedzieć całe pytanie, pocałuję jego drżące usta i powiem „tak” tyle razy i na tyle różnych sposobów, że aż będzie to zabawne. Obydwoje roześmiejemy się, ocierając łzy radości. A potem pojedziemy do Denny's, miejsca, w którym się poznaliśmy. Tyrel i Shelby będą już tam czekać, tak samo jak Faith i inni przyjaciele.

SHELBY

Siedziałam w tylnym przedziale Boeinga 737 wraz z Chiquitą. Też była stewardesą, ale akurat nie pracowała. Za oknem panowały nieprzeniknione ciemności, a deszcz lał się strumieniami. Niebo wokół samolotu raz za razem rozjaśniały błyskawice. Ta noc przywiodła mi na myśl epizod ze *Strefy mroku*, w którym mężczyzna wygląda przez okno i widzi, jak siedzący na skrzydle gremlin próbuje uszkodzić silnik.

Był to nocny lot powrotny z Waszyngtonu do Los Angeles z krótkim międzylądowaniem w Atlancie. Tam właśnie na pokład weszła moja koleżanka Chiquita. Nie była w pracy, więc miała na sobie fioletowe spodnie, kolorową kurtkę, złote kolczyki i podwójne bransoletki. Nie zdążyła na bezpośredni lot do San Diego i musiała teraz dostać się do Los Angeles i stamtąd złapać jakieś połączenie, by zdążyć do pracy. Sam fakt, że latałyśmy prawie za darmo, wcale nie oznaczał, że było to wygodne.

Z turbulencjami nie ma żartów, więc musiałyśmy przypiąć wszystkich pasażerów do foteli.

Siedziałyśmy w ostatnim przedziale, najbliżej ogona samolotu. Czytałam magazyn „Black Hair” i zasypywałam koleżankę pytaniami, co sądzi o tej czy o tamtej fryzurze. Miałam już dość swojego koka i poważnie myślałam, żeby zrobić coś z włosami, może skrócić, może zapleść warkocze.

Chiquita oglądała zdjęcia ze ślubu Leonarda i Debry. Przyniosłam właśnie odbitki z dwóch filmów do pokazywania znajomym. Inne stewardesy z przodu samolotu również zmagaly się z burzą, a Chiquita wzdychała i uśmiechała się tęsknie, jakby nie mogła się doczekać, aż w jej życiu również nadejdzie taki dzień.

Ślub Debry był wspaniały. Ten cudotwórca zorganizował wszystko w czasie krótszym niż sześć tygodni. Wiedziałam, dlaczego jej też tak się spieszyło. Gdybym musiała czekać tak długo na seks, to gdyby tylko poprosił mnie o rękę, od razu pognalibyśmy do Vegas, zabierając ze sobą materac.

Oczywiście zostałam druhną, a Tyrel był najprzystojniejszym družbą, jakiego kiedykolwiek widziałam. Jego krzywe nogi i dołek w brodzie prezentowały się znakomicie, gdy miał na sobie smoking.

- Jakie to piękne - westchnęła Chiquita.

Chiquita miała około dwudziestu pięciu lat, brązową meksykańską karnację, była szczupła i nosiła krótkie, farbowane włosy.

- Siostró, siostró. Te zdjęcia są zbyt piękne. Są naprawdę piękne - mówiła z miękkim, seksownym akcentem.

- Wydali na to fortunę - powiedziałam, nakładając na usta kolejną warstwę wiśniowej szminki, której intensywna barwa harmonizowała z moją cerą. Chiquita malowała się ciemnoróżową, prawie w takim samym odcieniu, jakiego zawsze używała Debra. Na ich jasnej skórze doskonale prezentowały się również lawendowe i jagodowe akcenty.

- A co to za przystojny brat z dredami? - spytała Chiquita.

- To kuzyn Debry, Bobby, jest fotografem.

- Więc mogła liczyć na zawodową przysługę.

- O ile to, co zrobił Bobby, można nazwać przysługą. Powiedziałam jej, że Debra i Leonard nie spali ze sobą, dopóki się nie pobrali. To dlatego popędzili do najbliższego hotelu zaraz po tym, jak powiedzieli sobie sakramentalne „tak”.

- Naprawdę? - spytała Chiquita. Pokiwałam głową.

- Bez śladów palców na szybie - powiedziała.

- Co to znaczy?

- Czytałam książkę, w której dziewictwo kobiety było porównane do szyby w oknie. A kiedy śpisz z jakimś facetem, pozwalasz mu zostawić na niej ślady palców. - Siedziała na fotelu przy oknie i zaczęła bębnić palcami o szybę. Gest ten wydawał mi się teraz szczególnie nieprzyjemny. - Z tego, co opowiadałaś o Tyrelu, twoje okno musi być ciągle zamazane.

Wybuchnęłyśmy wdzięcznym i miłym siostrzanym śmiechem.

- Powinnaś w przyszłym tygodniu wybrać się do San Diego - powiedziała Chiquita.

- Nie dam rady. Tyrel kupił dla nas bilety na imprezę SCP.

- Co to jest?

- Stowarzyszenie Czarnych Prawniczek. Jedno z tych spotkań towarzyskich, na które ściągają czarna burżuazja. Samotne siostry i kręcący się wokół nich bracia. Wieczór nowych znajomości.

- Wygląda na to, że powinnam się tam znaleźć.

- Poproś swego faceta, by cię tam zabrał.

- Jeśli ma być tam sala pełna samotnych czarnych prawników, to po co mi Raymond? To jak wożenie drewna do lasu.

Chiquita spojrzała na moje zdjęcie z Tyrelem. Drużba i drużna panny młodej.

- A to jest Tyrel? - zapytała. Podrapałam się po piersi. Bolał mnie sutek.

- To właśnie mój facet - odpowiedziałam. - Popatrz na ten dołek w brodzie. Nazywam go Jaskinią Shelby.

- To słodkie - złożyła wargi i zamruczała.

- Czego miał dotyczyć ten pomruk? - spytałam ze śmiechem. Chiquita przerzuciła parę kolejnych zdjęć.

- No tak, Shelby...

- Yhmm.

- Mówiłaś, że wszyscy poznaliście się w tym samym czasie.

- Yhmm - uśmiechnęłam się.

- A Leonard i twoja przyjaciółka Debra już się pobrali?

- Yhmm - przytaknęłam szorstko po chwili wahania.

- A wy bawicie się w dom i życie na kocią łapę.

Rozejrzałam się, by sprawdzić, czy ktoś słyszy, jak ta gaduła rozprawia o moich osobistych sprawach. Gdyby nawet komuś się to zdarzyło, nie przywiązałyby do tego wagi albo udałby, że niczego nie dosłyszał. Uniosłam dłoń do ust, potem dotknęłam perłowego kolczyka i okręciłam na palcu kosmyk włosów. Usiłowałam zapanować nad napięciem.

- Ja i Tyrel mieszkamy ze sobą od trzech miesięcy - odezwałam się wreszcie po podliczeniu w myślach.

- Cóż, skoro jesteście tak świetnie dobrani, seksualnie równie dobrze, moglibyście się pobrać. Czy on wspominał o tym kiedykolwiek?

- Chcesz, żebym powiedziała ci coś przykrego? - przestałam się uśmiechać.

- Wygląda na to, że powinnaś była zadawać się z Leonardem, a nie z Tyrelem - oświadczyła.

Mówiąc szczerze, aforyzm mojej mamy o mężczyźnie, który nie będzie kupował krowy, kiedy ma mleko za darmo, tłukł mi się po głowie milion, a może dwa miliony razy, odkąd postanowiłam zrezygnować z wynajętego mieszkania i podążając za głosem serca, wyrzec się

wolności i przeprowadzić do Tyrela. Ale myśląc o tym, nie czułam się ani trochę nieszczęśliwa. Aż do tego momentu. Spojrzałam na Chiquitę i pokręciłam głową. Niektóre siostry nienawidzą patrzeć na szczęście innych.

Kto do jasnej cholery powiedział, że mam ochotę na małżeństwo? To, co łączy mnie i Tyrela, znakomicie się sprawdza. Jesteśmy zakochani. Mamy w sobie mnóstwo pożądania, ale pożądanie wzmacnia miłość. A erotyzm rozwija się pod wpływem uczuć. Uwielbiałam w nim wszystko. Sposób, w jaki siada i czyta, to, jak się ubiera przed wyjściem do pracy. Jego zapach i smak jego potu, kiedy się kochamy. Czułam się jeszcze mocniej z nim związana, patrząc, jak zabiera głos w centrum młodzieży w Watts. Kiedy słuchałam, jak bardzo przejmują się losem nieznanych sobie ludzi, przepelniały mnie emocje. Kochałam w tym człowieku wszystko. W środku i z wierzchu, od stóp do głów.

Miałam już spytać Chiquitę, dlaczego tak interesuje się moim życiem osobistym i czy wie, gdzie jest teraz jej facet, Raymond, na którego wiecznie narzekała i nigdy nie mogła się porozumieć dłużej niż przez dwie minuty. Jednak naciśnięty przez jakiegoś pasażera dzwonek zabrzączał dwa razy, wybawiając jedną z nas od moich myśli. Dało mi to pretekst, by wstać i z głupkowatym uśmiechem ruszyć między rzędami foteli. Kilkoro ludzi kichało i pokasywało, rozsiewając zarazki. Jakiś dwuletni smarkacz dostał ataku złości i cisnął figurką Wojowniczego Żółwia Ninja, która trafiła mnie w tył głowy. Zatrzymałam się na sekundę. Na tyle długo, by rodzice bachora zauważyli, że nie jestem w najlepszym humorze. Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie złożyć na gówniarza skargi w Federalnym Biurze Transportu Lotniczego, ale nie przestawałam iść w stronę pasażera, który mnie wzywał.

Był to brat o skórze w barwie karmelu, ubrany w ciemnozielony garnitur. Miał krótkie włosy przerzedzone po bokach. Musiał być wysoki, bo siedział z kolanami wtłoczonymi w oparcie fotela przed sobą. Wzywał mnie już trzeci raz. Za pierwszym razem chciał poduszkę i koc. Za drugim, gapiąc się na mnie, oznajmił, że zapomniał, po co mnie wezwał.

- Miałem nadzieję, że to właśnie pani przyjdzie - powiedział.

Przywołałam na twarz sztuczny uśmiech. Jego perfumy, jakiś Drakkar albo Hugo, sprawiały że zrobiło mi się niedobrze. Im bliżej niego stałam, tym bardziej mnie mdliło. Trzymając dystans od jego odoru, starałam się nachylić tak, by nie uderzyć nikogo tyłkiem w twarz.

- Czym mogę panu służyć? - zapytałam, oddychając przez usta.

- Nazywam się Richard Vaughn.

Wyciągnął w moją stronę wizytówkę. Nie przyjąłem jej. Zbyt wiele razy przytrafiło mi się coś takiego.

- Mieszkam w San Diego - dodał.

- Gratuluję.

- Mam sklep z kwiatami. Słyszała pani kiedyś o „Kwiatach Richarda”?

- To bardzo miło, ale nie słyszałam. W czym mogę panu pomóc? Gapił się na mnie z otwartymi ustami. Albo język stanął mu kołkiem,

albo chciał mi pokazać, że ma wszystkie zęby.

- Potrzebuje pan czegoś?

- Zastanawiałem się, czy moglibyśmy umówić się na drinka.

- Panie Vaughn - powiedziałam, wzdychając ciężko.

- Mów mi Richard.

- Panie Vaughn, proszę nie opuszczać swojego miejsca, zapiąć pasy i nie naciskać dzwonka, o ile nie jest to nic pilnego. Zostanie pan obsłużony, kiedy tylko samolot wylądje. Przyjemnego lotu.

Ruszyłam z powrotem na swoje miejsce. Moje buty były jak narzędzie tortur. Samolotem wstrząsnęły kolejne turbulencje. Przyjemniejszym wspomnieniem była już dla mnie jazda kolejką górską w wesołym miasteczku Six Flags. Czułam niewiarygodne mdłości. Ktoś z pasażerów używał Chanel nr 5 i mój żołądek zaczął wywracać się na lewą stronę. Odbiło mi się i poczułam, jak moje wnętrze kipią i pęcznieją. Odrobina goryczy podeszła mi do gardła, ale chyba spaliłabym się ze wstydu, gdybym zwymiotowała.

Wydawało mi się, że skrzydła zaraz oderwą się od kadłuba. Przed oczyma przemknęły mi obrazy roztrzaskanych samolotów. Udawałam, że się nie boję, aby pasażerowie, których obudziła ta nocna huśtawka, zachowali spokój. Trzymałam się mocno oparcie foteli, aby nie wylądować na kolanach jakiegoś grubasa. Kobieta po lewej ścisnęła Gwiazdę Dawida i szeptała modlitwę. Irańczyk po prawej nie zdążył sięgnąć po torbę na wymioty i wyrzygał się na siedzącą obok Meksykankę. Kobieta wykrzywiła twarz, zakrztusiła się i odwzajemniła mu się tym samym. Połączyła ich wspólna niedola. Przez najbliższe półtorej godziny wszyscy byliśmy skazani na wdychanie i wężanie krążącego w wewnętrznym obiegu fetoru wymiocin.

Kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca, wróciłam do tyłu, by przygotować się do serwowania jedzenia o smaku tektury.

Chiquita miała na uszach słuchawki walkmana i wciąż oglądała zdjęcia. Dotknęła mojej dłoni, kiedy przechodziłam obok.

- Dobrze się czujesz? - zapytała, zdejmując słuchawki.

Wzruszyłam ramionami i potarłam się po piersiach. Nowy biustonosz albo woda Wschodniego Wybrzeża, w której się kąpałam, albo nieznany balsam do ciała, którego użyłam, coś cholernie podrażniło mi skórę na piersiach. Stała się bardzo wrażliwa, a tkanina przeraźliwie drapała mi sutki.

- Shelby, dobrze się czujesz? - powtórzyła Chiquita.

- Mam nudności.

- Nudności? - uniosła brew.

- Nie takie - zrobiłam minę.

Przekrzywiła głowę, a na jej twarzy pojawił się głupawy wyraz powątpiewania.

- Zjadłam trochę pokładowego jedzenia. Przez całą noc było mi niedobrze jak cholera. Pół nocy przesiedziałam w łazience.

- Spróbuj napić się 7up - powiedziała, wręczając mi parę tabletek na nadkwasotę żołądka.

- Albo zjedz trochę krakersów i chleba.

- Jeszcze jedna z twoich południowych metod?

- To działa.

Wzięłam torebkę i poszłam do toalety. Miałam cholerne zawroty głowy. Byłam słaba i zamroczona. Czułam każde nurkowanie i wznoszenie samolotu. Przekłęte kieszenie powietrzne. Słyszałam, jak ktoś pokasływał i kichał. Mogłam złapać jakąś międzynarodową infekcję, którą zarazeni pasażerowie przemyśli na pokład. Nie miałam co do tego wątpliwości, gdyż jeszcze dwa dni wcześniej ledwie zdołałam przebiec sześć i pół kilometra, a już byłam całkiem wyczerpana. Nie uważałam tego za uzasadnione, ale już przy trzecim kilometrze dyszałam jak dzika, wylewałam z siebie całe wiadra potu i czułam się, jakby to był maraton. Zażyłam echinaceę, walerianę i podwójną dawkę witaminy C, ale chyba wirusy też wzięły coś na uodpornienie.

Otworzyłam torebkę i wśród wkładek higienicznych, kwitów i pigułek antykoncepcyjnych znalazłam swój kalendarzyk menstruacyjny. Spojrzałam na zakreślone daty i dokonałam szybkich obliczeń. Ostatnią miesiączkę miałam przed dwudziestoma dniami. Nic strasznego. Miewałam spokój od tamponów przez jakiś czas, bo mój cykl był tak nieregularny, że wahał się od trzydziestu do pięćdziesięciu dni. Ostatnim razem ciotka przyjechała po czterdziestu dniach,

a poprzednim nie zaglądała do mnie aż przez czterdzieści pięć. Przez pięć spośród ostatnich ośmiu miesięcy niemal nie miałam okresu.

Poczułam w głowie falę ciepła. Węzły chłonne wydawały się lekko obrzmiałe. Doszłam do wniosku, że bierze mnie grypa albo jakiś wirus żołądkowy. Czułam, że mój organizm walczy z jakąś trucizną. Przypuszczalnie w tym wegetariańskim daniu, które zjadłam na pokładzie przed dwoma dniami, była też wieprzowina. Zmusiłam się do wymiotów, ale nie pomogło, za to krztusiłam się, jakbym miała zaraz wypluć płuca. Ktoś szarpnął za klamkę. Na drzwiach widniał wielki napis „zajęte”, ale chyba kogoś to nie przekonało. Usłyszałam głos jednej ze stewardes, która wołała mnie po imieniu i pytała, czy wszystko w porządku. Otarłam twarz i powiedziałam, że wyjdę za minutę. Na dnie torebki nosiłam komplet plastrów opatrunkowych. Wyjęłam dwie pary i ponaklejałam je sobie w kształcie litery X na każdym z sutków. Poczułam się już trochę lepiej. Otarłam pot z czoła i szyi, wyszorowałam zęby i wypłukałam usta, ale wciąż zalatywało ode mnie wymiocinami.

Sięgnęłam do kieszeni po szminkę i wyczułam pod palcami zwinięty kawałek papieru. Wyjęłam go i rozłożyłam.

Shelby

Gdybyś kiedykolwiek zapragnęła

Otuchy, miłości, ciepła, rozmowy, pomocnej dłoni.

Uścisku, bezpieczeństwa, schronienia, pocałunków jestem dla Ciebie

Tyrel

To był odręcznie napisany liścik od Tyrela. Zawsze wsuwał mi takie karteczki do kieszeni albo torebki. Dawka jego czułości sprawiła, że poczułam się lepiej.

Potem ogarnęła mnie kolejna fala mdłości. Moje nozdrza zbyt długo wciągały nieodpowiednie zapachy. Tak jak w tych dniach, gdy ścigała mnie woń tanich perfum Nancy.

Samolot zaczął obniżać lot.

Napój gazowany przegryziony kilkoma krakersami uspokoił moje wnętrze.

Z przyklejonym do twarzy uśmiechem ruszyłam między rzędami foteli, pchając wózek z przekąskami i napojami, by nakarmić tych, którzy wciąż jeszcze nie spali. Zauważyłam, że Richard Vaughn nie spuszcza ze mnie wzroku. Potem zebrałam śmieci i podałam jeszcze kilka napojów. Ale wierzcie mi, moja praca na tym się nie kończy. Minęłam wrzeszczące wściekle dziecko, które rzucało wokół zabawkami. Jego rodzice w porę obezwładnili potwora, widząc, że się zbliżam.

Nim się zorientowałam, nadszedł czas na przygotowania do lądowania.

Kiedy wróciłam na swoje miejsce, Chiquita siedziała z odchyloną głową okryta kocem. Miała zamknięte oczy, a na uszach słuchawki walkmana.

Owionął mnie zapach jej perfum. Nie czułam ich przez cały lot, a teraz zaczęły mi strasznie śmierdzieć. Była to ta sama kompozycja róży i mimozy, której sama używałam, ale nagle zamieniła się w piekielny fetor.

Spojrzałam w okno obok jej fotela. Szyba była zapaćkana i podrapana. Zastanawiałam się, ilu mężczyzn jej dotykało, pozostawiło na niej odciski palców i odeszło. Potem przypomniałam sobie ten głupi komentarz Debry, która stwierdziła, że moja cipka jest przechodzona jak Pico Boulevard. Żartowała wtedy i przypuszczalnie niczego by nie pamiętała, gdybym jej to teraz wygarnęła, ale ja nie mogłam o tym zapomnieć. Od tego czasu nie mogłam nawet przejechać w pobliżu Pico, by nie wytrąciło mnie to z równowagi.

Po kilku minutach nasza podniebna limuzyna zaczęła podchodzić do lądowania. Z otwartych klap ze szczękiem wysunęło się podwozie. Byłam wykończona, czułam się wymięta, ale większość moich dolegliwości już minęła. Chiquita poprawiała sobie makijaż i delikatnie kiwała głową w rytm muzyki. Opuściłam dłoń, by pomasażować brzuch, bo poczułam ucisk. Mógł to być skurcz mięśni albo gazy. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem byłam taka osłabiona. Musiałam się porządnie wyspać. Na domiar złego, kiedy próbowałam się odprężyć, głowa zaczęła mi pulsować w miejscu, gdzie zostałam ugodzona Wojowniczym Żółciem Ninja. Przyszło mi na myśl, że poprzez ten ból dobija się do mnie rzeczywistość.

14.

Tyrel

Shelby zadzwoniła do mnie w poniedziałkową noc z Miami. Kiedy mruknąłem „halo” do słuchawki, upłynęło kilka sekund, zanim się odezwała. Jej głos był chrapliwy, drżący, pociągała nosem.

- Co się stało?

Odchrząknęła i zrobiła długą pauzę.

- Chyba jestem w ciąży.

Słyszając to, natychmiast się rozbudziłem. Poczułem się, jakbym włożył palec do gniazdka. Po części spowodowała to sama wiadomość, a częściowo nerwowy sposób, w jaki mi ją przekazała. W jej tonie pobrzmiwały niesmak, ból, zgryzota i desperacja, a wszystko zabarwione było stłumionym lękiem. Była zbyt daleko od domu, aby sama dać sobie z tym radę. Ta odległość sprawiała, że czułem się bezradny i bezużyteczny.

- Jesteś pewna? - zapytałem, powstrzymując ziewanie. Włączyłem lampę i siadając, opuściłem boscie nogi na błękitny dywan. Zacząłem wyskubywać z niego nitki palcami stóp. Zegar wskazywał za dwadzieścia trzecią w nocy.

- Tak myślę - odparła.

- Byłaś u lekarza?

- Nie. - Shelby wzięła kilka płytkich oddechów i po długiej pauzie dodała drżącym głosem. - Zrobiłam test ciążowy.

- Kiedy?

- Przed godziną.

- I co?

- Królik Bugs nie żyje.¹²

¹² Królik nie żyje (dosł. The rabbit died) to eufemistyczne określenie pozytywnego wyniku testu ciążowego, pochodzące z przełomu lat 20. i 30. XX wieku. W 1927 roku odkryto, że po wstrzyknięciu moczu ciężarnej kobiety do organizmu samicy królika w jej jajnikach pojawiają się pęcherzykowate narośla, których obecność można było stwierdzić dopiero po zabiciu zwierzęcia - przyp. tłum.

- Jesteś pewna?

- Co masz do cholery na myśli?

- To, czy jesteś pewna.

- Musiałabym chyba nie rozróżniać kolorów. Wystarczyło, bym naląła dwie krople moczku na pasek.

- Dlaczego jesteś taka wkurzona?

- Po co ja do ciebie dzwoniłam? - zajęczała. - Ale z ciebie typowy facet.

- Więc bądź typową babą i powiedz mi to, czego jeszcze nie wiem.

- Jestem wkurzona, bo pozwoliłam sobie pójść na całość i wpadłam. Wiem, jak to jest. Nie tak sobie wszystko planowałam. Nadal nie zrobiłam takiej kariery, jaką bym chciała. To znaczy, zostawiłam pracę w szkole, żeby zdawać testy na policję, a skończyłam jako cholerna stewardesa.

- Nie skupiaj się na tym, gdzie jesteś, ale gdzie chciałabyś być.

- Chciałabym nie być w ciąży, ot co.

- Próbowałam tylko ci pomóc.

- Czy ja cię prosiłam o porady?

- Nie, nie prosiłaś.

- Więc mi ich nie udzielaj.

- W porządku.

- Po jaką cholerę ja do ciebie zadzwoniłam?

- Sam cię miałem o to zapytać.

- Żeby dostać tę pracę, nie potrzebowałam żadnych dyplomów. A w takim stanie nie pozwolą mi latać. A gdybym dostała zawrotów głowy? Gdyby stało się coś mnie albo pasażerom, za których jestem odpowiedzialna? Jestem tak cholernie obolała i słaba i...

- Shelby...

- Nie przerywaj mi w ten sposób.

- Spokojnie. Miotasz się. Najpierw dziś, potem jutro.

- Najpierw mi mówisz, żebym skupiła się na przyszłości... - zamilkła na moment i przełknęła ślinę. - A teraz, żebym nie martwiła się o jutro.

- Chyba coś kręcisz.

Usłyszałem, jak ziewa, i odniosłem wrażenie, że jej nastrój zmienił się po raz kolejny.

- Prześlij mi całuska, kochanie - powiedziała cicho.

Zrobiłem to.

- Dostałaś?

- Tak - zachichotała. - Dzięki.

Wyobraziłem sobie ją z dzieckiem. Jej zaokrąglony brzuch, nabrzmiące piersi, szeroki nos i wydatne kości policzkowe. Wyobraziłem sobie, jak masuję jej brzuch, jak wyczuwam pierwsze sygnały nowego życia. Widziałem Shelby w ciąży, niewyobrażalnie piękną, jak opiera dłonie w talii, aby ulżyć plecom. Siebie, jak gnam do szpitala, gdy ona ciężko oddycha zлана potem. Jak ściskam jej dłoń, a ona wbija mi paznokcie w skórę, przeklinając mnie za to, co jej zrobiłem. Ślicznego noworodka o jej karnacji. Widziałem siebie, z obgryzionymi paznokciami, jak pełen dumy wiozę swoją rodzinę do domu.

- Jesteś gotów zapomnieć o wyjściach w piątkowe wieczory i zamienić swoją aktówkę na paczkę pieluch? - zaśmiała się gorzko.

Nic nie odpowiedziałem. Opadłem na plecy i leżałem w poprzek łóżka.

- O czym myślisz? - zapytała.

- Zastanawiałem się, jaki będzie ze mnie ojciec. Moja rodzina nie była idealna.

- I co z tego? Miałeś przynajmniej jakąś rodzinę.

- Jedyne wzorzec mężczyzny, jaki miałem, to mój ojciec. Nie zasługiwał na to, by być ojcem.

- Moja matka nie była... - zaczęła Shelby. - Zresztą nieważne.

Zawiesiła głos. Wydawało mi się, że słyszę, jak uderza łyżką o miskę, wybijając nerwowy rytm.

- Spotykasz się z kimś innym? - zapytała.

- Nie. Za bardzo mnie absorbujesz. Nie miałbym czasu dla dwóch.

- Więc nie jesteś taki jak twój ojciec. Zresztą, dlaczego on miałby teraz się liczyć?

- Nie liczy się - odparłem, choć wiedziałem, że tak nie jest. - Tylko tak mówię.

Uspokoila się.

- Co twoim zdaniem powinnam zrobić? - zapytała.

- Będziemy musieli przeprowadzić się do większego mieszkania - powiedziałem. - Może pora kupić jakiś dom, zweryfikować nasze finanse. Nie będzie lekko, ale...

- Nie! - krzyknęła.

- Co?

- Cholera.

- Co?

- To nie jest właściwa odpowiedź.
- Myślę, że nasze opinie trochę się różnią.
- Nie chcę mieć dziecka. W każdym razie nie teraz. Nie w takich warunkach.
- O czym mówisz?
- Chcę zrobić karierę i to nie jest dobry moment. Moja sytuacja zawodowa nie jest taka jak twoja. Nie mam takich przywilejów.
- A jakie ja mam przywileje?
- Ja nie mogę zdjąć butów, położyć nóg na biurku i rzucać strzałkami w zdjęcia albo układać pasjansa na komputerze i tak się obijać, kiedy właśnie czekam na odprawę.
- Obijać się? Myślisz, że obijam się przez cały dzień?
- To znaczy, wiesz, o co mi chodzi.
- Porozmawiajmy najpierw o tamtym, dobrze?
- To nie dotyczy nas, tylko mnie.
- Nie, to dotyczy nas.
- Dotyczy tego, do czego dopuściłam.
- Uspokój się.
- Nie mów mi, żebym się uspokoiła. Nienawidzę, kiedy zwracasz się do mnie, jakbym była dzieckiem. Nie jesteś moim cholernym tatusiem.
- Nigdy nie twierdziłem, że jestem.
- To nie ty rzygasz, latając od wybrzeża do wybrzeża. To nie w twoim ciele zachodzą wszystkie te zmiany. To nie ty utyjesz i zbrzydniesz. Będę miała całą dupę w rozstępach. Na siłowni widuję kobiety, które rodziły dzieci, i nieważne, ile zrobiłyby przysiadów, nie pozbędą się tych fałdek, że już nie wspomnę o obwisłych piersiach i rozciągniętym brzuchu...
- Shelby...
- No co?
- Uspokój się.

W słuchawce rozlegały się odgłosy krzątania. Shelby otwierała i zamykała szuflady, odkręcała i zakręcała wodę w łazience. Pokasływała, dławiła się i pluła. Była tak niespokojna jak ja. Mówiłem jej, aby się uspokoiła, mówiłem, że sam jestem zestresowany, że myślę o tych samych problemach co ona, o pieniądzach, o zmianie statusu, o tym, że nie jesteśmy małżeństwem, o rzeczach, które zaszły w niewłaściwym porządku. Że porządek jest dla tradycionali-

stów. Mój głos był tak łagodny, jak tylko było to możliwe, i wciąż otwierałem i zaciskałem palce stopy, wrywając klaczki z orientalnego dywanu.

Oddech Shelby zrobił się nieregularny.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem.

- Nie, do kurwy nędzy. Jestem załamana. Rozdrażniona.

- Jadłaś coś?

- Tak. Lody o smaku orzechowym i ciastka.

Położyłem dłoń na karku i wyobraziłem sobie ją, jak siedzi w ciemności, w samych majtkach i bez stanika, mierzwiąc włosy dłonią i owijając je wokół palca.

- Shelby?

- Co? - wymamrotała.

- Przestań ciągnąć się za włosy, bo wyłysiejesz, kochanie. Kiedy je sobie wyrwiesz, będziesz musiała nosić perukę, a Leonard będzie o tym opowiadał dzień i noc, na scenie i prywatnie.

- Dobrze - zachichotała.

- Widzisz księżyc ze swojego pokoju?

- Poczekaj. Muszę odsunąć zasłony. Tak. A czemu pytasz?

- Bo ja go widzę z tarasu. Patrz na niego, kiedy rozmawiamy.

- I co to da?

- Wrażenie, że jesteśmy bliżej siebie niż w rzeczywistości.

- Ale z ciebie wariat.

Upływały chwile, a my ściskaliśmy słuchawki, nic nie mówiąc.

- Dziękuję, że mnie rozśmieszyłeś - odezwała się Shelby.

- Już dobrze. Nie można śmiać się i wściekać w tym samym czasie.

- Przepraszam cię. Po prostu nie czuję się dobrze.

- A oprócz mdłości jak się czujesz?

- Głodna. Zestresowana. Nie mogę myśleć. Nie chcę iść do pracy.

- Masz gorączkę?

- Chyba jestem trochę rozgrzana. Chcę być w domu, przy tobie.

- Szkoda, że cię tu nie ma. - Skinąłem głową do księżyca.

- Zdenerwowało mnie opóźnienie samolotu. - Jej głos złagodniał, zaczęła mówić bardziej swobodnie. Słyszałem, że jest wyczerpana, ale mówiła normalnym tonem.

- Już dobrze - powiedziałem. - Tylko się nie denerwuj, dobra?

- Dobra, tatusiu - jęknęła.

- Nie jestem twoim tatusiem.

- Więc bądź taki dobry i nie wchodź się w tę rolę, kiedy jestem wkurzona.

- Jeśli się tak zdarzyło, to tylko przez przypadek.

- Masz tendencje do protekcyjnego zachowania. Jakbyś patrzył na mnie z góry i w duchu nazywał mnie głupią.

- Nigdy.

- A kiedy pozwalałeś sobie na różne uwagi, że nie zbieram po sobie ubrań i butów, a potem wywiesiłeś kartkę na drzwiach, to niby co było? Jak się miałam poczuć?

- Powinnaś sprzątać po sobie.

- A ty powinieneś się nauczyć, jak zmyć talerz albo dwa.

- Próbuję.

- Ja tak samo - odparła z pasją.

- Nie rozdrabniajmy się. Uciekamy od tematu.

- Wiesz - powiedziała. - O to właśnie mi chodziło.

- A czy ja suszę ci głowę o nic?

- Tyrelu Anthony Williamsie - przełknęła ślinę. - Zadzwoiłam do ciebie, ponieważ chciałam porozmawiać z przyjacielem. Nie z kochankiem czy kimś tam, ale z przyjacielem.

- Dzwoniłaś do Debry?

- Po jaką cholere miałabym do niej dzwonić? Ona nie ma z tym nic wspólnego. Zresztą to nie jest sprawa, którą chciałabym nagłośnić.

- Więc w czym problem?

- Ale z ciebie typowy facet. Zadzwoiłam do ciebie, bo cię potrzebuję.

- Wiem. Pomyślałem tylko, że mogłabyś zechcieć porozmawiać z nią.

- A co, ty nie jesteś moim przyjacielem?

- Owszem, jestem. Chodziło mi o taką rozmowę, jaką kobiety prowadzą, kiedy pojawiają się sprawy tego rodzaju.

- Ona jest mężatką. Nie mogę chwycić za telefon i zadzwonić do niej albo złożyć jej wizyty o dowolnej porze. To już nie ten układ. Czy ty nadal dzwonisz do Leonarda w środku nocy?

- Nie, nie dzwonię. Ale zrobiłbym to, gdybym był w potrzebie. Zresztą Leonard poważnie jest na nogach do późna.

- Ale nie jest już tak, jak było. Debra nie jest samotna i nie mieszka już sama. Pewnie teraz uprawia seks, więc i tak by nie odebrała.

Roześmialiśmy się. Całe napięcie znikło.

- Tyrel.

- Tak?

- To jest nasza sprawa. Tylko nasza.

- W porządku.

- Nie Leonarda ani Debry, ani niczyja.

- W porządku.

- Przysięgnij.

- Obiecuję.

- Wystarczy - Shelby ziewnęła. - Jestem zmęczona. O dziewiątej muszę być przytomna na pokładzie, a jest już po czwartej.

U mnie zegar pokazywał dwadzieścia po pierwszej.

- Zrobię jeszcze jeden test - powiedziała. - Tak na wypadek, gdybym coś zepsuła i wyszedł fałszywy wynik. Pomówimy o tym w środę, kiedy wrócę do domu. Muszę się wyspać, kochanie.

- Zadzwoń do mnie, gdybyś nie mogła zasnąć.

- Dobrze.

Shelby

Kiedy skończyłam rozmowę z Tyrelem, moje oczy miały barwę ketchupu. Wysikałam się po raz dziesiąty w ciągu ostatniej godziny, wysmarkałam nos i chwyciłam za telefon, by zadzwonić do Debry, ale zrezygnowałam, patrząc na pusty palec serdeczny swojej lewej dłoni. Odłożyłam słuchawkę i pomyślałam o mamie. Zostawiła nastoletnie dziecko i umarła bez obrączki na palcu. Całe jej wiano składało się z niespełnionych obietnic.

Wtedy zobaczyłam w lustrze swoją sylwetkę. Na kilka sekund wróciłam pamięcią do czasów, kiedy miałam odrapane łokcie, nosiłam włosy związane w kucyki i obcisłe džinsy kupione w sklepie z odzieżą używaną. Jeden dzień szczególnie utkwił mi w pamięci. W gimnazjum Croziera lekcje były skrócone, więc wróciłam do domu wcześniej, wkraczając ze słonecznego blasku w mrok. Nasz dom nie miał klimatyzacji, więc w środku panowała ciemność, żeby uniknąć upału.

Drzwi do sypialni mamy były otwarte. Usłyszałam jakieś hałasy. Jakby podzwaniały drobniaki. Zajrzałam przez otwarte drzwi i zrobiło mi się niedobrze. Zwalisty mężczyzna o rdzawym kolorze skóry leżał na mamie. Patrzyłam na jego niebieskie robocze spodnie opuszczone do kostek i jej kwiecistą spódnicę podwiniętą do pasa, na jej twarz pozbawioną emocji i jego twarz wykrzywioną w grymasie. Pęk kluczy podzwaniał przy każdym jego ruchu i brzmiało to jak jakaś upiorna przygrywka do świątecznej piosenki. Mama obróciła głowę na bok i zobaczyła, jak stoję w drzwiach z dłonią przyciśniętą do ust. Przytknęła palec do warg i machnęła ręką, jakby kazała mi iść się pobawić.

Poszłam do kuchni, rzuciłam książki na podłogę i usiadłam przy stole. Potrząsałam głową, dygotałam, kiwałam się na krześle, okręcałam na palcu tłuste włosy i zgrzytałam zębami, a moja noga przez cały czas odruchowo podskakiwała. Mama przygotowała skrzydełka kurczaka i ziemniaki. Miałam zrobić z tego obiad. Zanim wzięłam się do roboty, zabiłam parę karaluchów.

Od strony drzwi wejściowych dobiegło podzwanianie kluczy. Zobaczyłam tego mężczyznę, jak przechodzi przez Market Street i znika w domu pokrytym tynkiem brzoskwiniowego koloru. Szedł szybkim krokiem, wydzwaniając inną melodię. Chyba też nie wiedział, że mia-

łam skrócone lekcje. Chodziłam do szkoły z jednym z jego dzieci. Jego żona prowadziła kawiarnię, a on był kucharzem. Tak jak moja mama, zanim się rozchorowała.

Kiedy wyszedł, mama pojawiła się w kuchni. Pachniała jak tamten mężczyzna. Jak mieszanka smaru samochodowego i nieświeżego potu, jak niedomyte ciało grubasa. Mama była otyłą kobietą, a na lewym policzku miała cztery brodawki. Miałyśmy te same oczy, te same usta i wydatne kości policzkowe, ale myślę, że wszystko inne odziedziczyłam po swoim nieznanym ojcu. Mama miała brązową skórę i nosiła brązową perukę. W szkole dokuczali mi z powodu jej tuszy. Wyśmiewali się z tego świszczącego odgłosu, jaki wydawały jej pończochy, kiedy chodziła. Kiedyś była szczupła jak Dorothy Dandridge, ale po tym, jak mnie urodziła, nigdy już nie odzyskała dawnej wagi. Moja ciemna karnacja i tusza mamy były przedmiotem kpin. Mama odpaliła salema od piecyka gazowego i oparła się o futrynę. Zaciągnęła się, a potem zakaszła. Kaszłała ciężko i brzmiało to tak, jakby odrywały się jej wnętrzności. Nie wiedzieliśmy jeszcze o tym, ale one rzeczywiście się odrywały.

- Co ty do cholery robisz w domu o tej porze? - zapytała.

- Zwolnili nas wcześniej ze szkoły.

- Zawieszono cię w prawach ucznia? - splotła ręce na piersiach.

- Zadzwon, jeśli mi nie wierzysz. Zobacz, wszyscy inni też wracają do domu. Myślisz, że wszystkich zawieszono?

- Przestań przewracać oczami i pilnuj swojego języka, zanim ci go przytrzasnę. Bezczelna - zaciągnęła się i znów zakaszła. - To, co zrobiłaś, było głupie.

- Co tym razem zrobiłam źle?

- Nie bądź taka narwana. Po co przychodziłaś do mojego pokoju?

- Słyszałam hałasy. Ktoś mógł się włamać.

- Mówiłam ci coś o wchodzeniu bez pukania.

- Ale to nie była noc. Nie wiedziałam, że nie jesteś sama.

- Co tam trzymasz w ręce? - znów zaciągnęła się dymem.

- Kartkę z ocenami. Dostałam cztery szóstki i piątkę.

- A co dostała tamta narwana żółta dziewczucha?

- Ona nie jest żółta. Ani czerwona. Nienawidzę, kiedy ludzie tak o niej mówią. Jest taka sama jak my.

- Chciałabyś. Gadaj dalej głupoty. Co dostała?

- Debra ma trzy szóstki, piątkę i czwórkę.

- Ja zawsze miałam same szóstki - wycodziła matka przez zaciśnięte usta. - Jesteś głupia, Shelby, po prostu głupia.

Zaczęłam obierać ziemniaki, udając, że niczego nie słyszę.

- Z taką rozwiązłą dupą zajdziesz w ciążę, zanim zdążysz skończyć liceum - powiedziała.
- A maturę będziesz zdawać w pierdłu.

Powtarzała to tak często, że już nie bolało.

- Mamo - odezwałam się.

- Czego znowu chcesz?

- Dlaczego myślisz, że czegoś chcę?

- Bo szarpiesz się za włosy. Czego chcesz?

- Mogłabym dostać na urodziny składane łóżko? Widziałam takie na pchlim targu w La Brea.

- Nie mam pieniędzy na składane łóżka od żółtków z pchlego targu. Widziałas, ile rachunków leży na komodzie?

- Będę miała własne łóżko.

- Skąd? - roześmiała się.

Ręce miałam zajęte obieraniem ziemniaków, ale przerwałam na chwilę, by spojrzeć na drugą stronę ulicy, gdzie żona tamtego mężczyzny wysiadała wraz z dziećmi z jasnoniebieskiego chevroleta. Śmiały się i wygłupiały.

Mama zerknęła przez okno i zobaczyła go, jak obejmuje swoją żonę i pomaga jej nieść zakupy. Potem spojrzała na mnie.

Odwróciłam się, ale widziałam jej odbicie w chromowanej obudowie kuchenki. Przez moment przygryzała dolną wargę, a potem wymówiła moje imię. Wymówiła je takim tonem, jak matka, którą przepelnia wstyd. Wyciągnęła ręce w moją stronę. Poderwałam się i wzięła mnie w objęcia. Przytuliłam się do niej mocno.

- Wybacz mi, Shelby. Czasem mama mówi i robi rzeczy, które cię odrzucają, ale wiesz, że jesteś jedyną przyjaciółką, jaką mam.

- Dlaczego się z nim zadajesz?

- Musimy coś jeść. - Pogłaskała mnie po plecach i pocałowała w twarz. - Mama musi nakarmić swoją dziewczynkę, żeby następnym razem przyniosła same szóstki.

- Może wpisałabym fałszywe dane, żeby dostać pracę w Boy's Market?

- Nie - odparła. - Będiesz chodziła do szkoły i dostawała same szóstki, żeby dostać stypendium, a wtedy pójdziesz na jakieś studia. Powtórz.

- Pójdę na studia.

- Na czteroletnie studia.

- Na czteroletnie studia.

- Już lepiej. Powtarzaj to dziesięć razy dziennie. Zrozumiałaś? Kiwnęłam głową.

- Na uczelni można znaleźć przyzwoitego faceta. Wybierzesz sobie jednego z tych wysokich, żółtych chłopców. Albo takiego mądrałę jak Martin Luther King.

- Mamo?

- Tak, kochanie?

- Mogłabym iść do Debry i zostać u niej na noc?

- Czy mogłabyś?

- Pozwolisz mi?

- Oto, co ci mówiłam o głupim gadaniu. Mężczyźni nie lubią głupich kobiet. Jeśli przestaniesz się wygłupiać i nie skończysz jako leniwa tłusta idiotka, może będziesz na tyle bystra, żeby znaleźć sobie białego faceta. Oni traktują kobiety lepiej niż czarni. Za to twoja nadęta przyjaciółka Debra nie musi być mądra. Jest żółta, a oni mają swoje szczególne miejsce na ziemi.

- Skoro ona jest taka szczególna, to dlaczego wszyscy tak źle ją traktują?

- To znaczy jak?

- Wszystkie dziewczęta zawsze dokuczają jej bez powodu.

- To już jej problem. Przestań spędzać z nią tyle czasu.

Matka jeszcze przez chwilę głądziła coś na jej temat. Gdybym miała wtedy pilota, mogłabym skierować go na nią i przeskakiwać z kanału na kanał. A może po prostu wyłączyć dźwięk. Wszystko, co mówiła, kiedyś już słyszałam.

Na moment przerwała planowanie mojego życia i piętnowanie moich przyjaciół, by przetrząsnąć kredens w poszukiwaniu resztek kartonu papierosów. Usiadła z powrotem, otworzyła nową paczkę i trzykrotnie postukała papierosem o stół, zanim go zapaliła. Kiedyś chowałam te jej salemy, ale wrzeszczała, miotła gromy i wywracała cały dom do góry nogami, żeby je znaleźć, więc dałam sobie spokój. Zwłaszcza po tym, jak chwyciła mnie za ramię tak mocno, że bolało przez trzy dni.

- Mamo, proszę, pozwolisz mi iść do Debry, kiedy skończę?

- Dlaczego ciągle chcesz tam chodzić?
- Mogłybyśmy razem odrobić lekcje - odpowiedziałam. - Porozmawiać.
- Dlaczego ona nigdy nie przyjdzie tutaj? - spytała matka.
- U nas są karaluchy. Ostatnim razem jeden wpadł jej we włosy.
- Tak jakby oni nie mieli karaluchów.
- Nie mają.
- Dlaczego zawsze tam cię tak ciągnie? Tu jest twój dom.
- A nie będziesz miała znowu towarzystwa dziś wieczorem? - Wzruszyłam ramionami.

Matka nie odpowiedziała. Znów zaczęła się gapić na drugą stronę ulicy. Zająłem się obiadem i pocąc się jak w gorączce, zaczęłam smażyć frytki i skrzydełka. Deszcz oleju pryskał ze stalowej patelni na kuchenkę gazową. Pomarańczowa ściana była już upstrzona zastygłymi plamami, które wyglądały jak łzy. Jakby cały dom płakał.

Matka siedziała w ukropie bijącym od kuchenki i wyglądała na wściekłą i urażoną. Zwiesiła głowę, a jej prawa noga wykonywała sprężynujące podskoki. Nucąc jakąś kościelną pieśń, wycinała sobie skórki przy paznokciach. Zawsze nuciła, kiedy była wkurzona.

- Mamo, kurczak za chwilę będzie gotowy. Mamy ostry sos? Nawet nie uniosła głowy. Roześmiałam się najserdeczniej, jak umiałam.

- Mamo, cały czas jemy kurczaki. Smażony kurczak, pieczony kurczak, rosół z kurczaka, hamburgery z kurczaka, kanapki z kurczakiem i masłem orzechowym. Debra mówi, że to dlatego mam takie kurze nogi.

Mama uniosła głowę i znów popatrzyła na drugą stronę ulicy.

- Chyba powinnam jeść całe mnóstwo piersi z kurczaka - zachichotałam, poklepując się po płaskiej piersi. - Co, mamo?

Obróciła się, ale oczy miała wciąż wlepione w dom tamtego mężczyzny. On nie spojrzał na nią ani razu od momentu, kiedy wypadł z naszego domu i pognał na drugą stronę ulicy.

Przestałam próbować zachowywać się z taką cholerną serdecznością i nie patrzyłam już w jej stronę, kiedy zabrałam się do przygotowania koktajlu truskawkowego.

Nawet kiedy tylne drzwi były otwarte, gorąco z wnętrza domu mieszało się z upałem z zewnątrz. Pociłam się tak obficie, że moje świeżo rozczesane włosy z powrotem zamieniły się w zmierzwioną czuprynę. Zazwyczaj mnie to drażniło, ale teraz nie obchodziło mnie nic. Nie zwracałam uwagi na chmurę papierosowego dymu, która wypełniała kuchnię. Chyba nigdy się tym nie przejmowałam. Mama wykańczała ostatnią paczkę papierosów, odpalając jednego od

drugiego. Paliła i kaszłała i tak na okrągło. Nie miałam zamiaru zranić jej uczuć, kiedy wyrwała mi się ta uwaga o towarzystwie w nocy. Miewałam ochotę, by zadać jej ból, ale kiedy mi się to udawało, nie czułam się dobrze. Czasem zwycięstwo może być klęską.

* * *

- No i co? - Debra natychmiast podniosła słuchawkę, jakby czekała, aż do niej oddzwonię.

Nie sądziłam, że będę kiedykolwiek czuła się tak podle.

- Powiedziałam mu.

- Co mu powiedziałaś?

- Powiedziałam mu, że zrobiłam test i królik wykitował.

- Nie mówiłaś mi, że zrobiłaś test.

- Bo nie zrobiłam. Chciałam tylko się przekonać, co powie.

- I co? - wydała nieprzyjazny odgłos.

- Cóż, nie powiedział tego, co myślałam, że powie.

- A co spodziewałaś się usłyszeć?

- Mówił o przewodźce do większego mieszkania, o zweryfikowaniu jakichś pieprzonych finansów i takie tam pierdoły.

- A co chciałaś, żeby powiedział, Shelby? Dzwonisz do faceta w środku nocy i okłamujesz go, taki był twój plan?

- Nie miałam żadnego planu.

- A mnie się wydaje, że tak. Co zrobił nie tak?

Popatrzyłam na swój nagi palec serdeczny lewej dłoni. Mama nigdy nie włożyła obrączki na ten palec. Noszę jej panieńskie nazwisko. Na moim akcie urodzenia miejsce, gdzie należy wpisać dane ojca, jest puste. Tak puste, jak pusta czułam się teraz.

- Podszedł do wszystkiego logicznie.

- No i co.

- Co to za hałas?

- Włączył się alarm.

- Co się dzieje? Debro, co się dzieje? Rozłącz się i wezwij policję.

- To tylko Leonard - westchnęła ciężko. - Zawsze naciska nie ten guzik, co trzeba, kiedy wraca.

- Och.

- Ten dom jest za duży, kiedy nie ma Leonarda.

Ziewnęła, powiedziała, że jest w łóżku, a potem zapytała go, jak mu minął dzień. Był w Pasadenie na planie zdjęciowym jakiejś komedii. Odłożyła słuchawkę na bok, ale słyszałam chichoty i pocałunki, kiedy ją obejmował. Nie zwracałam na to uwagi. Wpatrywałam się w księżyc.

- Shelby?

- Jestem.

- Kiedy wracasz do domu?

- W środę po południu.

- Wstąp do kliniki - zdawała się urażona, jakbym znów ją rozczarowała. - Zrobię ci test.

- Nie musisz.

- Shelby...

- No dobra już, dobra.

- Co ty i Tyrel macie zamiar zrobić, jeśli okaże się, że jesteś w ciąży?

- Debro, błagam cię, nie teraz.

Pomyślałam o dziewczynce, którą Debra poznała przed kilkoma miesiącami, i przypomniałam sobie to zdanie. Pieprzysz się, to i zajdziesz.

- Co będziesz teraz robić?

- Leonard wybiera się pod prysznic.

- I co?

- Wybieram się tam razem z nim.

Na sekundę zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, zrozumiałam jej system wartości. Pojęłam, że ja i mój kryzys nie bardzo do niego pasują.

- Dobrze - odezwałam się.

- A potem odgrzeję mu kolację i pogadam z nim.

- Nie ma sprawy. Pozdrów go ode mnie.

- Leonard wybiera się jutro po południu z Tyrelem do kliniki Drew Medical.

- Nie wiedziałam. Po co tam jadą?

- Jeden z tych całodziennych programów motywacyjnych dla nastolatków, organizowany przez burmistrza. W zeszłym roku był Chaka Khan, Dawn Lewis i siostra, która gra matkę w *Parent Hood*.

To wszystko zdawało się takie nieistotne. Wciąż gapiłam się na księżyc. Połowa mojego umysłu tkwiła w przeszłości, a druga połowa zastanawiała się nad przyszłością u boku Tyrela. Kawał życia straciłam przez bolesne konsekwencje błędnych decyzji i fałszywych ruchów.

- Shelby.

- No.

- Prześpij się trochę.

- Jasna sprawa, pani DuBois. Ucałuj ode mnie mężulka.

- Shelby.

- No co?

- Nie rób tego.

- Czego?

- Nie zachowuj się tak, jakby wszystko u ciebie było w porządku. Rozmawiasz ze mną.

- Dobrze.

- Nie zrobiłaś jeszcze testu, prawda?

- Prawda.

- Więc nie wiesz na pewno, czy jesteś w ciąży.

- Nie wiem.

- To nie panikuj.

- Dobrze.

Dałam jej już spokój. Czułam się, jakbym dała spokój całemu światu.

Tyrel

Nadeszła środa.

Kiedy wróciłem z pracy, salon był wysprzątnięty od podłogi do sufitu. Shelby wróciła już do domu, przebrała się i zostawiła w sypialni rozrzucone trzy pary butów. Jej służbowy uniform leżał na oparciu fotela. W łazience znalazłem strój sportowy. Legginsy wisiały na uchwycie prysznic, majtki na kłamece, a sportowy podkoszulek i stanik były przerzucone przez drzwi. Na klapie sedesu leżał poradnik *Life's Little Instruction Book*, a obok koszyczek potpourri. Shelby zostawiła mi informację nagryzmołoną na karteczce, którą przyklepiła do lodówki. Napisała, że wstąpi po Debrę do pracy, a potem wybierają się na wólcę po sklepach, począwszy od Westside Pavilion, poprzez Melrose, aż do Spike's Joint. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, gdyż spędzały ze sobą czas, kiedy tylko miały taką możliwość. Wyprawa do centrum handlowego była dla nich doniosłym wydarzeniem towarzyskim, a chodzenie od wyprzedaży do wyprzedaży znakomitą formą rekreacji.

Dwa razy wysłałem jej wiadomość na pager. Nie oddzwoniła.

Shelby nie było aż do północy. Wróciła z pustymi rękami. Spałem już, kiedy wślizgnęła się do domu. Od momentu, kiedy wróciłem z Dan L. Steel, przesiedziałem cały wieczór w drugiej sypialni, tyrając jak niewolnik. Przygotowywałem tabele na prezentację, która miała się odbyć nazajutrz po południu i zmieniałem wykresy tak, aby firma prezentowała się lepiej niż w rzeczywistości. Sprzedaż nie była najgorsza, ale spadła ostatnio o pięć procent. O dziewiątej już chrapałem przy wtórce płyty ze śpiewami mnichów. Ta surowa muzyka zawsze działała na mnie usypiająco.

Usłyszałem, jak Shelby, stojąc w nogach łóżka, ściąga dzinsy, zrzuca zbyt obszerną męską kurtkę i czapkę bejsbolową. Moją niebieską czapkę z dużym znaczkiem Nike'a na przedzie. Ostatnio miała nastrój, by nosić się jak chłopczyca. Osiem czy dziewięć bransoletek zabrzęczało metalicznie, kiedy zsuwała je z nadgarstka. Taki sam odgłos wydały jej kolczyki. Słyszając to, przebudziłem się.

- Chcesz, żebym wyłączyła komputer? - zapytała.

- Tak - odchrząknąłem, zlizując resztki smaku tuńczyka, którym przesiąknięty był mój oddech.

- Zapisalesz sobie wszystkie pliki? - ziewnela.

- Tak.

Byla naga. Jej figura wydalala mi sie odrobinel peulniejsza, uda bardziej zaokraglone. Otak-sowalem ja wzrokiem. Jej piersi byly male, ale sterczaly sztywno, niczym pokryte czekolada grobowce faraonow. Kazdy skrawek jej hebanowej skory byl cenniejszy niz swiatynia Artemidy. Zawsze patrzyłem na nia jak na jeden z siedmiu cudow swiata. Moglbym z dnia na dzien zbic fortune, gdybym znalazl i zabutelkowal chocby gram tej gliny, z ktorej zostala ulepiona.

- Wyslalem ci dwie wiadomosci na pager.

Nie odpowiedziala. Wyszla na korytarz i zniknela w drugiej sypialni. Komputer zapiszczal trzy razy i po swiata wygaszacza ekranu, ktora wypeulniala korytarz, zgasla. Drzwi do lazienki otworzily sie i zamknely. Rozlegl sie szum prysznic.

Czekajac na jej powrot, zapadlem w sen. Nie wiedzialem, ile uplynelo czasu do chwili, kiedy uslyszalem ja, jak stojac obok komody, pije sok pomarauczowy. Wlozyla do ust pigulke i cięzko przelknela. Pociagnela kolejny lyk i odbilo sie jej lekko. Stala z przygnębiona miną i zaglebiajac dlon we wlosach, gapila sie w sciane.

- Co zażywasz? - spytałem.

Podskoczyla tak, ze omal nie upuscila szklanki. Powtorzyłem pytanie.

- Bylam u lekarza - powiedziala.

Wyjasnila mi, ze jest cala obolala, ze bierze ja grypa i zażyła antybiotyky, zeby pozbyc sie infekcji. Odstawila szklanke z sokiem i wlozyla brązowy podkoszulek, na ktorym widnial duzy biały napis „Wciaż winny”.

- Idę spać do drugiego pokoju, zeby cię nie zarazić - oznajmila.

- Poloz sie obok, dopoki nie zasnel. Chodz do mnie.

Shelby wlozyla moje kraciaste bokserki, naciagnela moje grube biale skarpety i przewiazala wlosy jedwabnym szalem. Po minucie albo dwuch odchylila koldre i wsunela sie do lozka.

- Odstawilas szklanke na tacke? - zapytałem.

- Nie. Przepraszam.

Dotknałem jej. Zadrzala, jakbym ja zaatakowal.

- Shelby, dobrze sie czujesz?

- Tak.

Poglaskalem ja po brzuchu i pocalowalem w policzek. Odsunela moja reke. Zmagalem sie z opadajacymi powiekami.

- Coś nie tak?

- Śpij już - odparła.

Jej ciało było rozgrzane. W przeciwieństwie do słów. Już zasypiałem, kiedy pocałowała mnie w policzek i położyła mi głowę na piersi. Była niespokojna. Nuciała jakąś kościelną pieśń. Przesuwała wolno palcami po moim karku i wczepiła je we włosy. Zapadłem w sen.

Rano przystrzygłem brodę, wyjąłem garnitur z szafy i zatrzymałem się przy oknie, by popatrzeć na park. W gałęziach sosny śpiewały ptaki, a przez słońcą z wysokich czynszów okolicę przemykały samochody, jakby spieszyły się, by stanąć zderzak w zderzak na autostradzie i przyłączyć się do produkcji smogu.

Shelby zaparzała sobie w kuchni ziołową herbatę. Milczała przez cały ranek i poruszała się, jakby miała nogi z żelaza. Zapytałem ją, kiedy wybiera się z wizytą do Faith.

- Nie muszę - powiedziała z melancholijnym uśmiechem. - Dostałam okres. Ciotka przyjechała.

Wyjaśniła, że jej cykl jest rozregulowany z powodu napięcia, nieprzewidywalnego rozkładu zajęć i wielu innych czynników. Ziewnęła, odwróciła się do mnie plecami i zaczęła wyciągać naczynia ze zmywarki.

- Zażywam pigułki, pamiętasz?

Mówiła oficjalnym tonem, w którym pobrzmiwała nutka rozczarowania. Zmieniła temat i zapytała mnie o imprezę w Drew Medical, na której byłem z Leonardem. Popijając orzechową kawę i zajadając ciasto bananowe, opowiedziałem jej o zabawie karnawałowej dla dzieciaków poniżej dziesiątego roku życia, która miała wpoić pozytywne wartości tym wrażliwym i podatnym na wpływy chłopcom, zanim wkroczą w niebezpieczny wiek. Całe popołudnie było wypełnione przejażdżkami na kucykach i różnymi grami. Rozmawiałem z nimi zaledwie przez dziesięć minut, a potem Leonard wziął wszystko w swoje ręce i zaczął śpiewać z nimi piosenki.

- To dobrze - rozpromieniła się Shelby. - Bo zanim te smarki skończą dwanaście lat, większość z nich będzie nosić buty Air Jordan za sto trzydzieści dolarów i czterdziestkępiątkę za pazuchą.

- Większość nie. Tylko niektórzy.

Dyskutowaliśmy o tym przez chwilę, po czym nakierowałem rozmowę z powrotem na właściwy problem. Ogarnęło mnie napięcie. Ścisnęło mnie w żołądku. Czułem taki sam niepokój wywołany pomieszaniem miłości i nienawiści, rozżalenia i smutku, jaki czułem, siedząc

przy stole z Lisą podczas naszej ostatniej kolacji. Teraz jednak siedziałem na szczycie tego, co narastało, i ogarniałem wszystko ze spokojem, pociągając małe łyki kawy.

- Więc kiedy dostałaś ten okres? - zapytałem.

- Tuż przed startem samolotu, przedwczoraj rano.

Właśnie opróżniałem mały łazienkowy kosz, zebrałem wszystkie śmieci do dużego worka i wyniosłem do zsypu. Nie zauważyłem żadnego opakowania po tamponach ani niczego w tym rodzaju.

- Myślałem, że test wyszedł pozytywnie.

- Jaki test?

- Test ciążowy.

- Aha - zawahała się i zacisnęła usta. - Pomyliłam się.

- Jak to?

- Faith powiedziała, że nawet facet mógłby nasikać na taki tani test i też by wyszło, że jest w ciąży.

- Więc rozmawiałaś z Faith.

- Nie teraz. Kiedyś tam.

- Myślałem, że wczoraj wstąpiłaś do kliniki po Debrę.

- Wstąpiłam. To znaczy, widziałam się z Faith, ale nie rozmawialiśmy. Wiadomo, że takie testy są zawodne.

- Wątpię w to.

- Nie znasz się na wszystkim.

- Nie mówię, że się znam.

Shelby włożyła do tosterka dwie kromki pszennego pieczywa.

- A co robiłaś wczoraj przez cały dzień? - zapytałem.

- Poszłam na zakupy. Czytałaś kartkę.

- Byłaś zbyt słaba, by utrzymać się na nogach przez pięć minut, a poszłaś do lekarza, kupiłaś tabletki na gripę i robiłaś zakupy przez cały dzień?

- Żadna choroba nigdy nie powstrzyma siostry, kiedy gdzieś są trzydziestoprocentowe obniżki.

- To dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie do pracy i nie powiedziałaś mi, że dostałaś okres?

Shelby bębniła palcami o drzwi lodówki i patrzyła na mnie spode łba. Każde jej słowo było jak głębokie cięcie zardzewiałego sztyletu.

- Czego ty, kurwa, ode mnie żadasz? Mam ci wysłać kartkę, kiedy dostanę pierdolony okres? I po co to głupie przesłuchanie?

- Pomyślałaś kiedyś, że też mógłbym się martwić?

- O co do cholery miałbyś się martwić?

Między nami pojawiła się ochronna kurtyna milczenia. Próbowałem złagodzić to palące uczucie, które pod wpływem agresji rozrastało się w moim wnętrzu. Shelby zauważyła, że nie spodobał mi się sposób, w jaki do mnie mówiła.

- Na to, żeby wszcząć alarm, kiedy zrobiłaś test, nie byłaś zbyt zajęta - powiedziałem.

- Wpadłam w panikę. Zresztą to nie z powodu okresu. Mówiłam ci.

- Mogę coś na to zaradzić, mogę to zrozumieć, ale co z twoim testem ciążowym?

- Moim testem?

- Byłaś na skrobance?

Zrobiła długą pauzę, przechylając głowę z boku na bok.

- Nie do wiary, że mogłeś mnie oskarżyć o coś takiego.

- To było proste pytanie. Tak albo nie.

- A dlaczego miałabym ci na nie odpowiadać, co? - W jej głosie poczułem jad.

Atmosfera zaczęła się psuć na całego. Obydwoje byliśmy gotowi na bezpardonową wymianę ciosów poniżej pasa.

- Pokaż mi te pigułki, które zażywałaś ostatniej nocy - zażądałem.

- Co?

- Chcę zobaczyć te pigułki.

- Nie będę ci pokazywać swoich leków.

- Dwa dni temu byłaś absolutnie pewna, że jesteś w ciąży, prawda?

- Kurwa, popełniłam cholerny błąd. Mówiłam ci, wydawało mi się, że jestem w ciąży. A teraz mi się nie wydaje. Jasne? To ci wystarczy?

- A co z twoim testem ciążowym?

- Test był wadliwy - potrząsnęła głową, jakby była zmieszana i wzruszyła ramionami. - Kurwa, wyjaśniłam ci w prostych słowach, co się stało, a teraz bądź łaskaw zejść ze mnie i się odpieprz.

Dotknąłem jej ramienia, chcąc ją nakłonić, by na mnie spojrzała. Musiałem popatrzeć jej w oczy. Powtórzyła to, co mi powiedziała, po czym szarpnęła się i wybiegła.

- Chciałbym ci wierzyć, Shelby - powiedziałem. Zatrzymała się w biegu i wróciła do mnie wolnym krokiem.

- Próbujesz powiedzieć, że mi nie wierzysz? - zapytała.

- W tym momencie mógłbym podać w wątpliwość wiele rzeczy.

- Jakich?

- Twój charakter i uczciwość.

W jej oczach pojawiły się łzy, ale żadna z nich nie popłynęła.

- Więc po co jesteśmy razem? - wyszeptała.

- Ty mi powiedz.

- Myślę, że potrzebna ci była panienka do łóżka, co?

- Też tak myślę.

Przekleństwa. Wrzaski. Rozgorączkowane słowa. Zaledwie połowa tych głupich, irracjonalnych i niedojrzałych słów, które padły wtedy z naszych ust, mogłaby podkopać najtrwalszy związek.

- A gdybym była w ciąży, to jak bym do cholery wyglądała, nosząc dziecko w brzuchu i nie będąc mężatką? Chyba że tak się objawia twój charakter i uczciwość.

Jej słowa kipiały gniewem. Nagle w płomiennym amoku szarpnęła drzwi od szafy, omal nie wyrywając ich z zawiasów i zaczęła wyrzucać swoje ubrania na łóżko.

- Co robisz?

- A jak myślisz? Wychodzę.

- Więc pakuj manatki i wynocha.

Znieruchomiała i przeszła mnie gniewnym spojrzeniem, pod wpływem którego wielu braci rzuciłoby się do ucieczki. Ja jednak nie ruszyłem się z miejsca. Jej oczy rozszerzyły się, a wargi drżały. Patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, a potem ciężko westchnęła, włożyła krótkie spodenki, rozluźniła ramiona i potrząsając głową, zgarnęła włosy. Miała wilgotne oczy, ale powstrzymywała się od łez, jakby płacz był ostatnią rzeczą na świecie, na którą mogłaby sobie pozwolić.

- Mówiąc „wychodzę”, miałam na myśli to, że idę do pracy. Mam lot - oznajmiła niższym o ton, łamiącym się głosem. Kiedy mówiła, między jej górnymi zębami a dolną wargą rozciągało się pasemko śliny. - Mam kolejny dwudniowy rejs. Ale skoro tak to czujesz, to już, pieprzę całą tę gównianą przygodę i pieprzę ciebie.

- Shelby...

- Kiedy wrócę, spakuję manatki i się wyniosę.
- Nie o to mi chodziło.
- Zabierz ode mnie te pierdolone łapy.
- Wyrażaj się.
- Nie dotykaj mnie.
- Sąsiedzi nie muszą tego słuchać.
- Czy wyglądam, jakby mnie to obchodziło?
- Shelby...
- Zejdź mi z drogi.

Usunąłem się na bok i zniżyłem ton, proporcjonalnie do jej krzyku, w nadziei, że ona zrobi to samo.

- Nie chciałem, żeby to zabrzmiało, jak... - westchnąłem głęboko.
- Powiedziałeś, co powiedziałaś, więc sądzę, że to właśnie miałaś na myśli i tego naprawdę chcesz. Nie mogę uwierzyć, że tak mnie poniżyłeś i powiedziałeś mi coś takiego.
- Nie mam zamiaru niczego przekreślać.
- Przede wszystkim nigdy nie powinnam była się tu wprowadzać. A jak chcesz się mnie pozbyć, odejdę.
- Nie, Shelby. Myślałem, że to tobie na tym zależy.
- Nie. Chciałbyś, żeby mi na tym zależało.

Atmosfera stała się nie do wytrzymania, więc uniosłem dłonie ku niebu, by powstrzymać awanturę. Mieszkanie zrobiło się dla mnie zbyt ciasne, więc wyszedłem na taras.

Ojciec postąpił tak z moją rodziną. Lisa zrobiła to z moją nadzieją. Ludzie zawsze podejmowali decyzje, które dotkliwie zapadały mi w pamięć, i nikt nie pytał, jak się czuję, dopóki nie było już po wszystkim. O ile w ogóle ktoś o to pytał. Była to część równania, ale zawsze pozostawała wielką niewiadomą.

Być może Shelby wycięła mi taki sam numer. A może tylko ogarniała mnie paranoja.

Próbowałem odzyskać spokój, zanim włożę granatowy garnitur, zawiążę włoski krawat i wskoczę w sam środek korporacyjnej Ameryki. Przejechałem dłonią po włosach, przyglądałem bródkę i powtórzyłem sobie, że osobiste problemy zawsze należy zostawiać w domu, a do pracy przychodzić z uśmiechem i pozytywnym nastawieniem. Dziś było to trudne do osiągnięcia.

Nie odwróciłem się, kiedy usłyszałem, że Shelby wchodzi do salonu. Stawiała wściekłe kroki, których ślady odbijały się głęboko w dywanie. Doleciał mnie zapach perfum, drażniąc

mój wdech i wywołując łaskotanie w nosie. Stukała obcasami, chodząc tam i z powrotem po pokoju. Potem rozległ się dźwięk, jakby wlokła za sobą walizkę na kółkach. Szczęknięta zasuwana otworzyła się drzwi wejściowe. Być może stanęła w progu, bijąc się z myślami. Może czekała, aż coś powiem, może spodziewała się, że zacznę ją błagać, by została. Nie doczekała się tego. Stałem odwrócony plecami.

- Powinieneś nauczyć się rozmawiać o tym, co wiesz - powiedziała cicho.

Drzwi zamknęły się za nią miękko i delikatnie. Moje wnętrzności wywracały się, jakby porwał mnie sięgający samego nieba wodospad. Spadałem i spadałem. Próbowałem otrząsnąć się z niechęci.

Przeszedłem przez dywan i zrobiłem kilka kroków w jej stronę. Chciałem iść za nią i nie pozwolić, by nasza kłótnia przeobraziła się w otwartą ranę, ale kiedy dotknąłem klamki, zmieniłem zdanie. Nie zamierzałem gonić za tym, co nie powinno uciekać.

17.

SHELBY

Więc pakuj manatki i wynocha.

Upłynęło parę chwil, zanim zdałam sobie sprawę, że nad skrzyżowaniem pali się zielone światło. Przypuszczalnie płakałabym przez kolejną zmianę świateł, gdyby nie klakson stojącego za mną samochodu. Byłam zbyt zajęta wpatrywaniem się w swoje odbicie w szybie. Brudnej i umorusanej szybie. Widziałam na niej ślady palców z minionych dni. Widziałam je wszędzie, na każdym samochodzie jadącym przez Sepulveda Boulevard.

To dlatego wciskałam gaz do dechy, by jak najszybciej znaleźć się w klinice.

Test ciężowy, który dała mi Debra, okazał się pozytywny. Powiedziałam jej, że nie chcę tego dziecka. Debra zabrała mnie z gabinetu zabiegowego do pokoju na zapleczu, zaparzyła dwa kubki herbaty ziołowej i próbowała wybić mi to z głowy. A właściwie nie próbowała mnie do niczego przekonywać, tylko nakłonić do rozmowy, bo siedziałam z zaciśniętymi ustami. Przerazenie odebrało mi głos. Z trudem mogłam wymamrotać coś do siebie, a co dopiero z kimś rozmawiać.

- Shelby - lamentowała Debra. - Wiesz, co o tym sędzę.

- Cóż, najwidoczniej nie to, co ja.

Machnęłam ręką i powiedziałam jej, że gdybym nie mogła liczyć na ludzi, którym zaufałam, skreśliłabym w pierwszą przecznicę za uniwersytetem i wzięła telefon od kręcących się tam ćpunów i dilerów.

- Debra, boję się.

- Wiem. Widzę to.

- Potrzebuję, żebyś była teraz moją najlepszą przyjaciółką.

- Tym razem nie bądź samolubna.

- Tylko bądź ze mną, bądź ze swoją ulubioną samolubną dziwką. Papierkowa robota poczeka. Możesz to dla mnie zrobić?

Debra zamknęła oczy, jak robiła zawsze, gdy się modliła, i poklepała mnie po ręce.

- Jesteś tego pewna? - zapytała.

- Debra?

- Tak? - Jej głos zabrzmiał tak, jakby liczyła, że zmienię zdanie.

- Jestem twoją pacjentką, a to oznacza, że będziesz musiała dochować tajemnicy.

Debra sprawiała wrażenie przytłoczonej.

- Dzięki za postawienie mnie w takiej sytuacji, Shelby - powiedziała niemal szeptem.

- A co z moją sytuacją? Nie zawsze wszystko kręci się wokół ciebie.

- Nigdy tak nie twierdziłam.

- Więc nie próbuj wpędzić mnie w poczucie winy.

- To twoja sprawa. Nie mogę wpływać na to, byś czuła cokolwiek.

Jeszcze chwila, a naskoczyłabym na tę panią psycholog od siedmiu boleści, ale Debra chwyciła mnie za rękę w taki sposób, jak robiła to mama, kiedy wiedziała, że powiedziała mi coś złego.

- Jesteśmy rodziną, Shelby. To, co zrobisz ty albo którekolwiek z nas, dotknie nas wszystkich.

- Ty i Leonard jesteście rodziną. Ja i Tyrel jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy ze sobą mieszkają. Nie składaliśmy sobie żadnych obietnic. Mamy oddzielne konta bankowe i oddzielne karty kredytowe - powiedziałam, podnosząc się z krzesła.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała Debra.

- Na zewnątrz. Chcę odetchnąć świeżym powietrzem. Jak długo będę musiała czekać?

- Niedługo.

Wyszłam na korytarz, stanęłam obok dwóch automatów sprzedających słodycze i zostałam zahipnotyzowana przez zdjęcie wiszące na ścianie. Przedstawiało ono półnagięgo brata, ubranego w same džinsy, który trzymał w czarnych ramionach nowo narodzoną córeczkę i uśmiechał się do niej. Patrzyłam na to zdjęcie tysiące razy, ale teraz dopiero je zobaczyłam.

Usiadłam. Przeniknął mnie dreszcz i zaczęłam wszystko rozważać po raz dziesiąty. Miałam już wszystko odwołać i wyjść, zamienić swojego nissana na saturna, a potem wstąpić do sklepu Kids „R” Us i zobaczyć, ile to wszystko będzie mnie kosztowało.

A potem przypomniałam sobie, że Tyrel jest bliźniakiem. Poznałam synów jego siostry, tych wrzaskliwych i złośliwych łobuzów, którzy potrafiliby zdystansować Bebe's Kids. Dziadek Tyrela był bliźniakiem. A wśród ich przodków mogło być jeszcze tysiące innych bliźniaków. Bracia w tej rodzinie musieli mieć jakieś niesłychanie bojowe plemniki, które były zdolne rozplatać jajeczko i zapłodnić obie połówki.

Próbowałam sobie wyobrazić siebie z dwójką dzieci o krzywych nogach i dołkach w brodzie. Jęknęłam parę razy, usiadłam i zaczęłam się modlić. A potem pomyślałam o ludziach, którzy zwlekają do momentu, kiedy jest już za późno na modlitwę. To, co się stało, już się nie odstanie. O ile było mi wiadomo, anioł stróż odwrócił się do mnie plecami już dawno temu. Zrobił ze mną to samo, co z moją mamą.

W głowie tłukło mi się tyle myśli. Zastanawiałam się, czy potrafię dostosować się do długofalowych planów życiowych Tyrela. I do dziecka. Kiedy siostra zachodzi w ciążę, musi pomyśleć o tym, co zrobi, gdyby ojciec jej dziecka odszedł, zanim ono skończy szkołę.

Moje myśli zapadały się w ruchomych piaskach, kiedy zobaczyłam, że do kliniki wchodzi Lisa. Usłyszałam jej paplaninę, zanim jeszcze rozsunęły się przed nią szklane drzwi. Ta suka pojawiła się niczym złe wspomnienie na wysokich obcasach, prowadząc za sobą dwójkę dzieciaków. Uśmiechnięta stanęła na wprost mnie i zaczęła bawić się bransoletką. Patrząc na jej makijaż, poczułam się brzydka i gruba jak cholera. Musiałabym obłożyć sobie lodem opuchniętą twarz i oczy, by wyglądać w miarę normalnie.

- Shelby - odezwała się Lisa.

- Co?

- Czekasz na badanie?

- Cóż, to nie jest warsztat samochodowy.

- Marnie wyglądasz. - Roześmiała się.

- A jak miewa się twój tata?

- Dobrze - odpowiedziała z poważną miną.

Lisa odprowadziła swoją rodzinę na bok i znalazła sobie narożne miejsce oddalone ode mnie o dwa krzesła. Druga strona poczekalni była wolna, ale ona musiała usiąść tak, by móc mnie obserwować jak sokół kurczaka.

Na kolanach Lisy siedziała mała dziewczynka z włosami zaplecionymi w warkoczyki. Jej synek nosił okulary jak denka od butelek i wyglądał jak czarny Mister Peabody.

Drzwi od zaplecza otworzyły się i wyszła z nich bliska płaczu dziewczyna tuż po dwudziestce. Odgarnęła z twarzy jasne włosy, przemknęła przez korytarz i ze zwieszoną głową wyszła wprost w światło słonecznego dnia. Mogłabym się zerwać, złapać drzwi i wejść na zaplecze, by tam poczekać na Debrę, ale zatrzęsły się zbyt szybko.

Lisa gapiała się na mnie. Nie widziałam jej, ale czułam, że mnie obserwuje. Odwróciłam się do niej tyłem i zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu książeczki czekowej. Uniosłam na moment głowę, by podmalować usta szminką i znów zobaczyłam to zdjęcie. Włożyłam do ust kawałek gumy do żucia i zaczęłam drżącymi rękami przeliczać płatki kosmetyczne w torebce.

W korytarzu pojawiła się Faith. Obok niej stała Debra, trzymając plik spiętych kartotek. Podeszła do nich Lisa i zaczęły rozmawiać, a jej dzieciaki wtrącały się i przeszkadzały.

Na twarzy Debry malował się blady uśmiech. Jej spojrzenie było ponure.

Wstałam, wydułam wargi, jakby to były najpiękniejsze z moich urodzin i, powłócząc nogami, ruszyłam w ich stronę.

- Hej, Shelby - usłyszałam głos Lisy.

Odwróciłam głowę. Pokazywała palcem na krzesło, gdzie zostawiłam torebkę.

- Gratuluję - powiedziała na tyle głośno, bym ją usłyszała. - Jestem pewna, że twoja mama byłaby z ciebie dumna.

* * *

Kiedy było już po wszystkim i zaczęłam dochodzić do siebie, ogarnęło mnie poczucie straty, jak wtedy na cmentarzu Inglewood, gdy ubrana w czarną sukienkę trzymałam kwitnącą różę i ścisnęłam Debrę za rękę, patrząc, jak zasypują ziemią jasnobeżową trumnę mamy.

Faith podeszła do mnie i przez moment trzymała mnie za rękę.

- Kobiety są silne - powiedziała wreszcie. - A czarne kobiety są najsilniejsze. My zawsze przetrwamy najgorsze.

- Faith - powiedziałam.

- Tak, kochanie?

To były pierwsze ludzkie słowa, jakie od niej w życiu usłyszałam. Zamiast pytania, czy będę płacić kartą Visa, Master Card czy American Express. Miałam ochotę się zerwać i obrzucić ją przekleństwami, ale zacisnęłam oczy.

- Zamknij drzwi, kiedy będziesz wychodziła - wyszeptalam.

18.

Tyrel

- Tyrel Williams? - usłyszałem dźwięczny baryton.

Joshua Cooper stał w drzwiach mojego biura. Czarny garnitur. Jasny krawat. Szeroki uśmiech, jakby wygrał główną nagrodę na loterii. Cieniutkie wąsiki odcinające się na tle ciemnej skóry. Pulchny i żwawy. Obdarzyłem go takim samym przesadnie wylewnym służbowym uśmiechem i obiecałem sobie, że od tej pory będę barykadował się w biurze. Było siedemnaście po trzeciej.

- Dzień dobry, panie Cooper - powiedziałem.

- Panie Williams, prezentacja była znakomita - wyciągnął do mnie rękę ze złotą bransoletą na nadgarstku.

Wyglądał na zaniepokojonego stojącą na biurku fotografią Shelby. Swoją drogą, nie odzywała się do mnie od dwudziestu czterech godzin. Jej portret stał obok zdjęcia ślubnego Leonarda i Debry. Miałem też zdjęcie Bliźniaczki z mężem i wybuchowym duetem. Wszyscy na tych fotografiach wyglądali, jakby otaczała ich aura spokoju.

- Od jak dawna jest pan żonaty? - zapytałem.

- Od siedemnastego roku życia - odparł Joshua. - Ożeniłem się tuż po skończeniu szkoły. W jednej ręce trzymałem świadectwo, a w drugiej akt małżeństwa. Jestem żonaty przez większość życia. Ponad czterdzieści lat.

- Z tą samą kobietą?

- Z tą samą. Mamy dziewięcioro dzieci. Czternaścioro wnucząt. I żadne z nich nigdy nie było w więzieniu. Żadne nie zażywa narkotyków.

- To błogosławieństwo.

- Ma pan rację.

Joshua rzucił okiem na swojego roleksa. Spojrzałem na niego, zastanawiając się, ilu w naszej firmie jest snobów. Zauważyłem, że każdy z nas sięgał po to, co najlepsze. Nigdy nie kupowałem ubrań czy samochodów z niższej półki, za to moje związki zawsze były z odrzutu.

Joshua przyjrzał się uważniej miastu Zbuntowanych Aniołów.

- To się nie umywa do widoku z okna biura w San Francisco - powiedział. - Proszę sobie wyobrazić most Golden Gate, który jest tak blisko, że można by go dosięgnąć. I nie ma lepszych ryb od tych, jakie podają w Fisherman's Warf. Chinatown. Opera. Teatr.

Marzyłem o tym, by odleciał z sykiem uchodzącego powietrza.

- No i jak pan to widzi? - uśmiechnął się.

- Wystarczy schować Golden Gate i wszystko jest jak w Los Angeles.

Joshua roześmiał się i rozłożył na moim biurku „Timesa”, pokazując mi artykuł o systemie szkolnictwa pozyskującym fundusze federalne na naukę dialektu afroamerykańskiego.

- Od kiedy to mieszanka łamanej angielszczyzny i zwykłego lenistwa stała się językiem? - powiedział. - Czy właśnie to osiągnęli ci, którzy urządzali marsze równości, byli bici, szczuci psami i polewani wodą?

Nie miałem ochoty z nim dyskutować. Nie chciałem być opryskliwy, ale nie potrzebowałem towarzystwa. Dawałem mu co najwyżej piętnaście minut, a potem jeden z nas musiał wyjść.

- Tyrel - usłyszałem miękki głos.

W drzwiach stała Lisa Nichols. Miała na sobie purpurowy kostium i złotą bluzkę. Wyglądała jak sukces czekający na to, by po niego sięgnąć. Skróciła włosy. To było dziwne, spotkać kobietę po tym, jak się w niej odkochało. Zastanawiałem się, co widziałem w niej takiego wyjątkowego.

- Czym mogę służyć pani Nichols? - zapytałem.

- Zobaczyłam, że jest u ciebie klient, więc nie chciałam być niegrzeczna i wchodzić bez uprzedzenia - powiedziała entuzjastycznym tonem.

Od czasu do czasu spotykałem ją na korytarzu. Wymienialiśmy przelotne spojrzenia i uprzejme ukłony, ale nigdy nie odzywaliśmy się do siebie. Jej firma przeniosła się z budynku MCI na trzecie piętro naszego biurowca.

Joshua uśmiechnął się, jakby odmłodził o trzydzieści lat. Miałem ich sobie przedstawić, ale zrobili to sami. Joshua potrząsał ręką Lisy tak długo, że w jej oczach i kącikach ust zauwa-

żyłem oznaki irytacji. Kiedy jednak oznajmił, kim jest, i pochwalił się swoją wysoką pozycją w Dan L. Steel, jej oczy ożyły, a na ustach wykwitł szeroki uśmiech. Chciało mi się rzygać.

Lisa wyciągnęła swoją pstrokatą wizytówkę tak gwałtownie, że aż coś jej chrupnęło w nadgarstku. Powiedziała mu, że muszą zjeść lunch i porozmawiać. Joshua wyszarpnął swoją wizytówkę, która świsnęła jak szpada Zorro.

Rozmowa zesłała na inne tory. Wymieniliśmy parę uwag na temat ulg podatkowych i kapitałów inwestycyjnych.

- A jaki jest pański plan finansowy? - zapytał Joshua.

- Życ z zysków od inwestycji - odparłem. - Z kimkolwiek się ożenię, chcę mieć pewność, że zostawię coś swoim dzieciom. Teraz nastolatki częściej odkładają coś w banku niż ich dziadkowie.

Grymas na twarzy Lisy był tak nienaturalny jak uśmiech z gabinetu figur woskowych, ale Joshua dał się na to nabrać. Zresztą moja pierwsza reakcja na nią była taka sama.

- A co tam słyhać u męża i dzieci? - wróciłem do rzeczywistości.

- Co mówiłeś? - bąknęła Lisa.

Powtórzyłem swoje ostatnie zdanie wyraźnie i dobitnie. Z początku sprawiała wrażenie, jakby nie miała pojęcia, o czym mówię, a potem uśmiechnęła się, przypominając sobie, że gdzieś tam ma partnera i potomstwo.

- Rodzinka ma się dobrze - powiedziała. - Dzieci pojechały z ojcem do San Bernardino, w odwiedziny do jego rodziców. Do swoich dziadków.

- Pan Cooper opowiadał właśnie o dziewiętnastu swoich dzieci i o wnukach. Jest szczęśliwie żonaty od czterdziestu lat.

Joshua zachichotał.

- Doprawdy? - powiedziała Lisa.

Joshua po raz kolejny zerknął na zegarek, po czym oznajmił, że musi zdążyć na lotnisko, żeby wrócić nad zatokę. Nie musiałem nawet go prosić, żeby zamknął za sobą drzwi.

Lisa przestała się uśmiechać i masowała nadgarstek. Zostaliśmy sam na sam i uparczywie patrzyliśmy na siebie.

- Jesteś jakiś spięty - powiedziała.

- Zmęczony i tyle. Niewiele spałem ostatniej nocy.

- Zbyt zmęczony, by zagrać?

- Na pewno. - Spojrzałem na zegarek.

Lisa otworzyła górną szufladę mojego biurka i wyciągnęła rzutki. Mnie wręczyła czarne, a sobie zostawiła czerwone.

- Chcesz rzucić monetą, żeby ustalić, kto zaczyna? - spytała.

- Panie przodem.

Stanęła za koszem na śmieci i wycelowwała. Za pierwszym razem trafiła w sam środek tarczy. Strzałka utkwiała w ustach Billa Gatesa.

- Widzę, że trenowałaś - powiedziałem.

- Parę rzeczy. Ale są takie, w których wychodzę z wprawy. Pozostawiłem jej uwagę bez odpowiedzi. Moja pierwsza strzałka ułokowała się w tarczy.

- Chyba wypadaloby, żebyś trochę poćwiczył.

Ten komentarz również zbyłem milczeniem. Lisa wydała dziwny odgłos i powiedziała:

- Czy wiesz, że Shelby i ja chodzimy do tego samego ginekologa?

- Coś słyszałem. - Rzuciłem strzałką, a Bill Gates dostał w prawe ucho.

- Chodzę do Faith od czasów, jak byłem w liceum.

- Aha.

- Byłem tam wczoraj - Lisa wykonała rzut. - Mniej więcej w tym samym czasie Shelby wchodziła na wizytę.

Jej prowokacyjny ton przykuł moją uwagę.

- O której godzinie wczoraj? - zapytałem po chwili.

- Koło południa. Shelby już tam była od jakiegoś czasu.

- Co ci powiedziała?

- Ledwie zamieniłyśmy parę słów. Chodziłyśmy razem do gimnazjum Croziera i liceum Inglewood. Chyba o tym nie wiesz, co? - Odchrząknęła, jakby chciała oczyścić gardło z zawiści, po czym dodała. - Czy u Shelby wszystko w porządku?

- Co masz na myśli?

- Była wczoraj wyraźnie rozstrojona. Cokolwiek tam robiła, wyglądała na bardzo niešťeśliwą.

Słuchając jej, miałem wrażenie, że moje uszy zaraz stanę w płomieniach. Narastający ból sprawił, że miałem ochotę poluzować krawat i ostatkiem sił powstrzymałem przemożną chęć złapania za telefon. Nie zrobiłem niczego złego, więc byłoby głupotą, gdybym zadzwonił pierwszy.

- A teraz i ty nie wyglądasz na specjalnie zadowolonego - Lisa kontynuowała intrygę.

- Czy to z tego powodu znalazłaś się w moim biurze?

Roześmiała się. Potem wzruszyła ramionami i trafiła ostatnią rzutką w tarczę. Po chwili wyjęła notes i zerknęła na zegarek.

- Wychodzisz? - spytałem.

- Mam spotkanie z nowym klientem na Carlton Square - przytaknęła. - Przeprowadzam domową prezentację. Ale mogę ją odwołać.

- Pamiętaj, że jeśli nie zabiegasz o klienta, zrobi to ktoś inny.

- Mój mąż i dzieci będą w San Bernardino przez kilka dni - powiedziała śpiewnie. - Moglibyśmy spotkać się gdzieś na spokojnie, jak kiedyś. W imię starych dobrych czasów.

- Nie, dziękuję.

Lisa zbyła śmiechem odmowę, a jej dłoń wykonała jeden z tych subtelnych, zalotnych gestów. Przeczesała włosy czubkami paznokci i złączyła ręce na plecach.

- Moja propozycja jest wciąż aktualna - powiedziała. - Kiedy tylko sobie zażyczysz. Są noce, kiedy mężczyzna czuje się samotny i ma ochotę zmienić otoczenie. Czasem tęskni za przytulnym miejscem, gdzie nie znajdą go problemy.

Podeszła do windy. Zadzźwięczał dzwonek, rozsunęły się drzwi i Lisa weszła do kabiny. Tym razem nie zapomniałem zamknąć się w biurze na klucz.

Złapałem za telefon, chcąc ustalić, gdzie podziewa się Shelby. Leonard powiedziałby mi, gdyby wiedział. Przyjaźniliśmy się od zawsze i będziemy przyjaciółmi jako starszankowie siedzący na bujanych fotelach i wspominający dawne czasy. Będziemy przyjaciółmi długo po tym, jak nasze dusze odejdą w zaświaty, a kości zamienią się w proch. Mówienie sobie prawdy było dla nas tak oczywiste jak oddychanie.

Leonarda nie było w domu. Nie musiałem długo się zastanawiać, by dojść do wniosku, że nie mam innego wyjścia, jak udać się do źródła. Zadzwoiłem do kliniki Faith i poprosiłem Debrę.

Po tych wszystkich wesołych, pełnych śmiechu rozmowach był to pierwszy raz, kiedy Debra nie była zadowolona, że zadzwoniłem. Przedarłem się jednak przez chłód, z jakim zostałem przyjęty, i zapytałem prosto z mostu, czy Shelby była u niej ubiegłego popołudnia. A jeśli była, to po co. Zapadła cisza.

Kiedy Debra w końcu się odezwała, w jej głosie wyczułem przygnębienie.

- Jesteś przyjacielem mojego męża, a Shelby jest moją przyjaciółką. Ja też traktuję cię jak przyjaciela. Ale gdybym miała jakieś obawy związane z moim mężem, porozmawiałabym z

nim osobiście. Nie przyszedłabym z tym do ciebie. Nie popędziłabym do Shelby. Zwróciłabym się do Leonarda.

Wszystkie moje sprawy nabrały drugorzędного statusu, o ile w ogóle miały jakąś wagę. Pożegnaliśmy się w niezręcznej i oschłej atmosferze.

Rozdźwięk między mną i Debrą przybrał na sile. Spojrzałem przez okno w stronę jej kliniki położonej za hotelem Wyndam i uzmysłowiłem sobie, że tak naprawdę jest ona żoną mojego przyjaciela. Nie moją przyjaciółką.

19.

Shelby

Tyrel zasypywał mój pager wiadomościami. Debra również próbowała się ze mną skontaktować, ale nie przejmowałam się nią. Niech ruszy ten swój nieustannie szczęśliwy tyłek i wskoczy pod prysznic razem z Leonardem.

Z wielką niechęcią zadzwoniłam wreszcie do Tyrela. Miałam zamiar mu powiedzieć, kiedy tylko podniesie słuchawkę, że chciałabym do niego wstąpić, żeby „spakować manatki i się wynieść”. Kiedy jednak zadzwoniłam do niego do pracy i usłyszałam jego głos, coś się ze mną stało. Przykre uczucia znikły bez śladu. Uderzyłam w delikatny i śpiewny ton, mówiąc mu, jak bardzo za nim tęsknię i jak bardzo go kocham.

Nic nie odpowiedział.

Starłam się zachować promienny nastrój, choć nie byłam już zbytnio wylewna, i szczeniocząc, zapytałam go, czy nie znalazłby paru minut, by spotkać się ze mną na neutralnym gruncie, może na lunch w Cofee Company w Westchester.

- Oczywiście - odparł głosem całkowicie pozbawionym emocji.

Zaparkowałam swojego nissana na tyłach Pierwszego Banku Federalnego u zbiegu ulic La Tijera i Sepulveda, a potem, siedząc pod sufitowym wentylatorem, czekałam na niego w kawiarni w połowie wypełnionej białymi emerytami, którzy obawiali się, by ich sztuczne szczęki nie odkleiły się pod wpływem ciepłej herbaty.

Włożyłam cynamonową spódnicę i białą bluzkę, gdyż wiedziałam, że Tyrel przyjdzie w garniturze, krocząc, jakby rządził całym światem. Zauważył mnie, jak wiercę się na krześle, siedząc na wprost jednego z tych starych obrazów, które zdobiły ściany włoskiej kawiarni.

Kiedy nasze oczy się spotkały, poczułam, jak moje serce zamiera.

Kiedy rozemocjonowana paplałam do niego przez telefon, nie skomentował tego ani jednym słowem. Teraz również w milczeniu usiadł naprzeciwko mnie. Kiedy było między nami dobrze, zawsze siadaliśmy obok siebie, bo Tyrel lubił trzymać dłoń na mojej nodze.

Przez moment wpatrywał się w wiszący nad moją głową obraz - *Internationale di Milano 1906*, po czym odchrząknął i opuścił wzrok na mnie.

- Twój pager działa? - zapytał. Skinęłam głową i pociągnęłam łyk herbaty.

- Nikt nie wiedział, gdzie cię szukać. Nawet Debra.

- Nie miałam ochoty z nikim rozmawiać.

- Gdzie się zatrzymałaś?

Nie powiedziałam mu, że wynajęłam tani pokój o cienkich ścianach w hotelu Figueroa, który kosztował mnie sto dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo, ale widząc, jacy ludzie włączają się po korytarzach i słuchając odgłosów zza ściany, byłam gotowa natychmiast się stamtąd wymeldować i wrócić z nim do domu. Uciekłam, by zamieszkać w cuchnącym pokoju o zasłoniętych oknach, i leżąc na twardym materacu, próbowałam uporać się z samą sobą.

- Tyrel?

- Słucham cię.

- Chciałabym, żebyś wiedział, że znałam przed tobą kilku innych, ale ty jesteś pierwszym mężczyzną, którego tak bardzo kocham.

Musiałam się spieszyć, by w porę wyrzucić z siebie wszystkie słowa, gdyż w kolejnej minucie trzymałam nos w chusteczce, łkając jak idiotka. To było prymitywne. Za to Tyrel nadal miał twarz pokerzysty. Podjęłam wyzwanie i też zrobiłam niewzruszoną minę.

Ten drań zapytał mnie, czy zrobiłam skrobankę.

Omam się nie udławiłam. Omam nie naskoczyłam na niego, ale cholernie trudno jest ukryć kłamstwo. Z całego serca pragnęłam skłąć go tak, żeby mu uszy zwiędły, powiedzieć mu, że jest zbyt naiwny i zbyt głupi, by pojąć, jak funkcjonuje ciało kobiety, że nie ma pojęcia o rzeczach, które zakłócają ten rytm, sieją spustoszenie wśród hormonów i sprawiają, że cykl jest nieregularny.

- Czy ty kiedykolwiek machnąłeś na coś ręką? - zapytałam. Jego mina pozostawała niewzruszona.

- Nie mam zamiaru tu siedzieć, żebyś mógł mnie dręczyć - powiedziałam podniesionym głosem.

- Dlaczego nie skonsultowałaś się ze mną? - Tyrel pociągnął łyk herbaty.

Nagle poczułam się tak rozpalona, jakby mój makijaż miał za moment się usmażyć.

- Po pierwsze, daj sobie spokój z psychologią. Po drugie, przestań z moich spraw robić swoje sprawy. Zajmij się swoim pieprzonym życiem i przestań kontrolować moje ciało.

Nareszcie udało mi się mu dopiec i wzbudzić jakąś emocjonalną reakcję. Zauważyłam, że jego dolna warga zaczyna drgać, a w oczach pojawia się zaskoczenie. Zamrugał kilka razy.

- Kontrolować? - musiał pozbierać myśli, nim zdobył się na odpowiedź.

- A jak byś to nazwał?

- Myślałem, że na tym polega związek.

- Chyba obydwójce pobłądziliśmy.

- Zrobiłaś to? - znów pociągnął łyk herbaty i zapytał ot tak, po prostu.

- Gdybym kiedykolwiek zdecydowała się na coś takiego, to jest moje ciało. I koniec dyskusji. - Stałam się tak samo opanowana jak on. Popijając herbatę, uśmiechałam się z wyższością. - Czy jeszcze jakieś fałszywe oskarżenia?

Tyrel patrzył spode łba, jakby sądził, że powinna zgarnąć mnie policja, abym spłaciła swój dług wobec społeczeństwa. Potem nagle spuścił z tonu, a jego kamienna maska gdzieś znikła.

- Spotkałem jedną z twoich koleżanek - powiedział.

- Kogo?

- Lisę Nichols.

Opowiedział mi o tym, co widziała Lisa. Powtórzył to, co powiedziała. Zamknęłam oczy. Wszystko stało się ciężkie. Zbyt ciężkie. Kiedy spojrzałam na niego z nadzieją, że będzie to ostatni raz w tym życiu, uraczył mnie kolejną porcją milczenia.

A potem znów zadał mi to pytanie za milion dolarów.

Chwyciłam torebkę, włożyłam okulary słoneczne i zerwałam się, zostawiając go samego przy stoliku.

20.

Tyrel

Dzień później, zanim wróciłem wieczorem z pracy, Shelby zakradła się jak złodziej i spakowała niektóre ze swoich ubrań. Jej przybory toaletowe zniknęły. Tak samo większość książek i kolorowych magazynów.

Następnego dnia rano zadzwoniła do mnie Debra. Jeszcze jeden głos, którego nie chciałem słuchać. Chciała mnie powiadomić, że Shelby zagnieździła się w ich domu, zajmując jedną z wolnych sypialni.

- Czuję się z tego powodu naprawdę niezręcznie - powiedziała.

- Tak samo jak ja.

- Leonard też jest w nieciekawym położeniu.

- Szanuję to, co powiedziałaś, i nie wymagam od twojego męża żadnych odpowiedzi, jeżeli o to ci chodzi.

Wydała pełne bóleści westchnienie. Nie stać mnie było na współczucie.

- Kazała ci do mnie zadzwonić? - zapytałem.

- Dzwonię, bo się przejmuję. Czekałem.

- Shelby wyprowadza się z Los Angeles - oznajmiła Debra.

- Cóż za nagła odmiana.

- Jest wrażliwa i porywcza.

Nie zaszczyliłem jej odpowiedzią.

- To nie jest zamknięta sprawa, w każdym razie nie do końca - dodała. - Przyjdź do nas jutro. Mógłbyś wpaść na kolację.

- Nie, dziękuję.

- Nie bądź zacięty. Jesteś najlepszym facetem, jakiego Shelby kiedykolwiek poznała. A Leonard twierdzi, że Shelby to najlepsze, co mogło się tobie przydarzyć.

Prychnąłem kpiąco i zapytałem:

- Gdzie jest Leonard?

- Wyjechał na kilka dni. Doskonali występ, który w przyszłym miesiącu będzie nagrywał dla HBO.

- Powiedz mu, żeby do mnie zadzwonił, jeśli znajdzie wolną chwilę.

- Przyjdź i porozmawiaj z Shelby. Proszę. - Ton jej głosu zmienił się z oficjalnego na błagalny. - Przez tych kilka chwil, które spędzamy razem w domu, siedzi w pokoju za zamkniętymi drzwiami.

- Cóż, zamknęła za sobą wiele drzwi.

* * *

Upłynęło kilka dni. Wróciłem do domu i wszystko, co należało do Shelby, zniknęło. Wszystko, włącznie z jej pojedynczymi włosami łonowymi, było wysprzątane. Trzy klucze leżały rozrzucone na dywanie. Zostawiła różową karteczkę przyklejoną do szklanych drzwiczek kredensu.

Spakowałam manatki.

Wyniosłam się.

Twoja eks-nie wiem kto.

W pracy przyłapywałem się na tym, że co minutę sprawdzam wiadomości w poczcie elektronicznej, a kiedy byłem w domu, podskakiwałem na dźwięk dzwonka telefonu. Siedziałem samotny, oczekując na telefon, jak dziecko z getta, które wstało, by wypatrywać Świętego Mikołaja.

Nie było Świętego Mikołaja.

Telefon milczał.

Nie było Shelby.

* * *

Wśród drogich restauracji i sklepów z seksualnymi gadżetami na Boulevard of Broken Dreams stali ludzie, którzy sprzedawali plany pozwalające trafić do domów przygasłych, ale jeszcze niezapomnianych gwiazd.

Zostawiłem samochód na parkingu za House of Blues, po czym wspiałem się na wzgórze i przedarłem przez ruchliwą ulicę do Comedy Emporium. Tłum Afroamerykanów tłoczył się pod zapaćkanymi szklanymi drzwiami, na których widniała karykatura Eddiego Murphy'ego. W holu znajdował się trzydziestocalowy monitor, prezentujący nagranie z koncertu Richarda Pryora. Przy tylnym wejściu stali oparci o betonową balustradę dwaj komicy pełniący rolę strażników.

- Jestem na liście Leonarda DuBois - powiedziałem.

Jeden z nich, ostrzyżony na jeża rudzielec, wyjął z czarnej satynowej marynarki kartkę papieru.

- Kim pan jest? - zapytał.

Sięgnąłem po dokumenty. Facet machnął ręką, przywołując bladego sobowtóra Michaela Jacksona, który poprawił skórzaną kurtkę i podszedł do nas tanecznym krokiem.

- To jest kumpel Leonarda - odezwał się bramkarz z purpurowym irokezem i srebrnymi kolczykami w brwiach, nosie i języku.

- Widziałeś plakat jego filmu? - zapytał mnie ten drugi.

- A gdzie jest?

- Na Sunset Boulevard, na rogu Fairfax. Nie sposób go przeoczyć. Sobowtór Michaela popędził mnie gestem. Minałem Madonnę, podróbkę Sammy'ego Davisa Juniora i Jamesa Browna.

Na górze było tłoczno. W powietrzu wisiał papierosowy dym, który oblepiał mnie niczym kleista maź. Na scenie stał pulchny brat o prowincjonalnych manierach i opowiadał dowcipy o 7-Eleven.

Podrabiany Michael chwycił się za krocze i odszedł, naśladowując krok taneczny Jacksona.

- Gdyby moje dziecko odwalalo kiedyś takie dziadostwo, chyba bym je zastrzelił - powiedział jakiś brat, kładąc mi rękę na ramieniu.

Roześmialiśmy się. Rozpoznałem głos Leonarda. Był ubrany na czarno, jedynym kolorowym akcentem była łososiowa marynarka z trzema guzikami. Na jego twarzy malowało się lekkie zakłopotanie.

- Skąd wytrzasnąłeś taką marynarkę? - spytałem.

- Debra mi kupiła. Jak ci się podoba ten kolor?

- Delikatny.

- Nie wyglądam w niej jak ćwok? Jeśli tak, powiedz mi to, a dam komuś w mordę, żeby wszystko się zgadzało.

- Wygląda na to, że jesteś gotów, by pozować do „Gentleman's Quarterly” - zaśmiałem się.

- Pewnie.

Ubierał się znacznie lepiej, odkąd Debra zaczęła dbać o jego garderobę. Mniej modnie, za to z większą klasą.

- No i co słyhać? - spytałem.

- Shelby się wyprowadziła.

Podeszły do nas trzy siostry w spódniczkach węższych niż mój pasek do spodni. Uśmiechały się diabolicznie, a jedna z nich poprosiła Leonarda o numer telefonu.

Leonard podniósł lewą dłoń i pokazał jej ślubną obrączkę.

- Co to miało znaczyć? - zapytała siostra.

- To, że zjawiłaś się o dzień za późno i masz o dolara za mało.

- Zapłaciłam, żeby tu wejść i się z tobą spotkać, a ty mnie tak traktujesz? - Chwyciła go za ramię. - Postaw mi Long Island i zapoznaj się ze mną. Możesz mi też kupić pikantne skrzydełka i cukinię.

- Wiesz, że to się nie godzi - Leonard wyswobodził rękę. Dziewczyna oparła rękę na biodrze.

- Nie możesz kupić nam drinka?

- Nam? - zdziwił się Leonard.

- Nie spodziewasz się chyba, że one będą popijać z mojej szklanki - wskazała na przyjaciółki.

- Zostawiłem portfel u żony w torebce - odparł.

- Grasz w tych wszystkich filmach i nie masz pieniędzy?

Leonard uniósł dłonie ku górze i potrząsnął głową. Dwie z nich odeszły, kręcąc tyłkami, a trzecia została i przekrzywiając głowę, wpatrywała się w Leonarda.

- Wcale nie jesteś taki zajebisty - oświadczyła. - Nie ma nic gorszego od takich złamanych frajerów jak ty.

- Gdybyś nie wydała tyle na tę fryzurę, nie byłabyś taka splukana jak woda w kiblu i nie chodziłabyś po proście.

- Mam pieniądze.

- To dlaczego nie postawisz nam drinka?

- Spadaj facet. - Podążyła za swoimi koleżankami.

- Odejdźmy kawałek dalej od twoich fanek - powiedziałem. Wspięliśmy się po schodach i stanęliśmy na tyłach sali.

- Co mówiłeś o Shelby?

- Przeprowadziła się do San Diego. Debra mówiła, że szuka tam mieszkania i koczuje u Chiquity.

Sobowtór Elvisego przyprowadził Leonardowi dwoje białych. I znów ktoś nam przeszkodził. Kiedy tamci rozmawiali, Elvis wyszedł z budynku. W końcu para udała się do sektora dla VIP-ów.

- On jest z HBO - wyjaśnił Leonard. Cmoknąłem językiem o podniebienie.

- Ej - Leonard poklepał mnie po ramieniu.

- Co?

- Obudź się.

- Nie śpię.

- Wszystko w porządku?

Wypuściłem powietrze z niespokojnym świstem. Tłum na sali zanosił się od śmiechu.

- Jak się domyślam, Czekoladka nic ci nie powiedziała - odezwał się Leonard.

- Kto?

- Shelby.

- Nie spodziewałem się, że wyjedzie.

- Przyjechał kuzyn Debry, Bobby, i pomógł jej wszystko załadować do furgonetki. Zadzwoiła do ciebie przed wyjazdem?

Potrząsnąłem głową i zakaszlałem.

- Kiedy się wyprowadziła? - spytałem.

- Parę dni temu. Ale dowiedziałem się o tym dopiero dziś rano. Zajrzałem do garażu i odkryłem, że zabrała wszystkie rzeczy.

Wyznał mi, że pokłócił się z Debrą, kiedy zobaczył, że wszystko zniknęło. Bobby'emu też się dostało. Czulem, że jest mu głupio, a w jego głosie pojawia się ból. Słyszałem, co mówił, ale zrozumiałem to, czego nie powiedział. Gdyby wiedział, co się dzieje, zadzwoniłby do mnie.

- Życzę jej jak najlepiej - powiedziałem, unosząc dłoń. Publiczność oklaskiwała pulchnego brata, który kłaniając się, schodził ze sceny. Do mikrofonu podszedł konferansjer.

Miałem nadzieję, że całe to zamieszanie nie zaszkodzi zbyt wiele nowemu, lepszemu życiu Leonarda.

- Dlaczego Debra nie przyszła? - spytałem.

- Dym papierosów wywołuje u niej alergię. A poza tym się uczy.

- Wróciła na studia?

- Chodzi na kursy uzupełniające.

Leonard wyjął z kieszeni kartkę i wręczył mi ją.

- Co to jest?

- Numer Shelby w San Diego.

- Powiedziała ci, żebyś mi go dał?

- Podprowadziłem go z kalendarza Debry.

Złożyłem karteczkę i bawiłem się nią, machinalnie uderzając o udo.

- Wyjdźmy na zewnątrz - zaproponowałem. - Czuję, że moje płuca robią się czarne.

- Nie mogę. Pora już na mnie.

Konferansjer zaczynał właśnie zapowiadać występ Leonarda. Spojrzałem na zegarek.

- Zostaniesz potrzymać kciuki za brata, prawda? - zapytał.

- Już późno. Rano muszę być w pracy.

- Wiem, że nie przyjechałeś tutaj, żeby od razu zwinąć się do domu.

- Poczekam chwilę. Chcę zobaczyć, co masz nowego.

- Jesteś zdenerwowany?

- Nie martw się o mnie.

- Tak, widzę, że jesteś.

- To przejdzie.

- Zadzwoń do niej. Zdobądź się na to.

- Skręć kark - powiedziałem, odprowadzając go w stronę sceny. Leonard opuścił głowę, złożył ręce i stał przez kilka sekund z zamkniętymi oczami.

Po chwili znalazł się na scenie. Był dobry. Zawsze był najlepszy w swoim fachu, ale ponieważ nie widziałem jego występów od kilku miesięcy, zauważyłem wyraźne postępy. Osiągnął kolejny poziom niewymuszonego mistrzostwa.

Przez krótką chwilę żałowałem, że jego ojciec nie może go widzieć. Tak samo jak żałowałem, że mój ojciec nie może widzieć tego, co sam osiągnąłem. Przez większość czasu miałem wrażenie, jakby umarł, tak jak stary Leonarda. Myślałem o tym przez krótką chwilę. Bardzo krótką.

Cierpiałem z powodu San Diego. Pomyślałem, że moje życie jest ciągłą udręką przetykaną chwilami szczęścia. Podarłem otrzymaną od Leonarda kartkę na drobne kawałeczki i rzuciłem je na podłogę. Zaczynanie wszystkiego od nowa nie było dla mnie niczym nowym.

Siedząc w samochodzie, sięgnąłem po komórkę. Joshua Cooper był zaspany, kiedy zapytałem go, jak szybko może przydzielić mi to narożne biuro z pocztówkowym widokiem na Golden Gate.

21.

SHELBY

Jak ci się podoba ten zespół? - zapytała Chiquita.

- Całkiem przyjemni - odparłam. - Widziałam ich parę miesięcy temu, kiedy byłam z Tyrelem w restauracji Debbie Allen na Melrose.

Sekstet jazzowy stał na okrągłej scenie pod żyrandolem i grał melodie w stylu Normana Browna. Kilku z braci, których San Diego miało do zaoferowania, stało koło drzwi. Większość z nich była w garniturach. Trzymali drinki i co chwilę przerywali rozmowę, by wodzić wzrokiem za tyłkami przechodzących sióstr.

Siedziałyśmy z Chiquitą na wysokich barowych stołkach przy marmurowym blacie, oddając się beztroskiej paplaninie. Pary kręciły się w powolnym tańcu, a muzyka wskrzeszała klimat starych romansów i ożywiała te całkiem świeże. Było to ostatnie miejsce, w jakim chciałam się znaleźć.

- Mówiłam ci, że będzie bombowo - powiedziała Chiquita.

- Powinnam być w domu i rozpakowywać rzeczy.

- Na to znajdzie się czas. Dzisiaj są twoje urodziny. Teraz jesteś starą trzydziecią.

Tyrel miał urodziny dziewiątego lipca. Za dwa dni.

- Nie przypominaj mi - powiedziałam.

- To znacznie lepsze, niż gnuśnieć w domu przez cały wieczór.

- Skoro tak mówisz.

Przejechałam palcami po ciasno splecionych warkoczykach. Moja nowa fryzura wyglądała elegancko i profesjonalnie. Spódniczka mini w afrykańskie wzory zachowywała się tak, jakby miała własną duszę. Prezentowała się lepiej, niż się spodziewałam.

- W przyszłym tygodniu musimy zajrzeć do klubu Humphrey's w zatoce - powiedziała Chiquita. - Może trafimy na czułą, przytulaną imprezę.

- Brzmi nieźle.

- Jeśli nie pójde tam z Raymondem, zadzwonię po ciebie.

Była taka zmienna, że nie mogłam na niej polegać. Mieszkałam w San Diego, a właściwie w Mission Valley, od trzech tygodni. Na tyle długo, by sprawić sobie nową fryzurę, zadbać o paznokcie i uzupełnić garderobę o kilka jaskrawych sukienek i parę lśniących dodatków. Na tyle długo, by stać się nerwowa.

- A więc twoja przyjaciółka Brenda... - zaczęła Chiquita.

- Debra.

- Więc Debra i jej mąż wybrali się do Europy?

- Na kilka tygodni.

- To musi być fajne wyjść za kogoś sławnego. Cholera, fajnie jest wyjść za mąż.

- Myślę, że ta instytucja jest przereklamowana.

Chiquita zabrała mnie swoją mazdą i przyjechałyśmy do hotelu Radisson, położonego w zamieszkiwanej przez klasę średnią dzielnicy zwanej Mission Bay. Zespół jazzowy miał grać do wpół do jedenastej, a potem imprezę przejmował DJ, zmieniając klimat. Tak więc wcześniejsze towarzystwo z klasą stopniowo ustępowało miejsca podtatusiałym lowelasom i mamuskom zrobionym na wampa.

Chiquita nie знаła tutaj nikogo. Była jak ja, bez matki, bez ojca, bez przyjaciół.

Nałożyłam na usta kolejną warstwę szminki barwy jeżyn i, siedząc w niedbałej pozie, poprawiłam włosy i strój. Odżywiałam się zdrowo, więc straciłam na wadze parę kilogramów. Byłam silniejsza niż kiedykolwiek. W zeszły weekend pobiłam własny rekord w biegu na dziesięć kilometrów. Nie byłam sflaczała, a moje piersi wracały do normy.

Wciąż o tym myślałam. Byłabym teraz w trzecim miesiącu.

Chiquita tańczyła z kilkoma braćmi, a potem ziewając, wróciła do stolika. Ziewnęłam wraz z nią. Zbliżała się dopiero dziewiąta, a czułam się, jakby było już po północy. Zespół wrócił na scenę po przerwie i ludzie zaczęli się bawić. Zamiast brać udział w imprezie, przez cały wieczór siedziałam przyklejona do wysokiego skórzanego stołka.

- Ktoś tu się gapi - Chiquita poklepała mnie po ramieniu. - Znasz go?

- Nie musisz znać brata, żeby się na ciebie gapił.

Zerknęłam w stronę sceny, koło której stał ten facet, i nasze spojrzenia spotkały się przelotnie. Jego uśmiech wyrażał fascynację.

Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu, brązową skórę i krótkie, przerzedzone po bokach włosy. Nosił gęstą brodę i fryzurę podobną jak Tyrel, tylko nieco dłuższą. Tyrel miał bardziej kręcone włosy.

Nieznajomy zapiął marynarkę i, przepychając się przez tłum, ruszył w moją stronę, ale nie szedł zbyt szybko.

- Dobry wieczór - powiedział.

- O co chodzi?

- Właśnie o panią.

- Miło słyszeć, że chodzi o mnie.

Wymieniłyśmy z Chiquitą porozumiewawcze spojrzenia.

- Nie spodziewałem się, że kiedyś jeszcze panią spotkam.

- Czy powinnam pana znać?

- Jest pani stewardesą, prawda? Skinęłam głową.

- Leciałem z panią kilka miesięcy temu.

- No i?

- To był ciężki rejs z Atlanty.

- Moje życie jest ciężkim rejssem.

- Czyjeś dziecko trafiło panią w głowę zabawką czy czymś takim. Nareszcie przypomniałam sobie, o co chodzi.

- Świat jest mały - powiedziałam. Spojrzałam na Chiquitę. Pamiętała ten lot.

- Nazywam się Richard Vaughn.

- Miło pana spotkać, Richardzie Vaughn.

Powiedziałam mu, jak mam na imię. Chiquita przestała się kiwać w rytm muzyki, by zrobić to samo. Usiadł obok nas.

Z uśmiechem w oczach Chiquita skrzyżowała nogi i usiadła w pozycji, która mówiła, że nie ma zamiaru włączać się do rozmowy.

- Chyba naprawdę sobie mnie nie przypominasz - powiedział Richard.

- Przykro mi.

- Cóż, ja o tobie nie zapomniałem.

Zaproponował, że postawi nam drinki, a my zgodziłyśmy się, aby wydał na nas pieniądze. Kiedy oddalił się, by przynieść nam szklanki, nachyliłam się do Chiquity.

- To jest ten brat, który ciągle po mnie dzwonił, kiedy ostatnio leciałyśmy razem - wyjaśniłam.

- Kiedy cały czas się ukrywałaś i rzygałaś?

- Och, tak. Właśnie brała mnie grypa.

- Myślałam, że go nie zapamiętałaś.

- Niewiele pamiętam. - Pomyślałam o krzywych nogach i dołku w brodzie. O pożyczonym pokoju w Obispo. - W ogóle niewiele pamiętam.

Chiquita poprawiła krótkie, pofarbowane na czerwonawy kolor afro. Taka fryzura znakomicie harmonizowała z jej połyskliwe brązową skórą. Pomyślałam, że też powinnam tak się ostrzyć. Stworzyć całą siebie od nowa. Nie mogłam narzekać na swoje ciało. Potrafiłam się poruszać. Gdyby jeszcze mój śpiew nie przypominał rozpaczliwego wycia, bez trudu mogłabym zakasować Toni Braxton.

Chiquita zeskoczyła ze stołka i oparła dłonie na wąskich biodrach.

- Dokąd się wybierasz? - spytałam.

- Do telefonu.

- Znowu dzwonisz do Raymonda?

- Powinien już być w domu.

- Mówiłaś to już przed trzema godzinami i pięcioma wyprawami do telefonu. Martwisz się, by nie zapaćkał jakiejś szyby?

- Jeśli nie jesteś dziewicą, to nie jesteś, i już.

- Kiedy zaplamisz swoją szybę, już nigdy nie będziesz taka sama.

Roześmiałyśmy się. Był to szczery śmiech, choć nie taki sam, jaki dzieliłyśmy z Debrą. Nie miał w sobie tej otwartości, nie miał swojej historii. Ponieważ nasza więź trochę osłabła, kiedy Debra wkroczyła na nową drogę życia, dałam jej parę miesięcy i z niecierpliwością czekałam na telefon od niej. Niedługo mogłam już usłyszeć w słuchawce: „Dziewczyno, gdzieś ty się podziewała. Myślałam, żeby do ciebie zadzwonić”.

Chiquita nie poszła do telefonu. Przez moment stała, oglądając swoje dłonie, po czym wróciła na stołek. Sposób, w jaki wyduła wargi, upodobił ją do nadąsanego dziecka.

Powiedziałam jej, że skoro facet nie umówił się z nią na randkę w sobotni wieczór, widać nie chciał sobie zawracać nią głowy. To samo zresztą dotyczyło mnie.

- Shelby, masz to w zasięgu ręki - uniosła brwi. - To jest twoja noc na 360.

- Jakie 360?

- Na 360 stopni. - Zatoczyła ręką krąg. - Dookoła toczy się życie. Ten przystojny brat chyba spadł ci z nieba.

Kiedy wrócił Richard, Chiquita zakołysała nogą, poprawiła białą jedwabną bluzkę, odsłaniając skrawek uwodzicielskiej bielizny i podziękowała mu z akcentem, w którym po-brzmiewała słodycz południowej serdeczności.

Zatrzepotałam powiekami, dając jej znak, by została w pobliżu. Był to sygnał, którym posługiwaliśmy się z Debrą od urodzenia, ale Chiquita musiała go przeoczyć bądź opacznie zrozumieć. Puściła oczko, zabrała swoją szklanę i zmysłowym krokiem przeszła na drugą stronę sali.

Chiquita rozsiadła się w fotelu na wprost zespołu i wyszczerzyła zęby. Co sekundę jakiś brat podchodził, by poprosić ją do tańca. Odprawiała ich wszystkich machnięciem ręki, nawet przystojniaczków w eleganckich butach, wystrzałowych krawatach i harmonizujących z resztą stroju paskach do spodni.

Zauważyła mnie, mrugnęła okiem i zakreśliła krąg w powietrzu. Omal się nie zarumieniłam. Potem spojrzała na zegarek i ruszyła w stronę automatu telefonicznego.

Udawałam, że słucham niezobowiązującej gadki Richarda, który opowiadał o swoim sklepie z kwiatami i o tym, jak pomagał swojej siostrze i bratu w szkole.

- Jesteś zamężna? - spytał.

- Nie.

- Dlaczego?

- Nikt mi się nigdy nie oświadczył. Nie byłam nawet zaręczona.

- A dzieci?

- Żadnych - westchnęłam.

- Jesteś samotna?

- W pewnym sensie.

- W pewnym sensie?

- Dokładnie tak.

- A co to oznacza?

- Czuję do kogoś coś silnego.

- Więc przeniosłaś się tu z nim do San Diego?

- On wciąż mieszka w Los Angeles.

- Przeprowadza się do ciebie?

- Jestem tu sama - pokręciłam głową.

- Kochasz go?

Próbowałam potrząsnąć głową, znaleźć siłę, by się tego wyprzeć, ale przytaknęłam. Richard uśmiechnął się, ale jego uśmiech nie robił na mnie żadnego wrażenia.

- Cóż, powiem tylko tyle, że z tego, co widzę, z tego, jak się zachowujesz, to zdecydowanie jego strata - oznajmił.

Pociągnęłam łyk ze szklanki i zerknęłam w stronę ludzi tańczących cza-czę. Zespół grał starą melodię z repertuaru George'a Michaela, pamiętającą jeszcze czasy, kiedy uważałam, że jest piękny i każda jego płyta to przebój.

- Chciałabyś zatańczyć? - spytał Richard.

- Nie tańczę. Tym wielkim stopom brakuje poczucia rytmu. Pytał jeszcze trzy razy, a ja trzy razy mu odmawiałam.

- Musiał cię naprawdę zranić, że od niego odeszłaś - oznajmił.

- Tak. Zawalił sprawę i stracił coś dobrego.

Chiquita tańczyła z bratem, który wyglądał tak staro, że wzięłabym go za niańkę samego Boga. Za to umiał tak podrygiwać, że omal nie zgubił sztucznej szczęki.

- Może jednak zmienisz zdanie? - zachichotał Richard.

- Nigdy. Nienawidzę tańczyć.

- Chodziło mi o tego brata, który zalazł ci za skórę. Ten brat okazał się zbyteczny.

- Miło się z tobą rozmawiało, Richardzie - powiedziałam.

- Już wychodzisz?

- Nie, ale musisz mnie opuścić. Przyszłam tutaj z moją przyjaciółką i nie chcę być niegrzeczna, pozostawiając ją samą przez cały wieczór.

- Wygląda, jakby się całkiem nieźle bawiła.

- Miło było cię spotkać. Trzymaj się. Richard wręczył mi wizytówkę.

- Ponieważ jesteś tu nowa, pozwól zaprosić się na kolację - powiedział.

- Jeśli będę dostatecznie głodna, dam ci znać.

- Mogę dostać twój numer?

- Wystarczy, że mam twój - postukałam w wizytówkę. Odchrząknął, przyglądził brodę.

- No dobra.

- Dzięki za drinka.

- Udanego wieczoru.

Uścisnęliśmy sobie ręce na pożegnanie. Wiedziałam, że zrobił to, bo chciał mnie dotknąć. Jego dłonie były delikatniejsze od moich, jakby nigdy nie zetknął się z trudami życia. Richard zapiął marynarkę i wrócił do swojego stolika.

Przyszła Chiquita, niosąc dwa kieliszki chardonnay. Chwyciłam jeden, nie narzekając na kalorie.

Po kilku utworach zatraciłam się w muzyce. Zespół spisywał się doskonale, brzmiał jak orkiestra symfoniczna. Popijałam wino, zamknęłam oczy i delektowałam się tym, jak instrumenty rozmawiają ze sobą w harmonii, jak dźwięki nakładają się na siebie, tworząc melodię. W taki właśnie sposób Tyrel i ja całowaliśmy się i kochaliśmy.

Zastanawiałam się, ile czasu będę potrzebowała, żeby wrócić do normalności. By przezwyciężyć wstyd i zapomnieć o Tyrelu. Przy tym, jak czułam się obecnie, potrzebowałam czegoś silniejszego niż tykanie zegara, aby zbliżnić tę ranę. Zbyt wiele marzeń nawiedzało mnie w ciągu dnia. Musiałabym też wreszcie przestać o nim śnić. Powtarzające się, uporczywe sny. Halucynacje tego rodzaju, które pojawiają się zbyt często, mają zbyt wiele szczegółów, wydają się zbyt realne, jakby kochał mnie w trzydziestu jeden różnych smakach. Pod ich wpływem budziłam się i dotykałam swego ciała, wyobrażając sobie, że robią to jego ręce. Szczerze mówiąc, resztki namiętności napełniały mnie strachem przed zapadnięciem w drzemkę, nie mówiąc już śnie.

Raz po raz wymieniałam z Richardem ukradkowe spojrzenia.

22.

Tyrel

- Czy mogę rozmawiać z Vardamanem Williamsem?

- Nie ma go. A kto mówi?

Z okna położonego na dwudziestym piątym piętrze mieszkania rozciągał się widok na zasnuite chmurami Oakland. Siedziałem na szczycie budynku przy Lakeshore 1200, a wszyscy pode mną wyglądali jak mrówki wędrujące tam i z powrotem. Nieliczni uprawiali jogging na dziesięciokilometrowym dystansie wokół Lake Merritt. Widok na powierzchnię wody napełniał mnie spokojem. Pomagał mi się opanować. Powiniennem znajdować się po drugiej stronie jeziora.

ra i wyciskać z siebie stres w Gold's Gym, ale nie musiałem rozsuwać lnianych zasłon, by wiedzieć, że ten ospały poranek sprzyja bardziej oglądaniu telewizji w domu.

- Tyrel Anthony Williams - odpowiedziałem.
- Yhm.
- Jestem jego synem.
- Yhm.
- A z kim rozmawiam? - grałem zgodnie z zasadami.
- Z tej strony pani Williams.

Wyregulowałem swój mentalny barometr, starając się mówić spokojnie, przejrzysto i wyraźnie.

- Jak się masz? - zapytałem.
- Czego chcesz?
- Cóż, czy mój ojciec będzie niedługo w domu?
- Nie wiem, o której Vardaman wróci.
- Czy jest w którymś ze sklepów?

Mruknęła coś z rozdrażnieniem. Szło mi z nią jak po grudzie. Usłyszałem, jak zasłania słuchawkę dłonią i mówi do kogoś parę słów. Rozejrzałem się po mieszkaniu. Zastanawiałem się, ile czasu upłynie, zanim poczuję się tu jak w domu.

Na oparciu fotela leżały majtki z purpurowej satyny i ciemny stanik z watowanymi miseczkami C. W purpurowym wazonie, który stał na białej komodzie, tkwiły świeżo ścięte słoneczniki. W całym mieszkaniu dominowały jasne kolory - czerwienie, żółcie i zielenie. Prawie wszystko było nowe. Większość mebli, jakie miałem w Los Angeles, poszła na sprzedaż. Na końcu korytarza rozległ się szum splukiwanej wody w toalecie.

Pani Williams zdjęła wreszcie rękę z słuchawki.

- Yhm, co mówiłeś?
 - Że zostawiłem na waszej automatycznej sekretarce swój nowy numer telefonu. Czy ojciec go dostał?
 - Skąd mam wiedzieć?
 - Mogłabyś go zapisać i mu przekazać?
 - Nie mam niczego do pisania.
- Przemierzyłem salon i zatrzymałem się koło zdjęć rodzinnych.
- Kiedy on wróci?

- Nie mam pojęcia.

- No dobra, gdybyś mogła włączyć sekretarkę, zadzwonię jeszcze raz i nagram wiadomość.

Upłynęło kolejne kilka sekund.

- Sekretarka jest zepsuta - powiedziała.

- To trudno.

- Yhm. Czy to wszystko?

- Przekaż mu, że powiedziałem „Kot jest w kołysce”.

- Co to jest?

- Taka piosenka.

- I co to niby ma znaczyć?

- Nieważne. Powiedz mu, że dzwoniłem. Odezwę się jeszcze. Pani Williams odłożyła słuchawkę.

- Widzisz, właśnie dlatego nie dzwonię do tego skurwiela - zachnęła się Bliźniaczka. Była na drugiej linii, kiedy dzwoniłem do ojca. - Nie jestem psychologiem ani prorokiem, ale czy nie mówiłam ci, co zrobi ta pizda? - piekliła się.

- Nie przeklinaj przy dzieciach.

- Są na dole.

Bliźniaczka była w swoim domu w Atlancie, a ja chodziłem z bezprzewodowym telefonem po wynajętym apartamencie w Oakland nagi, tak jak wstałem z łóżka.

- Nieważne, jak daleko się posuwa, jest naszym ojcem - powiedziałem.

- Mama mogła sobie znaleźć lepszego dawcę spermy.

- Wygląda na to, że chcesz skazać posłańca.

Jej złość przybierała na sile. Usiadłem na czarnym metalowym łóżku o królewskich rozmiarach i przesunąłem się, by ominąć wilgotną plamę na zielonym prześcieradle.

- To bez znaczenia, jest twoim ojcem - próbowałem ją uspokoić.

- Niestety - odparła Mye. - Tyrel, gdyby chciał zawracać sobie nami głowę, już by dawno zadzwonił.

Mye zwróciła się do mnie po imieniu, a to oznaczało, że jest poważnie wkurzona.

- Jest po prostu zajęty - powiedziałem. - Prowadzi tam trzy sklepy.

- Przez ile lat był zajęty?

- Zadzwonię jeszcze do niego i zostawię swój numer.

- Ten skurwiel nie pojawił nawet się na moim ślubie. Nie zadzwonił do swoich wnuków.

Co to za dziadostwo?

- Mye...

- Tyrel! - krzyknęła. - Przejrzyj kurwa na oczy.

Przycichła i dochodziła do siebie w milczeniu.

Przed telewizorem leżał czerwony pantofelek z wykrzywionym obcasem i czarna apaszka. Ciemny żakiet z paskami na rękawie spoczywał tuż pod moim najnowszym dziełem sztuki, przedstawiającym erotyczną scenę z Porgy and Bess. Kupiłem je na wyprzedaży „głodującego artysty” w Centrum Wystawowym w San Francisco.

- Bliźniaku - odezwała się moja siostra.

- Tak?

Wysmarkała nos, po czym odezwała się cichym i opanowanym głosem.

- Nie możesz sprawić, by poczuł coś, do czego nie jest zdolny.

Z łazienki wciąż dobiegał szum prysznica, któremu wtórował delikatny głos, śpiewający do melodii z łazienkowego radia.

Rozmawiałem z Bliźniaczką od dziesięciu minut. Zaczęliśmy o ojcu i zaproponowałem jej, że zadzwonię do niego, pozostawiając ją na linii, aby w razie czego włączyła się do rozmowy. Mogła milczeć w tle, słuchając jego głosu albo odezwać się i powiedzieć, cokolwiek jej serce podyktuje.

Okazało się jednak, że było to kolejne nieudane podejście.

- Masz jakiś kontakt z Shelby? - zapytała Bliźniaczka.

- Żadnego. - Poczulem gorycz w ustach.

- Nadal mieszka w San Diego?

- Nie mam pojęcia.

- To kto jest u ciebie tym razem?

- Tina.

- A czym ta Tina się zajmuje?

- Nie wiem.

- A jak się nazywa?

Wydałem głupkowaty pomruk. Bliźniaczka naskoczyła na mnie i zrugowała takim samym tonem, jakiego używała, mówiąc o ojcu.

Zatoka obfitowała w rozrywki przeznaczone w sam raz dla brata o duszy w letargu. W Oakland było pod dostatkiem czekoladowych kasek, czekających tylko, by się do nich dostać.

- Słuchaj, bądź ostrożny - zakończyła swój wywód Mye.

- Jestem.

- Wkładaj gumę na instrument.

- Zaufaj mi. Bez lateksu nie ma seksu.

Zamieniliśmy jeszcze parę słów, powiedzieliśmy sobie, że się kochamy, kazałem jej ucałować wybuchowy duet i się rozłączyliśmy. Tina wciąż sztafirowała się w łazience.

Leonard zapytał mnie kiedyś, czy wyjazd do San Francisco jest moją odpowiedzią na nagłe posunięcie Shelby. Odpowiedziałem mu, że życie to nie partia szachów, w której uganiam się za królową. Na poziomie osobistym Los Angeles nie zdało egzaminu. Poświęciłem tamtejszym niewydarzonym siostronom trzydzieści lat, ale one nie potrafiły tego docenić.

Trzy dni po tym, jak Joshua Cooper odebrał mój telefon w środku nocy, moja spółka przysłała firmę przewozową, która spakowała wszystko, co do joty. Napeliłem bak, włożyłem okulary przeciwsłoneczne i wjechałem na malowniczą drogę numer sto jeden.

Zamilkło radio i drzwi łazienki nareszcie się otworzyły, wypuszczając obłok pary, która osiadła na ścianach niczym poranna rosa. Zgasło światło i przestał szumieć silniczek wentylatora. Usłyszałem syk dezodorantu. Coś podśpiewywała. Brzmiało na tyle dobrze, by Mariah Carey błagała ją o lekcję.

Tina wyszła okręcona pomarańczowym ręcznikiem. Przystanąła w korytarzu, by przyrzeć się wiszącym na ścianie fotografiom. Ze zdwojoną uwagą wpatrywała się w zdjęcia ślubne.

- Znasz tego faceta?

- Leonard jest moim serdecznym przyjacielem.

- W zeszłym miesiącu widziałam jego film - mruknęła z podziwem. - A rok temu byłam na jego występie w Walnut Creek. Jest żonaty?

- Tak.

- Ma ładną żonę. Jest modelką?

- Nie. Pielęgniarką.

- Jej drużna też jest piękna.

Skóra Tiny była koloru kawy. Miała wąską szparę między przednimi zębami, a jej długie nogi przypominały kształtem pałeczki z KFC. Z włosami krótszymi od moich i złotymi kolczykami w afrykańskim stylu wyglądała jak niecenzuralna rozkładówka w „National Geographic”.

- No dobra, seksowny czarny mężczyzno - powiedziała. - Masz jakiś balsam do ciała?

- Na toaletce.

Weszła do sypialni. Słodki zapach jej rozgrzanego ciała mieszał się z wiśniowym aromatem odświeżacza.

Tina pocałowała mnie, wydając dziki zwierzęcy pomruk, po czym rzuciła wilgotny ręcznik na moją czystą białą pościel i zaczęła czegoś szukać w kosmetyczce.

Nie mogłem oderwać oczu od tego mokrego ręcznika. Zaczekałem, aż znajdzie balsam, i zawołałem ją po imieniu. Na moment przerwała nacieranie piersi balsamem.

- Proszę, nie rzucaj mokrych ręczników na moje łóżko - powiedziałem spokojnie. - Biała pościel łatwo się plami.

Jej wzrok spochmurniał. Być może powiedziałem to nie tak przyjaznym tonem, jak zamierzałem. Ożywienie znikło z jej twarzy. Obserwowałem ją. Odwróciła się do mnie plecami i włożyła majtki. Potem wcisnęła się w dzinsy.

- Tino? - powtórzyłem.

Włożyła czerwono-biały podkoszulek z godłem klubu akademickiego.

- Tino?

Zachowywała się bezdźwięcznie jak mim. Posłała mi wrogie spojrzenie, a potem opuściła głowę, uniosła ją i górnymi zębami przygryzła dolną wargę. Przypuszczalnie była wściekła o to, że nie poszedłem z nią pod prysznic.

- Tino, masz jeszcze ochotę na śniadanie? - zapytałem.

Schyliła się po pantofelki, wzięła głęboki oddech, potrząsnęła głową kilka razy i dalej w spokoju zbierała swoje ubrania.

- Dlaczego nie spytasz o to Tiny?

- Co?

- Ja mam na imię Lillian.

Wyszła w milczeniu. Na pokrytym dywanem korytarzu jej buty wydawały stłumione odgłosy, które potem zamieniły się w głuchy łomot, kiedy weszła na twardą podłogę z jasnego drewna. Otworzyła drzwi powoli, ale zatrzasnęła je za sobą tak mocno, że aż zakołysały się żaluzje w oknach.

Purpurowe majtki i ciemny wutowany stanik wciąż leżały porzucone na oparciu fotela.

23.

SHELBY

Mama Richarda, pani Vaughn, zachowywała się okropnie, odkąd tylko ją poznałam. Tak, mieliśmy tam wpaść na jakieś dziesięć minut. Richard namówił mnie, by wstąpić do niej na kolację. Zastaliśmy tam całą jego rodzinę. Problem polegał na tym, iż nikt mnie nie uprzedził, że spotkam tam tyle ludzi i że będzie na mnie czekać stół zastawiony tak obficie jak na Święto Dziękczynienia. Nie chciałam mówić od progu, że nie jadam czerwonego mięsa, gdyż właśnie je podano. Duży kawał szynki, liście kapusty gotowane z wieprzowiną, pieczeń wołowa i pełnoziarnisty chleb posmarowany tuczającym masłem.

Pani Vaughn nalegała, bym jadła, i postawiła przede mną kopiasty talerz. Jedna z nas nie słuchała drugiej. Grzecznie odsunęłam talerz, dając jej do zrozumienia, że ja i świnia nie mamy ochoty na bliższą znajomość. Prychnęła i oznajmiła, że jada świńskie mięso przez całe życie, że jej matka i matka jej matki też codziennie jadały świninę i obie dożyły stu lat. Zignorowałam tę krytyczną przemowę. Wypiłam puszkę 7up i na tym postanowiłam poprzestać.

Na domiar złego, kiedy tydzień później wybrałam się z Richardem do kościoła, jego korpulentna mamusia zachowywała się, jakby mnie nie poznawała. Richard przedstawił nas sobie ponownie, ale ta megiera zdawała się mnie ignorować.

- Dlaczego ona przyszła w spodniach do domu Pana? - syknęła, unosząc jeden z podbródków ku niebu. - Nigdy wcześniej nie była w kościele? Zresztą nie jest tak ładna, jak ta biała dziewczyna, z którą kiedyś się spotykałeś.

To był pierwszy raz od czasu, kiedy wynaleziono słowa, gdy mnie odebrało mowę. Richard przeprosił mnie za swoją mamę, a ja nie przejmowałam się tym, co wygadywała na niego, tak samo, jak nie oczekiwałam, by ktokolwiek przejmował się tym, co robiła moja matka albo czego nie zrobił mój ojciec.

Minął kolejny miesiąc. Czas włókł się, jakbym przemierzała Teksas, jadąc na grzbiecie ślimaka. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa, mogąc wymienić kalendarz. Miałam kilka wolnych dni i postanowiłam udać się tam, gdzie wszyscy wiedzieli, jak mam na imię.

Kiedy samolot podchodził do lądowania, przedzierając się przez warstwę smogu, zrobiło mi się miło na widok zatłoczonej autostrady i dobrze znanych ulic wylotowych. Patrzyłam na strzeliste budynki MCI, Blue Cross i Herbalife. Kiedy samolot przechylił się przy skręcie, zauważyłam biurowiec Dan L. Steel, którego bryła nie ustępowała wielkością innym. Wstrzymałam na moment oddech. Być może dlatego, że znalazłam się wreszcie w pobliżu tego krzywonogiego tyrana.

Leonard zorganizował dla nas wszystkich spotkanie z jakimiś nastolatkami w Watts. Nie byłam obznajomiona z programem, bo mimo że jestem gadułą, wystąpienia publiczne nie należą do moich mocnych stron, ale Leonard wciągnął mnie jako osobę dorastającą w niepełnej rodzinie. Zresztą nieważne. Miałam własny plan.

Wyszłam z samolotu, ciągnąc walizkę na kółkach, a przy bramce czekała na mnie Debra. Miała okulary słoneczne i była ubrana w ciemnozielony kostium złożony z wąskich spodni i sięgającego do pasa zakietu. Moja brązowa minispódniczka prezentowała się oszłamiająco. Włożyłam do niej beżową bluzkę i dopasowaną kurtkę, która podkreślała talię, przyciągając uwagę do właściwych miejsc.

Debra zrobiła zaskoczoną minę.

- Cholera, nieźle wyglądasz - powiedziała. - Nie pozbywaj się tych ciuchów. Chętnie pożyczę je od ciebie na zawsze.

- Dzięki. Ty też świetnie wyglądasz. Gdybym była jak ta nimfomanka Nancy, uganiałabym się za tobą, żeby dostać twój numer telefonu.

Roześmiałyśmy się. Debra przytuliła mnie i powiedziała, jak bardzo się za mną stęskniła. Była tak wzruszona, że pozwoliła sobie nawet uronić łzę. Przyglądali nam się przedstawiciele blisko dwudziestu narodowości, którzy omijali nas, dźwigając bagaże. Jakaś Azjatka uniosła brew.

- Weź się w garść i puść mnie, zanim ludzie pomyślą, że jesteśmy śmieszne - powiedziałam.

- Obejmij mnie.

- Nie uwalaj mi nowego ubrania swoim tuszem.

- Obejmij mnie. I to już.

Objęłam ją tak, by poczuła mój uścisk.

- Tak może być? - zapytałam.

- Och, jesteś taka cyniczna.

- Ależ skąd.

- Jesteś.

- Zachowujesz się tak, jakbyś nie widziała się ze mną od lat.

- A ty zachowujesz się tak, jakbyś widywała mnie codziennie.

- Debra. Nie mogę oddychać.

- Przestań się wygłupiać. Dlaczego przestałaś do mnie dzwonić?

- Kochanie, jesteś mężatką - odpowiedziałam.

- I tylko tyle masz na swoje wytłumaczenie?

- Nie powinnaś zadawać się ze zwariowanymi samotnymi kobietami.

- Shelby?

- Yhm?

- Dobrze jest zawierać nowe znajomości, ale trzeba dbać o te stare.

- Ugryź się w język, zanim mnie wkurzysz.

Włożyłyśmy okulary słoneczne i poszłyśmy w stronę schodów ruchomych prowadzących na podziemny parking. Gdyby ktoś mnie zapytał, wyglądałyśmy jak połowa En Vogue, a właściwie jak dwie trzecie, gdyż jedna z sióstr odpadła z zespołu, i byłyśmy bardziej super niż Supremes. Byłam tak rozradowana, że miałam ochotę śpiewać i tańczyć.

Debra poinformowała mnie, że na spotkaniu ma być trzydzieści pięć dziewcząt w wieku od trzynastu do osiemnastu lat.

- Przygotowałam tekst zachęcający je do pójścia na studia - powiedziałam.

- Nie, porozmawiaj z nimi i opowiedz, jak dorastałaś. Bądź autentyczna.

- O tym, jak ja i mama gotowałyśmy w szkolnej stołówce i zmywałyśmy talerze po białych elegancikach.

- O tym, jak skończyłaś szkołę dzięki jej morderczym wysiłkom. Staraliśmy się, walczyliśmy i zdobyliśmy wykształcenie.

- Jesteś pielęgniarką z prawdziwego zdarzenia. A ja pracuję w parszywych liniach lotniczych.

- Twoja praca to marzenie. Chciałabym mieć twoją wolność. Nigdy wcześniej nie słyszałam od niej takich rzeczy.

- A co będzie oprócz mojego opowiadania o zasiłkach, bonach żywnościowych i przewijających się po domu obcych facetach? Co ty przygotowałaś na tę małomiasteczkową pogadankę?

- Pochwalę się, że dorastałam w ich dzielnicy i parę minut będę mówić o ciąży nastolatki i chorobach przenoszonych drogą płciową.

- Będzie pokaz slajdów?

- Leonard znalazł dwudziestominutowy film.

- Mam nadzieję, że te dziewczęta nic wcześniej nie zjedzą. Debra parsknęła śmiechem.

Poczułam się jak za dawnych szkolnych lat. Jak w czasach, kiedy byłyśmy gotowe ruszyć świat z posad. Mój delikatny i słodki zapach był tak rzeński, że wszystkie róże skręcały się z zazdrości.

W samochodzie Debry opuściłam klapkę przeciwsłoneczną i dwukrotnie poprawiłam nową szminkę. Na twarzy miałam warstwę świeżego fluidu, który skrywał wszystko, co miałam do ukrycia. Mój nowiutki, opakowany kostium pachniał świeżością.

Radio było ustawione na długie fale, więc od razu przełączyłam na krótkie w poszukiwaniu muzycznej stawy dla duszy. Właśnie Karen White kończyła stary miłosny przebój *Babyface* i Maxwell zaczął nucić odlotową piosenkę o czymś tam. Taki dokładnie był mój nastrój.

- Podkręć to - powiedziała Debra.

Podśpiewywałyśmy razem, gdy próbowała wyjechać z pogrążonego w obłędzie lotniska. Żeby włączyć się do ruchu, musiałyśmy flirtować z dwoma wyglądającymi na buraków braćmi, którzy siedzieli w brudnym cadillacu. Jechali obok, błagając nas o numer telefonu, numer pagera, numer komórki czy jakikolwiek inny numer. Jak za dawnych lat. Debra uniosła dłoń z obrączką, wzruszyła ramionami i pogroziła im palcem. Roześmiałam się i pokazałam im pierścienek na prawej ręce, który kupiłam sobie w Mervyn's.

Debra nacisnęła gaz, na co jej astmatyczny hyundai zdawał się nie reagować, i zmieniając pasy, wymknęła się z lotniska na zapchaną sześciopasmówkę w Sepulveda, zmierzając w stronę stopiątki.

- Co Leonard i jego przyjaciel zaplanowali dla tych smarkul? - spytałam.

- Nie będzie ich tam.

- Tylko my?

- To spotkanie poświęcone osobistym dziewczęcym i kobiecym sprawom - przytaknęła.
- A dlaczego Leonard i jego przyjaciel nie przyjdą?
- Leonard jest na Hawajach. - Minęła chwila, zanim dodała. - A Tyrel dostał awans i się przeprowadził. Wyjechał z Los Angeles.

Coś we mnie pękło. Świat zawirował mi przed oczami.

- Dokąd? - zapytałam, starając się, by zabrzmiało to obojętnie.
- Do Oakland. Ale pracuje w San Francisco.
- Należało mu się. - Czułam się poniżona. Debra powiedziała, że wyjechał, kiedy ona była z Leonardem w Europie. - Należało mu się - powtórzyłam.

Czterdzieści pięć cholernych minut zajęło mi tego ranka zrobienie makijażu. Biegałam w kółko, by znaleźć odpowiednie pończochy.

Debra gadała na okrągło. Przerwałam jej dopiero, kiedy powiedziała:

- Jutro ty i ja wybieramy się do Inland Empire.
- Gdzie?
- Glen Ivy. Zażyjemy błotnych kąpieli, a wspaniali mężczyźni wypieszczą nas i wymasują od stóp do głów. Ja stawiam.
- W porządku - powiedziałam sztucznie wyzywającym tonem. - Brzmi całkiem nieźle.
- Bobby pytał o ciebie.
- Jak mu się powodzi?
- Świetnie. Najbliższych kilka dni spędza na plenerze w Cabo.

Debra rozgadała się o swoim kuzynie, towarzyszu moich dziecięcych zabaw, informując mnie, że przeprowadził się z Palmdale do Pasadeny i otworzył studio w Old Town. Bzdety, które już wiedziałam. Co chwilę wydawałam delikatne pomruki, dając jej do zrozumienia, że jestem cholernie zainteresowana sukcesami tego dziwoląga.

Tyrel wyjechał.

Bez zastanowienia otworzyłam torebkę, by się upewnić, czy nie wyrzuciłam paragonu za nowy kostium. Skoro nie miał go na mnie zobaczyć nikt, kto był tego wart, mogłam równie dobrze odesłać go do sklepu.

Na dnie torebki znalazłam paragon na czólenka Hugo Buscati, które miałam na sobie. Przy okazji natknęłam się na bilety do kina sprzed dwóch tygodni, kiedy umówiłam się z Richardem.

Nie poszłabym z nim po raz drugi na żaden film w Horton Plaza, ale po pierwszym seansie przysłał mi dwa tuziny długich róż. A wspólna kolacja była lepszym zajęciem w deszczowy dzień, niż siedzenie w domu i wygrzebywanie kłaczków z pępka.

Nie byłam zaangażowana i czułam się, jakbym kogoś oszukiwała. Nie umówiłabym się z nim po raz kolejny, ale ta prowincjonalna stuknięta laseczka Chiquita miała schadzkę z Raymondem i zostawiła mnie samą w środku nocy. Okazała się niegodna zaufania i wiedziałam, że nigdy nie będzie moją przyjaciółką. Usunęłam jej numer ze swojej komórki, a nawet zastanawiałam się, czy go nie zablokować.

Ale to dzięki niej doceniłam to, co łączyło mnie z Debrą. Aż do tego momentu. Debra wiedziała, że Tyrel się wyprowadził, na długo przed tym, jak przyjechałam. Zołza, mogła mi o tym powiedzieć już dawno. Sam fakt, że poprosiłam ją, by nigdy nie wymawiała przy mnie jego imienia, nie oznaczał, że musi to robić.

Tyrel się wyprowadził. Wezwijcie grubą damę i niech gra orkiestra. Ta impreza definitywnie się skończyła.¹³

¹³ Parafraza powiedzenia „Nie skończy się, dopóki nie zaśpiewa gruba dama”, które podobno wypowiedział Yogi Berra, słynny amerykański bejsbolista. Przepuszczalnie chodziło o śpiewaczkę operową wykonującą hymn państwowy na imprezach sportowych - przyp. tłum.

Tyrel

Leonard przyleciał, by dać występ w Geoffrey's Inner Circle, klubie znajdującym się w śródmieściu Oakland. Powiedziałem mu, by odwołał rezerwację w hotelu Carlton w San Francisco i kazał się przywieźć do mojego mieszkania niezwłocznie po wyjściu z lotniska. Obiecałem go nakarmić, zawieźć na występ, a potem na powrotny samolot.

- Mamy parę rzeczy do obgadania - powiedział już w drzwiach.

Nie rozmawialiśmy zbyt wiele, odkąd się wyprowadziłem. Jego nigdy nie było w domu, a kiedy ja wracałem do siebie, nie odbierałem telefonów. Zresztą nie wydzwaniałem do niego również dlatego, że był żonaty. Po tym, jak Debra obeszła się ze mną, wołałem jej unikać. Nasz kontakt z Leonardem polegał głównie na wiadomościach przesyłanych przez internet.

Zdawało się, jakby od naszego ostatniego spotkania upłynęło całe życie. Widząc go, czułem się cholernie szczęśliwy. Nawet między mężczyznami tęsknota wzmacnia więzi.

Kiedy zapalałem wiśniowe kadzidelko, by zabić woń ryby, którą smażyłem poprzedniego wieczoru, Leonard zaklął pieszczotliwie, klepnął mnie w ciemność i obdarzył braterskim uściskiem.

Wrzucił bagaż do sypialni i z uśmiechem aprobaty zaczął od podłogi do sufitu oglądać moje nowe życie.

- Istny odlot. Kto ci to zaprojektował?
- Ta dziewczyna ma na imię Jodie.
- Twoje mieszkanie jest bardziej kolorowe niż kreskówka.
- Staralem się, żeby wyglądało przytulnie. Powinienem coś zmienić?
- Dalej trzymasz styl w duchu Melrose Avenue.¹⁴
- Przeniosłem nad Zatokę trochę klimatu Los Angeles.

¹⁴ Melrose Avenue to najmodniejsza ulica handlowa Los Angeles, słynąca z butików znanych projektantów, sklepów z używanymi rzeczami, egzotycznych antykwariatów i awangardowych galerii - przyp. tłum.

- Wiesz, co chcę teraz zrobić?
- Zadzwoń do Debry i się zameldować.

- Coś prócz tego. Gdzie masz telefon?
- Jest na sofie. Co chcesz zrobić?
- Wybrać się do Frisco i przejechać tramwajem.
- Możemy gdzieś zostawić auto i pojechać tramwajem do Chinatown, żeby coś zjeść.
- Świetnie.

Był to jeden z tych dni, kiedy mogliśmy zachowywać się jak wypuszczeni na wolność chłopcy i pozwolić sobie na parę młodzieńczych wyskoków, których nie przystawało nam robić z powodu wieku i statusu.

- Pozdrowienia dla Debry.
- Przekażę jej i Shelby.

Słyszając jej imię, zamarłem. Nieważne, jak daleko bym uciekł, to cholerne imię wciąż wracało.

- Co u nich? - Wzruszyłem ramionami, otrząsając się z goryczy.
- Wybierają się na spektakl.
- Jaki?

- *Talented Tenth*. Miałem propozycję dublowania jednej z ról, więc Debra powie mi, co o tym sądzi, a potem zdecydujemy.

Zauważyłem, że często zdarza mu się używać słowa „my”.

Zadzwoił do domu, ale nikt nie odebrał, więc nagrał zalotną wiadomość. Potem podszedł do biblioteczki, na której stały te same stare zdjęcia. Czekałem, aż zauważy coś nowego.

- Hej, to my - rozpromienił się.
- Tak.

Na zdjęciu byliśmy ja, Mye, Leonard i ojciec. Mye przesłała mi to zdjęcie jako sentymentalny upominek. Kiedy natknęła się na nie, miała zamiar podrzeć je na strzępy. Zamówiłem odbitkę w formacie portretowym i oprawiłem w ramkę. Kodak uwiecznił nas w momencie, kiedy pozowaliśmy na chodniku Vermont Avenue przed pierwszym sklepem taty w South Central. Mye siedziała na kolanach ojca, obejmowała go za szyję i uśmiechała się, jakby był mężczyzną jej marzeń. Zdjęcie to zostało zrobione na kilka dni przed tym, jak nakryliśmy go z tamtą kobietą.

- Popatrz na te tłuste, zmierzwiłe kudły - wzdrygnął się Leonard. - Człowieku, o czym myśmy wtedy myśleli? Cholera, twój stary młodo tu wyszedł. W tym czarnym kapeluszu i oku-

larach w stylu Eltona Johna wygląda jak zawodowy podrywacz. A ja, Mye i ty jesteśmy podobni do The Sylvers. Rozmawiałeś z ojcem?

- Zadzwoń do niego i przekaż wiadomość.
- Żeby nie zapomnieć zostawić ci zdjęć, które zrobiliśmy z Debrą w Europie.
- Jasne.

Leonard zrzucił buty, nabrał garść kolorowych drażetek ze szklanego słoja stojącego na stoliku i przysiadł na sofie. Potem przeniósł się na fotel, a potem na barowy stół, jakby chciał je wszystkie przetestować tyłkiem.

- Wszystkie meble masz nowe - powiedział. - I tyle sprzętu do ćwiczeń, że mógłbyś otworzyć własną siłownię.

Poszedł do pokoju gościnnego, skąd wrócił, niosąc pod pachą mój nowy album ze zdjęciami. Mieścił on fotograficzną dokumentację mojego delirium, galerię przelotnych uniesień.

Przy każdej stronie Leonard kiwał głową, a czasami zerkał w moją stronę i stękał: „No tak”.

- Czym się tak gorszysz?
- Pokażę ci za chwilę.
- Mam nadzieję, że nie zauważyłeś nikogo znajomego.
- Wiesz, że nie prowadzę się w ten sposób.

Odsunął szklaną misę, wypełnioną kulkami we wszystkich kolorach tęczy, i rozłożył na stoliku około dziesięciu zdjęć.

- One wszystkie wyglądają jak Czekoladka - oświadczył, dotykając ich po kolei palcem.
- Jak kto?
- Jak Shelby. Wiesz, o kim mówię. Wszystkie są do niej podobne.
- Gówno prawda.
- Każda ma taki zgrabniutki maciupki nosek.
- Nie ma.
- Mają różne odcienie skóry, są wyższe i niższe, ale wszystkie podobne do Czekoladki.

Cholera. Popatrz na tyłek tej panienki.

- Której?

Podsunał mi fotografię, na której była roznegliżowana Lorna.

- Jeśli ona nie ma tyłka jak Shelby, to ja jestem białasem pracującym nu rannej zmianie - powiedział.

Roześmialiśmy się.

- Jak ty to zrobiłeś, że wszystkie te siostry pozowały ci prawie na golasa? - zapytał.

- Poprosiłem.

Jeszcze raz przerzucił album.

- No dobra - rzekł poważnym tonem. - A jak byś się poczuł, gdyby jakiś facet miał w takiej kolekcji zdjęcie Mye? Albo twojej mamy?

- Leonardzie...

- Pomyśl, gdybyś miał córkę i stałoby się coś takiego. Zaszyleś się w Oakland, odciąłeś od towarzystwa i nikt nie wie, co robisz. W twoich wybrykach nie ma za grosz odpowiedzialności.

- Przestań prawić mi kazania.

- Ja cię tylko przestrzegam.

- Wciąż chodzisz na warsztaty biblijne? - spytałem.

- Kiedy tylko nadarzy się okazja.

- Przemawiasz tak, że niejeden kaznodzieja mógłby się od ciebie wiele nauczyć.

Leonard wstał i wyjął z gazety kilka stron zawierających dział gospodarczy.

- Dokąd się wybierasz?

- Do łazienki. Masz kadzidelka?

- Na szafie w przedpokoju.

Kiedy wyszedł, zacząłem przeglądać album. Różne fryzury i różne odcienie brązowych ciał. Zdjęcie uwiecznia postać w jakimś momencie, lecz nie jest w stanie uwiecznić osobowości.

Czułem się źle. Odrobina entuzjazmu, jaką dało mi to wybicie klina klinem, gdzieś się rozwiała. Nikt z tych zdjęć nie miał dla mnie żadnego znaczenia. Gdyby żadna z nich nigdy już do mnie nie zadzwoniła, wcale bym nie tęsknił.

Leonard żartował przez dziewięćdziesiąt procent wspólnie spędzanego czasu, ale pozostałe dziesięć było dla nas obu zbyt ciężkie do zniesienia.

Zwłaszcza kiedy dochodziliśmy do spraw rodzinnych. Leonard, podobnie jak ja, wiedział, kiedy coś jest warte, by traktować to poważnie. Byłem członkiem jego rozległej rodziny, więc liczyłem się dla niego na tyle, by mnie poważnie potraktować. Ton jego głosu zawsze mówił mi, że się dla niego liczę.

Pół godziny później graliśmy na dużym ekranie w Super Nintendo. Zostałem wciągnięty w pewnego rodzaju sesję terapeutyczną.

- Mye też prosiła, żeby ci coś przekazać - powiedział Leonard.

- Co takiego?

Sięgnął do torby podróżnej i wręczył mi paczuszkę. W środku był dostępny bez recepty domowy test na obecność HIV. Nie uznałem tego za śmieszne. Ani trochę.

- Więc tak sobie spiskujecie.

- Daj spokój. Dość tych bzdur. Porozmawiajmy.

Oparłem boscie stopy na szklanym stoliku kawowym, potarłem się po karku i wyrzuciłem z siebie całą złość, jaką żywiłem do Shelby. Złość na Lisę. I na parę innych osób. Wściekłość była jedynym znanym mi sposobem, by wyrazić całą niechęć do Los Angeles, jaka we mnie narosła.

- Gdybyś mnie zapytał, powiedziałbym, że próbujesz rozwiązać swoje problemy za pomocą geograficznego dystansu i fizycznego powielania.

- Nie ściemniaj.

- Postaraj się współpracować. Na czym to ja skończyłem?

- Na akcie intelektualnej masturbacji.

- Zamknij się. Posłuchaj. Ty i Shelby się rozstaliście.

- Zrobiła swoje i odeszła. Szkoda na to słów.

- Jasne. Ale my się nie rozstaliśmy. Ani ty i ja, ani ty i Debra. Moja żona rwie sobie włosy z głowy przez to wszystko.

- Wysłuchałem twojej diagnozy. A jakie są zalecenia?

- Wybierz sobie jedną spośród tych laseczek albo zadzwoń do Shelby. Poproś ją, by się z tobą spotkała i porozmawiała. Ustalcie, na czym stoicie. Wybór należy do ciebie, ale trzech doktorów na czterech zalecałoby Shelby.

Wydałem głupkowaty odgłos wyrażający dezorientację.

- Mogę spróbować zdobyć dla ciebie jej numer telefonu albo adres, żebyś odezwał się osobiście - zaproponował. - Albo powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła.

Wzruszyłem ramionami.

- Wiem, że się nie boisz. Nie musisz tak się jeżyć.

- Dobrze wiesz. Nigdy nie wchodzę dwa razy do tej samej rzeki.

- Ale nie musisz palić za sobą mostów. Sam wiesz, przynajmniej bądź serdeczny. Nie musisz być jej przyjacielem i wysyłać kartek na święta, ale oczyścić atmosferę. Tchnij w nią trochę ciepła. Nie chciałbym dopuścić do tego, bym organizując w domu przyjęcie albo coś w tym stylu, musiał decydować, kogo nie zapraszać z powodu starych zatargów.

- Próbujesz coś przez to powiedzieć?

- Chyba już powiedziałem.

Kilka chwil odeszło tam, gdzie umyka wszystko, co nie jest warte wspomnień. Wpatrywałem się bowiem w galerię zdjęć, którą rozłożył przede mną Leonard. Galerię przelotnych uciech.

- Daj mi jej numer - powiedziałem. - Zadzwoń i powiem jej cześć. Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął kartkę.

* * *

Po tym, jak Leonard skończył występ i odwiozłem go na lotnisko, usiadłem z numerem Shelby w rękę i zacząłem się zastanawiać.

Przyszła Lorna, by wyciągnąć mnie na piątkową kolację. Potem wstąpiliśmy do kina przy Lakeshore. Rozpadało się, jakby nigdy nie miało przestać, i w końcu została u mnie na noc.

O dziesiątej już spała, a ja miotałem się po domu. Wieczorem rozbił się jakiś samolot i wszyscy na pokładzie zginęli. Dopóki nie usłyszałem, że nie należał do linii Shelby, byłem cały w nerwach i długo potem nie mogłem otrząsnąć się z lęku. Czułem to, co dawniej, kiedy Shelby wychodziła do pracy. Uczucie w rodzaju tego, którego doświadczają żony policjantów, kiedy ich mężowie wychodzą na służbę. Myślałem, że to już mam za sobą. Ale jeszcze nie.

Snułem się po domu w piżamie i rozmyślałem o swoim życiu. Robiłem tak co noc, kiedy byłem sam w domu. Co noc o pierwszej trzydzieści i o czwartej nad ranem, dokładnie jak w zegarze, budziłem się i chodziłem przez chwilę, wygładzałem pościel, a potem gapilem się na jezioro i sprawdzałem, czy widać Wielki Wóz i Oriona. I księżyc.

Wiatr był tak mocny, że zdawało się, jakby deszcz padał poziomo. Z góry dobiegały odgłosy zwiastujące burzę. Brzmiało to tak, jakby niebo miało wrzody na żołądku. Nad wschodnią częścią Oakland pojawiły się błyskawice.

Lorna wierciła się w pościeli. Wyprężyła się, ale nadal spała. Stałem obok łóżka i przyglądałem się jej. Była intruzem w moim domu. Jeszcze przed godziną wspinała się po ścianach i hałasowała tak, że mogłaby zagłuszyć burzę. Teraz lśniła jak wypoczywający czekoladowy aniołek.

Na mojej szafie wisiał jeden z rysunczków z serii „Miłość to”, który wycięła z gazety. Podrzuciła mi go do pracy wraz z książką *Myśl i bogać się*, którą kupiła w Marcus Book Stores. W środku był liścik zawierający seksowną propozycję, na którym widniała żółta uśmiechnięta twarzyczka z domalowanymi czerwonym atramentem diabelskimi różkami.

Lorna była filigranową siostrą z nieodłącznym uśmiechem, który wzbudzał sympatię wszędzie, gdzie się pojawiała. Mogłaby zastąpić Shelby. A jeśli nie, to przynajmniej złagodzić tamto psychologiczne uzależnienie. Jej pocałunki i uśmiechy przynosiły ulgę.

Poszedłem do łazienki i przyglądałem się swemu odbiciu w lustrze tak długo, jak mogłem znieść patrzenie na siebie. Potem udałem się do kuchni i nalałem sobie szklanek wody mineralnej. Poruszałem się jak człowiek, który oślepl, i wszystko robiłem w ciemności.

Nagle zadzwonił telefon.

Lorna obudziła się i zawołała mnie po imieniu.

Miałem nadzieję, że do czasu, kiedy ukończę trzydzieści lat, w moim domu będzie słychać muzykę, a może przekrzykujące ją radio, telewizor i prowadzone przez telefon rozmowy. Że będę jadał domowe obiady i patrzył na dzieci walczące o pilota do telewizora albo odrabiające lekcje na podłodze. Nie byłem przygotowany na przelotne związki, które nieodmiennie zaczynały się w łóżku.

- Tyrel? - powtórzyła Lorna.

- Tak? - odstawiłem szklanek.

- Twój telefon dzwoni.

Na wprost mojej twarzy dzwonił drugi aparat zawieszony na ścianie. Wyciągnąłem rękę w jego stronę i wtedy pomyślałem o niej. Była dzieckiem kaznodziei, wychowanym w prawości i zgodnie z zasadami. Miała tytuł doktora nauk humanistycznych. Dobrą pracę. Była wygadana. Jednym słowem - dobra partia.

Telefon znów zadzwieczał. Brzmiał jak budzące się do życia sumienie. A ponieważ John Donne nie mieszkał w tym budynku, ten dzwon o drugiej nad ranem mógł bić tylko dla mnie.

- Odbierz za mnie - powiedziałem.

- Odebrać? - spytała wystraszona.

- Tak. Odbierz, zanim włączy się sekretarka.

Lorna odchrząknęła i powiedziała „halo”. Potem powtórzyła to jeszcze kilka razy.

- Kto to był? - spytałem.

- Nie wiem, rozłączył się.

Wślizgnąłem się z powrotem do łóżka, między prześcieradła, blisko Lorny. Przez sekundę albo dwie myślałem, że to mogła dzwonić Lillian, aby uwieść mnie na te swoje majestatyczne zderzaki. Ale potem to uczucie wybawienia, które chroniło mnie dniem i nocą, uleciało z mej duszy. Poczujęm się taki słaby. Taki ludzki.

Zastanawiałem się jeszcze, czy nie dzwonił Leonard. To była jego pora. Gdybym wtedy odebrał, mógłbym się dowiedzieć, że przejażdżka tramwajem i poważne rozmowy były ostatnimi wspólnymi chwilami, jakie z nim spędziłem.

L R

CZEŚĆ TRZECIA

Powrót do domu - wszystko się zmienia

25.

Debra

Dwoje policjantów stało pod moimi drzwiami. Widziałam ich przez wizjer, potem zerknęłam jeszcze przez szybę lustrzaną, by się upewnić, że przed domem stoi prawdziwy radiowóz. Jakiś aktor albo psychopata, co czasem na jedno wychodzi, mógł wypożyczyć policyjny mundur gdzieś w Melrose albo w Hollywood.

Była trzecia w nocy, policja stała u moich drzwi, a Leonard się spóźniał.

Sięgnęłam do klamki i aż podskoczyłam, kiedy rozdzwonił się telefon. Była to linia służbowa, numer, który dawaliśmy każdemu, kto nie był przyjacielem. Leonard zawsze odsłuchiwał wiadomości, kiedy wracał do domu. Miałam nadzieję, że to ten drugi telefon, ponieważ ostatnio sporo myślałam o Shelby. W ciągu ostatnich siedmiu czy ośmiu miesięcy nie widywałam się z nią zbyt często. Kiedyś dzwoniła do mnie codziennie, teraz ledwie dawała znak życia. Jej życie zaczęło toczyć się własnymi torami i zawsze była zbyt zajęta.

Naciągnęłam na pizamę czerwony szlafrok z kapturem, otuliłam się nim, a potem rozluźniłam, i stanęłam boso na wprost drzwi. Przeniknął mnie nagły lęk.

Krótkofalówki zachłystywały się urywkami skrzekliwych rozmów, burząc nocny spokój.

Po raz kolejny rozległ się dzwonek u drzwi.

Modliłam się, żeby nic złego nie stało się Shelby. Żeby to inny samolot się rozbił.

Upłynęła długa sekunda, zanim wytarłam o szlafrok spoconą dłoń i sięgnęłam do klamki. Próbowalam otrząsnąć się z dreszczu, który przenikał moje ciało. Taki sam dreszcz obudził mnie około północy. To dlatego wyłączyłam alarm antywłamaniowy, by móc zerkać przez okno i czekać.

Była trzecia w nocy.

W stronę naszej uliczki jechała telewizyjna furgonetka.

Żałowałam, że nie ma w domu mojego męża i że to ja muszę stawić czoło wszystkim tym nieznanym. Leonarda nie było dłużej niż zwykle. Miał jedną zasadę. Jeśli spodziewał się spóźnić więcej niż piętnaście minut, dzwonił do mnie, bym na niego nie czekała.

Znów odezwał się dzwonek. Odsunęłam zasuwę i otworzyłam podwójne drzwi. Policjanci przedstawili się. Brzmiało to tak, jakby czuli się skrępowani. Pomyślałam, że to przez te wszystkie procedury.

Policjantka zapytała, czy nazywam się Debra DuBois. Odpowiedziałam, że tak. Miała śmiertelnie poważną twarz. Uśmiechnęłam się, próbując odgonić lęk. Chciałam dać im do zrozumienia, że bez problemu mogą mówić, co mają do powiedzenia. Że co mają wykonać, musi być wykonane.

Policjant powiedział, że przykro mu to mówić, ale miał miejsce wypadek. Na skrzyżowaniu Crenshaw z Venice Boulevard. Kiwnęłam głową. Potem dodał, że mój mąż nie żyje.

Moje ciało zaczęło omdlewać, ale zachowałam równowagę. Wzięłam głęboki oddech i wyciągnęłam prawą rękę, dotykając lekko framugi. Przestałam zaciskać i otwierać lewą dłoń. Otarłam w szlafrok spocone ręce i przycisnęłam je do brzucha.

Zapytałam, czy cierpiał. Powiedzieli, że zginął na miejscu.

Chciałam się roześmiać i powiedzieć im, że ten żart nie przejdzie. Że jeszcze tego ranka kochałam się z moim mężem, że wspólnie braliśmy prysznic, że wcierał balsam w moje ciało i poprosił mnie, żebym natarła mu plecy. Powiedział mi, że przybrałam kilka kilogramów, a ja rzuciłam w niego ręcznikiem i kazałam przeprosić. Nie zrobił tego, lecz powiedział, że uwielbia to, jak wyglądam z nadwagą. Wdaliśmy się w żartobliwą miłosną sprzeczkę, zaczął się ze mną droczyć, łaskotać mnie tu i tam, a potem znów próbował mnie zbalamucić.

Policjant mówił coś o lekarzu sądowym, o identyfikacji i wydaniu zwłok, po czym zapytał mnie, czy wszystko w porządku. Zanim jego słowa przebrzmiały, zmienił się na twarzy i zrobił minę, która mówiła, że pożałował tego pytania.

Skinęłam głową, zamrugałam kilka razy i powiedziałam, że czuję się dobrze. Potem zapytałam ich, czy nie zechcieliby wstąpić na ziołową herbatę.

Podziękowali i jeszcze raz zapytali, czy wszystko ze mną w porządku. Powiedziałam, że muszę zawiadomić przyjaciół i zadzwonić do rodziny. Wkrótce powinien skontaktować się ze mną ktoś z domu pogrzebowego i tym należało się zająć.

Moje słowa utwierdziły ich w przekonaniu, że mogą mnie bezpiecznie zostawić.

Potem dzwonek rozległ się jeszcze raz. To był ktoś z tej telewizyjnej furgonetki. Jakiś niezależny kanał. Nawet nie podeszłam do drzwi.

Kiedy szłam przez korytarz, odniosłam wrażenie, jakbym stała w miejscu, a ściany przesuwwały się obok mnie. Pokój zatrzymał się, kiedy stanęłam w miejscu, gdzie po raz pierwszy kochałam się z Leonardem.

Upłynęła chwila, nim zdałam sobie sprawę, że siedzę na łóżku i trzymam w ręku bezprzewodowy telefon do naszej prywatnej linii. Na komodzie leżały trzy klucze, które Leonard dał mi, kiedy się spotykaliśmy.

Rozdzwonił się aparat na drugiej linii. Słyszałam jego odgłos niosący się po korytarzu. Kiedy tylko włączała się automatyczna sekretarka, zaczynał dzwonić od nowa. Zastanawiałam się, któż to mógł być? Pewnie dom pogrzebowy.

Musiałam do kogoś zadzwonić. Musiałam zadzwonić do swojej matki do Montany. Musiałam zadzwonić do Palmdale i porozmawiać ze swoim kuzynem Bobbym. Nie, Bobby przeniósł się do Pasadeny, czyż nie tak?

Mój umysł kierował palcami, które wystukały numer Shelby. Odebrał jakiś mężczyzna. Nie wiedziałam, że z kimś się spotyka. Był całkiem przytomny, a w tle grał głośno telewizor. Przedemną na komodzie stały ślubne fotografie. Ja, ona, Tyrel. I Leonard. W albumie leżącym obok łóżka były zdjęcia z naszej podróży do Europy i te zrobione w Afryce.

Męski głos w słuchawce odezwał się po raz drugi. Zapytałam o Shelby.

- Shelby? - powtórzył.

Z moich ust wydostał się potok słów pełnych bólu. Powiedziałam mu, że zginął mój mąż. Że potrzebuję jej, aby pomogła mi w przygotowaniach. Chciałam się dowiedzieć, jak szybko może tu przyjechać, żeby zabrać mnie na identyfikację zwłok.

Mężczyzna wypowiedział moje imię.

Przestałam mówić i wydałam odgłos, jakby słowa uwięzły mi w gardle. Zapytałam, z kim rozmawiam. Powiedział, że ma na imię Bryce. Przeprosiłam go, że zadzwoniłam tak późno.

Wyjaśnił, że wybrałam niewłaściwy numer. Wybrałam numer z dawnych czasów. Z czasów, kiedy jeszcze nie znałam swojego męża.

Czułam się, jakbym straciła poczucie czasu. Jakby wszystko, co składało się na wtedy i teraz, uległo wymieszaniu.

Bryce powiedział mi, że nie widział Shelby, odkąd się od niego wyprowadziła, i że jest mu przykro z powodu tego, co się stało. Potem się rozłączył.

Upuściłam telefon, który potoczył się po dywanie. Moje ręce błądziły tam i z powrotem po brzuchu. Próbowałam w myślach przywołać lzy, które jakoś się nie pojawiały.

Mój mąż był martwy.

26.

Tyrel

Mój samochód zamienił się w orła, który unosił mnie w stronę rodzinnych stron. W gardle ścisnęło mnie tak mocno, jakbym miał pętlę zaciśniętą na szyi. Czułem się, jakby w żołądku miały mi się setki ropuch skaczących w ogniu.

Nie przypominałem sobie żadnego widoku z drogi numer sto jeden. Nie pamiętałem przejazdu przez most Golden Gate. Nie zauważyłem wiatraków w Solvang. Nie widziałem powitalnej tablicy przy wjeździe do Los Angeles. Nie przypominałem sobie, kiedy zatrzymałem się, by zatankować samochód, chociaż na pewno to zrobiłem.

Zameldowałem się w hotelu Red Lion w Culver City, naprzeciwko swojego starego biura w budynku Dan L. Steel. Niedaleko swojego starego mieszkania. Wziąłem prysznic, chwyciłem za komórkę i na koszt firmy zadzwoniłem do matki w Chicago, gdzie od kilku miesięcy cieszyła się nowym mężem. Przekazała mi kondolencje dla Debry i poprosiła, żebym przesłał jej program pogrzebu.

Kiedy się rozłączyłem, zadzwoniła do mnie siostra. Moja Bliźniaczka.

- Mówią o tym w wiadomościach - powiedziała.

- Jak się trzymasz, koziółku? - zawtórował jej baryton.

- Tato?

Bliźniaczka miała ojca na drugiej linii. Też dowiedział się z telewizji i zadzwonił do swojej córki. Rozmawialiśmy o Leonardzie i o całej tej sytuacji, jakby życie nigdy nie rozdzieliło naszych dróg.

Chwilami byliśmy trójką dorosłych ludzi. Potem dziećmi rozmawiającymi z ojcem. Ojcem, u którego szukaliśmy pocieszenia.

Przez chwilę poczułem się dobrze, mimo całego tego przygnębienia.

- Zadzwoń do swojego biura podróży i zarezerwuj dla wszystkich bilety - powiedziałem. - Powinny być gotowe w ciągu kilku godzin.

- Już to zrobiłam - odezwała się Bliźniaczka.

- Tato? - zapytałem. - A ty wyrwiesz się na zjazd rodzinny?

- Przywiozę twoje wnuki - powiedziała Mye. - To, co się stało, dało mi wiele do myślenia. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym stracić męża. Ani ciebie, tato - wydała pełne lęku westchnienie.

- Nie przelewa mi się tu zbyt - powiedział ojciec.

- Zapłacę za ciebie - obiecała Mye. - Dopilnuję wszystkiego. Hotelu, jedzenia.

- Nie byłem tam, odkąd się wyprowadziłem - powiedział po chwili milczenia.

- Staruszku.

- Co synu?

- Kot jest w kołysce. Upłynęła kolejna chwila.

- Kto odbierze mnie z lotniska? - ożywił się ojciec.

- Ja - powiedziałem.

Ustaliliśmy wszystkie szczegóły i ojciec odłożył słuchawkę. Byłem niemal pewien, że przyleci po to, by pożegnać się z Leonardem.

- Zaskoczył mnie - odezwała się Bliźniaczka.

- Mnie też.

- Nie wiem, jak zniosę spotkanie z nim.

- To dlaczego opłacasz jego podróż, skoro tak się czujesz?

- Bo nie wiem, jak bym to zniosła, gdyby umarł. Nie chcę, żeby moje dzieci poznały dziadka, dopiero gdy będzie leżał w trumnie. To nie dla mnie. Uwierz mi, że traktuję go tak samo jak zawsze.

Pogadałem z siostrą jeszcze przez chwilę. Zmieniła temat. Rozmawialiśmy o przyjaźni, o żonie Leonarda i o Shelby.

- Czy ona tam jest? - spytała Bliźniaczka.

- Nie wiem.

- Trzy klucze.

Pozostawiłem to zdanie bez odpowiedzi.

- Ucałuj ode mnie wybuchowy duet - powiedziałem. - Do zobaczenia, kiedy dotrzesz tu pojutrze.

- Dzwoń do mnie, kiedy będziesz chciał porozmawiać. Niezależnie od pory.

- Zadzwonię.

- Kocham cię, Bliźniaku.

- Kocham cię, Bliźniaczkko.

* * *

Debra była ubrana w purpurową suknię, a na grube, białe skarpety miała włożone domowe pantofle w kształcie króliczków. Na powitanie pośliniła opuszkę palca i otarła mi skórę pod oczami, gdzie zaschła sól.

Zauważyła mój samochód zaparkowany w ślepej uliczce. Stało tam około dziesięciu innych samochodów.

- Tyrel, powinieneś był przylecieć.

- Wiem.

- Coś mogło się przytrafić na drodze.

W jej domu zastałem około dziesięciu osób. W salonie było pełno kwiatów i telegramów. Wszędzie unosił się zapach, który, jak sobie wyobrażałem, wszystkim kojarzył się z rajem. Rozmawiałem z pogrążonymi w żałobie ludźmi z kościoła, branży rozrywkowej i polityki. Debra miała suche, ale zapuchnięte oczy. Plastikowy uśmiech zdawał się zakrywać jej odrętwiałą twarz.

Któryś z gości poprowadził modlitwę, a potem, jeden po drugim, wszyscy wyszli. Każdy wrócił do swojego życia.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Debra, zamykając drzwi.

- Wszystko w porządku.

- Na pewno? Nie kłam. Tak między nami.

- Na pewno. Przynajmniej na razie.

Ścisnęło ją w brzuchu, ale niezbyt mocno. Zaledwie dała to po sobie poznać. Nawet jak na szósty miesiąc wyglądała, jakby ukryła pod ubraniem niewielką piłkę.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytałem.

Padliśmy sobie w objęcia, kołysząc się z boku na bok. Jej ciało było spięte i sztywne. Delikatne. Gdybym ścisnął ją mocniej, mogłaby złamać się na pół.

- Teraz nic - odparła. - Cieszę się, że tu jesteś.

- Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała, dobrze?

- Twoja obecność mi wystarczy.

Twarz Debry uległa zmianie. Osłabła na tyle, by pokazać, co skrywała pod wystudiowaną miną. Łzy płynęły po jej policzkach i ściekały na suknię. Nie ocierała ich. Przytuliłem ją mocniej.

- Jestem z tobą, Debro. Już dobrze.

- Tak się boję. Nie mogę uwierzyć, że przytrafiło się to właśnie nam. - Rozdzwonił się telefon. - Ci cholerni reporterzy w kółko tu wydzwanają. Banda nieczułych skurwieli. Byli tu i podtykali mi mikrofony pod nos, zanim jeszcze weszło słońce.

- Ciii. Wszystko będzie dobrze.

Debra wytarła oczy i pogładziła się po brzuchu okrężnym ruchem. Telefon nie przestawał dzwonić.

- Odbiorę - powiedziałem. - Usiądź. Odpocznij.

Debra pokręciła głową, przeczesła włosy palcami i ruszyła w stronę salonu. Przyglądałem się jej odbiciu w ciemnej szybie na drzwiach lodówki, dopóki nie znikła za brzegiem kominka. Idąc w głąb domu, opowiadała tę samą historię, którą musiała powtarzać za każdym razem. Słyszałem, jak mówiła coś o obrażeniach głowy i klatki piersiowej, o śmierci na miejscu i zapiętych pasach bezpieczeństwa.

Mój przyjaciel, który kupił ten piękny dom, zginął na zaplamionej olejem jezdni.

Dzwonek u drzwi odezwał się dwa razy. Poszedłem otworzyć. Była to kolejna dostawa kwiatów. Odebrałem je, wróciłem do kuchni i nalałem sobie szklanekę soku winogronowego.

Kilka sekund później pojawiła się Debra. Zatrzymała się na moment przy blacie kuchennym, a potem odłożyła bezprzewodowy telefon i opadła na krzesło obok mnie. Była spokojna.

- Gdzie masz swoje rzeczy? - zapytała.

- Zameldowałem się w Red Lion.

- Nie. Nie będziesz mieszkał w jakimś gównianym hotelu. Zabieraj się stamtąd i wracaj tu, zanim się wkurzę. Możesz zostać tak długo, jak zechcesz. To jest również twój dom. - Debra wydała bolesny jęk, który ucichł tak szybko, jak się pojawił. - Nie wytrzymam tutaj sama. Muszę mieć blisko siebie przyjaciół.

- A co z twoją rodziną?

- Ty też należysz do rodziny. Będą tu pojutrze.

- Dobrze, przeniosę się do ciebie.

- Po prostu chcę widzieć swoich przyjaciół. Przyjaciół Leonarda.

Objąłem ją ponownie i zakołysałem, chcąc przyjąć na siebie część jej cierpienia. Debra dygotała wraz ze mną.

- Jestem taka szczęśliwa, że cię widzę. - Odchyliła się i spojrzała na mnie.

- Ja też. - Pocałowałem ją w czoło.

- Leonard tak bardzo cię kochał. Opowiadał o tobie cały czas. Mówił, że jesteście braćmi jednej krwi zrodzonymi z różnych rodziców. Zawsze żałowałam, że wyprowadziłeś się tak daleko.

Nigdy nie podobało mi się nad Zatoką. Nie dlatego, że to była Zatoka, ale dlatego, że to nie było Los Angeles. Gdybym nie wyjeżdżał, gdybym tu został, nigdy by się to nie wydarzyło.

Debra wzięła telefon i odprowadziła mnie do samochodu.

- Shelby powinna być tu jutro - powiedziała.

27.

SHELBY

- Och! Richardzie, nie. Przestań. Nie, to boli. Przestań, powiedziałam.

- Dlaczego nie mogę ssać twojej szyi?

- Dostyc!

- Co z tobą, Shelby?

- Nigdy nie ssałeś mojej szyi, więc dlaczego teraz?

- Bo chcę, żeby ci było dobrze.

- Nie jest mi dobrze, kiedy wpijasz mi się w szyję.

- Pobieramy się i jesteś moją kobietą, prawda? Powinienem mieć prawo ssać twoją szyję, kiedy mam na to ochotę, prawda?

- Chcesz zostawić mi ślad na szyi. Przestań. Zjeżdżaj! - Próbowałam wyrwać nadgarstki z uścisku jego dłoni. - Odwal się ode mnie. Jasne? Mówię poważnie. Zjeżdżaj, do cholery.

Nie puszczał mnie. Próbowałam go zrzucić, ale przygniatał mnie ciężarem swego ciała. Próbował we mnie wejść.

- Przestań, proszę. Złaż ze mnie. Richardzie, ty mnie gwałcisz.

- Co? Nie robię tego i wiesz o tym.

Wiedziałałam, dlaczego tak się napala i usiłuje zrobić mi malinkę. Jego zachowanie zmieniło się w mgnieniu oka, kiedy mu powiedziałam, co wydarzyło się Leonardowi.

- Cholera! Odpierdol się ode mnie.

- Z czym masz problem?

- To ty masz cholerny problem. Wiesz, że nie mogę iść do pracy z tym gównem na szyi. Wiesz o tym. A teraz zjeżdżaj.

- Ale nie idziesz do pracy.

- Nie będę chodziła po Los Angeles pokąsana jak jakaś suka. Złaż.

- Jeszcze nie skończyłam.

- Ale ja skończyłam! Złaż ze mnie, ale to już! - Krzyki nie skutkowały, więc spróbowałam inaczej. - Richardzie, proszę przestań. - Łagodne prośby też pozostały bez efektu, więc wróciłam do krzyku. - Puszczaj mnie, skurwielu!

Twarz Richarda skurczyła się, jakby mi nie dowierzał, jednak nic nie wskazywało na to, abym tłumila swoje uczucia. Patrzyłam na niego groźnie, a oczy pałały mi tak mocno, że mimo ciemności mógł dostrzec w nich pogardę. Zadrżał nerwowo, rozluźniając uścisk. Jęknęłam i czekałam. Nie drgnęła mi nawet powieka. Richard przekrzywił głowę jak ten zmieszany piesek z logo Victora.

W końcu westchnął i powiedział coś, co mogło zabrzmieć jak przeprosiny, po czym uciekł na przeciwległy koniec łóżka. Nienawidziłam tego durnego łóżka wodnego. Poczułam ulgę. Było mi smutno, byłam wkurzona jak cholera, ale nie tak wściekła, jak chciałabym być.

Szamotaliśmy się przez jakieś pięć minut, jakbyśmy uprawiali walkę wstępną przed meczem Hulka Hogana. Bolały mnie plecy, bo zbyt mocno i zbyt gwałtownie wierzgnęłam biodrami. Obie moje poduszki były wilgotne od potu, podobnie jak prześcieradło w stonowanym kolorze. Złoto-czerwona kołdra leżała na podłodze.

Richard zerwał się z łóżka, które zafalowało gwałtownie i przez sekundę myślałam, że wylecę w powietrze i wyląduję na dębowej szafce nocnej. Jego stopy mlaskały o podłogę, kiedy szedł przez pokój. Brzmiało to tak, jakby jego podeszwy i palce były tak spocone, że nie mógł ich odkleić od parkietu.

Była szósta nad ranem, a ja marynowałam się we własnym pocie. Nagle drzwi sypialni zamknęły się z ogłuszającym hukiem, który przypominał odgłos wystrzału. Próbowałam nad

tym zapanować, ale wciąż jeszcze kurczowo zaciskałam powieki. Zagrzecotała szkatułka z biżuterią i zachybotały się stojące na komodzie zdjęcia.

Chociaż kuchnia znajdowała się parę metrów dalej, słyszałam, jak dzwonią szklanki. Za każdym razem prosiłam go, żeby nie rozbijał moich szklanek. W zeszłym tygodniu znalazłam dwie pokruszone na kawałki, przez co diabli wzięli cały komplet, który kupiłam w IKEA. Nie wytrzymałam i w widocznym miejscu, na samym środku marmurowego blatu, postawiłam papierowe kubki.

Kiedy wrócił do sypialni, uniosłam powieki, by móc go widzieć. W pokoju panował mrok, żaluzje były opuszczone, ale nie było całkiem ciemno, gdyż na korytarzu paliło się światło.

Richard przyglądał brodę palcami i uklęknął tak blisko mnie, że czułam jego skisły, zalatujący winem oddech. Wyszeptał moje imię. Zrobił to naprawdę czule. Kiedy wstawał, strzyknęło mu w kolanach. Wychodząc, pocierał twarz i zerkał za siebie, jakby się zastanawiał, co zrobić albo co powiedzieć, jakby wciąż nie wiedział, czym mnie wkurzył.

Guziki w jego spodniach zadzwoniły irytująco, kiedy się ubierał. Zadzwięczała klamra od paska. Ciągłe robił jakiś hałas. Kiedy ucichło, odwróciłam głowę, by zobaczyć, co dzieje się za moimi plecami. Richard stał oparty o szafę z pięściami przyciśniętymi do drewnianych drzwi. Zobaczył moją minę, potarł się po karku i opuściwszy głowę, wbił wzrok w owalne lustro, w którym mógł obserwować moje odbicie.

- Przepraszam - powiedział. - Musieliśmy chyba za dużo wypić.

My? Jakoś nie byłam skłonna się z tym zgodzić. Odwróciłam się od niego. Richard zaplął spodnie, włożył podkoszulek i chwilę później drzwi znów trzasnęły. Szkatułka na biżuterię zagrzecotała. Fotografia przedstawiająca mnie i Debrę, zdjęcie mojej mamy i mój portret w błękitno-szarym uniformie zakołysały się. Zdjęcie Richarda ani drgnęło.

- Postaram się wrócić przed twoim odlotem. - Zza drzwi dobiegł jego głos. - Chcę się z tobą pożegnać. Dobrze?

Wstrzymywałam oddech, dopóki nie usłyszałam, jak jego samochód zapala i odjeżdża z parkingu dla gości pod moim oknem. Kolejny z moich zmysłów ożył i poczułam zapach alkoholu wymieszany z wodą kolońską.

Ten dzień nie zaczął się w taki sposób. Cholera, ten rok nie zaczął się w taki sposób. Dzień wcześniej wieczorem wróciłam z pracy, odsłuchałam wiadomość o Leonardzie i zadzwoniłam do Richarda. Przyjechał i zaprosił mnie na kolację.

Cholera, nie powinnam była do niego dzwonić. Ale czułam się oszołomiona i zdruzgotana, a moje emocje buzowały we mnie, nie mogąc znaleźć ujścia, więc chwyciłam za telefon, by się komuś zwierzyć. Poza tym w San Diego nie miałam wielkiego wyboru. Pozostawała mi Chiquita, która właśnie była w dwudniowej podróży i nie mogła potrzymać mnie za rękę i porozmawiać nad pudełkiem chusteczek.

Wkurzyłam się, bo kiedy powiedziałam Richardowi o śmierci Leonarda i o tym, że chcę wyjechać, by być z Debrą, jego interesowało tylko to, czy będzie tam Tyrel.

Ani razu nie zapytał, jak się czuje Debra. Nie poznał ani jej, ani Leonarda, bo uznałam, że tak będzie lepiej. Wiedział jednak, że Leonard był mi bliski. Słuchałam tyle taśm z jego skeczami i tak często chwaliłam się jego filmami, że każdy w promieniu trzystu kilometrów mógł uznać, że zna go jak brata. Nie miało dla mnie znaczenia, że Richard nie poznał mojej najbliższej przyjaciółki i jej męża. Byli moimi przyjaciółmi i tylko to powinno się dla niego liczyć.

- Nie wiem - powiedziałam, nie wiedząc jeszcze, o co mu chodzi. - Nie pytałam o Tyrela. Powinien tam być.

- No właśnie.

- Richardzie. To jest pogrzeb, a nie randka. Wszystko jasne?

Zmieniłam pościel, a potem weszłam pod prysznic i długo stałam pod strumieniem cieplejszej niż zwykle wody. To nie mogło wydarzyć się naprawdę.

Kiedy zadzwoniła do mnie Debra, niewiele brakowało, a złapałabym chusteczki, wskoczyła do samochodu i popędziła do niej autostradą numer pięć, ale ona nie chciała, żebym prowadziła w takim stanie, w jakim byłam. Chyba trochę dałam ponieść się hysterii. Nigdy nie umarł żaden z moich przyjaciół. Kilkoro ludzi, których znałam w szkole średniej, już odeszło, ale oni żyli na wysokich obrotach.

Tak czy inaczej Debra uspokoiła mnie i kazała schować kluczyki do torebki, twierdząc, że jedna tragedia już wystarczy. Potem poprosiła, bym wzięła się w garść i przestała zachowywać się impulsywnie i nielogicznie. Chciała, żebym przyjechała nazajutrz, bo potrzebowała czasu, żeby się ogarnąć. Miał być u niej ktoś z rodziny, więc była spokojna.

To było do niej podobne. Chciałam jednak być u niej już dziś, niezależnie od tego, czy mnie kochała, czy nie. Rozumiałam, jak musiała się czuć, bo byłam w tej samej sytuacji, kiedy miałam pochować swoją matkę. Wszystko to teraz wróciło do mnie. To poczucie straty, którego doznałam już o dwa razy za dużo. Debra mnie potrzebowała. Miałam zamiar być przy niej

od początku do końca, od stycznia do grudnia. Wiedziałam, że im szybciej tam wyjadę, tym mniej nerwów mnie czeka.

Po tym, jak Debra powiedziała mi, co się stało, płakałyśmy i próbowałyśmy odnaleźć w tym wszystkim sens.

- Jutro przylatuje Tyrel - powiedziała na moment przed zakończeniem rozmowy.

Ścisnęło mnie w gardle. Czułam się, jakby ziemia usunęła mi się spod stóp. Był poza zasięgiem, wyrzuciłam go ze swych myśli, ale mimowolnie zaczęłam się zastanawiać, jak teraz wygląda. Nic nie mogłam na to poradzić. Zastanawiałam się, czy nadal ma taki chłopięcy wyraz twarzy i delikatny uśmiech. Jaskinia Shelby. Łukowate nogi i dołek w brodzie. Doskonale niedoskonałości. Musiałam przyznać, że wszystkie jego oznaki przywiązania nabrały większego znaczenia po naszym rozstaniu. Afrykańskie laleczki i miłosne liściki zyskały na wartości, kiedy przestały się pojawiać.

Richard chciał, bym wyrzuciła na śmietnik i spaliła wszystko to, co dał mi Tyrel. Powiedział, że na moim miejscu wyniosłby to wszystko, kupił naftę i zapalki i puścił z dymem to, co i tak już spłonęło.

Pozbierałam stare zdjęcia, osiem firmowych podkoszulków Dan L. Steel, bokserki Tyrela, afrykańskie laleczki i liściki, po czym wyruszyłam w stronę wielkiego zielonego kontenera za domem. Po drodze zmieniłam jednak zdanie. Ktoś na mnie naciskał, a ja ulegałam. To były moje wspomnienia. Schowałam je na dnie szafy, złożyłam w najgłębszych zakamarkach pamięci.

Czułam się bardzo nieswojo wobec perspektywy spotkania Tyrela Tyrana. Postanowiłam jednak, że niezależnie od tego, jak popieprzony jest jego czy mój charakter, zacisnę zęby i będę uprzejma. Dla Debrzy. Dla Leonarda. Postanowiłam nie wychylać się i trzymać język za zębami. Wiedziałam jednak, jak przesadnie potrafię reagować, kiedy jestem wkurzona.

Kiedy już będzie po uroczystościach pogrzebowych, powiem Debrze, że od kilku miesięcy jestem zaręczona. Debra wiedziała tylko tyle, że od czasu wyprowadzki nie poznałam nikogo przyzwoitego. Za każdym razem, kiedy ją odwiedzałam, pierścionek zaręczynowy zdejmowałam w samolocie. Debra była u mnie dwukrotnie i za każdym razem Richard gdzieś wyjeżdżał. Tak to zaplanowałam.

Richard jest biznesmenem, który dba o swoją rodzinę. To rzadkie. Brat, który opiekuje się swoją mamą, pomaga rodzeństwu skończyć studia i pnie się po drabinie sukcesu, powinien być dla mnie powodem do radości. I jest, do cholery. Byłby spełnieniem marzeń niejednej sio-

stry, która chciałaby nieustannie nosić doklejane paznokcie. Zostanie moim mężem. Nie musiałam się więcej już martwić o ślady palców na swoim oknie. Mogę przeskoczyć miotłę, chwycić butelkę płynu do mycia szyb, rolkę papierowych ręczników i zetrzeć wszystkie plamy. Wyszorować moje okno do czysta.

Nie będę ukrywać, że raz zadzwoniłam do Tyrela. Jego numer wisiał na lodówce Debry, więc go sobie spisałam. Jakaś dziwka podniosła słuchawkę, kiedy zadzwoniłam o drugiej w nocy. Koniec baśni. Życie toczy się dalej.

Zajmie mi to trochę czasu, ale otworzę serce, zburzę mur i pokocham Richarda w taki sam sposób, w jaki sama zasługuję na miłość.

Ale w tym momencie nie było we mnie miejsca na miłość.

Podeszłam do apteczki, spojrzałam w lustro i westchnęłam tak ciężko, że zabrzmiało to jak odgłos z programu *Wild Kingdom*.

Wyglądało to, jakby ktoś ponadgryzał czekoladę. Siniaki na mojej ciemnej skórze były bardzo widoczne. Zapomniałam o ręczniku, którym byłam owinięta. Puściłam go i upadł mi pod nogi. Cofnęłam się, by zobaczyć, jak daleko muszę stanąć, aby te ohydne ślady ukąszeń nie były tak widoczne. Kiedy wpadłam plecami na ścianę, trzy malinki na mojej szyi wciąż rzucały się w oczy.

Zakłęłam tak, jak nigdy dotąd nie przeklinałam, objęłam piersi rękami i powlokłam się do sypialni. Rozłożyłam na podłodze gazetę, wysypałam na nią zawartość pudełka z kosmetykami i próbowałam znaleźć odpowiedni cień do zamaskowania mojej napiętnowanej szyi. To, co nie pasowało, lądowało na boku.

Potem uniosłam wzrok i zobaczyłam swoje odbicie. Miałam tak niewinną twarz, że aż mnie to przeraziło. Przez moment byłam dzieckiem.

Czułam się tak, jakbym nigdy wcześniej nie widziała swojej twarzy. Jakbym nie poznała samej siebie.

Kazałam sobie zapomnieć o głupotach. Musiałam po prostu włożyć coś, co podkreśliłoby moją figurę i zakryło szyję. Tak, żeby wszyscy patrzyli, jak kręcę tyłkiem. Musiałam wykorzystać jeden z osobistych atutów, aby odwrócić uwagę od drugiego.

Stojąc na wprost szafy przypominałam sobie Debrę i Leonarda. Pomyślałam o wszystkich tych rzeczach, które wspólnie robiliśmy. O wyprawach do kina, o kolacjach i wieczorach, które spędzaliśmy, grając w jengę. O tym, jak graliśmy w domino i obgadywaliśmy się nawzajem, wytykając sobie różne szaleństwa. Pomyślałam o całej tej radości, która przynosiła więk-

sze zadowolenie niż promyk słońca w pochmurny dzień. Pomyślałam o wszystkim tym, czym moja przyjaciółka i jej mąż nie będą już mogli się cieszyć.

Mąż mojej przyjaciółki zmarł, a ja przejmowałam się, jak będę wyglądać. Zachowywałam się jak głupia, samolubna suka. Zapomniałam o tych małych ukąszeniach. Uświadomienie sobie banalności drobiazgów, którymi zwracałam sobie głowę, przywróciła mi trochę rozsądku.

Nagle poczułam, że nie mogę się poruszyć. Nie mogłam złapać oddechu. Ręce zdrętwiały mi od ramion aż po czubki palców. Kolana zaczęły się uginać, a nogi miałam jak z waty. Wargi ogarnęło niekontrolowane drżenie. Zakręciło mi się w głowie. Gdybym znalazła siłę, by się czegoś przytrzymać, w pobliżu nie było niczego stabilnego.

Wypuściłam ubrania i wyciągnęłam rękę w poszukiwaniu jakiejś podpory. Wszystko, pudełka z butami, kapelusze, czasopisma, posypało się na mnie, przysypując niczym lawina. Moja dusza była taka ciężka. Zawsze była zbyt ciężka, ale teraz nie mogłam jej utrzymać. Osunęłam się, uderzyłam o podłogę i zaczęłam płakać. Zawodziłam, a z oczu płynęły mi łzy.

28.

Tyrel

Jutro będzie tu Shelby.

Słowa Debry tłukły mi się po głowie.

Lorna prawie zajęła miejsce Shelby. Prawie. I mogłaby, gdyby kłamstwa nie wypłynęły na powierzchnię. Trudno było o tym zapomnieć. Spotykałem się z nią od prawie dwóch miesięcy. Nadeszła sobota, kiedy mieliśmy wybrać się do Golden Gate Park i wstąpić do stadniny.

Tego ranka poszedłem do łazienki, żeby się wysikać, i zapiekło mnie tak, jakbym był przypalany żywym ogniem. Nagły ból powalił mnie na kolana i znalazłem się na podłodze, trzymając za krawędź muszli. Nie mogłem złapać tchu. Kiedy tak klęczałem, ociekając potem i przeklinając, najbardziej przerażało mnie to, że uroniłem zaledwie parę kropelek, a mój cholerny pęcherz był wciąż pełny. Zatem, czy mi się to podobało, czy nie, reszta musiała również wypłynąć, a to oznaczało kolejną falę ognistego bólu. Byłem cały mokry, strugi potu spływały mi po całym ciele, a zęby szczękały tak mocno, że widziałem gwiazdy.

Kiedy było już po wszystkim i ból ustał, opłukałem twarz, podmyłem się, pokuśtykałem do telefonu i zadzwoniłem do Lorny. Powiedziałem jej, co mi się stało, a ona upuściła telefon i zachichotała, jakby to był jakiś żart.

Opuścił mnie spokój i dałem upust nerwom. Zdała sobie sprawę, że moje dosadne słowa są jak najbardziej serio, a potem odwołała wszystko i odłożyła słuchawkę.

Jakieś trzy godziny później wychodziłem z gabinetu lekarskiego, trzymając w dłoni butelkę antybiotyku. Przez całe popołudnie i wieczór dzwoniłem na numer Lorny, ale ona nie odbierała. Wysyłałem wiadomości na jej pager. Żadnych odpowiedzi. Miała wyłączoną komórkę, więc wszystkie połączenia ode mnie były kierowane na pocztę głosową.

Pojechałem do Pacific Heights, gdzie mieszkała. Jej bmw stało przed domem, ale nie chciała otworzyć bramy. W poniedziałek z samego rana zadzwoniłem do jej biura, ale odpowiedziała mi automatyczna sekretarka.

Ponieważ była dzieckiem pastora, wiedziałem, gdzie mogę ją spotkać w niedzielę rano. W każdy niedzielny poranek była zawsze w tym samym miejscu, niezależnie od pogody. Zaczekałem, aż zacznie się nabożeństwo, objechałem parking i przyłączyłem się do grupki spóźnionych. Stałem w przedsionku, dopóki odziany w złociste suknie chór nie zaczął płaść między rzędami, wyśpiewując pochwały. Czekałem na koniec pieśni, tej, w której wszyscy śpiewają, jak są szczęśliwi i wolni, a potem drobią w miejscu, wywracając oczami. Za chwilę ojciec Lorny miał wygłosić swoje drugie kazanie w tym dniu.

Ruszyłem po czerwonym dywanie w stronę ambony stojącej na wprost przepięknego malowidła, na którym czarny Jan Chrzciciel chrzczył czarnego Jezusa, i znalazłem miejsce z brzegu jednej z przednich ławek.

Lorna pojawiła się w bocznych drzwiach, rześka i cała w skowronkach. Z namaszczeniem weszła na podium i stanęła przed wiernymi po prawej stronie ambony, przygotowując się do modlitwy. Przysunęła sobie mikrofon, uniosła dłonie ku niebu i powiedziała bardzo wzniosie:

- Chwalmy Pana!

Tłum ożywił się i zgodnym chórem powtórzył za nią tę samą natchnioną frazę. Lorna stała ubrana w anielski kremowy kostium, roztaczając promienną aurę uśmiechu, która miała maskować jej grzechy. Zaczekałem, aż wszyscy ucichną i trwałem w bezruchu do momentu, kiedy Lorna miała właśnie otworzyć usta.

- Chwalmy Pana! - krzyknąłem uduchowionym tonem.

Rozpiąłem płaszcz, wstałem z łoskotem i pomachałem ręką jak stary czarny kaznodzieja podczas nocnego obrzędu przebudzenia. Wszyscy klasnęli w dłonie i powtórzyli mój gest z gromkim „Amen”. Organista zaczął grać, a tłum dookoła kiwał rękoma z boku na bok. Nawet ojciec Lorny podrygiwał w uświęconym tańcu. Lorna za to straciła wigor. Nie wystarczyłoby nawet wiadro wody święconej, aby przepłukać jej ściśnięte gardło.

Usiadłem i skinąłem głową w jej stronę. Kołysała się, próbowała ochłonąć.

Bełkocąc w pośpiechu, wygłosiła to, co miała do powiedzenia, a potem przeskoczyła trzy albo cztery stopnie i z opuszczoną głową popędziła w stronę bocznego wyjścia.

Porwała Biblię, ale wybiegła bez torebki. Wziąłem ją i swobodnym krokiem podążyłem za nią, tymczasem Lorna stała już przy samochodzie i obmacywała się po kieszeniach.

- Bez kluczyków raczej się nie otworzą - powiedziałem.

Odwróciła się. Słońce przygrzewało, ale powietrze było rześkie i wietrzne. Może był to wiatr, może kamienny wyraz mojej twarzy, ale coś sprawiło, że zadygotała, widząc, jak się do niej zbliżam.

- Możemy porozmawiać tutaj - uniosłem buteleczkę z penicyliną, którą wyciągnąłem z jej torebki i potrząsnąłem nią jak tamburynem - albo wrócić tam, kiedy przyjdzie pora na wyznanie grzechów, i zrobić ten numer. Twój tatuś byłby dumny, że jego córka mówi prawdę. Mógłby nawet zmienić swoje kazanie.

- Nie ośmieliłbyś się niczego powiedzieć przed zgromadzeniem mojego ojca - zaprotestowała.

- Chcesz się przekonać?

- Myślę, że powinniśmy zrobić to gdzie indziej - wycedziła przez zaciśnięte wargi.

- Nie na poświęconej ziemi? Przytaknęła.

Przejechała ulicami Oakland i zatrzymała się niedaleko mojego mieszkania w Lakeshore, na wprost Lake Merritt. Widzieliśmy biegaczy, którzy jeden po drugim okrążali spokojną tafłę wody. Lorna opuściła zasłonę przeciwsłoneczną, otarła oczy i opowiedziała mi o pewnym zawodniku drużyny baseballowej. Sama nie wiedziała, jak do tego doszło.

- Po prostu się stało - oświadczyła.

- Stało się.

- Zważywszy na odpowiednie okoliczności, takie rzeczy się zdarzają.

- Ustaliliśmy, że to będzie układ jeden na jeden. Usłyszałem sygnał jej pagera.

- Tyrel - odezwała się. - Powiesz mi coś?

- Co?

- Jesteś zakochany w kimś innym?

- Dlaczego pytasz mnie o coś takiego?

- Jesteś zawsze taki rozkojarzony. Zawsze. Kiedy jesteśmy razem, nagle milkniesz bez powodu i wpatrujesz się w dal. Pytam cię, co się stało, a ty zawsze zapewniasz, że jesteś trochę zmęczony i nie myślisz o niczym. Czasem patrzysz na mnie, jakbyś mnie z kimś porównywał. Nigdy niczego nie mówisz, ale mam uczucie, że mnie z kimś porównujesz. Z kim?

- Z nikim.

- Zdaje się, że poruszyłam drażliwy temat.

- Byłem ostatnio bardzo zestresowany.

- Kilka razy dzwoniłam do ciebie i nie byłeś tym specjalnie zachwycony. Nie tak, jak kiedyś. Parę razy powiedziałeś mi, że oddzwonisz, i nie odzywałeś się przez dwa dni.

Milczała przez dłuższą chwilę, a ja wraz z nią. Kiedy znowu zaczęła mówić, w jej głosie było więcej goryczy.

- Gdy chodzi o coś więcej niż pieprzenie, trudno coś z ciebie wycisnąć - powiedziała.

Wyjrzałem przez okno na rzędy parterowych sklepów i kawiarni. Obserwowałem przechodzących tamtędy ludzi. Nie zauważyłem niczego wartego uwagi. Gdyby to, czego szukałem, miało typowo fizyczny charakter, Lorna byłaby strzałem w dziesiątkę. Ale moje potrzeby wykraczały ponad to. Były tak głęboko zakorzenione, że aż nierealne.

- Chcesz usłyszeć coś jeszcze? - Poklepała mnie po nodze.

- Mimo wszystko, ja nie przespałem się z nikim innym.

- Ale równie dobrze mogeś to zrobić - powiedziała smętnie. - Nigdy nie byłam twoją kobietą. Tylko ucieczką.

- Ucieczką? - zachichotałem, zastanawiając się, czy ktokolwiek potrafiłby mi to zapewnić.

- Nazywaj to, jak chcesz. Ucieczką, ulgą. Nie mam racji?

- Masz - odparłem, choć chciałem zaprzeczyć.

Gorycz znikła z jej głosu, który odzyskał miękkie brzmienie.

- Czy nasze sprawy możemy uznać za zakończone? - spytała.

Nie powiedziałem nic. Ona też. Podwiozła mnie do mojego samochodu i przytuliła się na pożegnanie.

- Kocham cię - powiedziała. - I chyba jeszcze będę cię kochać przez jakiś czas.

Powiedziała to tak, jakby zawód miłosny również dla niej nie był niczym nowym.

- Ale jestem dużą dziewczynką - dodała, przekrzywiając głowę. - Dam sobie radę z tym uczuciem, dopóki nie zniknie. Potrafię zmierzyć się z rzeczywistością. Przykro mi tylko z powodu tego, co się stało. Gdybym wiedziała, tobym cię uprzedziła.

W lusterku widziałem, jak ociera łzy i macha mi na pożegnanie. Potem poprawiła kostium, uniosła wysoko głowę i wróciła do świątyni swojego ojca.

29.

SHELBY

Z radia dobiegał głos Whitney Houston, kiedy podlewałam pnącza, angielski bluszcz i paprotki, które wypełniały moje mieszkanie. Stawałam na głowie, by wyjść z domu w ciągu pięciu minut. W pośpiechu zderzyłam się z szafą i stłukłam sobie biodro, a potem utykając, sprawdziłam dwa razy, czy wszystko, co będzie mi potrzebne do przeżycia najbliższego tygodnia, znalazło się w walizce na kółkach.

Miałam na sobie beżową bluzkę i brązową kamizelkę pod kolor spodni, a na głowę wciśnęłam nabijaną ćwiekami bejsbolówkę. Kiedy przeciągałam przez nią spięte w kucyk włosy, odezwał się dzwonek u drzwi.

Cholera.

Spojrzałam przez wizjer i wściekłam się jeszcze bardziej. Wrócił Richard. A do tego przyprowadził swoją mamę. Coś mi mówiło, by zostawić rośliny na pastwę suszy i wyjść dziesięć minut wcześniej. Wróciłam do sypialni, z szuflady na pościel wyciągnęłam pudełeczko z pierścieniem zaręczynowym i wsunęłam go na palec. Potem odliczyłam od dwudziestu do zera i wykrzywiając twarz w sztucznym uśmiechu, otwarłam drzwi.

- Dzień dobry, pani Vaughn - powiedziałam.

- Dzień dobry, Shelly.

W zeszłym tygodniu miałam na imię Sheila. Tydzień wcześniej Shirley. Potrafiła zapamiętać każde słowo z Biblii, ale nie była w stanie poprawnie wymówić mojego imienia.

Pani Vaughn poprawiła błękitny kapelusz udekorowany owocami we wszystkich kolorach tęczy. Jego widok przyprawił mnie o skurcz żołądka. Ta kobieta miała półtora metra wzro-

stu, tyle samo wszere i ważyła ponad osiemdziesiąt kilogramów, chociaż mogłaby ważyć z pięćdziesiąt, gdyby zeskrobała trochę makijażu. Jej podmalowane kredką brwi przypominały łuki w logo McDonalda.

- Jak się czujesz? - zwrócił się do mnie Richard.

Przeszedł obok, całując mnie w policzek, jakby w ciągu ostatnich kilku godzin nic złego między nami nie zaszło. Ignorował moje uczucia.

- Kocham cię, Shelby - dodał.

Otarłam z twarzy jego pocałunek i dotknęłam palcami pośladków.

Pani Vaughn rozsiadła się na ogromnej czarnej wersalce, która jęknęła pod jej ciężarem. Miała tak naburmuszoną minę, że zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie nawdychała się własnych bąków.

- Jak się pani miewa, pani Vaughn? - zapytałam i ruszyłam w stronę sypialni. Jakby rzeczywiście interesowała mnie jej odpowiedź.

- Całkiem nieźle. Właśnie byłam...

- Napije się pani czegoś? - mówiłam, nie zwracając na nią uwagi. - Mam wodę i sok.

- Nie, dziękuję ci, Shirley - odparła, po czym chrząknęła demonstracyjnie i odezwała się teatralnym szeptem. - Dlaczego ona zawsze ubiera się jak chłopaczysko? Chodzi właśnie w męskiej kamizelce. Nie ma żadnej przyzwoitej sukienki. Przynajmniej oprócz tej, w której widziałam ją na pogrzebie twojego ojca. Powinieneś jej powiedzieć, żeby zrobiła sobie fryzurę jak ta ładna dziewczyna, z którą kiedyś chodziłeś.

Oparłam się o szafę, splotłam ręce na piersi, by rozprostować je po chwili, a potem zajęłam się przekładaniem na półce powieści Jamesa Baldwina i BeBe Moore Campbell. W myślach odliczyłam od pięćdziesięciu. Zrobiłam to dwa razy.

- Śmierząca, brzydka, zramolała, obleśna babo - mamrotałam pod nosem. - Twój tatuś powinien był założyć gumę.

- Potrzebujesz pomocy? - zawołał Richard z drugiej strony przedpokoju.

- Nie. Już znalazłam.

Zamknęłam drzwi sypialni, usiadłam na komodzie i po raz ostatni przyjrzałam się swojej szyi. Ktoś mógłby pomyśleć, że przeprowadzałam wywiad z wampirem. Okręciłam szyję pasiastą apaszką.

Kiedy zasapana wносиłam walizkę do salonu, zauważyłam, jak pani Vaughn przesuwając środkowym palcem po cieniutkiej warstewce kurzu na blacie mojego stołu.

- Uch - powiedziała. - Co za niechlujstwo.

- Przepraszam, mówiła pani do mnie?

Kiwnęła się z boku na bok, ale nie miała na tyle przyzwoitości, aby zaszczyć mnie spojrzeniem.

- Nic nie mówiłam, Sheilo - bąknęła.

- Shelby - uśmiechnęłam się, zaciskając zęby.

- Że co?

- Mam na imię Shelby.

- Nie może być.

Richard był w kuchni. Słyszałam, jak otwiera drzwiczki kredensu. Zadzwończyły szklanki. Nalewał coś do picia.

- Na blacie stoją papierowe kubki - zawołałam.

- Co takiego? - Richard przełknął i beknął.

Pani Vaughn gapiała się na moją czapkę, jakby zobaczyła potwora. W taki sam sposób patrzyłam na jej brązową kręconą perukę. Potem przeniosła wzrok na chaos panujący w kąciu z płytami i kasetami wideo. Wyjeżdżałam ostatnio tak często, że nie miałam czasu na zrobienie tam porządku.

- Jakie pani i Richard macie plany na dzisiaj?

- Ja i Richard? - Pani Vaughn poruszyła się w miejscu, jakby wycierała sobie tyłek w tapicerkę. - Po tym, jak was odwożę, wracam do domu, żeby sobie coś ugotować.

- Och - odezwał się Richard. - Właśnie miałem ci powiedzieć. Lecę z tobą do Los Angeles. Zarezerwowałem bilet na twój lot. Wejdę z tobą na pokład, więc będziemy mogli siedzieć razem.

Nie dowierzałam własnym uszom. W moim ciele coś wzbierało i czułam, że zaraz rozsądzi mi głowę. Resztką sił powstrzymałam się, żeby nie cisnąć walizką o podłogę.

- Dobrze się czujesz? - zapytała pani Vaughn. Wydałam odgłos przypominający chorał gregoriański.

- Wszystko w porządku - powiedziałam.

- Powinnaś coś zjeść.

Nie rozmawialiśmy na temat wspólnego wyjazdu, gdyż nie chciałam brać tego pod uwagę. W ogóle nie wyobrażałam sobie takiej możliwości. Powiedziałam, że co najwyżej może

odwieźć mnie na lotnisko i wysadzić przy krawężniku. Wiedziałam też, że Richard nie zamierzał mi towarzyszyć, a na dowód tego pokąsał mi szyję.

Na twarzy pani Vaughn malował się krzywy uśmiech. Zrozumiałam, dlaczego Richard przywłókł ze sobą tę prukwę. Nie po to, by odwiozła nas na lotnisko. Wiedział, że w jej obecności nie pozwolę sobie na żaden wybryk.

- Mama pytała, kiedy usiadziemy, żeby ustalić datę naszego ślubu - zawołał z kuchni.

- Przy okazji.

- Cóż to za odpowiedź - oburzyła się pani Vaughn. - Kobieta powinna być posłuszna swojemu mężowi.

- Psy są posłuszne. Ludzie współpracują.

Mój umysł pracował na wysokich obrotach. Staralam się znaleźć jakiś sensowny argument, aby Richard został w domu.

- A co z twoimi interesami, Richardzie? - spytałam.

- Z kwaciarnią będzie wszystko w porządku - pani Vaughn zachowywała się, jakbym mówiła do niej.

Miałam ochotę z krzykiem wrócić do sypialni i zatrzaskać za sobą drzwi. Gdybym wiedziała, że tak będzie, o wschodzie słońca wyruszyłabym na północ autostradą numer pięć.

Ten skurwiel okazał się sprytny. Wolał nie pokazywać mi się na oczy, więc nie wychodził z kuchni, gdzie spijał resztki soku.

Usłyszałam, jak chowa szklanekę do zmywarki. Wkurzyło mnie to, bo już posprzątałam kuchnię, a on wiedział, że tę jedną szklanekę mógłby opłukać pod kranem. Potem wszedł dumnym krokiem do salonu, wycierając ręce w koszulkę. Spojrzeliśmy na siebie i jego wzrok spoczął na apaszcze, którą miałam zawiązaną na szyi. Czekałam, aż coś powie.

- Gotowa? - odezwał się.

- Tak. Tak gotowa, jak nigdy w życiu.

Kiedy zamknęłam drzwi, wyprzedziłam ich, dotarłam pierwsza na parking i wrzuciłam walizkę do bagażnika saaba Richarda. Pani Vaughn była jakieś dziesięć metrów za mną. Wlokła się kołyszącym krokiem, a Richard szedł obok niej. Zanim obydwójce do mnie dotarli, wgramoliłam się na tylne siedzenie i tak mocno zagryzłam dolną wargę, że jeżynowa szminka odbiła mi się na zębach.

Obok mnie leżały jakieś firmowe papiery Richarda. Zgarnęłam cały ten bałagan i cisnęłam wszystko na podłogę. Następną rzeczą, jaką zrobiłam, było sztuczne ziewnięcie. Udawa-

łam, że jestem strasznie senna, chrapnęłam nawet kilka razy i gwałtownie opuściłam głowę, jakbym zapadała w drzemkę. Zamierzałam urządzić sobie fałszywą sjęstę w czasie lotu, więc im wcześniej zaczęłam przedstawienie, tym lepiej.

Richard i jego matka rozmawiali o tym, co należy zrobić w firmie i który z braci ma przyjść pomóc jego siostrze. Ich pogawędka była cholernie żenująca. Zginął mąż mojej najlepszej przyjaciółki, mój przyjaciel, a oni gadali o jakichś nieistotnych bzdurach.

Zerknęłam na swój pierścionek zaręczynowy. Zauważyłam, że połyskuje jak gwiazda w mroku przygnębienia. Wszystkie stewardesy uważały, że jest cudowny. Uważały też, że Richard jest cudowny. Być może byłam głupia, że nie zgodziłam się na szybki ślub. Miałam trzydziestkę na karku i mieszkałam samotnie w apartamencie z jedną sypialnią, a to absolutnie nie pasowało do tego, jak wyobrażałam sobie swoje życie. Nie taki był mój plan.

Byłam jednak spokojna. Nie narzekałam. Niczego nie żałowałam.

Zaczęłam rozmyślać. Zastanawiałam się, kiedy między mną a Richardem wszystko się zmieniło. Było bardzo przyjemnie i od czasu do czasu spoglądałam w przyszłość i dostrzegałam go przy sobie. Czasami dzwoniłam do niego z podróży. Czułam się wtedy cholernie samotna. Tak, tęskniłam za nim. Ale było to wtedy, gdy nie widywałam go tak często.

Trzy miesiące temu Richard zabrał mnie znów do domu swoich rodziców. Był to dzień, w którym jego ojciec, Papa Ray, wrócił ze szpitala. Miał koło osiemdziesięciu lat i spędzał więcej czasu z lekarzami i pielęgniarkami niż z własną rodziną. Dlatego też wszyscy tam byli i zanim uzmysłowiłam sobie, co się naprawdę dzieje, cała rodzina otoczyła mnie kręgiem jak Indianie wrogiego im Custera. Piekielnie mnie wtedy wystraszyli. Chyba każdemu, kto próbuje chować jakąś tajemnicę, wysiadają nerwy, kiedy dzieje się coś nieprzewidzianego.

Richard ukląkł na prawe kolano, otworzył bordowe pudełeczko i podetknął mi pierścionek pod nos. Tylko ja byłam tym zaskoczona.

- Wyjdiesz za mnie? - zapytał, uśmiechając się od ucha do ucha.

Zupełnie nie przypominało to oświadczyn na plaży o wschodzie słońca, ale nie to było najważniejsze. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy o małżeństwie. Skakanie przez miotłę nie było mi wtedy w głowie. Nie uważałam go nawet za swojego chłopaka, gdyż to nie była ta partia. Przysyłał mi kwiaty w każdy piątek i mówił mi, że mnie kocha, ale to wyznanie dotyczyło jego uczuć. Kazałam mu dzwonić przed każdą wizytą, nigdy nie rozmawiałam z nim zbyt długo, zawsze pierwsza kończyłam rozmowy i nigdy nie pozwoliłam mu zostać u siebie przez dwie noce z rzędu. I nie pozwalałam sobie przy nim na wszystkie te zmysłowe i twórcze fanta-

zje, którym oddawałam się z Tyrelem. Albo ja zrobiłam się konserwatywna, albo to jemu brakowało tej iskiarki potrzebnej, by rozpać beczkę prochu.

Kiedy mi się oświadczył, wokół stało pełno zaaferowanych kuzynów, ciotek, wujków, braci i sióstr. Cała rodzina o uśmiechniętych szeroko twarzach pełnych wyczekiwania. A mnie majtki uwierały w intymnym miejscu. Nigdy nie lubiłam działać pod presją.

Przyszło mi na myśl pytanie, dlaczego nie zabrał mnie w jakieś miłe romantyczne miejsce, gdzie mogłabym go wyśmiać i odrzucić jego umizgi.

Tymczasem była tam jego mama. Pani Vaughn pojawiła się w drzwiach. Jej tłuste ramiona kołysały się niczym dzieci na huśtawce, a stopy człapały po podłodze. Zobaczyłam ją i doznałam wstrząsu na myśl, że moje dzieci mogą być do niej podobne. Zobaczyłam gromadkę bachorów z obleśnymi fałdami tłuszczu i obwisłą skórą. Niewiele brakowało, a podskoczyłabym na krześle i krzyknęła: „Kurwa, nie!”.

Potem jednak popatrzyłam na ojca Richarda. Papa Ray wtedy jeszcze żył. Zmarł we śnie jakiś miesiąc temu. Był wspaniałym, spokojnym człowiekiem. Wysoki, szczupły, o białych włosach, poruszał się o kuli. Zawsze brał mnie w objęcia i nigdy nie przekreślił mojego imienia. Raz czy dwa zadzwonił do mnie i rozmawialiśmy przez kilka godzin. Uwielbiałam tego człowieka i żałowałam, że nie poślubił mojej matki. Cudownie byłoby zostać jego dzieckiem choć na chwilę. Papa Ray uśmiechnął się do mnie, a ja uśmiechnęłam się do niego.

Chyba prawdziwym powodem, dla którego uległam, było to, że ubiegłej nocy zadzwoniłam do Tyrela. Podpatrzyłam jego numer na lodówce Debry, zadzwoniłam do niego w środku nocy i odebrała jakaś kobieta. Wiedziałam, że to właściwy numer, ponieważ wybrałam go wcześniej i odezwała się jego automatyczna sekretarka. Nie zostawiłam jednak wiadomości, bo chciałam usłyszeć, jak zareaguje na mój głos. Pomyślałam więc, że ktoś musiał sypiać po prawej stronie jego łóżka, a w niedzielne poranki zasiadać z nim przy kuchennym stole.

Richard uśmiechał się do mnie, oferując dozgonną miłość, a kiedy klęczał tak przede mną pokornie, poczułam się jak idiotka. Jak już wspominałam, moja mama zmarła, nie uszawszy nigdy w życiu oświadczeń.

W końcu moje oczy spoczęły na Richardzie.

- Tak - powiedziałam.

Richard wrzasnął, aż podskoczyłam wystraszona. Zaczął podskakiwać tak radośnie, jakby wytypował zwycięski wynik finałowego meczu ligi futbolowej. Wszyscy Vaughnowie po kolei brali mnie w objęcia. Papa Ray uśmiechał się do mnie. Odpowiedziałam mu skromnym

uśmiechem. Pani Vaughn wyszła z pokoju i udała się do kuchni, z której dolatywał zapach wieprzowiny.

Pierścionek nie zdążył jeszcze uleżeć się na moim palcu, a Richard już trzymał kalendarz i chciał wyznaczyć datę ślubu. Na każdy cholerny dzień, na każdy termin, który podawał, odpowiadałam, że nie jestem jeszcze gotowa. Próbowałam mu tłumaczyć, że mamy mnóstwo czasu. Zaczął robić niewybredne komentarze na temat mojego wyjazdu do Los Angeles. Potem niespodziewanie zapytał, czy gdyby Tyrel zadzwonił, wróciłabym do niego.

- Nie - powiedziałam. - Nie uznaję powtórek. To już skończone.

- A gdyby chciał iść z tobą do łóżka, zgodziłabyś się?

- Nie robię takich numerów.

- A rozmawiałaś ostatnio z Tyrelem?

Zadawał więcej pytań niż Terry Mason, aż w końcu wyszłam od niego i pojechałam do domu. Zanim jednak zdążyłam włożyć klucz do zamka, Richard stał już przy mnie i przeproszał. Nie było rozmowy, podczas której Richard nie pytałby mnie o ślub albo nie czynił obleśnych insynuacji na temat Tyrela. Wkurzał mnie tak bardzo, że zmieniałam odpowiedź.

- Wiesz co? - krzyknęłam - Wszystko jest możliwe.

- Więc teraz nie jesteś pewna? - jego głos złagodniał.

Myślałam, że Richard weźmie swój pierścionek, byłam gotowa mu go oddać, ale on zaczął starać się bardziej niż dotąd. Dzwonił, rozłączał się, potem znów dzwonił. A kiedy zablokowałam jego numer, nie upłynął kwadrans, jak mi się wydawało, że pod oknem sypialni słyszę jego samochód. Z pieniędzmi było krucho, więc zgłosiłam się na dodatkowe rejsy. Przyjmowałam ich tyle, ile byłam w stanie znieść, i mój czas pracy rozrósł się z siedemdziesięciu do dziewięćdziesięciu godzin miesięcznie. Potrzebowałam swobody i wytchnienia, niezależnie gdzie byłam, a on dzwonił do hotelu, zanim jeszcze zdążyłam zdjąć służbowy uniform.

- Co robię źle? - zapytał Richard.

- Nie zrobiłaś nic złego.

- Kochasz mnie?

- Działasz mi na nerwy.

- Kochasz go?

- Go znaczy kogo?

- Jego.

- Rozłączam się. Posłuchaj, zobaczymy się, kiedy wrócę. Zadzwoń do ciebie, nie dzwoń do mnie. Nie zostawiaj tych wszystkich żalonych wiadomości na mojej sekretarce i proszę, koniec z kwiatami. Dobrze?

- W porządku - westchnął.

- Przepraszam. Zachowujesz się zbyt gwałtownie i jesteś odrobinę nachalny. Czasem lubię pooddychać własnym powietrzem.

- Ja tak samo. Nie daję ci swobody?

- Swoją wersję swobody.

- Dobranoc, Shelby.

Odkładając słuchawkę, zauważyłam klejnot na swoim palcu. To nie była jakaś tandeta kupiona na pchlim targu. Miał klasę oraz certyfikat autentyczności, który potwierdzał jego doskonałość. Zakołysałam ręką i przypomniałam sobie, jak radośnie mienił się w promieniach słońca. Tak, diamenty to najlepsi przyjaciele dziewczyny. Chiquita powiedziała, że powinnam być szczęśliwa, bo trudno znaleźć dobrego faceta. I chyba miała rację.

30.

SHELBY

- Jesteś rozpalona - powiedział Richard.

- Nie.

- Pocisz się.

- Niewiele mi trzeba.

Żółta taksówka zatrzymała się przed domem Debry. Na ulicy stało kilku sąsiadów. Przerwałam rozmowę i podeszłam do bagażnika, a Richard wysiadł, by zapłacić kierowcy. Właśnie w tym momencie Debra otworzyła drzwi i dostrzegli się nawzajem. Uniosła dłoń do oczu i postąpiła krok naprzód. Cholera. Była zdumiona, ale już z daleka widziałam jej cierpienie. Pomachała mi, a ja pomachałam do niej. Richard zrobił to samo. Debra zawahała się, a potem pomachała do niego.

Nie mogłam wyciągnąć torby, bo zaklinowała się pod walizką Richarda. Kiedy szłam, uginając się pod ciężarem bagażu, on podążał za mną jak radiowóz ścigający O.J. Simpsona na autostradzie czterysta pięć.

- Nie wchodź na trawnik - ostrzegłam go.

- Dlaczego?

- Zraszacze.

Debra wyszła nam naprzeciw i spotkaliśmy się w połowie chodnika. Jej biodra i piersi zaokrągliły się, twarz zrobiła się pełniejsza, a nos szerszy. Promieniała aurą przyszłego macierzyństwa.

- Świetna czapka, dziewczyno - wskazała na moją głowę. - Nie ściągaj jej, bo pożyczę ją sobie na zawsze.

- Więc masz ją ode mnie w prezencie.

- Jesteś dzień wcześniej.

- Nie gadaj, tylko mnie przytul - odłożyłam bagaż i pocałowałam ją w policzek. - Jak się trzymasz?

- Tak się cieszę, że jesteś. Potrzebowałam cię - wyszeptała, głaszcząc mnie obiema rękami po plecach. - Właśnie wyszło koło dziesięciu osób i reporter z „Sentinela”.

Debra powoli wypuściła mnie z objęć i otarła ze swojej ciemnoróżowej szminki. Potem zwróciła uwagę na Richarda.

- Richardzie, to jest Debra - powiedziałam.

- Jestem narzeczoną Shelby - wyjaśnił.

- Miło cię wreszcie poznać - Debra masowała się po brzuchu okrężnymi ruchami. - Shelby tyle mi o tobie opowiadała.

Zaczęły działać zraszacze. To przerwało rozmowę i przykuło naszą uwagę. Richard zachowywał się, jakby nigdy wcześniej nie widział mokrej trawy, a Debra przyglądała się mojemu pierścionkowi.

Wybawił mnie dzwonek telefonu. Debra ruszyła w stronę domu i powiedziała nam, byśmy schronili się w środku przed upałem. Schyliłam się po bagaż i ruszyłam śladem zapachu jej perfum Bijan.

Kiedy wchodziłam do wnętrza tego domu, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Spodziewałam się, że zaraz powita mnie uśmiechnięty Leonard i powie: „Co słyhać, Czekoladko?”, ale to nie nastąpiło. I już nigdy nie nastąpi.

Richard następował mi na pięty kiedy szliśmy przez hol, kierując się w stronę salonu.

- Pachnie tutaj makaronem - powiedział.

- Tak. Pewnie sąsiedzi podali do stołu.

Richard wciąż szedł zbyt blisko, bym mogła poruszać się swobodnie. Jęknęłam z bólu, obróciłam się i niby przypadkiem upuściłam mu na nogi torbę. Potknął się. Źle wymierzyłam. Gdybym upuściła ją sekundę później, udałoby mi się go przewrócić.

- Cholera - powiedziałam. - Naciągnęłam sobie ramię.

- Prosiłem, żebyś pozwoliła mi ją nieść.

Zostawił bagaże i podszedł do przeszklonej szafy pełnej afrykańskich pamiątek. Zauważył, że go obserwuję.

- To są ich zdjęcia ślubne? - zapytał.

- Tak. Zrobił je jej kuzyn Bobby.

- Ładnie wyszłaś. - Nie robił wrażenia podekscytowanego.

- Dzięki.

Upłynęła wieczność, zanim podszedł do szklanej gabloty i niczym turysta oglądał zdjęcia, dyplomy i nagrody Leonarda.

- Czy to nie burmistrz i komendant policji na tym zdjęciu z twoimi przyjaciółmi? - zapytał.

Przytaknęłam. Ktoś zagwizdał. Moje nerwy były napięte do granic wytrzymałości i omal się nie posikałam.

- Shelby Janine Daniels - rozległ się znajomy głos.

Serce podeszło mi do gardła. Wyglądał świeżo i tak elegancko, że na jego widok przetarłam oczy. Uśmiechnął się i padliśmy sobie w objęcia, obcałowując się i kołysząc z boku na bok.

- Cholera, świetnie wyglądasz - powiedział.

- Dziękuję.

- Jak się masz?

- Dobrze, biorąc pod uwagę całą tę sytuację.

Za moimi plecami Richard wydał serię zabawnych odgłosów, potem jego bagaż upadł z głuchym łomotem na podłogę. Usłyszałam jego ostentacyjne chrząknięcie i po chwili znalazł się tuż obok nas, stojąc bliżej niż cień.

- Nazywam się Richard Vaughn - wyciągnął rękę.

- A ja Bobby Davis. Jesteś kierowcą?

- Nie. Jestem tu z Shelby.

- Ach, z nią. Jesteś jej przyjacielem?

- Niezupełnie. Jej narzeczonym.

- Och, gratuluje.

- Nie wiedziałeś? - spytał Richard.

- Przez jakiś czas nie mieliśmy kontaktu - odparł Bobby.

- Co ty zrobiłaś z włosami, Bobby? - Nie traciłam ani sekundy, aby przerwać tę wymianę zdań.

- Podobają ci się? - Bobby zmierzwił palcami swoje bujne dredy.

Zanim zdążył się roześmiać, z kuchni wyszła kobieta o pełnych czerwonych wargach i latynoskiej urodzie. Miała ciemniejszą skórę niż Debra, ale jaśniejszą od mojej. Jasnobrązowe włosy sięgały jej do ramion.

- Shelby? - zapytała.

- Tak, to ja.

Podeszła i wzięła mnie w objęcia.

- Miło wreszcie cię poznać - powiedziała. - Mam na imię Alejandria.

- Mnie też miło cię poznać.

- Jestem żoną Bobby'ego.

- Żoną? - powtórzyłam.

Byłam wstrząśnięta. Całe szczęście, że nie powiedziałam, co przyszło mi na myśl, bo wzięłam ją za nową gosposię.

- Pobraliśmy się w Vegas dwa tygodnie temu - wyjaśnił Bobby.

- Dwa i pół - poprawiła Alejandria. - Przyjechaliśmy pomóc i dopilnować wszystkiego, żeby Debra mogła odpocząć.

Wspaniale było śmiać się i wygłupiać, ale powód, dla którego się spotkaliśmy, rzucał cień na każde słowo. Ktoś mógłby pomyśleć, że zwariowaliśmy. Chichotaliśmy, uśmiechaliśmy się do siebie, ale nasze żarty nie były śmieszne.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - zapytałam.

- Zrelaksuj się - Alejandria pokręciła głową. - I zadbaj, by Debra też się zrelaksowała.

- Wszystko słyszałam - krzyknęła Debra. Kiedy tylko weszła do salonu, znów rozdzwonił się telefon. - Niech maszyna zarobi na sobie - powiedziała, unosząc ręce nad głowę. - Bobby, odsłuchuj wszystkie wiadomości co godzinę, jeśli możesz.

Odezwał się telefon na drugiej linii i w tym samym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

- To śmieszne - odezwała się Debra. - Wcale nie czuję się tak, jakby ktoś mi zawracał głowę co minutę.

Kiedy szła w stronę kuchni, w jej ruchach widać było przygnębienie. Przystanąła w drzwiach. Richard pogrążony we własnym świecie oglądał wszystkie jej pamiątki.

- Gdzie kupiłaś tę afrykańską rzeźbę? - Wskazał palcem na statuetkę. - W Senegalu?

- Na pchlim targu w Crenshaw - odparła Debra.

Wszyscy parsknęliśmy śmiechem. Richard też. Z jego twarzy znikł wyraz grobowej powagi. Uśmiechnęłam się do niego. I zrobiłam to całkiem świadomie.

- Debra, Bobby i ja razem studiowaliśmy - powiedziałam.

- Uniwersytet Południowej Kalifornii?

- Tak. Uniwersytet Południowej Kalifornii.

- Jestem kuzynem Debry - wtrącił Bobby. - Shelby i ja jesteśmy jak rodzeństwo.

- Do której sypialni możemy zwalić swoje graty? - zapytałam Debrę.

W salonie zapadła cisza. Mogłam ugryźć się w język. Uzmysłowiłam sobie, że powinnam była zadać to pytanie, będąc z Debrą na osobności, zamiast roztrząsać swoje sprawy.

- Richardzie - odezwała się uprzejmie Debra. - Czy mógłbyś zanieść bagaże do tamtego pokoju w głębi domu? Tam po lewej. A ty Shelby chodź ze mną, dziecko drogie.

- Co się dzieje?

- Chcę, żebyś mnie gdzieś podwiozła.

Richard podszedł do mnie. Ku własnemu zaskoczeniu objęłam go w naturalny sposób.

- Czy to Tyrel stoi koło ciebie na tych ślubnych zdjęciach Leonarda i Debry? - spytał szeptem Richard, nachylając się do mojego ucha - Przypuszczam, że był drużbą, prawda?

Parsknęłam śmiechem i odeszłam. Richard wziął nasze bagaże i podążył za Alejandrią. Kiedy tylko zniknęli za rogiem, a ich kroki ucichły, Bobby zrobił krok w moją stronę.

- Nic nie mów - powiedziałam, zamierzając się na niego. - Jeśli coś powiesz, wybije ci to z głowy.

- Nic nie mówię - szepnął Bobby. - Zaręczona, co?

- Żonaty, co? - krzyknęłam.

Kiedy wmaszerowałam do kuchni, Debra czekała już na zewnątrz, przytrzymując drzwi. Znów poczułam się zakłopotana. Zwolniłam kroku i przygryzłam wargę.

- No już, przestań się ociągać - potrząsnęła głową.

Kiedy weszliśmy do garażu, moje oczy zaczęły wędrować we wszystkich kierunkach, omiatając narzędzia wiszące na ścianie. Młotki, piły, oleje, filtry, męskie sprzęty Leonarda oczekujące na niego w dwumiejscowym garażu zajęтым przez jedno auto. Jego celica już nigdy nie dojedzie do domu. Ta myśl wydała mi się tak bezwzględna, że przyprawiła mnie o dreszcz.

Debra podeszła do nowego benza i zajęła miejsce na fotelu pasażera. Jej hyundai został skradziony miesiąc temu czy jakoś tak. Gdybym nie wiedziała, jak jest, pomyślałabym, że unika wkraczania w przestrzeń Leonarda.

- Jedź - powiedziała, kiedy otworzyłam drzwi.

Siadłam za kółkiem i ruszyłam ulicą Don Diego, skręciłam w Don Carlos, potem w Don Felipe, Don Miguel i Don Lorenzo. Przecięłyśmy Stocker Street i mknąc wzdłuż Angeles Vista, dotarłyśmy do zamieszkałej przez klasę średnią dzielnicy zwanej View Park. Do momentu, aż wjechałyśmy na Slauson Avenue, Debra trwała w bezruchu i nie odezwała się ani słowem. Zawsze posługiwała się milczeniem i pozą, by wprawić mnie w zakłopotanie. Niestety robiła to skutecznie.

Kierowałyśmy się w stronę oceanu, kiedy westchnęła i przemówiła.

- Kiedy się zaręczyliście? Poczułam, że robi mi się gorąco.

- Parę miesięcy temu - poluzowałam pasiastą apaszkę.

- Od jak dawna go znasz? - palce Debry zabębniły na okładce Biblii.

- Jakies pięć miesięcy.

- Samolubna suka. Wiesz, kim jesteś?

- Zdaje się, że masz zamiar mi to powiedzieć.

- Zdziczałą dupą przywykłą do dzikich wybryków. I możesz darować sobie tę żalną minę - mówiła chłodnym i rzeczowym tonem. Bolało jak cholera. - Od jak dawna jesteśmy tak zwanymi najlepszymi przyjaciółkami?

- Odkąd jako jajeczka czekałyśmy na plemniki. - Staralam się, by moje słowa brzmiały swobodnie.

- Chyba już nie jesteśmy przyjaciółkami.

To naprawdę zabolalo, zwłaszcza że taki miała zamiar.

- Nie mów tak.
- Taka jest prawda.
- Przykro mi - zdołałam wykrztusić.
- Znalazłam się w idiotycznej sytuacji.
- Przepraszam cię, ale...
- Przestań i zachowaj to dla siebie.

Debra odchyliła oparcie fotela tak daleko, że wyglądało, jakbym jechała sama. Wciągnęła powietrze i wypuściła je, tłumiąc szloch. Łzy ściekały jej po twarzy.

- Nie mogę uwierzyć, że odszedł - wyszeptała, jakby mówiła do siebie. - Wciąż myślę, że zaraz się obudzę, a wszystko okaże się snem. Albo że on zadzwoni roześmiany i powie, że to był jakiś kretyński chwyt reklamowy.

- Jak się czujesz? - zapytałam po chwili milczenia.

- Otepiała. Nic nie czuję. To się stało tak nagle. Poruszam się machinalnie. Jestem przerażona. Niepewna jutra.

Brzmiało to tak, jakbym słuchała samej siebie. Otepiała. Niepewna jutra. Nic nie czuję. Kompletnie nic.

- Na pogrzebie trumna będzie zamknięta - powiedziała Debra. Zaciśnięłam oczy, a z piersi wyrwało mi się kilka głośnych westchnień.

- Bo chcę, żeby wszyscy zapamiętali go takim wielkim i silnym, jakim był - ciągnęła. - Takim, jakiego ludzie widzieli, kiedy przejeżdżał przez naszą dzielnicę i uśmiechał się, machał do nich, żartował. A nie zmasakrowanego po wypadku.

- Co się stało drugiemu kierowcy?

- Nie mam na to wpływu. Ale wiesz, jaki jest system.

- To czarny?

- Japonka - Debra patrzyła w bezkresną dal. - W „Timsie” pisak, że gówniara miała dziewiętnaście lat.

- Cholera. Japonka.

- Leonard dbał o wszystko. Przypuszczalnie teraz będę musiała sprzedać parę domów. Może też apartament w Vegas. Z powodu jakiejś głupiej pijanej dziwki.

- Nie mów tak.

- A oni pewnie mają sieć sklepów alkoholowych w Manchesterze. Uspokoila się, kiedy nachyliłam się do niej i ujęłam za rękę. Dygotała, jakby przechodziła odtruwanie.

- To nie jest w twoim stylu.
- Nic już nie będzie takie samo.
- Wiem.

Jej głos łamał się i trząsał, przejmując mnie dreszczem.

- Absolutnie nic nie będzie już takie samo - powtórzyła.
- Jestem z tobą.
- Dziękuję, Shelby.

Z opuchniętych przekrwionych oczu Debry spływały łzy. Żałowałam, że nie mogę wziąć na siebie jej bólu. Niedługo potem sama próbowałam powstrzymać usta od drżenia.

Zaparkowałam niedaleko Venice Beach, w niezbyt zatłoczonym miejscu, z którego rozciągał się widok na ocean. Nie wysiadłyśmy jednak z samochodu. W drodze powrotnej trochę się ociągałam, żeby Debra mogła dojść do siebie. Minęłam kilka bogatych rezydencji położonych przy Mount Vernon Drive i zatrzymałam się pod eukaliptusami, skąd mogłyśmy obserwować góry piętrzące się po drugiej stronie miasta.

- Przejdźmy się - powiedziałam.

Debra nie patrzyła na mnie, ale kiwnęła głową. Ścisnęła moją prawą rękę i przeszłyśmy przez obrotową bramkę, minęłyśmy krawężnik i zatrzymałyśmy się przy pochyłym płocie. Trzymałyśmy się za ręce, jakbyśmy wciąż chodziły do szkoły. Schodziłyśmy ze stoku wzgórza, wdychając rześkie powietrze, pod nami samochody przemykały po Stocker Street. Debra wracała do życia, szła nieco zwawiej i prowadziła mnie po ścieżce. Trzymałyśmy się za ręce, ale nie powstrzymywałyśmy łez. Jednak nawet w takich chwilach moja przyjaciółka była opanowana. Temu, co najgorsze, stawiała czoło najlepiej, jak umiała. Płakała, ale nie wpadała w histerię, nie miotała się jak siostry na niedzielnej mszy w kościele baptystów. Płakała odrobinę, ocierała łzy i żyła dalej. Miałam jej pomagać, ale to ona przez większość czasu próbowała mnie uspokoić.

Po ścieżce spacerowało również dwoje starszych czarnych ludzi. Kobieta gładziła swego partnera po przerzedzonych włosach, a on ścisnął jej dłoń. Zwolniłyśmy, by się im przyjrzeć.

Byłam zajęta patrzeniem na tych dwoje, którym wydawało się, że są wciąż młodzi, gdy Debra sięgnęła do apaszki, którą miałam zawiązaną na szyi. Zasłoniłam się, by ją powstrzymać, ale ona odepchnęła moje ręce na tyle mocno, że można by to uznać za użycie siły.

- Zabierz ręce, Shelby.

Przez kilka sekund mierzyłam ją groźnym spojrzeniem, aż w końcu dałam za wygraną i opuściłam dłonie. Chusteczka lekko zsunęła mi się z szyi i dwa ciepłe palce delikatnie przechyliły moją głowę z boku na bok. Raz za razem Debra dotykała miejsc, gdzie wciąż widniały ślady ukąszeń.

- Byłam ciekawa, po co dusisz się w tej apaszce - powiedziała.

- Au! Urwiesz mi głowę.

- Zazdrośnik?

Pokiwałam głową. Sądziłam, że naznaczył mnie tak, bo opowiedziałam mu o mnie i o Tyrelu. Brat zadawał pytania, byłam z nim szczerą, a on zaprawił całą prawdę na ostro i obrócił przeciwko mojej szyi.

Debra odsunęła się ode mnie i podeszła do ogrodzenia. Stojąc nad krawędzią urwiska, zadrżała mocno. Wystraszyłam się nie na żarty. Położyłam dłoń na jej ramieniu i powiedziałam, by nie zbliżała się do przepaści, ale ona ani drgnęła. Dziesięć razy powtarzałam czule jej imię.

- Kiedy coś spierdoliłam? - zapytała.

- Wyrażaj się - otoczyłam ją ramionami. - Nie zrobiłaś nic takiego.

Upłynęło jakieś pół godziny, zanim Debra wróciła ze mną do samochodu. Kroczyła z lekkością, a na twarzy miała sztuczną minę, która nie była jednak w stanie zamaskować uczuć. Tym razem zajęła miejsce za kierownicą. Otarłam twarz dłońmi i zauważyłam, że Debra robi dokładnie to samo.

- Debro - powiedziałam.

Obróciła się do mnie i padłyśmy sobie w objęcia. Przeżywałyśmy wspólnie coś, czego nigdy wcześniej nie było dane nam doświadczyć.

- Wyglądamy jak dwa szopy - powiedziałam.

- Ale ty jak ten brzydki.

- Ale nie tak brzydki jak ty. Chcesz, żebym cię odwiozła?

- Czy ja wyglądam jak Miss Daisy?

Opuściłam klapkę przeciwśłoneczną i wyciągnęłam szyję do lusterka, by przyjrzeć się obrażeniom ze wszystkich stron.

- Jak to wygląda? - spytałam.

- Jak jakieś ładnie zaschnięte gówno.

W pewnym stopniu odpowiadało to rzeczywistości. Nie byłoby tak źle, gdyby powstaniu tych pozbawionych uczucia znaków towarzyszyła jakaś przyjemność i orgazm. Tymczasem byłam skazana na noszenie tej apaszki przez co najmniej trzy dni.

- Kiedy Tyrel tu będzie? - zapytałam od niechcienia.
- Shelby, nie pogrywaj ze mną w ten sposób.
- W jaki sposób?
- Aż kipiałaś, żeby zadać to pytanie.
- Pytam dlatego, że chcę się upewnić, czy mam właściwe informacje o pogrzebie.
- Jestem jego żoną. Cokolwiek chcesz wiedzieć, możesz się dowiedzieć ode mnie.
- Ach. No cóż. To był jedyny powód.
- Czemu do niego nie zadzwoniłaś?
- O czym ty mówisz?
- Wzięłaś jego numer z naszej lodówki.

Tak oto dowiedziałam się, że myszkowałam w ich domu.

- O czym ty mówisz? - powtórzyłam.
- To był pomysł Leonarda. Zawsze coś jadłaś, kiedy tylko stawałaś w drzwiach, więc wymyślił, że jeśli przycępię numer na lodówce, nie upłyną dwie sekundy, jak go zauważysz. A wiem, że go ruszałaś, bo nigdy nie odkładasz rzeczy tak, jak je zastaniesz.

- Myślisz, że znasz mnie tak dobrze?
- Wystawiliśmy cię i złapałaś przynętę.
- Nieważne. Jakkolwiek by na to patrzeć, wiele rzeczy zmieniło się od tamtego czasu.

Nic by się nie stało, gdybym nigdy w życiu nie spotkała Tyrela. Był kimś takim, z kim się jest, dopóki nie przyjdzie coś lepszego. Jednorazową przygodą, która przeciągnęła się o kilka miesięcy.

- Kochasz Richarda? - spytała Debra. Wlepiłam oczy w swój pierścionelek.
- Shelby. To proste pytanie. Tak czy nie?
- Tak. Pasuje do mnie. I jest dla mnie dobry.
- Jesteś szczęśliwa?
- Tak. Nie może być lepiej.
- To dlaczego nie wspomniałaś o nim wcześniej?

Debra uruchomiła silnik. Oznaczało to, że zakończyła ten etap dyskusji. Gdybym teraz jej odpowiedziała, mówiłabym do samej siebie. Zawiązałam sobie z powrotem apaszkę, ułoży-

łam ją odpowiednio i rozpuściłam włosy, aby zakryć jak najwięcej obrażeń. W radiu leciała ta kontrowersyjna biseksualna piosenka o pewnym bracie imieniem Bill. Chyba zawsze dochodzi do kontrowersji, kiedy ludzie mówią prawdę. Debra zmieniła stację na jazzową, potem znalazła kanał ze starymi kawałkami, aż w końcu włączyła płytę Chanté Moore, którą miała w odtwarzaczu.

- Masz ochotę na lody? - spytałam.
- Z pralinami?
- Tak.
- Jedziemy do Thrifty?
- Do Thrifty.
- W rożkach waflowych?
- Podwójne porcje?
- Ja stawiam.
- Ty stawiasz.

L R R

Tyrel

Jechałem z opuszczonym dachem po Crenshaw Boulevard od strony Manchesteru w kierunku Wilshire, gdzie zaczynały się wyboje.

Ta podróż była inna. Pozbawiona głębi. Nikt nie chichotał, nie wymyślał dowcipów na temat osób napotkanych w trasie, nie filozofował, nie zmieniał co sekundę kanałów radiowych. Najpierw śpiewała Enya, ale zmieniłem płytę na Blackstreet, by nadać jeździe rytm, ale wszystko na próżno. Rytm się nie pojawiał, choćbym nie wiem jak się starał.

Meksykanie sprzedawali owoce i orzechy przy zjazdach z autostrady. Czarnoskórzy mułmanie w muszkach na szyjach wciskali ludziom ciastka fasolowe i „The Final Call”. Brat ubrany w zielone afrykańskie poncho handlował obrazkami po pięć dolarów.

Inni sprzedawali podkoszulki, z których spoglądali Malcolm X, Martin Luther King, Bob Marley i Tupac. Martwi zarabiali na żywych. Stary, przygarbiony brat błagał ludzi, by je kupowali, lawirując między samochodami. Szeroko otworzyłem oczy ze zdumienia widząc, że brat ma na sobie zdarte buty Kani, wyblakłą koszulkę Tommy Hilfiger i czarną chustkę na głowie. To był Jackson.

* * *

Zatrzymałem się, by przystrzyć włosy w salonie Magic Shears, a potem przejechałem przez South Central, mijając miejsca, w których kiedyś znajdowały się sklepy mojego ojca. Jeden z lokali był zabity dechami, a spod graffiti nie było widać ani jednej czystej cegły. Inny został zamieniony na kościół wychodzący prosto na ulicę, jeszcze inny przypominał melinę dilerów narkotykowych.

Jechałem skapanymi w promieniach słońca ulicami, między rzędami palm rosnących na poboczach, i ścigałem wspomnienia. Sięgnąłem po komórkę i zadzwoniłem do ojca. Powiedział, że odebrał już bilety i jest właśnie w trakcie pakowania. Zadzwoniłem do Bliźniaczki. Czekala na telefon od mamy, by umówić się z nią na wspólny lot.

W ciągu kilku godzin wszyscy mieli się zjechać. Aż wstyd pomyśleć, co musi się stać, aby połączyć niektóre rodziny na nowo.

Jadąc La Brea, minąłem skrzyżowanie z Venice. W miejscu, gdzie Leonard wydał ostatnie tchnienie, ludzie układali kwiaty. Resztki stłuczonego szkła zamieciono już z brudnego asfaltu.

Coś kazało mi jechać do domu pogrzebowego West Angelus. Zabrakło mi jednak sił. Nie teraz. Nie samotnie. Nie zniósłbym widoku zwłok mego przyjaciela, leżącego bez życia. Ale chciałem być na tyle blisko, by móc przekazać mu swoje uczucia.

Kocham cię, przyjacielu. Będzie mi ciebie brakowało. Dziękuję ci.

Mówiłem do niego, jakby siedział obok mnie w samochodzie. Leonard zrozumiał. Teraz czuł już i wiedział wszystko.

* * *

Zapadał zmrok, kiedy minąłem rząd betonowych wzgórz wyrastających z dżungli Baldwin Hills. Każdy wieczór w Los Angeles odpędzał upały i przynosił chłód. Zaparkowałem obok garażu, tuż za mercedesem Debry. Wyłączyłem muzykę i nacisnąłem guzik, by podnieść dach.

Z podręczną torbą i walizką okrążyłem dom i wszedłem do niego od kuchni. Z drugiej strony drzwi, które prowadziły do salonu i jadalni, dobiegał gwar rozmów świadczący o tym, że dom jest pełen ludzi.

W drzwiach stanął Bobby i wrzucił pustą butelkę do wypełnionego po brzegi kosza na śmieci.

- Witaj Tyrel - odezwał się zmęczonym głosem.

- Cześć, Bobby.

Miał na sobie podarte dzinsy, był bez butów i koszuli. Stanęliśmy obok marmurowego blatu zastawionego górami jedzenia. W drzwiach pokazała się brodata twarz jakiegoś brata, który przypatrywał mi się przez sekundę, po czym znikł, gdy kiwnąłem mu głową na powitanie.

- Kiedy tu dotarłeś? - zapytałem.

- Zaraz po tym, jak ty wyjechałeś od siebie - odpowiedział Bobby.

- Kto tam jest?

- Paru komików, jacyś aktorzy. Zaglądają tu ludzie, o których nikt w życiu nie słyszał.

- Trzeba zająć się krewnymi Leonarda.

- Już są w drodze. Jego mama i Debra jeszcze nie zdążyły się zobaczyć.

- Prawie jak przed ślubem.

- Gorzej.

Do kuchni weszła żona Bobby'ego, Meksykanka o skórze koloru wschodzącego słońca. Miała ciało kobiety i delikatny głos dziecka. W ręku trzymała jakąś książkę.

- Masz pocztę w komputerze - powiedziała.

- I muszę jeszcze raz sprawdzić szczegóły uroczystości - dodał Bobby.

Postanowiłem coś przekąsić i rozmawialiśmy jeszcze przez kilka minut. Martwiliśmy się o Debrę. Nikt nie widział, żeby płakała, więc tym bardziej byliśmy czujni.

Wszedłem do salonu. Kilkoro przyjaciół Leonarda i Debry siedziało na sofie i pokrytej kremowym dywanem podłodze, rozmawiając i popijając napoje gazowane.

Z kącika wypoczynkowego wyszło kilka osób, które rozpoznałem. Emil Johnson i Edwonda White rozmawiali z czarną aktorką znaną mi z jakiejś opery mydlanej, której nigdy nie oglądałem, albo *General Hospital*, albo *The Young and the Restless*.

Odtwarzacz pracował w trybie przypadkowego wyboru piosenek, mieszając utwory Co-trane'a, Natalie Cole i Rachelle Ferrell.

- Witam wszystkich - powiedziałem, unosząc rękę.

Obróciłem się i zauważyłem, że brat, który zajrzał do kuchni, zbliża się do mnie, przyglądając brodę. Myślałem, że przygląda się kobietom, ale on obserwował mnie.

- To ty jesteś Tyrel Williams?

- Tak. - Odłożyłem bagaż, by podać mu rękę. Jego uścisk był mocny i gwałtowny, jakby chciał się ze mną siłować.

- Richard Vaughn.

- Richard Vaughn - powtórzyłem. - Słyszałem już to nazwisko.

- Wiem - odparł. - No i co słyszeć?

Kiedy tak głęboko wpatrywał mi się w oczy, zacząłem się obawiać, czy nie padam ofiarą jakiegoś homoseksualnego flirtu.

- Nic specjalnego - powiedziałem. - Po staremu.

Miałem zapytać go, gdzie się spotkaliśmy i czy nie jest jakimś sfrustrowanym komikiem albo bezrobotnym aktorem, gdy ktoś upuścił tacę z napojami. Kiedy rozległ się brzęk tłuczonego szkła, komicy nie podarowali sobie okazji, by rzucić kilka dowcipów. Richard nie śmiał się wraz z innymi. Stał obok, gdy schylałem się po bagaż, i powiódł za mną wzrokiem, kiedy szedłem w stronę sypialni. Obejrzałem się przez ramię. Wciąż patrzył, przechylając głowę i tarmosząc brodę. Miałem nadzieję, że nie liczył na żadną przygodę, gdyż byłoby mi niezmiernie przykro z powodu nieporozumienia.

Otworzyłem drzwi środkowej sypialni i zauważyłem kilka walizek stojących obok szafki. Łóżko było wygniecione, jakby ktoś na nim siedział. Pomyślałem, że ten pokój musieli zająć Bobby i Alejandria.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł chichot Debry. Poczułem się lepiej, słysząc, że jest w pogodnym nastroju. Zanim odebrałem resztę bagażu, jeszcze raz się z nią skontaktowałem, by mieć pewność, że tego wieczoru nie pojawi się już nikt z rodziny, kto potrzebowałby miejsca do spania.

Nie odwołałem jeszcze miejsca w hotelu, gdyż zanosilo się tu na taki ruch w najbliższych dniach, że mógłbym zapragnąć przestrzeni dla siebie. Mogę też chcieć odciąć się od cierpienia.

Kiedy kładłem torby pod ścianą, Richard Vaughn wciąż mi się przyglądał. Potem ktoś do niego zagadał i odwrócił jego uwagę. Wtedy to zapukałem do drzwi, a rozmowa po drugiej stronie ucichła. Zapukałem ponownie.

- Proszę - usłyszałem głos Debry.

Zanim nacisnąłem klamkę, poczułem zapach bananowych i kokosowych kadzidełek.

Debra siedziała na łóżku. Obok niej Shelby. Mój wzrok spoczął na niej. Wspomnienia znów odżyły.

- Cześć - odezwałem się w końcu.

- Cześć - odpowiedziała chłodno Shelby.

Nie uśmiechnęła się. Nie spojrzała w moją stronę. Była obojętna.

Skłamałbym, mówiąc, że nie wyglądała świetnie. Wyglądała dużo lepiej niż wtedy, gdy widziałem ją po raz ostatni. Wszystkie moje kochanki nie mogły się do niej umywać.

Sypialnia Debry miała rozmiary apartamentu. Była tam dwumiejscowa sofa, kilka krzeseł, okrągła kabina z dwoma prysznicami i wanna. Za rogiem znajdowała się przebieralnia, która przypominała garderobę z planu filmowego.

Shelby zakręciła się w miejscu, po czym wstała z ogromnego łóża. Obróciła się do mnie plecami i przyglądziła popielato-brzoskwiniową narzutę, na której siedziała, podeszła do czarnej lakierowanej komody. Nerwowo pokręciła głową, poprawiła kolorową apaszkę, którą miała owiniętą wokół szyi i wsunęła ręce do kieszeni.

Debra była spokojna. O wiele spokojniejsza, niż kiedy pojawiłem się po raz pierwszy.

- Debra? - odezwałem się. Uniosła głowę.

- W którym łóżku mnie położysz?

- Śpisz w środkowym pokoju - wskazała palcem.

- W środkowym pokoju są moje rzeczy - wtrąciła się Shelby. Spojrzała na odbicie Debry w lustrze. Potem na mnie. Kiedy nasze spojrzenia natrafiły na siebie, zajęła się przyglądaniem bluzki i kamizelki. Było w niej coś, co wprawiało mnie w niepokój. Musiałem udawać, że przebywanie z nią pod jednym dachem nie jest dla mnie krępujące.

- Więc zajmiesz ostatni pokój - Debra potarła nos. Miałem spać tuż obok Shelby.

- W kuchni jest mnóstwo jedzenia - powiedziała Debra.

- Wiem. Już się poczęstowałem.

Trzymała terminarz i złotą bransoletkę Leonarda. Na telewizorze leżały taśmy z jego skeczami i filmy, w których występował.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytałem.

- Wszystko w porządku - odparła Debra. Zabrałem bagaż i zamknąłem za sobą drzwi.

Mój pokój miał zwykle białe ściany. Normalnych rozmiarów łóżko z brzoskwiniową pościelą okrywała ciężka zielona narzuta, a w nogach spoczywały dodatkowe poduszki i kołdra. Włączyłem wentylator sufitowy i uchyliłem okno, by wprawić powietrze w ruch.

Ledwie zdążyłem położyć walizkę na łóżku, kiedy w drzwiach pojawił się Richard Vaughn, który wciąż przechylał głowę na boki, niczym jakaś dziecinna zabawka. Pomyślałem, że być może niedawno zapuścił brodę i dlatego nie potrafię skojarzyć jego twarzy. Miał zbyt szorstkie ręce, aby być gejem, ale w Los Angeles nigdy nic nie wiadomo.

- O co chodzi, bracie? - zniżyłem ton.

- Właśnie miałem zapytać o to samo.

- Spotkaliśmy się już kiedyś?

- Ale nie osobiście. Jestem Richard Vaughn.

- No i dobrze - wzruszyłem ramionami.

- Jestem z Shelby.

Zawiesiłem głos na sekundę, a potem westchnąłem wymownie. Teraz wszystko było dla mnie jasne. Starłem się zachować spokój i maskowałem zaskoczenie, zajmując ręce rozpakowywaniem rzeczy.

- Mamy zamiar się pobrać. - Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. - Jestem jej narzeczonym.

- Narzeczonym?

- Więc chcesz mi powiedzieć, że o tym nie wiedziałeś?

- Nie oglądałem dziś jeszcze CNN.

Omal nie przytrzasnąłem sobie palców, zamykając walizkę. Richard Vaughn stał obok, jakby na coś czekał.

- No cóż, moje gratulacje - powiedziałem, zniżając głos.

- Chciałem, żebyś o tym wiedział.

- Dzięki za informację.

Nadal się nie ruszał z miejsca. Wciąż kiwał głową, jakby między jego uszami brzmiała jakaś muzyka. Ten nieustanny ruch działał mi na nerwy. Wpatrywaliśmy się w siebie przez sekundę, która zdawała się nie mieć końca. Czułem się, jakby sobie ze mnie drwił.

Wróciłem do rozpakowywania, nie zwracając na niego uwagi.

- Richardzie - zawołała z korytarza Shelby. - Chodź tu, kochanie. Chcę ci coś pokazać.

Jej głos był tak inny od tego martwego tonu, jakim mnie powitała. Zmienił się w kubek słodczy zaprawiony dwiema łyżeczkami czułości. Richard przestał maltretować brodę i przeniósł dłoń na czubek nosa. Jeszcze raz spojrzeliśmy po sobie, jak mężczyzna na mężczyznę. Wychodząc, zamknął drzwi, zostawiając mnie na środku pokoju z parą zielonych gatek w ręku.

Shelby przyjechała do domu mego przyjaciela ze swoim narzeczonym. Spali razem w sypialni tuż obok mnie. Krępujące było dla mnie to, że widziałem, kogo sobie znalazła po rozstaniu ze mną. Ale skoro są już zaręczeni, pewnie musiała poznać go wcześniej. Zresztą było to dla mnie bez znaczenia. Miałem na głowie poważniejsze sprawy.

Przejrzałem się w lustrze i postanowiłem wrócić do salonu, by zobaczyć, kogo tam jeszcze zastanę. Chciałem wdać się w jakąś niezobowiązującą konwersację, a może wypić coś mocniejszego. A najbardziej - narzucić kurtkę, opuścić dach samochodu i wybrać się na przejażdżkę w poszukiwaniu jakiejś knajpy przy Rodeo Drive w okolicy Dorsey High, gdzie mógłbym zabrać starych przyjaciół - moich i Leonarda.

Kiedy otworzyłem drzwi, Shelby i Richard, trzymając się za ręce i flirtując, wracali korytarzem. Było tam dość szeroko, ale w zamkniętej przestrzeni wydało mi się, że wpadamy na siebie. Czułem się niezręcznie. Nie chciałem opuszczać wzroku, choć wołałem uniknąć przykrych spojrzeń.

Shelby obdarzyła mnie nieprzyjemnym uśmiechem i odwróciła głowę. Richard nie odrywał ode mnie oczu i uśmiechał się z wyższością, jak gdyby wygrał bitwę.

- Shelby, Richard - powiedziałem, kiedy znaleźli się na wprost mnie. Staliśmy tak blisko siebie, że mogłem poczuć ich oddechy.

Shelby zatrzymała się i puściła rękę Richarda. Na jej czole pojawiło się kilka poprzecznych zmarszczek, kiedy nasze spojrzenia się spotkały. Uniosła rękę i nawinęła na palec kosmyk włosów.

Uwaga Richarda skupiła się na niej, a potem na mnie.

- O co chodzi? - zapytał.

- Moje gratulacje - odparłem. - Pasujecie do siebie.

Przykro było mi to mówić i wcale tak nie myślałem, ale nadeszła pora, by w moim życiu przywrócić trochę ładu i realizmu. By pokazać, że jestem doskonalszym mężczyzną niż ten drugi. Poza tym musiałem uszanować dom swojego przyjaciela. Staralem się, aby moje słowa nie zostały zabarwione emocjami, i miałem nadzieję, że nie było w nich czuć sztuczności ani rozczarowania. Nie chciałem zostać odebrany jako ktoś małostkowy czy zawistny.

- Dziękuję, Tyrel - Shelby miała kamienną twarz.

- Tak, dzięki - Richard ruszył w stronę salonu. Shelby poszła za nim jak posłuszna kobieta z Bliskiego Wschodu, która podąża kilka kroków za swoim mężem. Kiedy znikł już za rogiem, idąc w stronę grupki ludzi stojących przy drzwiach, Shelby zerknęła na mnie przez ramię. Pomachała mi na pożegnanie.

- Tyrel? - usłyszałem za plecami.

Debra stała w drzwiach swej sypialni oparta o framugę i trzymała rękę na brzuchu. Uśmiechała się. To jej pomachała Shelby, nie mnie. Jeszcze raz pozwoliłem sobie na złudzenia.

- Jak się czujesz? - wszedłem do jej pokoju.

- Dobrze - powiedziała. - Najlepiej jak potrafię w całej tej sytuacji.

Debra usiadła na łóżku i masowała sobie stopę. Powiedziała mi, że nekrolog został przygotowany, i poprosiła, żebym go obejrzał, zanim zostanie przekazany do powielenia. Nie chciała, aby ktokolwiek przychodził na pogrzeb ubrany na czarno. Na tym tle doszło do konfliktu między Debrą i matką Leonarda, która życzyła sobie również, by urządzić czuwanie przy zwłokach.

- Nigdy nie rozumiałam sensu czuwania - powiedziała Debra.

- To stara tradycja z Południa.

- Ale my nie jesteśmy starzy i nie jesteśmy z Południa.

- Jestem z tobą.

- Chciała porozmawiać ze mną o dokumentach ubezpieczeniowych.

- Już czyhają na forszę?

- Owszem.

Usiadłem na podłodze, przysunąłem się do niej i zacząłem masować jej stopę. Debra odskoczyła gwałtownie.

- Mam łaskotki - powiedziała.

- Zapomniałem.

Siedzieliśmy przez parę minut, słuchając optymistycznej muzyki, która dobiegała z salonu. Rachele Ferrell i Will Downing śpiewali w duecie. Powiedziałem jej, że Bliźniaczka i mama wybierają się na pogrzeb. Uprzedziłem, że ojciec też będzie.

- Chcesz wrócić do salonu? - zapytałem. - Właśnie widziałem kilka osób z Leimert Park. Faceta, który prowadzi czarne muzeum, i tę podobną do Leny Horne damę, właścicielkę księgarni, gdzie razem zaglądaliśmy.

- Powinam. - Uniosła się, by wstać, ale opadła z powrotem na łóżko. - Ale nie teraz.

- Dobrze się czujesz?

- Nie chcę być smutna. Leonard był wesołym człowiekiem i ja też nie chcę płakać w ich obecności.

- Ludzie to rozumieją. Nie musisz być silna. Wszyscy jesteśmy z tobą. Martwi mnie, że tłumisz uczucia.

- Pozwól mi być sobą. - Zmierzyła mi włosy na czubku głowy. - Kiedy będę gotowa, do ciebie pierwszego zadzwonię.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. - Pocałowała swoją dłoń i dotknęła mojej twarzy.

Debra powiedziała, że zanim wszyscy się rozjadą, chce wyprawić w domu uroczyste przyjęcie. Leonard kochał jazz i bluesa, więc zamówiła zespół, na którego koncerty zabierał ją do Fifth Street Dick's. Przypatrywałem się zdjęciom, które stały na komodzie. Zdjęcia zrobione w Afryce Południowej i w South Central. Na szafce nocnej leżały ich ślubne fotografie. Na jednej z nich stałem obok Leonarda, a Shelby obok Debry. Zauważyła, że się mu przyglądam, sięgnęła po nie i wręczyła mi.

- Żebyś nie zapomniała. Byłbyś tak dobry i spróbował otworzyć drzwi do garażu?

- Znow się zaklinowały?

Debra syknęła, przewróciła oczami i przytaknęła.

- Tak. Nie mogłam dać sobie z nimi rady, a Shelby też była bezsilna. Ubrudziłam sobie bluzkę lodami, kiedy walczyłam z pilotem. Gdyby udało ci się je otworzyć, proszę, wstaw tam mój samochód. Możesz zaparkować swój na miejscu Leonarda.

Jeszcze raz spojrzałam na zdjęcie, zanim je odłożyłam.

- Mam nadzieję, że zostaniesz - powiedziała.

- Pewnie. Dlaczego miałbym nie zostać.

- Nie chciałabym, żebyś czuł się niezręcznie, kiedy jest tu Shelby ze swoim przyjacielem.

- Czemu miałbym czuć się niezręcznie?

- Są zaręczeni - odparła po chwili milczenia. - A tobie wciąż na niej zależy.

Podszedłem do komody i wziąłem kluczyki od samochodu. Debra zauważyła moje pytające spojrzenie.

- Nic o tym nie wiedziałam - powiedziała cicho.

Wymieniliśmy słabe uśmiechy.

32.

SHELBY

- O co ci chodzi? - krzyknęłam.

Wyszliśmy na zewnątrz i pociągnęłam go w stronę garażu, gdzie krzewy zapewniały nam schronienie, ale czujnik uruchomił światła. Od strony tylnego wejścia nikt nas nie widział, więc było to najlepsze miejsce, gdzie mogłam rozpuścić włosy i dać temu pajacowi pole do popisu.

Richard oparł się o samochód Debry i zaczął skubać brodę. Słyszał, co powiedziałam, ale grał na zwłokę, doprowadzając mnie do wściekłości. Czułam ból w skroniach. Zatrzymałam się, wzięłam głęboki wdech i wydech, po czym usiłowałam się skupić.

- Mają tu basen - powiedział Richard. - Szkoda, że nie umiem pływać.

- Nie ignoruj mnie.

- Co?

Oparłam dłoń na biodrze, wygięłam kręgosłup i nachyliłam głowę w jego stronę. Wyglądałam prawie jak rozhisteryzowana sierota z getta, ale w porę udało mi się zmienić ton na bardziej dojrzały.

- Dlaczego przesadzasz? - szepnęłam.

- To ty przesadzasz.

- Richardzie. Słyszałam cię. Debra też cię słyszała. Po jaką cholere wchodzisz do pokoju Tyrela i próbujesz coś mącić?

Richard uniósł ręce do góry, jakby się poddawał.

- Może gdybyś znalazła czas, by przedstawić mnie swoim tak zwanym przyjaciołom, to nie okazałoby się, że przesadzam. A kiedy tylko przestąpiliśmy próg, ty uciekłaś...

- Nie uciekłam. Debra miała parę spraw do załatwienia.

- Zostawiłaś mnie tak, że bym stał sobie z rękami w kieszeniach. Nie znam tu nikogo, więc to z mojej strony przyjazny gest, kiedy się komuś przedstawiam. Czy to problem, że poznaję kogoś, kogo ty znasz? Po naszym ślubie to będą też moi przyjaciele, prawda?

Omam nie opadłam na cztery łapy i nie zawylałam jak suka do księżyca, ale zdążyłam się powstrzymać. Próbowałam ćwiczyć samokontrolę, zanim stracę panowanie nad sobą. Pot spływał mi po szyi, zażenowanie rozchodziło się po całym ciele. Nie miałam w tym momencie ochoty pogłębiać swego upokorzenia, pozwalając, by mój język wyrzucił wszystkie plugastwa, jakie we mnie wzbierały.

Z miejsca, gdzie stałam, widziałam ludzi wychodzących grupami, jakby właśnie zamknięto knajpę. Niektórzy wsiedli do samochodów czekających u wylotu ślepej uliczki, inni wracali do domów na piechotę. Tłumiłam w sobie wściekłość, dopóki przed domem nie zrobiło się całkiem pusto.

- Co jest między tobą a nim? - odezwał się wreszcie Richard.

- Nim, znaczy kim? On ma imię.

- Nie zachowuj się głupio.

Głupio? Zdecydowanie użył nieodpowiedniego słowa. Zebrałam się w sobie i zamachnęłam tak mocno, jak tylko potrafiłam. Na pewno nie był to cios w stylu Holyfielda. Moja ręka trafiła w próżnię, zrobiłam piruet, straciłam równowagę i wylądowałam na tyłku. Jęknęłam, żałując, że nie potrafię walczyć tak dobrze, jak pyskować.

- Wszystko w porządku? - zapytał Richard.

- Pomóż mi wstać, kochanie - wyciągnęłam do niego rękę.

Kiedy znów znalazłam się na nogach, otrzepałam siedzenie i znów zrobiłam zamach. Zrobił jakiś frajerski unik i trafiłam go w ramię. Ręka zabolala mnie jak cholera. To był pierwszy raz w moim życiu, kiedy uderzyłam kogoś w złości.

- Hej! - Richard uskokzył do tyłu. Uniósł ręce i zrobił krok w moją stronę, ale zatrzymał się, widząc, że jestem gotowa, by znów uderzyć. Wzięłam głęboki oddech. Wdaliśmy się w prowadzącą donikąd sprzeczkę. Richard podszedł bliżej, ale wciąż trzymał się na dystans.

- W porządku, Shelby. Będę z tobą uczciwy.

- Dobrze.

- Bardziej niż ty byłaś ze mną.

- W porządku. Niech ci będzie.

- Więc co jest między wami? - westchnął ciężko.

- Niczego do cholery nie ma. - Akcentowałam ruchem głowy każde słowo. - Uprzedzałam cię i wiedziałeś, że on tu będzie.

- Nie uprzedziłaś mnie, że zatrzymacie się w tym samym domu. Pewnie mieliście zamiar zamieszkać w tej samej sypialni.

- To nie takie przyjęcie.

- Dlaczego nie chciałaś, żebym tu z tobą przyjechał? - Richard ściszył głos.

- Nie mówię, że nie chciałam. Nie zapytałeś.

- Jestem twoim narzeczoną, więc nie muszę pytać.

- Owszem, musisz.

- A to dlaczego?

- To, że jestem z tobą zaręczona, nie oznacza, że masz mnie na własność.

- Spotykałaś się z Tyrelem?

Ścisnęło mnie w gardle. Jego pytanie było śmiertelnie poważne i bardziej przypominało stwierdzenie. *Spotykałaś* zabrzmiało jak *sypiałaś*. Próbował mnie podpuszczać, ale nie dałam się sprowokować. O ile było mi wiadomo, żadne z nas nie zrobiło niczego, co byłoby dobrym powodem do rozstania. Niczego. Nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy, o których myślałam. Cholera, żałowałam, że nie mam czego żałować.

- Latałaś tu bardzo często - zauważył Richard.

- Nic na to nie poradzę, że lądują tu samoloty.

- Nie kpij sobie ze mnie.

Zamierzałam go zostawić i wrócić do środka, ale musiałam skończyć tę rozmowę. Nie chciałam prowadzić tej domowej sprzeczki w obecności Debry. A na pewno nie w obecności Tyrela.

Richard oparł się o maskę benza. Unikałam go, więc próbowałam usiąść na bagażniku, ale karoseria była nawoskowana i za każdym razem ześlizgiwałam się jak ze zjeżdżalni i zataczałam, jakbym była pijana z gniewu.

- Nie dzwonił do ciebie? - Richard podszedł do mnie.

- Której części tej rozmowy nie zrozumiałaś?

To było błędne koło. Wysłałam tu z nim, by zmyć mu łeb i przywołać go do porządku, a tymczasem pozwalałam, aby to on przejął kontrolę.

- Okłamałaś mnie, Shelby - powiedział.

Tego było już za wiele. Richard wcisnął rękę do kieszeni i obrócił się, jakby chciał gdzieś pójść, ale od razu zawrócił.

- W telefonie, który ci kupiłem, jest powtarzanie ostatniego wybranego numeru - dodał.

Jego głos był chłodny, ale ja też byłam jak Królowa Śniegu.

- No i co? - spytałam.

Przerwaliśmy nasze przerzucanie piłeczki, słysząc jakieś głosy w ciemności. Ktoś rozmawiał przy tylnym wejściu, a potem drzwi się zamknęły. Wyprostowaliśmy się. Przybrałam odpowiednią pozę i przysunęłam się pół kroku do Richarda.

Z ciemności wyłonił się Tyrel, który wyglądał jak czarna chmura gotowa lunąć na kogoś deszczem. Miał taką minę, jakby ktoś nastąpił mu na odcisk. Szedł w naszą stronę. Kiedy krzywe nogi zaniósły go tak blisko nas, że mogłam dokładnie zobaczyć dołek w jego brodzie, zacisnął usta, a w oczach pojawił mu się błysk.

Patrzył na mnie z taką intensywnością, że czułam się ugodzona jego spojrzeniem. Zjeżyły mi się włosy na rękach, a skóra zaczęła świerzbić, jakbym dostała wysypki.

Tyrel patrzył na mnie. Potem na Richarda i to w nim utkwił wzrok. Nie odzywali się przez sekundę albo dwie.

- Miło znów z tobą porozmawiać, Richardzie Vaughn - odezwał się Tyrel.

- A więc postanowiłeś przestać udawać naiwniaka - pokiwał głową Richard.

Tyrel

- Nikogo nie udaję.

- Człowieku, proszę cię - odparł Richard

Splunąłem na ziemię i ruszyłem w stronę Shelby. Kiedy znalazłem się zbyt blisko, skurczyła się i drobnymi kroczkami zeszła mi z drogi.

- Przepraszam - otworzyłem drzwiczki samochodu, nachyliłem się do środka i sięgnąłem za osłonę przeciwsłoneczną. Kiedy nacisnąłem pilota, rozległo się brzęczenie i brama garażowa powędrowała w górę gładko i posłusznie. Tak samo jak życie powinno się obchodzić z bratem takim jak ja.

Shelby wciąż stała oparta o samochód. Zadzwoiłem kluczykami.

- Shelby, jeśli nie masz nic przeciwko temu, Debra prosiła, bym wstawił jej samochód do garażu - powiedziałem szorstko.

Zapach jej perfum tańczył w powietrzu unoszony powiewem bryzy. Richard Vaughn rozprostowywał i zaciskał palce, jakby zmagał się z artretyzmem, i gapił się na mnie, kiedy siadałem za kierownicą. Sprawdziłem ponownie pilota, który tym razem nie zadziałał. Wysiadłem, otworzyłem bagażnik i sięgnąłem do torby, którą Leonard kupił w sklepie Sav-On, i wyjąłem z niej paczkę baterii.

- Tyrel - usłyszałem głos Debry. Wzdrygnąłem się tak samo jak na dźwięk głosu mamy, która wzywała mnie do domu po zapadnięciu zmroku. Shelby i Richard aż podskoczyli wystraszeni. Debra wyłoniła się z mroku. Na ubranie zarzuciła czerwony szlafrok z kapturem, a w ręku trzymała szklankę soku pomarańczowego. Miała przekrwione oczy.

- Dobrze się czujesz, Debra? - spytałem.

- Wszystko w porządku? - przyłączyła się Shelby.

- Tylko robię obchód, zanim położę się spać - Debra zawiesiła głos, przyjrzała się nam po kolei i pociągnęła łyk ze szklanki. Odchrząknęła, potarła twarz i wskazała na garaż. - Jest późno, a moi sąsiedzi już śpią. Przystaw samochód, Tyrel, a potem idźcie, proszę, do domu.

Skinąłem głową. Stała przez chwilę w cieniu.

- Shelby - odezwała się Debra. - Czeka nas rano jeszcze parę spraw.

Ruszyła w stronę domu, weszła po dwóch ceglanych schodkach i zamknęła drzwi odrobinię za mocno. Nie było to celowe. Czasami drzwi trzaskają z powodu jakichś drobnych usterek.

Richard stał przodem do mnie, ale patrzył w stronę swojej kobiety. Wciągnąłem haust zimnego wieczornego powietrza, a wypuściłem je rozpalone niczym smoczy oddech. Odkąd przypomniałem sobie jego głos, trudno było mi udawać, że nie wiem, o co chodzi. Kiedy byłem wkurzony, mówiłem, co mi ślina na język przyniosła, bez cięć i cenzury.

- Richardzie, chodźmy do środka - powiedziała Shelby.

Ruszyła w poprzek trawnika, a jej krok zamienił się w trucht. Rozpakowałem baterie i odsunąłem klapkę z tyłu pilota, by je wymienić. Richard stał tak blisko, że czułem jego energię. Nie poruszał się, więc spojrzałem na niego. Jego dłonie przestały się otwierać i zamykać. Patrzył w stronę domu, odprowadzając swoją kobietę beznamiętnym wzrokiem. Potem skierował na mnie spojrzenie wściekłego psa.

Był jakieś pięć centymetrów wyższy i dziesięć kilo cięższy, ale to nie miało znaczenia. Jeden cios w gardło i charczałby, zalewając się łzami. Dobrze, że Debra pojawiła się w odpowiednim momencie. Jej widok pozwolił mi dostrzec pewne rzeczy z perspektywy, przypomniał mi, po co tu jestem, i powstrzymał od drażenia tematu. Splunąłem na ziemię i odwróciłem się do samochodu.

Richard również splunął i nadal trwał w bezruchu. Z mojej miny mógł wyczytać, że lepiej, aby tak zostało. Ponieważ nie zbliżał się do mnie, zignorowałem go i zacząłem wymieniać baterie w pilocie.

- Dopierdolę ci - warknął.

- Masz zbyt daleko do domu, żeby rozrabiać - odpowiedziałem.

Złożył pięści i zrobił mały krok w moją stronę. Przesunąłem się do światła. Dzielili nas dwa metry ubitej ziemi. Na jego zaciętą minę odpowiedziałem granitowym spojrzeniem. Mina mu zrzędała. Napiął mięśnie. Właśnie miał otworzyć usta i coś powiedzieć, kiedy Shelby zawołała go po imieniu.

- Twoja suczka cię woła - wyszeptałem.

- Co?

- Najlepiej zrobisz, kiedy polecisz do swojej dziwki.

Richard przełknął ślinę, zazgrzytał zębami i zrobił parę kroków w tył, jakby nie miał ochoty się odwracać.

- Lepiej się pilnuj - warknął.

- Richard! - zawołała znów Shelby.

Szybkim krokiem poszedł w stronę domu.

- I o to chodzi - mruknąłem, przedrzeźniając ton jego głosu.

Kiedy przed paroma minutami wyszedłem z domu, zatrzymałem się w drzwiach, słysząc urywki ich kłótni. Nie miałem zamiaru podsłuchiwać, ale to zrobiłem. Zresztą w miejscu, gdzie stałem, nie było słyhać zbyt wiele, gdyż rozmawiali szybko i ściszymi głosami. Nie słyszeli, że wychodzę, bo tym razem drzwi nie wydały żadnego dźwięku. Na podsłuchiwaniu przyłapała mnie Debra. Stała za mną i też nadstawiła ucha. Na samym szczycie jej zmartwień wyrosło jeszcze jedno. Stałem tam na tyle długo, by przypomnieć sobie melodykę głosu Richarda. Na tyle długo, by zdać sobie sprawę, że ten człowiek próbuje mnie sprowokować w domu mojego przyjaciela.

Kilka miesięcy temu jakiś debil wydzwaniał co godzinę do mojego mieszkania w Oaktown i rozłączał się, kiedy podnosiłem słuchawkę. Kiedyś wreszcie się odezwał.

- Będę z panem szczery, panie Williams - powiedział. - Co pana łączy z moją kobietą? Wiem, że ona wymyka się na spotkania z panem. No, więc o co tu chodzi?

- O co chodzi? - powtórzyłem, naśladując jego głos, i parsknąłem śmiechem.

Spotykałem się z Lorną i właśnie zerwałem wszystkie przelotne znajomości, więc nie bardzo wiedziałem ani też nie obchodziło mnie, o kim on mówi. Próbował rozpętać bitwę, kiedy było już po wojnie, długo po tym, jak opadł kurz, a wiatr rozwiał zgliszcza. Miałem odpowiedni nastrój, więc zacząłem się bawić.

- O co ci chodzi? O to, że ona tu dochodzi? Nie zrozumiał dowcipu.

- Dorwę cię i dostaniesz po ryju - oświadczył. Ta groźba wytrąciła mnie nieco z równowagi.

- Jeszcze raz, jak ty się nazywasz? Ziutek Fiutek?

- Richard Vaughn.

- Po pierwsze, skoro była ze mną, musiała być moją kobietą. Twoja mogłaby być rano, ale tamtej nocy była moja.

- Czarnuchu...

- No dobra, Rysiu Pysiu. Zabawiałem się z twoją panienką, ale już z nią skończyłem, więc wyluzuj.

Richard zaczął wykrzykiwać wulgaryzmy, więc odsunąłem słuchawkę od ucha, żeby nie ogłuchnąć od jego wrzasków. Ściszyłem telewizor i czekałem. Przestał się wydzierać, kiedy pomyślał, że się rozłączyłem.

- Jesteś tam jeszcze? Halo? - zawołał wreszcie.

- A mówiłem ci, że ona lubi na pieska? - zaszczekałem kilka razy i odłożyłem słuchawkę.

W ciągu następnych kilku tygodni uznał, że zasługuję na co najmniej jeden głuchy telefon dziennie. Wybrałem *69¹⁵, ale dzwonił z zastrzeżonego numeru. W końcu przestał mnie nękać. Myślałem, że ten wariacki telefon dotyczył Lorny i że wydzwaniał do mnie jakiś frajer, który chciał znów zaciągnąć ją do łóżka.

Richard nie odezwał się już więcej. Ale za to się objawił.

¹⁵ Dostępna w Stanach Zjednoczonych usługa pozwalająca na zidentyfikowanie numeru telefonu - przyp. tłum.

34.

SHELBY

Zostawiłam tych idiotów na zewnątrz i weszłam do domu. W środku było pusto i cicho. Mężczyźni są tacy zadziorni, zwłaszcza kiedy nie ma o co zadzierać. Gdyby zapytać braci, dlaczego poszli na wojnę, większość nie potrafiłaby udzielić odpowiedzi. Walczył tylko po to, by walczyć. Zawsze próbują wywołać jakąś zadymę albo są gotowi wpakować się w coś, co rozpuścił ktoś inny.

Wszystkie światła były zgaszone i ciemność rozpraszały jedynie nocne lampki w korytarzu i skrawki księżycowej poświaty, przedzierające się przez błękitną zasłonę w kuchennym oknie. Wszędzie panował błogi spokój i aż zrobiło mi się przyjemnie, że wszyscy goście rozeszli się już do domów.

Szłam właśnie do sypialni, kiedy zawołała mnie Alejandria. Próbowała usadowić się wygodnie na barowym stolku przy kuchennym blacie. Gdyby mnie nie zawołała, nie zwolniłabym na tyle, by zauważyć, jak bardzo zmieniła się kuchnia. Od podłogi do sufitu lśniła czystością. To wystarczyło, bym zdała sobie sprawę, jak cholernie długo byłam na zewnątrz. Poskładane naczynia i zawiązane worki ze śmieciami świadczyły o tym, że wszyscy pomagali, tylko ja się wymigałam.

Żona Bobby'ego siedziała otoczona zdjęciami. Myślałam, że to fotki z ich ślubu w White Chapel w Las Vegas. Zerknęłam jej przez ramię i w tym samym momencie usłyszałam, jak Richard zbliża się po schodkach do kuchennych drzwi.

- To jesteś ty? - zapytała Alejandria.

Trzymała zdjęcie, które zrobiłam sobie z Tyrelem w zoo w Los Angeles. Otaczał mnie nogą, jakby wspinał się po mnie, a ja robiłam zeza, śmiejąc się i pokazując język. Wszystko to należało już do przeszłości i widok tego zdjęcia nie zrobił na mnie wrażenia.

Zanim ta suka nie zaczęła odbierać jego telefonu, wyobrażałam sobie, że gdybym kiedyś przypadkiem wpadła na Tyrela, powitałabym go uśmiechem i nawiązałabym serdeczną rozmowę. Gdyby się nie wzbraniał, wzięłabym go w objęcia. Myślałam o czymś miłym, co zaczęłoby się przyjacielskim uściskiem, przechodząc w gładzenie po plecach i przytulanie byłej dziewczyny. A gdyby nie próbował się wyswobodzić, cmoknęłabym go w policzek. A gdyby się wtedy uśmiechnął, delikatnie pocałowałabym go w usta, może lekko wysuwając język. Wyseptałabym „Obispo”, a potem oddaliłabym się pełnym wdzięku seksownym krokiem, nie zerkając za siebie.

Ale cały ten szum dawno już ucichł.

- Tak, to byłam ja - odpowiedziałam tak szybko, że słowa zlały się w jedno. Wzięłam oddech, okręcając włosy wokół palca. - To byłam ja.

- Tak ładnie wyglądasz.

- Dziękuję.

Czerwone cyferki wbudowanego w ekspres do kawy zegara pokazywały pierwszą. Wyszłam z kuchni bez słowa i udałam się do sypialni, którą tej nocy miałam dzielić ze swym narzeczonym. Kuchenne drzwi zamknęły się z lekkim łoskotem. Kiedy się obejrzałam, zobaczyłam, że Richard właśnie wszedł do domu i zerkał Alejandrii przez ramię. Przyglądał się mojej przeszłości. Gapił się na to, co przeminęło.

Kiedy tylko dotarłam do sypialni, usiadłam w nogach ogromnego łóża, opuściłam głowę i zaczęłam masować sobie kark. Richard zamknął za sobą drzwi i usiadł obok mnie.

- Przepraszam. - Był miły, a każdą sylabę tego słowa przepełniała skrucha. - Ale kocham cię. I pragnę.

Byłam tak pogrążona we własnych myślach, że choć wiedziałam, gdzie jestem, nie zdałam sobie sprawy z obecności Richarda, dopóki się nie odezwał. Przysiadł się tak samo niepostrzeżenie, jak Nancy Nimfomanka, kiedy zdybała mnie nago w saunie.

- Nie wiem co... - powiedział, gładząc mnie dłonią po nodze - ... ale wiem, że coś między wami zaszło.

- Przestań - odtrąciłam jego rękę. - Nic nie zaszło.

Zerwałam się i podeszłam do lustra, byle tylko stanąć dalej od niego. Poluzowałam apaszkę i zauważyłam, że ślady ukąszeń wyglądają nie mniej koszmarnie niż rano. Kiedy zaczęłam rozczesywać włosy, Richard westchnął i położył się w poprzek łóżka.

- Pewnego wieczoru przyszedłem do ciebie - zaczął - a kiedy wszedłem do mieszkania, rozmawiałaś właśnie przez telefon. Bardzo szybko się rozłączyłaś. Właściwie rzuciłaś słuchawkę. Powiedziałaś, że jesteś zaskoczona, widząc mnie tak wcześnie. Że spodziewałaś się mnie później i właśnie dzwoniłaś, by się upewnić.

Mówiąc to, utkwił spojrzenie w odbiciu mojej twarzy. Cokolwiek by mówił, było to równie interesujące jak słuchanie paplaniny sześciolatniego dziecka. W tym, co mówił, nie było niczego nowego. Richard zazwyczaj odwiedzał mnie późno wieczorem. Od naszych zaręczyn zaczął przychodzić bez uprzedzenia. Naciskał dzwonek u drzwi zaraz po zamknięciu sklepu. Robił to tak często, że żaden z tych wieczorów nie zapadł mi szczególnie w pamięć.

Richard położył się na plecach i zamknął oczy. Widać zmęczyło go to, jak mu się przyglądałam.

- Z początku nie zastanawiałem się nad tym zbyt - kontynuował. - Kiedy następnego dnia rano wskoczyłaś pod prysznic, postanowiłem odsłuchać twoją automatyczną sekretarkę. A ponieważ byłem według ciebie ostatnią osobą, do której dzwoniłaś, nacisnąłem ponowne wybieranie.

- Czy mógłbyś przejść do rzeczy? - Jego podchody zaczynały mnie nużyć.

- To nie był mój siedmiocyfrowy numer. Słyszałem więcej impulsów.

- No i co?

- Telefon odebrał Tyrel.

Coś we mnie zamarło i poczułam się, jakbym dostała udaru. Szczotka wyslizgnęła mi się z rąk i niemal bezdźwięcznie upadła na podłogę. Wiedziałam, że dzwoniłam do Tyrela, ale dokładnie przypominałam sobie tylko ten jeden raz. Kiedy odebrała tamta suka. To był moment, który zmienił wszystko. Gdyby ona wtedy nie podniosła słuchawki, nie wybrałabym się tydzień później z Richardem do Palm Springs. Pamiętałam to uczucie zazdrości, ale nie przypominałam sobie, abym rzucała słuchawkę.

- Chyba musiałem cię wtedy nakryć - Richard ciągnął niezmordowanie jak króliczek z reklamy Energizera. - Nie miałem takiego zamiaru. Ani też cię nie szpiegowałem. Drzwi nie były zamknięte i spodziewałaś się, że przyjdę.

Zastanawiałam się, co powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Richard usiadł, otworzył oczy i patrzył na mnie. Odwróciłam wzrok.

Gdyby Richard nacisnął ponowne wybieranie i dodzwonił się do Tyrela, mogła odebrać ta sama wywłoka. Być może podpatrzył jakiś numer i uznał, że dzwonię do Tyrela. Mógł to być równie dobrze numer Debry, a ponieważ Richard nigdy nie rozmawiał z Leonardem, mógł nie poznać go po głosie. Nie chodziło mi o komiczny wysoki głos, jakiego używał na scenie, ale ten zrównoważony ton, jakim mówił w domu i rozmawiał z przyjaciółmi.

Tak, to Leonard mógł odebrać telefon. Mógł to być nawet Bobby. Cholera. Tyrel też mógł tam być, z tego, co mi wiadomo. W ciągu sekundy doszłam do wniosku, że Richard blefował. W przeciwnym wypadku byłabym jego ofiarą, skoro grzebał w moim życiu i naruszał prywatność.

- Dlaczego kłamiesz, Richardzie? - zapytałam.

- To najlepsze, na co cię stać? - pokręcił głową.

Rozległ się szcęk otwieranych drzwi w sypialni Tyrela. Chwilę potem zamknęły się. Znieruchomiałam i popatrzyłam w tamtą stronę. Kiedy znów spojrzałam w lustro, zobaczyłam kpiący uśmiech Richarda. Wpatrywał mi się w oczy, a ja starałam się unikać jego spojrzenia.

- Shelby, dlaczego patrzysz w taki paranoiczny sposób? - zapytał.

- Dlaczego mi to robisz?

- Jeśli mi nie wierzysz, pobiegnij tam i zapytaj. Ale ty już wiesz. I on wie. Właśnie się to wydało.

- Niby co miałyby się wydać? Skoro utrzymujesz, że rozmawiałeś z Tyrelem, powinieneś się dowiedzieć, że ja z nim nie rozmawiałam.

- Powiedział mi co innego - Richard podniósł lekko głos.

- Dlaczego miałyby kłamać? - zapytałam.

- On miałyby kłamać?

- Jeden z was kłamie i obaj przeginacie.

- Mylisz się. To każde z was kłamie, do czego on przyznał się w twojej obecności, a ty wciąż nie potrafisz zdobyć się na szczerść.

- Do czego się przyznał?

- Że ze sobą rozmawialiście - wyjaśnił Richard.

- Nie. Powiedział, że miło znowu porozmawiać z tobą, a nie ze mną.

- No cóż, skoro ty nie rozmawiałaś z nim, to on nigdy nie rozmawiałby ze mną.

- Ja z nim nie rozmawiałam.

- Może źle sformułowałem pytanie. A czy on rozmawiał z tobą?

Miałam już dość. Otworzyłam szafę i wyciągnęłam z niej pizamę oraz przybory do mycia zębów.

- Masz zamiar mi odpowiedzieć czy nie?

Przerzuciłam sobie pizamę przez ramię i chwyciłam butelkę mleczka kosmetycznego, by zmyć z twarzy wszystkie wrogie emocje. Głowa pulsowała mi przy każdym uderzeniu serca. Przytłumiony głos Richarda zdawał się dobiegać z bardzo daleka, jakby od mojego życia dzieliły go lata świetlne.

Zatrzasnęłam walizkę i wsunęłam ją do szafy, po czym ruszyłam w stronę drzwi.

- Dokąd się wybierasz tym razem? - spytał Richard. Nie odpowiedziałam.

Zostawiłam drzwi otwarte, by widział, że nie poszłam w stronę jaskini tyrana. Stojąc pod drzwiami Debry, obejrzałam się, by sprawdzić, czy Tyrel jest w salonie. Nie było go tam. Na moment znienawidziłam obu tych skurwieli. Po chwili moja twarz złagodniała. Czułam ulgę i rozczarowanie.

Debra cicho pochrapywała. Obeszłam łóżko i uklękłam obok jej twarzy, zastanawiając się, o czym śni. Ja zazwyczaj śniłam o swojej mamie. Śniło mi się, że jestem w samolocie, obsługuję przedział pierwszej klasy i ona tam jest. Siedzi w pierwszym rzędzie i uśmiecha się do mnie. Szepcze, że jest dumna z tego, co osiągnęłam. Prosi mnie, bym ją przytuliła, a ja odpowiadam, że muszę najpierw obsłużyć innych pasażerów. Odwracam się, a ktoś taki, jak Blair Underwood albo Robin Givens, albo Whitney Houston, czeka, aż doleję mu szampana. Kiedy odwracam się z powrotem, mamy już nie ma. Zawsze budziłam się taka smutna.

Żałowałam, że nie mogę znaleźć się we śnie swojej przyjaciółki.

Debra pachniała świeżością. Jej skóra lśniła w sączącym się z łazienki delikatnym świetle lampki, która paliła się obok podwójnej umywalki. Kiedy wstawałam, strzyknęło mi w kolanach. Debra ani drgnęła. Przez kilka minut przyglądałam się swojej najserdeczniejszej przyjaciółce. Uśmiechałam się. Potem odgarnęłam jej włosy i pocałowałam ją w policzek. Kiedy znów siadałam na podłodze, usłyszałam tykanie zegara, który stał po przeciwnej stronie łóżka. Wstałam i wyjęłam z niego baterie.

- Spokój - wyszeptałam.

Po wyjściu spod prysznicę wyrzuciłam papierowy talerzyk z resztkami lazanii do plastikowego kosza na drzwiach łazienki, a potem wślizgnęłam się do łóżka. Pokręciłam się trochę, ułożyłam wygodnie na przyzwoitym materacu i przysunęłam bliżej rozgrzanego ciała Debry. Chciałam być sama, ale nie samotna.

Zawsze czułam się silniejsza, kiedy Debra była przy mnie. Bardziej opanowana. Dobrze, że Debra spała i nie musiałam, jękając się i płacząc, niczego jej tłumaczyć ani uzasadniać. Z drugiej jednak strony nieznośne było dla mnie czuwanie w takiej ciszy, kiedy pochłaniało mnie tyle myśli. Zbyt wiele myśli pojawiało się w zbyt szybkim tempie. Galopowały, że miałam wrażenie, jakby każda stara myśl była tratowana przez nowe.

Przez dłuższą chwilę próbowałam nie przewracać się zbyt często z boku na bok i leżałam na plecach, gapiąc się w sufit i zastanawiając się, jakie pokręcone potrafi być życie.

Rano całe to szaleństwo miało zacząć się od nowa.

Tej nocy nie miałam ochoty płakać. Chciałam zasnąć.

35.

Tyrel

Byłem z Leonardem.

Jechaliśmy w jakieś miejsce, w którym nigdy dotąd nie byliśmy. Po obu stronach wąskiej drogi rozpościerała się zieleń przetykana kwiatami. Jechaliśmy szybko, ale nie czułem podmuchu. Na drodze nie było nawet najdrobniejszego wyboju. Jechało się gładko. Nie pamiętam, kto prowadził, ani nawet tego, czy auto w ogóle miało kierownicę.

Leonard zanosił się od śmiechu i recytował mi jakieś nowe kawałki. Nie słyszałem, co mówił, ale wiedziałem, że to musiało być zabawne, bo nie mogłem przestać się śmiać.

Potem ogarnęła nas jasność.

- Pora na mnie, muszę już wracać - uśmiechnął się Leonard.

- Dokąd wracać? - spytałem, osłaniając oczy przed blaskiem. Leonard patrzył prosto w światło.

- Do pracy - powiedział. - Zarezerwuję stolik dla ciebie, Debry i Shelby. Ucałuj Debrę ode mnie, dobrze?

- Leonardzie?

- I pogłaszcz ją po brzuchu.

Światło stało się jeszcze bardziej oślepiające. Zbyt jasne, bym mógł w nie patrzeć. A potem zgasło tak szybko, jak się pojawiło. Kiedy odsłoniłem oczy, Leonarda nie było. Próbowałem wołać go po imieniu, ale nie mogłem wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

* * *

Obudziłem się i spojrzałem na zegarek. Była za siedemnaście czwarta nad ranem. Wiedziałem, że coś mi się śniło, ale nie mogłem sobie przypomnieć co.

Myślałem wciąż o Debrze i poczułem nieodparty impuls, by sprawdzić, co u niej. Zobaczyć, czy może spać. Czy nie płacze. Albo czy nie błąka się po domu. Stałem pod jej drzwiami i przyłożyłem ucho, Nie usłyszałem niczego, więc uchyliłem je na tyle, by zajrzeć do środka.

Wąskie pasmo światła padło na twarz Shelby. Spała jak zwykle na plecach. Skopała z siebie kołdrę i założyła nogę na nogę, a splątane włosy opadały jej na twarz. Miała na sobie pasiastą kolorową piżamę. Podeszedłem do niej i przyjrzałem się jej twarzy.

Bez makijażu wyglądała młodo i niewinnie. Wiedziałem jednak z całą pewnością, że nie jest cnotliwa. Dotknąłem palcem jej dolnej wargi i lekko odciągnąłem. Wydała subtelny odgłos, kiedy ją puściłem. Zmartwiałem, kiedy wyciągnęła rękę i podrapała się po nosie. Zacząłem się zastanawiać, jakby to było dotknąć znów wargami jej ust. Zastanawiałem się, czy wciąż smakuje tak samo.

Dotknąłem ustami jej warg i w moich zaspanych oczach pojawił się uśmiech. Czekoladka zawsze miała słodki smak. Pocałowałem opuszki swoich palców i delikatnie dotknąłem jej twarzy, a potem przesunąłem po ustach. Miała lekko rozchylone wargi, więc wsunąłem tam palec, by skraść więcej jej nektaru. Czekoladka zawsze miała słodki smak. Spojrzałem na jej biodra i pomyślałem o powtórzeniu tego rytuału.

Przeszedłem na stronę Debry i pocałowałem ją w policzek. Kiedy wstałem, by wyjść, Debra usiadła.

- Cześć, Tyrel. - Miała czysty głos. Nie spała.

- Dobrze się czujesz?

Wydała dźwięk oznaczający niepewność.

Podrapałem się po tyłku, zawróciłem i usiadłem obok niej. Pogładziłem ją po brzuchu. Dotknęła mojej dłoni. Jeszcze raz zapytałem ją, czy wszystko w porządku.

- Tak. - Nie otwierała oczu. - Wciąż się budzę. A ty?

- Obudziłem się minutę temu. - Ziewnąłem.

- Przepraszam. - Poklepała mnie po ręce. - Musiałam cię obudzić, kiedy zaglądałam do ciebie. Zdawało mi się, że coś mówisz, i zapaliłam światło na sekundę. Martwiłam się.

- Wszystko w porządku. Prześpij się trochę.

- Ty też. Dobranoc, skarbie.

Kiedy wychodząc, otworzyłem drzwi, Richard Vaughn stał w ciemnościach obok swego pokoju. Ziewnąłem i wróciłem do siebie. Zasypiałem, usiłując sobie przypomnieć, co mi się śniło.

36.

SHELBY

- Śpisz? - zapytała Debra.

Debra była na nogach od bladego świtu. Kiedy o piątej zaczęło ryczeć radio ustawione na budzenie, ze snu wyrwała mnie czołówka stacji KJLH. Obudziłam się i próbowałam podtrzymać rozmowę, ale odpłynęłam, zanim Cliff i Janine Jakaś¹⁶ weszli na antenę o szóstej.

- Już wstaję, już wstaję.

- Dzień dobry, Shelby - usłyszałam jeszcze jeden głos. Powoli rozkleiłam powieki i otarłam usta.

- Och. Witaj Alejandrio.

¹⁶ Cliff Winston i Janine Haydel prowadzą poranny program w radiu KJLH - przyp. tłum.

Żona Bobby'ego była ubrana w złotawy kostium i szpilki. Na rzęsach miała świeżo nałożony tusz. Obie pachniały świeżością.

Kiedy spałam, z kącika ust wydostała mi się odrobinka śliny i spłynęła na poduszkę. Zdarzało mi się to, kiedy byłam cholernie zmęczona. Stres był obciążeniem, z którym należało się liczyć. Obie zauważyły tę wilgotną plamę, więc nie próbowałam jej ukrywać.

- Która jest godzina? - Przeciągnęłam się i ziewnęłam.

- Dochodzi ósma - powiedziała Alejandria, po czym pocałowała Debrę w policzek i wyszła.

Debra była ubrana w za duży dres i miała zaczesane do tyłu włosy. Pomyślałam, że za chwilę dom będzie znów pełen gości.

- Wstawaj, śpiochu - Debra zrzuciła buty na płaskiej podeszwie. - Zaraz dziennikarze przyjdą zrobić ze mną wywiad.

- Jacy dziennikarze?

- Z „Entertainment Weekly”. - Jej głos nieco przycichł. - Robią reportaż o Leonardzie. Chcę mieć pewność, że wszystko będzie jak należy. Nie chcę, żeby rozpuszczali bzdury o czarnym, który ucierpiał przez Azjatkę. Nie zamierzam być wykorzystywana.

Nie wiem, czy kiedykolwiek słyszałam tyle gniewu w jej głosie. Uderzyło mnie to, jakbym dostała kroplówkę z kofeiną.

- Dasz sobie z tym radę? - zapytałam.

- Przemyślałam to. Modliłam się w tej intencji. Nienawidzę mediów.

- Dlaczego?

- Nie można im ufać. Wszystko przekręcają, wyolbrzymiają i traktują wybiórczo. Publikują wyrwane z kontekstu wypowiedzi i dwuznaczne informacje.

- Taką już mają robotę.

- Dlatego zgodziłam się na ten wywiad.

- Masz tremę przed obiektywem.

- Dlatego chcę, żebyście ze mną byli.

Nie spytałam, kogo miała na myśli. W mgnieniu oka zauważyłam, jak odzywają resztki jej osobowości z dawnych czasów. Wyglądało to tak, jakby była gotowa odłożyć na chwilę wytworny scenariusz i przeobrazić się w smarkulę z Market Street. Potem wróciła do roli damy, do której była urodzona.

Promienie słońca zaglądały przez pionowe żaluzje. Myszkując w swojej garderobie, Debra radziła się mnie, jak ułożyć sobie włosy i w co się ubrać do wywiadu. Nagle umilkła. Usłyszałam jej ciężkie westchnienie i dostałam gęsiej skórki. Stała bez ruchu, wpatrując się w garnitur Leonarda. Wstrzymałam oddech i wyprężyłam się. Debra wodziła palcami tam i z powrotem, dotykając każdej części ubrania. Gładziła ramiona marynarki, jakby wciąż miał ją na sobie Leonard. Zaczęła przeglądać jego paski. Przygryzła wargi, a jej ramiona oklapły.

Podeszłam do niej i wzięłam ją za rękę.

- Pozwól mi to zrobić - powiedziałam.

Odprowadziłam i posadziłam Debrę z powrotem na łóżku i zaczęłam wyciągać sukienki, jedną po drugiej. Kiedy któraś się jej podobała, kiwała głową, a kiedy nie, uśmiechała się z politowaniem. Rozgadałam się, usiłując wypełnić pokój innymi dźwiękami niż te dochodzące z radia, ale Debra milczała.

- O której wstałaś? - spytałam, ziewając.

- Zasłaniaj usta, kiedy to robisz, proszę.

- Cicho. - Znów ziewnęłam.

Debra zrobiła to samo, zakrywając dłonią usta.

- Wstałam na tyle wcześnie, że Alejandria zdążyła zawieźć mnie do domu pogrzebowego. Musiałam zawieźć... - przełknęła ślinę - ... zawieźć mu garnitur.

- Dlaczego mnie nie obudziłaś?

- Chciałam zrobić to sama - odparła. - Ta błękitna sukienka jest dobra. Wiesz, jak Leonard nie cierpi ciemnych kolorów.

Po raz kolejny język stanął mi kołkiem.

- Tak - próbowałam być dziarska. - Jasne kolory i jasne kobiety.

- To prawda.

Spojrzała na swoją ślubną obrączkę. W pokoju zapadło krepujące milczenie. Debra uniosła głowę, a jej oczy patrzyły w pustkę. Była oderwana od rzeczywistości.

- Debra...

Zerwała się i popędziła do łazienki. Serce uderzyło mi mocniej. Pomyślałam o najgorszym. O poronieniu wywołanym stresem i wszystkich tego rodzaju okropnościach.

- Co ci jest? - krzyknęłam.

- Musiałam się wysikać, a nie miałam ochoty wstawać - roześmiała się Debra.

Zostawiła otwarte drzwi. Słyszałam odgłos splukiwanej wody, Debra coś nuciała. Odetchnęłam z ulgą i okręciłam na palcu kosmyk włosów. Rozmyślałam o niej i zamartwiałam się. Próbowałam się uśmiechnąć, ale nie byłam w stanie.

Zastanawiałam się, dlaczego Debra nie pytała mnie, co się stało, że z nią spałam. Dlaczego schroniłam się w jej pościeli i przytuliłam się do niej, kiedy zazdrosny narzeczony i arogancki były kochanek znaleźli się tak blisko siebie. Ale tym razem również nie wypytywała mnie o nic. Uciekałam się do tego tak wiele razy, tak często wpraszałam się do niej na noc i zagadywałam ją, kiedy oglądałyśmy filmy, chrupiąc tuczający popcorn z mikrofalówki albo po-

chłaniając kilogramy czekoladek, jeśli któraś z nas przechodziła fazę napięcia przedmiesiączkowego. Tak często odpoczywałyśmy, leżąc w samej bieliźnie i zacieśniając babską przyjaźń.

Stałam obok wejścia do garderoby, nachyliłam się i zerknęłam do środka. Tym razem, kiedy nie było jej w pobliżu, byłam zbyt wystraszona, by się tam zapuszczać. W końcu wzięłam głęboki oddech, weszłam do garderoby i stanęłam po tej stronie, gdzie znajdowały się rzeczy należące do mężczyzny. Dałam sobie chwilę, by znów zaczerpnąć powietrza, po czym wyciągnęłam ręce i dotknęłam garniturów Leonarda. Przejechałam palcami po rzędzie jego skórzanych pasków.

Odżyły we mnie wspomnienia, wróciła tamta noc, kiedy poznałyśmy Leonarda w Denny's. Nagle rozległo się lekkie pukanie do drzwi. Podskoczyłam, wracając do teraźniejszości.

- Tak - powiedziałam. - Wejdz proszę.

Byłam przekonana, że to Richard, ale w drzwiach stanął Bobby. Był ubrany w kasztanowy podkoszulek, na którym widniało logo Morehouse College, a na czarne rowerowe legginsy miał włożone niebieskie spodenki gimnastyczne.

- Gdzie jest Debra? - spytał.

- Poszła się odlać.

- Ależ ty jesteś ordynarna.

- To świat jest ordynarny.

- Debra! - krzyknął Bobby.

- Możesz mi dać minutę? - Z łazienki dobiegł jej głos.

Bobby powiedział, że ekipa dziennikarzy powinna zjawić się o jedenastej. Chcieli skończyć do wpół do pierwszej.

- W porządku - odpowiedziała Debra.

- Dokąd się wybierasz? - zapytałam Bobby'ego.

- Pobiegać.

- Daleko?

- Może z osiem kilometrów.

- Gdzie?

- W okolicę Dorsey High School.

- Zaczekaj na mnie. Tylko się przebiorę.

W mojej sypialni panował półmrok. Okna były zasłonięte, a Richard spał, co oznaczało, że późno się położył. Przypuszczalnie czekał na mnie. Wzięłam sportowe buty i pożyczylam

jakieś spodenki Debry oraz za duży biały podkoszulek. Kiedy wpadłam do salonu, Bobby rozciągał się na podłodze.

- No to jazda - powiedziałam.

W momencie, kiedy Bobby kładł rękę na klamce, odezwał się dzwonek do drzwi. Bobby wyjrzał przez wizjer.

- Kto to? - zapytałam.

Wzruszył ramionami i odgarnął z twarzy niesforne dredy. Kiedy uchylił prawe skrzydło podwójnych drzwi, zobaczyliśmy młodą Azjatkę, która dłonią przyglądała džinsy i czarną bluzkę, jakby starała się nadać sobie przyzwoity wygląd. Dziewczyna wyglądała na licealistkę. W rękę trzymała atlas drogowy, który lekko podrzucała. Nagle osunęła się jej noga i omal nie spadła z podestu. Upuściła atlas i schyliła się po niego.

- Dzień dobry - odezwał się Bobby.

- Przyjechałaś z dziennikarzami? - spytałam.

Dziewczyna otarła dłonią twarz i wlepiała oczy w wycieraczkę. Raz za razem otwierała usta, ale nie wydała żadnego dźwięku.

- Mogę ci jakoś pomóc? - powiedziałam.

Zająknęła się, wydała zduszony odgłos i ukryła twarz w dłoniach. Sytuacja robiła się nedorzeczna. Bez namysłu odepchnęłam Bobby'ego i wzięłam dziewczynę w objęcia. Jej ramiona trzęsły się jak galareta. Cierpienie okazało się zaraźliwe. Poczułam, że coś ściska mnie w gardle, a kiedy zamrugałam, z oczu popłynęły mi łzy.

- Ciii - powtarzałam. - Nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

- Ja nie chciałam. Proszę, wybaczcie mi.

Dziewczyna zakwiliła i tak mocno przycisnęła mi głowę do piersi, że straciłam dech. Próbowałam delikatnie wyswobodzić się z jej uścisku. Nic to nie dało, więc odepchnęłam ją od siebie i wpadłam na Bobby'ego, który omal nie upadł, zanim zdążyłam odzyskać równowagę. Dziewczyna wciąż jęczała, błagając nas o wybaczenie.

- Czego nie chciałaś zrobić? - spytałam.

- To... to był... wypadek. Ja nie chciałam...

Zerknęłam na Bobby'ego, a potem wyjrzałam przed dom. Dwoje starszych Japończyków czekało przy samochodzie stojącym na podjeździe. Kobieta trzymała dłonie przy ustach, a mężczyzna ubrany w garnitur bez krawata, wykonywał taki gest, jakby ocierał łzy.

Cholera. Zaczęła mnie przytłaczać ogromna fala emocji, ale udało mi się otrząsnąć. Po chwili zalała mnie ponownie, przejmując dreszczem od stóp do głów.

- Biegnij po Debrę, Bobby - odsunęłam się od dziewczyny. - Powiedz jej, żeby tu przyszła.

Azjatka trzymała dłonie przyciśnięte do ust, jakby chciała zatamować potok rozpaczy, który dudnił echem w jej gardle i zdawał się wyciekać oczami i uszami.

37.

Tyrel

Usłyszałem dobiegające zza drzwi odgłosy zamieszania. Ktoś biegł korytarzem, wołając Debrę. Włożyłem leżące w nogach łóżka dzinsy i przerwałem dopracowywanie nekrologu. Nasłuchiwałem przez chwilę. Alejandria i Debra wyszły z sąsiedniego pokoju.

- W moim domu? - krzyknęła Debra sekundę później.

Kawalkada stóp popędziła w stronę frontowych drzwi. Kiedy wyszedłem na korytarz, usłyszałem tak głośne wrzaski, że zdawało się, jakby zaraz miały popękać szyby. Ze swej sypialni wyszedł Richard i zasłonił mi widok. Wyminąłem go bez słowa i pognałem w stronę holu.

Wszyscy stali obok przeszklonej szafki wypełnionej nagrodami oraz zdjęciami Leonarda i Debry, które w ubiegłym miesiącu zrobił im Bobby.

- Dlaczego? - po raz kolejny wrzasnęła Debra.

- Debro, nie! - krzyknęła Shelby.

Za plecami Debry stał Bobby i obejmował ją, prosząc, aby się uspokoiła. Bobby miał jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, więc przytrzymywanie Debry było dla niego jak siłowanie się z mułem. Zapłakana Shelby zasłaniała nastoletnią dziewczynę, która kulila się tak, jakby chciała stać się mniejsza od mrówki. Debra próbowała się uwolnić, a przy każdym jej szarpnięciu dziewczyna uchylała się, mrużyła oczy i wydawała stłumione okrzyki. Ukryła twarz w dłoniach, a potem opuściła ręce i stanęła prosto, jakby czekała na atak.

- Odpowiedz mi! - Pierś Debry falowała gwałtownie.

Kiedy dziewczyna odsłoniła twarz, po jej bladej skórze popłynęły strużki potu. Miała tak samo skośne oczy jak Leonard. Tylko on nie mógł swoich już otworzyć. Czarna grzywka opadała jej na twarz, jakby chciała zapewnić jej schronienie.

- Przepraszam - utkwiała wzrok w fotografiach wiszących na ścianie, a potem zajęczała: - Wybaczcie mi.

- Popatrz na tych wszystkich ludzi, którzy cierpią przez ciebie - krzyknęła Debra i uwolniła się z objęć Bobby'ego.

Wykonałem szybki ruch i wskoczyłem pomiędzy nią, a tamtą dziewczynę. Zerwałem się w tym samym momencie co Shelby. Zderzyliśmy się, a Shelby złapała mnie za ramię, próbując odzyskać równowagę, a potem odepchnęła, abym nie runął wprost na nią. Zanim Bobby zdążył mnie podtrzymać, zwichnąłem nogę w kostce. Kiedy balansując, staraliśmy się uniknąć upadku, Debra gwałtownie odsunęła Shelby na bok i z furią rzuciła się naprzód. Shelby znów podbiegła i stanęła między nimi. Debra przystanęła, mierząc dziewczynę wściekłym spojrzeniem. Żar bijący z jej oczu mógłby roztopić metal.

- Podejź tu. - Wyciągnęła rękę do dziewczyny.

Shelby spojrzała na Debrę, potem na mnie, na Bobby'ego i znów na nią.

- Debra, nie - powiedziała błagalnie.

- Odejź, Shelby. Chcę, żeby tu podeszła.

Bobby skinął głową, a Shelby odsunęła się na bok. Dziewczyna dygotała, jakby została porzucona. U wylotu korytarza stał Richard, który przypatrywał się całej scenie, jakby nie chciał brać w niej udziału.

Drobiąc niczym dziecko, dziewczyna podeszła do Debry. Wszyscy ucichli. Bałem się tego, co Debra robi. Nigdy nie widziałem jej tak rozjuszonej. Po raz pierwszy jednak znalazła się w takiej sytuacji. Każdy z nas po raz pierwszy przeżywał coś takiego. A nikt tak naprawdę nie zdążył wczuć się w realia tragedii.

- Chcę, żebyś coś poczuła. - Ciało Debry było spokojne, tylko głos zdradzał wzburzenie.

Chwyciła rękę dziewczyny i uniosła ją powoli, a potem przyłożyła do wypukłości swego brzucha. Młoda Japonka zajęczała i opuściła głowę.

- Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię - powiedziała Debra surowym tonem.

Dziewczyna uniosła głowę tak szybko, że mogłaby przy tym skrócić sobie kark. Debra wzięła jej drugą rękę, położyła sobie na brzuchu i wykonała nią kolisty ruch.

- Czujesz to? - spytała. Dziewczyna przytaknęła, zmieszana.

- To dziecko, które noszę w sobie. Dziecko Leonarda. Dziewczyna wciąż przytakiwała, stojąc ze zwieszonymi ramionami.

Debra wzięła ją za rękę i podprowadziła do ściany, na której wisiały fotografie przedstawiające Leonarda w towarzystwie przyjaciół i rodziny. Chwyciła ją pod brodę i unosząc jej oczy do każdego ze zdjęć, spokojnym tonem opowiadała, gdzie i kiedy zostało zrobione. Potem znów przyłożyła sobie do brzucha jej rękę i odczekała kilka sekund.

- Mój mąż już nigdy nie będzie mógł tego poczuć. Nigdy. Dziewczyna przestała potrząsać głową. Jej ciało stężało.

- To dziecko nigdy, przenigdy nie zobaczy swojego ojca - powiedziała Debra. - A wiesz dlaczego? Przez ciebie. Właśnie przez ciebie. Twoja głupota zmieniła moje życie tak, że twoje zasrane przeprosiny w niczym nie pomogą. Kilka dni temu mój mąż był tu ze mną, a teraz nie żyje. Dziewczyno, zabiłaś mojego męża. Zrujnowałaś mi życie. Zrujnowałaś życie mojego dziecka. Jak teraz wyobrażasz sobie moją przyszłość? Co? Spójrz na naszych przyjaciół.

Pełnym lęku wzrokiem powiodła po nas wszystkich. Najpierw popatrzyła na Shelby. Potem na Bobby'ego. Potem na mnie. Jej ciało zdawało się ugiąć pod ciężarem mojego spojrzenia. Nigdy dotąd nie spotkałem mordercy. Nigdy nie miałem na to chęci. Wyobrażałem sobie, że taka osoba powinna wyglądać jak wcielenie Mansona. A tymczasem stało przede mną czyjeś dziecko o pryszczatej twarzy.

Śmierć miała twarz i ta twarz znajdowała się wśród nas.

- Jak się nazywasz? - zapytałem. Mój głos zabrzmiał dziwnie, był nienaturalnie zmieniony. Miałem twarz mokrą od łez.

- Nikki Yamamoto, proszę pana - odpowiedziała.

- Masz dopiero dziewiętnaście lat. - Debra zdjęła jej dłoń ze swego brzucha.

- Tak, proszę pani. Obchodziłam urodziny i przyjaciele postawili mi kilka drinków...

- Nie chcę tego słuchać - przerwała jej Debra. - Nie obchodzi mnie to.

Nikki opuściła głowę, lecz zaraz potem uniosła ją gwałtownie i spojrzała na Debrę, do której właśnie podeszła Shelby i otoczyła ją ramionami.

- Usiądź - powiedziała. - Pamiętaj o dziecku.

Nikki zachwiała się lekko, ale zaraz złapała równowagę.

- Chciałam wszystkich przeprosić - odezwała się, a każde jej słowo brzmiało sztucznie. Pomyślałem, że musiała przez całą noc ćwiczyć tę przemowę. - Jest mi tak przykro. Wiem, że nie ma nic...

- Nigdy ci nie wybaczę - Debra nie dała jej dokończyć. Shelby ocierała łzy. Bobby również. Ja tak samo.

- Nie ma niczego, co mogłabyś mi powiedzieć, żebym poczuła się lepiej, więc nawet nie próbuj - odezwała się Debra. - Nie ma niczego, co pozwoliłoby mi zrozumieć, dlaczego zrobiłaś to, co zrobiłaś. Nie jest mi ciebie żal, kiedy płaczesz. Twoje łzy obeschną, ale nic się nie zmieni.

Debra popatrzyła na każdego z nas, wyprostowała się i przygładziła ręką kasztanowe włosy. Zsunęła sobie z ramion dłonie Shelby i podeszła do Nikki.

- O jedenastej będą tutaj dziennikarze. - Tym razem ton jej głosu był bardziej dyplomatyczny. - Jeśli chcesz coś zrobić, jeśli jesteś szczerą i nie przyszedłaś tu tylko na pokaz, zostań i porozmawiaj z nimi. Powiedz im, jak się czujesz z powodu tego, co zrobiłaś.

- Dobrze, proszę pani - zająknęła się Nikki, a jej oczy uciekały gdzieś w bok.

- A potem, żeby twoja noga nigdy więcej nie powstała w domu mojego męża. Zrozumiano?

Zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, Debra zasłoniła ręką usta i pobiegła do sypialni. Shelby ruszyła za nią. Richard znikł w głębi korytarza, a Bobby podszedł do frontowych drzwi i otworzył je. Nikki, krocząc niezgrabnie, opuściła przedścionek z głową zwieszoną tak nisko, że omal nie zaryła w ziemię. Wyszedłem z Bobbym na zewnątrz. Nikki oddaliła się i stanęła obok pary starszych Azjatów, którzy zaczęli ją pocieszać, chociaż sami wyglądali tak, jakby potrzebowali pocieszenia.

- Tyre! Bobby! - usłyszeliśmy za plecami.

Shelby uchyliła przeszkłone drzwi i wystawiła głowę.

- Debra powiedziała, żebyście weszli do domu i zamknęli drzwi - oznajmiła.

Wróciliśmy do środka. Nikki wraz z rodzicami szła w stronę samochodu. Bobby położył mi rękę na ramieniu.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- A ty? - dotknąłem jego ramienia. Bobby pokręcił głową, ocierając oczy.

SHELBY

Przebiegłam już ponad jedenaście kilometrów w trzydziestostopniowym upale. Nie zwolniłam, kiedy Bobby'ego złapał skurcz i zaczął wymiękać, a stało się to prawie pięć kilometrów wcześniej. Moje tempo i wytrzymałość stanowiły dla niego zbyt duże wyzwanie. Kiedy zdołał już zapanować nad oddechem, podszedł do rzędu ławek i zaczął się rozciągać. Dwunasty kilometr.

Minęłam kilku biegaczy, ale nie czułam, że się poruszam. Każda postać była dla mnie jak niewyraźna plama. Niczego nie słyszałam. Na ostatnim okrążeniu zostawiłam w tyle kilka osób. Mokra od potu koszulka przylegała mi do pleców, odsłaniając zarys sportowego biustonosza. Oblepiała wypukłości pośladków, na które gapili się bracia i Meksykanie. Nie zwracałam uwagi na ich lubieżne komentarze. Były ostatnią rzeczą, jaka w tym momencie do mnie docierała.

Byłam nieobecna. Zapadłam się we własny umysł. Otarłam twarz koszulką, wciąż prowadząc rozmowę z samą sobą.

Trzynasty kilometr.

Cholerna flegma zaczęła zatykać mi nos. Odchrząknęłam i biegłam dalej.

Kiedy rozdygotana Nikki wyszła, siedziałam na łóżku, próbując dodać otuchy swojej przyjaciółce, która krzyczała i wygłaszała tyrady na temat bezczelnej gówniary. Ale nawet wtedy, gdy Debra kipiała złością, moje myśli zaprzętało coś zupełnie innego.

Nikki miała zaledwie dziewiętnaście lat, a potrafiła wziąć na siebie odpowiedzialność i stawić czoło konsekwencjom swego błędu. Potraktowała uczciwie swoje przewinienie i zrobiła to tak szybko, jak tylko się dało. Nie zwlekała. Nie unikała bezpośredniego kontaktu. Skoro знаła adres, mogła zachować się jak tchórz i napisać list albo wysłać tylko anonimową kartkę z wyrazami współczucia. Albo zakraść się w środku nocy i zostawić wiadomość w drzwiach. Ale ona podjęła decyzję, wzięła sprawę w swoje ręce. Cholera. Wchodząc samotnie do domu De-bry, ta dziewczyna położyła swoje życie na szali. I nie uciekła, kiedy poczuła, że robi się gorąco.

Byłam wściekła jak nie wiem co, miałam ochotę własnoręcznie zadusić tę gówniarę, ale niezależnie od poczucia żalu kipiała we mnie zazdrość. Zazdrościłam Nikki charakteru, tego, jak zachowała się w kryzysowej sytuacji. Poczulałam niesmak do samej siebie. Nikki była uczciwa. Mimo wszystko szanowałam to.

Myśleliśmy, że zabraknie jej sił i zniknie aż do momentu, kiedy będzie musiała stawić się w sądzie, ale ona przysłała, z opuszczonymi ramionami i paczką chusteczek w rękę. Kiedy przeprowadzano z nią wywiad, nie próbowała się usprawiedliwiać. Wszyscy byliśmy ciekawi, jakim cudem ta dziewczyna uniknęła aresztu. Jej starzy mieli trochę pieniędzy i musieli wpłacić za nią kaucję, zanim krew Leonarda zdążyła zaschnąć na krawężniku. Nikki siedziała samotnie i patrząc przekrwionymi oczyma w kamerę, mówiła, że jest gotowa zaakceptować karę. Nagrano to na taśmę, która jeszcze przed zachodem słońca miała zostać wyemitowana w ogólnokrajowych wiadomościach.

- Postąpiłam źle. - Otarła łzy. - Od razu wiedziałam, że to, na co daję się namówić, jest złe. Sprawiałam zawód swoim dziadkom i przyniosłam hańbę rodzinie. Na zawsze. I chcę zrobić wszystko, co konieczne.

- Wolałabyś iść do więzienia, czy sądzisz, że stosowniejszą karą będzie praca społeczna?
- zapytała czarna reporterka.

- Cokolwiek, na co zasługuję. - Rozpląkała się. - A nawet więcej. Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłam. Nie będę się usprawiedliwiać. To moja wina.

Nikki powiedziała to wszystko przed grupą czarnoskórych ludzi, przed swoją rodziną, przed rodziną Leonarda i przed jego przyjaciółmi. „Sentinel” przysłał reportera i fotografa. Tak samo „Times”. I tak oto przed upływem następnego dnia wszyscy mieli poznać Nikki, która stawiała czoło odpowiedzialności i nie uchylała się przed piętnem winowajczyny.

Czternasty kilometr.

Za każdym razem, kiedy dotykałam butami ziemi, w głowie tłukło mi się jedno pytanie. Dlaczego ostatniej nocy po prostu nie powiedziałam Richardowi, że zadzwoniłam do Tyrela?

Przecież to nikogo by nie zabiło.

Moja złość po części wynikała z faktu, że sprawiałam wrażenie, jakbym brodziła w basenie życia, zamiast go przepłynąć. Jakbym dreptała wciąż w tym samym bezpiecznym miejscu, unikając spotkania z fałami. Nie zmieniałam pracy w ciągu ostatnich kilku lat. Trzymałam się tej wygodnej posadki, która pozwalała mi przenosić się z miejsca na miejsce i nie pozostawiała dość mentalnej przestrzeni, bym mogła się zatrzymać i zastanowić nad sobą. Debra mówiła, że

Tyrel zmienił stanowisko, dostał awans i przeprowadził się do innego mieszkania. Debra przeskoczyła miotłę i przeniosła swoją egzystencję w inny wymiar. Teraz wprawdzie owdowiała, ale mierzyła się z cierpieniem z uniesioną głową. Cała ta sytuacja była kolejną przemianą, która miała przewartościować życie mojej przyjaciółki i nadać nowy kierunek naszej przyjaźni.

Tymczasem ja byłam wciąż tą samą Shelby. Pokręconą i na każdym kroku podejmującą niewłaściwe decyzje. Idącą przez życie z beztróskim uśmiechem. Nieuczciwą wobec siebie i wszystkich dokoła.

Zwiększyłam tempo. Dałam sobie trochę większy wycisk.

Wypełniałam misję, uciekając od ciemnych stron samej siebie i goniąc rzeczy, których nigdy nie wyciągałam na światło dzienne. Przez sekundę myślałam, że ktoś klepie mnie po tyłku. Były to moje własne pięty, które uderzały mnie, kiedy tak zamasyście przebierałam nogami.

Kolejne okrzyknięcie. Ból był tak silny, że miałam ochotę krzyknąć jak piętnowany niewolnik.

Po wywiadzie Debra odciągnęła Nikki na stronę i odbyła z nią rozmowę poza kamerami. Przepraszyła ją za swój wybuch i podziękowała za honorowe zachowanie. Powiedziała, że Leonard uśmiecha się do niej za to, że tak postąpiła. A później poprosiła ją jeszcze raz, by nie pokazywała się więcej w jej domu.

Nigdy się nie dowiedziałam, skąd Debra wzięła tyle siły. Również i mnie jej nie brakowało, ale moja siła zdawała się nie mieć takiej głębi.

Kiedy dziennikarze już się rozeszli, Debra przebrała się i wyszła gdzieś z Tyrelem. Nie trzeba było długo jej namawiać, aby pojechała do kliniki i pozwoliła Faith zbadać dziecko. Kiedy powiedziałam Richardowi, że idę pobiegać, zaczął stroić fochy i marszczyć brwi, ale zignorowałam go i kazałam mu dotrzymać towarzystwa Alejandrii. A ona właśnie wybierała się po zdjęcie Leonarda, które Debra chciała zamieścić w nekrologu. Richard ubrał się i pojechał z nią, by rozejrzeć się trochę po mieście.

Zaraz potem wybiegłam z domu. Bobby podążał za mną.

Dwa kolejne okrzyknięcia w bólu i męczarni.

Nie pozwalałam, aby poglądy jakiegokolwiek mężczyzny albo też kobiety wdzierały się do mojego umysłu. Nie pozwalałam nikomu sterować moim życiem.

Czternaście i pół kilometra. Mała zmiana.

Zatrzymałam się. Nie zwolniłam. Rozpędziłam się jak Forrest Gump, a potem stanęłam. Moje ciało błagało mnie, bym przestała, bym dała już spokój, ponieważ odbiegłam już dostatecznie daleko od tego, przed czym chciałam uciec, i niemal złapałam to, za czym goniłam. Otepienie w mojej głowie zaczęło mijać, kiedy raz obeszlłam bieżnię. Ludzie siedzący na trybunach gwizdali i wznosili okrzyki. Uniosłam głowę, by zobaczyć, co się do cholery dzieje, i uświadomiłam sobie, że jestem obserwowana. W tłumie siedział Bobby i zachęcał wszystkich do owacji. Ale i tak nic nie mogło nakłonić mnie do uśmiechu. Otarłam pot z twarzy, opuściłam głowę, położyłam ręce na biodrach i szłam przed siebie, rozmyślając. W przemoczonych spodenkach i podkoszulku nadal zataczałam krąg po bieżni.

- Niezła z ciebie siostra - syknął jakiś brat, którego mijalam.

Niezbyt rozgarnięci bracia zawsze czują potrzebę powiedzenia czegoś, kiedy nic nie należy mówić. Zatrzymałam się i utkwiałam wzrok w swoich butach, pozwalając ślamazarom biegnąć we własnym tempie.

Ktoś klepnął mnie w pośladek. Czulałam, że była to męska dłoń. Taki sam wybryk, na jaki pozwalał sobie Bryce. Obróciłam się gwałtownie z uniesionymi pięściami, odwodząc ramię gotowe do ciosu.

- Ej. - Bobby odskoczył do tyłu. Pokazałam mu środkowy palec i poszłam dalej. Na trybunach rozległ się śmiech.

- Wygląda na to, że gotowa jesteś wystartować w konkursie miss mokrego podkoszulka - Bobby próbował spojrzeć mi w oczy. - Czujesz się lepiej?

- Nigdy więcej tego nie rób.

Ogarniał mnie nieustępliwy ból i odrętwienie. Czulałam, jak obrzmiewają mi nogi. Bolały mnie stopy. Pulsowało w dole pleców. Oparłam prawą rękę na biodrze. Czulałam skurcze mięśni. Miałam sucho w gardle. Oblizalam wargi i próbowałam splunąć, ale byłam tak odwodniona, że mogłam co najwyżej wyrzucić z siebie obłoczek kurzu. Cały balsam spłynął wraz ze strugami potu, więc musiałam być wysuszona jak diabli.

- Kulejesz - zauważył Bobby.

- Nogi bolą.

Wziął mnie za rękę, odprowadził na trawiaste pobocze i pomógł rozciągnąć łydki i ścięgna. Gadał jak najęty. Byłam zamknięta w swoim świecie i pozwoliłam mu prowadzić tę konwersację z samym sobą. Nie ignorowałam go. Po prostu z nim nie rozmawiałam.

Bobby'emu zaschło w ustach, drapał się po głowie, przebijając się palcami przez gęstwinę dredów.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytał.

- Nie - szepnęłam.

Przez czterdzieści minut wracaliśmy w milczeniu do domu Leonarda. Kiedy dotarliśmy na wzgórze, ból i odrętwienie zaczęły dawać mi się we znaki. Staralam się przyjmować każde nowe cierpienie, nie słaniając się i nie wykrzywiając twarzy w bolesnym grymasie.

Pokuśtykałam do pokoju Debry i zamknęłam drzwi. Zanim rozebrałam się do naga, wypełniłam wielką wannę gorącą wodą i dosypałam soli kąpielowej. Moczyłam się, słuchając płyty Marvinu Gaye.

Na litość boską. Wszystko było nie tak jak dotychczas.

39.

Tyrel

Wisiał tak gęsty smog, że z autostrady numer dziesięć nie było widać obserwatorium w Griffith Park ani napisu Hollywood. Jechaliśmy na wschód. Debra puściła płytę Brand New Heavies i ta muzyka towarzyszyła nam, kiedy skręciliśmy na południe i wpadliśmy na Harbor Freeway. Na drodze panował duży ruch, a z upałem nie było żartów, więc w Manchesterze zjechałem do myjni, żeby splukać z wozu smugi brudu.

- Chce mi się pić - oznajmiła Debra, kiedy wróciliśmy na drogę.

Mijaliśmy drzewa pomalowane sprejami i słupy, na których roiło się od napisów. Debra wskazała na stojący przy drodze Boys Market. Skręciłem tam. Gdy zatrzymaliśmy się przed sklepem, Debra spojrzała na uzbrojonych ochroniarzy, a potem odwróciła głowę w stronę ogrodzenia z żelaznych prętów, które otaczało parking. W każdym sklepie groźnie wyglądający ochroniarz przechadzał się pod szerokimi rozsuwanymi drzwiami.

- Warto tutaj zainwestować w farbę - stwierdziła Debra.

- Dlaczego tak uważasz?

- Dzieciaki przychodzą do sklepu po spreje i robią graffiti, a potem firmy kupują farby, żeby je zamalować.

Kupiliśmy wodę i wróciliśmy do samochodu.

- Masz jeszcze godzinę do spotkania - powiedziałem.

- Jedźmy na sto siódmą - Debra utkwiała oczy w desce rozdzielczej. Kilka minut później zaparkowaliśmy obok Watts Towers Simona Rodii.¹⁷ Debra cały czas wpatrywała się w jeden punkt. Na moment spojrzała na kierownicę, po czym znów wlepiała wzrok w deskę rozdzielczą.

¹⁷ Watts Towers - budowla, którą w latach 1921-1955 wznosił włoski imigrant, architekt Simon Rodia. Jest to kompleks dziewięciu obiektów o konstrukcji metalowej, najwyższa z trzech wież ma 11,5 metra. Obiekt został uznany za dzieło sztuki i pomnik narodowy - przyp. tłum.

- Coś nie tak? - zapytałem.

Westchnęła i pokręciła głową. Wyciągnęła rękę i przejechała palcem po rowkach, gdzie była zamontowana poduszka powietrzna pasażera. Spojrzała też na tę po mojej stronie. Pogłębskała deskę, poklepała ją i cofnęła rękę, a potem wyłączyła muzykę, zmuszając się do uśmiechu.

Staliśmy w wąskiej uliczce, po obu stronach której ciągnęły się rzędy domków jednorodzinnych. Zostawiłem włączony silnik, podniosłem dach i ustawiłem klimatyzację na osiemnaście stopni. Strużki wody z myjni spływały po szybach jak lzy.

Centrum afroamerykańskie mieściło się w wąskiej uliczce, położonej w okolicy zamieszkaną niemal całkowicie przez Latynosów. W pobliżu stała grupka braci, którzy rozmawiali, popijając z butelek ukrytych w papierowych torebkach. Nacisnąłem guzik i upewniłem się, czy wszystkie drzwi są zablokowane. Potem zastanowiłem się nad tym, co właśnie zrobiłem, i pokręciłem głową. Jak na ironię, kiedy zatrzymaliśmy się wśród swoich, zrobiłem się taki ostrożny. Ale jak to mówią, kto jest głupi, nigdy nie zmądrzeje. Jeśli jakiś brat napadł Rosę Parks¹⁸, to już nie ma żadnych świętości. Każdemu można było dobrać się do skóry.

- O czym myślisz? - zapytałem.

- O czytaniu poezji. O puszczaniu latawców. O opowiadaniu historyjek - Debra zabębniła palcami po nodze i uśmiechnęła się. Po chwili westchnęła. - To takie piękne.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem.

- Myślałam o tym, jak wielu Meksykanów osiedla się w naszym sąsiedztwie. Nie ma już prawdziwych czarnych dzielnic.

¹⁸ Rosa Parks, (1913-2005) Murzynka będąca symbolem walki z segregacją rasową, przeszła do historii dzięki wydarzeniu z 1 grudnia 1955 roku, kiedy to odmówiła ustąpienia miejsca w autobusie białemu mężczyźnie, co zostało uznane za naruszenie obo-

wiążących w stanie Alabama przepisów. Jej sprawa dotarła do Sądu Najwyższego i zapoczątkowała skuteczną walkę z rasizmem. W 1994 roku narkoman Joseph Skipper obrabował i pobił 81-letnią Parks w jej własnym domu - przyp. tłum.

Mina Debry zdradzała, że o coś jej chodzi. Czekałem, aż przejdzie do tematu, wokół którego krążyła.

- Bądź ze mną szczery - dotknęła mojej dłoni.

- W porządku - odparłem.

- Czy dzisiaj mówiłam, jakbym miała uprzedzenia? Kiedy rozmawiali ze mną o tym, jak się czuję, czy mówiłam jak osoba z uprzedzeniami?

Pokręciłem głową i ująłem ją za rękę.

- Nie. Mówiłaś jak ktoś, kto cierpi. Byłaś autentyczna. To wszystko.

Przytuliliśmy się do siebie. Debra pokiwała głową i przygryzła górną wargę.

- Boże, to byłoby okropne, gdyby mnie opacznie zrozumiano - powiedziała. - To Nikki wszystko spierdoliła. Gdyby ludzie pomyśleli, że jestem wściekła na jej ziomków, wszystko byłoby na próżno.

* * *

Przed gabinetem Faith czekało kilka osób. Z głośników sączył się spokojny jazz. Panowała miła, kojąca atmosfera, a przy wejściu nie krążył żaden ochroniarz.

Po drodze Debra nie mówiła zbyt wiele, ale też nie sprawiała wrażenia, jakby miała się rozplakać. Wiedziałem, że jest zakłopotana, bo nie zmieniała ciągle stacji radiowych, tak jak zwykła to robić. Tak jak robił to Leonard.

Faith spojrzała zza biurka i podbiegła, by nas przywitać.

- Wejdźcie - powiedziała, ściskając mi rękę. - Witaj, Tyrel. Miło znów cię widzieć.

- Cześć, Faith.

- Myślałam, że chcesz, żebym przyjechała do twojego domu - powiedziała Faith, gładząc srebrne pasemka swego krótkiego afro. - Dobrze się czujesz? Miałam już jechać do ciebie, kiedy się nie odzywałeś.

- Chciałam zaczerpnąć trochę powietrza - wyjaśniła Debra, wręczając mi torebkę. - Rozpętało się piekło.

- Coś nie tak? - spytała Faith.

- Opowiem ci, co się stało. Sprawdź, czy z dzieckiem wszystko w porządku.

- A jak trzyma się rodzina? - dopytywała się Faith.

- Wszyscy mają się dobrze. Reszta rodziny pojawi się jutro. Krewni Leonarda przylecieli dziś rano i dzwonili do mnie zaraz po tym, jak skończyłam wywiad.

- Kiedy będzie Shelby? - Faith spojrzała na mnie.

Miałem ochotę opuścić głowę pod ciężarem rozgoryczenia, ale zachowałem obojętną minę i zerknąłem w stronę Debry.

- Już tu jest - Debra uratowała sytuację. Czekałem, aż powie, że Shelby zjawiała się w domu mojego najlepszego przyjaciela w towarzystwie narzeczonego, z którym dzieli sypialnię.

- To dobrze - odparła Faith. - Rano była tu na badaniu Alejandria.

Poszedłem do poczekalni, gdzie znajdował się niewielki telewizor, a Faith zabrała Debrę do gabinetu.

Piętnaście minut później znów pędziliśmy drogą. Podwiozłem Debrę do Hyde Park, by mogła spotkać się z krewnymi Leonarda. Tymi, którzy nie dawali znaku życia, odkąd Leonard pożyczył im trochę pieniędzy. Dotarliśmy na miejsce w momencie, gdy akurat wybierali się w odwiedziny do Debry. Powiedziała im, że ma parę innych spraw do załatwienia i spotka się z nimi później. Chcieli pomóc, ale Debra uspokoiła ich, że wszystko jest pod kontrolą, i poradziła, by się zrelaksowali. Patrzyli tak, jakby nie mogli zrozumieć, dlaczego Debra zajmuje się tyloma sprawami, ale nie drążyli tematu.

- Nie jestem gotowa, by tam wracać - powiedziała Debra, kiedy jechaliśmy w stronę domu.

W schowku wciąż wozilem klucze do pokoju hotelowego.

Kiedy znaleźliśmy się w hotelu, Debra od razu udała się do łazienki. Wyszła stamtąd z mokrym ręcznikiem na twarzy i położyła się w poprzek jednego z łóżek. Zdjąłem buty i wyciągnąłem się na drugim. Debra zasunęła cienkie zasłony i tylko wąski pasek światła padał na podłogę. Okno było zamknięte, więc do pokoju nie wpadał hałas z Sepulveda Boulevard i przebiegającej nieopodal czterystąpiątki.

- Tyrel?

- Jestem.

- Śmierdzą ci nogi.

Roześmiałem się.

- Żartowałam - zachichotała.

- Dobrze.

Debra wydała głośnie mlaśnięcie.

- Co sądzisz o Richardzie? - zapytała.

- Że co? - spałem się w sobie.

- Nie rób tak. Shelby zawsze reaguje w taki sam sposób.

- Przepraszam.

- No więc? - odezwała się sekundę później.

- Chyba jest tym, na czym jej zależy. Stanowią niezłą parę.

- Piękna ogólnikowa odpowiedź, ale nie na tak szczególne pytanie, jakie ci zadałam - odparła Debra. - No więc?

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz, co czujesz, i nie zachowuj się jak typowy facet. Zastanawiałem się, leżąc przez kilka chwil w milczeniu.

- Jakie słowo pierwsze przyszło ci na myśl, kiedy wymówiłam jego imię? - zapytała.

- Zazdrośnik - powiedziałem w końcu.

Przez moment obydwójce leżeliśmy, nic nie mówiąc.

- Tyle rzeczy chciałam powiedzieć Leonardowi - odezwała się Debra. - I powiedziałam. On wiedział, jak się czuję, a ja wiedziałam, ja on się czuje. Nie baliśmy się mówić o swoich uczuciach. Wkurzaliśmy się, rozmawialiśmy o tym i dawaliśmy sobie ze wszystkim radę. Wiadomo było, co mną kieruje. Nie pozostały nam żadne niewyjaśnione sytuacje. Kiedy płaczę, to nie z powodu czegoś, czego nie zrobiłam, co mogłam, co powinnam. Płaczę, bo tęsknię za nim i go kocham.

Przez następnych trzydzieści minut Debra nie poruszyła się ani nie odezwała. Zapadła w sen. Ja również zasnąłem. Kiedy się obudziłem, Debra rozmawiała przez telefon.

- Kto jeszcze? - zapytała. - Dobrze. Tak, chcę, żeby Stevie zaśpiewał. Kiedy dzwonił? Ktoś od niego? Dlaczego sam nie mógł zadzwonić? Jedna piosenka wystarczy. I żeby była prosta i krótka. Nie chcę urządzić cyrku. A o której dzwonił z agencji ubezpieczeniowej? Umów spotkanie na przyszłą sobotę. I daj mi Shelby do telefonu.

Debra zobaczyła, że się obudziłem, uśmiechnęła się, po czym wróciła do rozmowy.

- Cześć, egoistko. Coś nie tak? Tak śmiesznie mówisz. Na pewno? Jestem w hotelu z Tyrelem. Zadzwon do domu pogrzebowego i powiedz, żeby zabrali wszystkie kwiaty, jakie dostarczyli. Nie, nie opieprzaj ich. I potwierdź zespół jazzowy. Upewnij się, czy mamy wszystko, co będzie potrzebne do uroczystości w domu jutro po południu. Powiedz im też, żeby darowali

sobie kwadrans akademicki. Kto jest w domu? Zamknij moją sypialnię na klucz i dopilnuj, żeby nic nie zginęło.

Debra wskazała palcem telewizor. Wstałem i włączyłem go.

- Nie, radio. Jazz - wyszeptała.

Odłożyła słuchawkę i wyciągnęła się na łóżku.

- Bobby i Shelby odbierają wszystkie moje telefony. Przez cały dzień przewinęło się mnóstwo ludzi. Są już rodzice Leonarda, ale jeszcze wychodzą, żeby kogoś odwiedzić.

Odsunąłem zasłony i spojrzałem w stronę stojącego za autostradą biurowca Dan L. Steel, a potem na budynek, w którym kiedyś wynajmowałem apartament. Czasami czułem się, jakbym wciąż tu mieszkał. Wszystkie marzenia, jakie snułem, będąc w San Francisco, dotyczyły Los Angeles.

Debra wydała przeciągły okrzyk. Odwróciłem się i zobaczyłem, że siedzi na łóżku i przeciąga się z promiennym uśmiechem na twarzy.

- Będziesz ojcem chrzestnym tego dziecka. A Shelby będzie matką chrzestną - oznajmiła stanowczym tonem, jakby właśnie podejmowała przełomową decyzję. - Chcę, żeby ta rodzina trzymała się razem.

- Dobrze.

Debra potarła brzuch dłońmi, jakby chciała uśmierzyć swędzenie napinającej się skóry.

- Chodźmy już, zanim ludzie zaczną plotkować - przyglądała ubranie i poklepała się po brzuchu.

SHELBY

Gdy pracownicy domu pogrzebowego zabrali kwiaty, poluzowałam apaszkę na szyi i ruszyłam w stronę sypialni Debry. Kiedy opuściłam kącik wypoczynkowy, Richard, przekrzykując muzykę, zawołał mnie po imieniu, ale nawet się nie zatrzymałam. Zostawiając w tyle unoszącą się w powietrzu woń kwiatów, zatrzasnęłam za sobą drzwi i zamknęłam je na klucz. Richard znów mnie wołał. Włożyłam do ust pastylkę miętową, złapałam czątki i pilniczek do paznokci, po czym siadłam na łóżku, udając, że nie słyszę pukania do drzwi.

Złapał mnie skurcz, kiedy próbowałam podwinąć nogi pod siebie. Zabolało jak cholera i kiedy gwałtownie wyrwałam stopy spod pośladków, kopnęłam torebkę, która spadła na podłogę. Jej zawartość rozsypała się na wszystkie strony. Kosmetyki, perfumy, przybornik do szycia i sześć dolarów w drobniakach. To były moje pieniądze na pralnię. Kiedy prowadzi się taki koczowniczy żywot jak ja, garść monet jest nieodzowna.

Richard powtarzał moje imię raz za razem, jakby to było słowo dnia. W jego ustach stało się wyświechtane. Delikatnie zapukał jeszcze kilka razy. Minutę później jego kroki ucichły w głębi korytarza.

Stałam rozebrana do pasa przed ogromnym lustrem i rozpinałam dzinsy, przerywając co chwilę, by dotknąć szyi. Apaszka, którą nosiłam, leżała na komodzie.

Po chwili namysłu zawiązałam ją sobie z powrotem. Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu tylko po to, by zobaczyć, jak głupkowato wyglądałam przez cały dzień. Zdjęłam tę nieszczęsną chustkę, upuściłam ją do kosza i stanęłam przy oknie. Nie uśmiechałam się już, a w głowie tłukło mi się mnóstwo myśli. Słyszałam, jak pobrzękują, niczym drobne w kieszeni.

Rozebrałam się do naga i włożyłam ciemnozielony jednoczęściowy kostium sportowy. Żadnych butów. Ani stanika. Ani makijażu. Żadnej apaszki. Włosy miałam lekko zmierzwione. Przestało mnie to wszystko obchodzić. Byłam zmęczona tą grą.

Kiedy wróciłam do kąpiku wypoczynkowego, muzyka ucichła. Może właśnie skończyła się płyta. Stanęłam przed odtwarzaczem i włożyłam płytę Sade, której śpiew popłynął z głośników zawieszonych na ścianie.

Było to jedyne pomieszczenie w całym domu, w którym nigdy zbyt długo nie utrzymywał się porządek. Nie było tam brudno, tylko po prostu naturalnie i przytulnie, domowo.

Bardzo lubiłam ten kącik. Wszystkie ściany zakrywały półki z książkami Leonarda i Debry. Tymi nowymi, pachnącymi świeżą wiedzą, i starymi, które roztaczały aromat mądrości. Biblioteczka Debry sięgała od podłogi do sufitu, a gdzieś tam stały na niej drobne rośliny. Na dolnej leżały kolorowe czasopisma, a na pozostałych półkach można było znaleźć wszystko, od Morrisona, Mosleya, Ice Berga Slima po Szekspira, Cummingsa i Dickinson.

Kiedy nachyliłam się w poszukiwaniu jakiejś podnoszącej na duchu muzyki, Richard posłał mi surowe spojrzenie. Siedział na sofie i oglądał telewizję. Chwilę wcześniej w salonie było kilka osób, ale zostało tylko dwóch niezbyt zabawnych komików, Kwamaine i Perry. Wstąpili, by poinformować Debrę, że przygotowali w Color of Comedy hołd dla Leonarda. Część uroczystości miała więc zacząć się już tego wieczoru. Bracia przestali przeżuwać jedzenie i zaczęli gapić się na mnie, kiedy tylko się pojawiłam.

Richard miał usta zaciśnięte mocniej niż mumia, chociaż jedno spojrzenie na tych braci wystarczyłoby, żeby przekonać się, że nie są w moim typie. Perry mierzył półtora metra i nosił za duże markowe ciuchy, więc od stóp do głów wyglądał jak chodząca reklama. Kwamaine przypominał długą na metr dziewięćdziesiąt grochową tyczkę i miał na kościach tylko tyle ciała, by nie spadły z niego workowate dżinsy.

- No dobra, Kwamaine, mówiłam ci, co myślę o takich spojrzeniach. Jeżeli nie potrafisz mnie uszanować, to wyjdź - powiedziałam.

- Ojej, paniusiu - Kwamaine pokręcił głową i ugryzł kolejny kęs kanapki z indykiem. - Na nic nie patrzyłem.

- Jeżeli to nic, przepraszam, że coś widzę - zachichotał Perry.

W pokoju rozległy się głośne i wyraźne pomruki i chrząknięcia. Richard uniósł się z sofy, by zasłonić mnie, a potem rzucił mi szybkie spojrzenie i jeszcze raz ostentacyjnie chrząknął. Zamiast prowadzić rachunek własnych błędów, powinnam była liczyć, ile razy Richard zrobił coś takiego, odkąd byliśmy razem.

Podeszłam do Richarda, stanęłam na wprost niego i przechyliłam głowę.

- Richardzie, czy coś drapie cię w gardle?

- Nie - mruknął.

- To przestań tak robić. Doprowadza mnie to do furii.

Kiedy odwróciłam się, by sobie pójść, położył mi rękę na ramieniu.

- Dlaczego się tak ubrałaś? - zapytał ściszym głosem.

- Jakiś problem?

Richard zwiesił ramiona i zaczął gładzić brodę palcami.

- Shelby, nie powinnaś chodzić półnaga przed braćmi takiego pokroju.

- O jakiego pokroju braciach mówisz?

Syknął i miał czelność przybrać surowy ton, jakby beształ dziecko.

- Widać ci sutki. I ten strój tak ciasno przylega ci do krocza.

No cóż, wszystkie ubrania miałam dopasowane jak ulał, przez co idealnie eksponowały moją cipkę. Zwłaszcza te obcisłe. Nigdy nie zwracałam na to uwagi.

Richard zmarszczył brwi, a jego spojrzenie pytało, czy nie mam zamiaru się przebrać. Cóż miałam robić? Nie przejmując się niczym, położyłam rękę na biodrze, przyjęłam niepoprawną pozę i odwróciłam się do gości.

- Czy komuś przeszkadza to, jak jestem ubrana? - zapytałam. Perry wybałuszył oczy i zakrztusił się napojem, który właśnie pił.

- Ależ skąd, tak trzymaj dziewczyno! - powiedział.

- Nie, skarbie - uśmiechnął się Kwamaine. - Jesteś w porządku.

- Jesteś super. Jesteś nawet lepsza od kubelka pikantnych skrzydełek

- dodał Perry, wyprostował się i przybił piątkę Kwamaine.

- Naprawdę super, kasujesz wszystkich. Rozbawiona uniosłam rękę.

- Dziękuję wam bracia za dobitnie wyrażone opinie - powiedziałam.

- A teraz proszę odwrócić wzrok.

Wszyscy oprócz Richarda parsknęli śmiechem. Podskakując jak przedszkolak, podbiegłam do biurka Leonarda i usiadłam przy komputerze. Skrzynka poczty elektronicznej była pełna nowych wiadomości. Zanim jednak zdążyłam sprawdzić, czy jest tam coś, o czym powinna wiedzieć Debra, poczułam w łydkach ostry ból. Pora zażyć ibuprofen.

Musiałam wyglądać na zbyt szczęśliwą i mieć wokół siebie zbyt wiele miejsca, bo Richard przywłókł po dywanie małe krzeselko, ustawił je bardzo blisko i zasiadł obok mnie. Chwyciłam telefon i upewniłam się, że karawan, muzycy i wszystkie inne sprawy związane z uroczystością pogrzebową są załatwione.

Na minutę wróciłam myślami nad grób mamy, żałując, że na pożegnanie nikt nie wyprawił jej uroczystości, a tylko garstka ubranych na czarno ludzi, otaczając to, co miało obrócić się w proch, zaśpiewała parę smutnych pieśni.

Z zadumy wytrącił mnie Richard, który dotknął mojego łokcia. Nie cofnęłam ręki. Nachylił się i pocałował mnie w policzek. Wpatrywał się w moją szyję, jakby był cieślą, który

właśnie skończył budować dom swoich marzeń. Moje emocje zaczynały buzować. Ciągłe chodziły mi po głowie te zmagania o kontrolę nad przeszłością, które toczyliśmy w środku nocy. Skoro potrafiłam dokopać sama sobie, pozwalając mu na to wszystko, to widać tak chciałam. Ale powinnam była dokopać jemu.

Richard dotknął mojej szyi. Pocierał palcami każdy z trzech punktów, jakby chciał okazać skruchę. Odepchnęłam jego rękę.

- Nie martw się - powiedziałam. - Wszystkie są na swoim miejscu. Richard westchnął i potarł się po karku.

Alejandria odprowadziła Perry'ego i Kwamaine do drzwi, a po chwili wróciła, wzięła z półki dwie książki i położyła się, opierając o Bobby'ego. Pocałowała go, wymienili szeptem kilka słów i znów zaczęli się całować.

- Nie całowaliśmy się, odkąd tu przyjechaliśmy - zauważył Richard. Tym razem położył dłoń na mojej nodze i zaczął ją masować. Mrugnął znacząco i zniżył głos o oktawę. - Mam nadzieję, że tej nocy nie zamierzasz spać z Debrą. Chcę wziąć w ramiona swoją przyszłą żonę.

Zaczął swoje umizgi, a ja pomyślałam o tym, jak całuje. Wpychał cały język, za grosz techniki. Bez uczucia. Nigdy nie całował mnie po to, żeby całować, ale tak, jakby chciał coś dostać. Jeszcze jeden z tych braci, którzy chcą uwodzić bez odrobiny romantyzmu. Nie miało to do tej pory żadnego znaczenia, ale było kolejną rzeczą, którą tolerowałam i próbowałam się do niej przyzwyczaić. Nagle zrozumiałam, że to nigdy się nie zmieni, bo on inaczej nie potrafi.

Tyrel całował powoli i z rozmysłem. W każdym razie kiedyś tak było. Ssał moją szyję bez żadnych ukrytych zamiarów. Sprawiał, że czułam, jakby moje piersi były najcudowniejszą częścią ciała. A kiedy do akcji wkraczał jego przebiegły język, by zabrać mnie w krainę ekstazy, zawsze było tak, jakby do mnie przemawiał. Żadnych numerów typu załatwić i gotowe. Jego język miał wyczucie rytmu, które pozwalało mi zapaść się w otchłań. Kurwa, na samą myśl o tym dostawałam dreszczy.

- Będiesz ze mną tej nocy, prawda? Richard przysunął się bliżej.

- A czemuż to?

- Jesteś moją narzeczoną? Muszę mieć jakiś powód?

- To zależy. Coś nie tak?

- Potrzebuję trochę zainteresowania.

- Och? Więc chcesz przez to powiedzieć, że jesteś napalony?

- Tak - odpowiedział. - Chcę cię dziś w nocy.

- Coś jeszcze?

Nachylił się do mnie wyszeptał:

- Czuję się odrzucony. Nie spędziłaś ze mną ani chwili, odkąd tu jesteśmy. Rozumiem, jaka jest sytuacja, ale nie zostawiaj mnie tak.

Kiedyś lubiłam tę jego zaborczość. Bardzo mnie pragnął. To pragnienie ujawniło się w okresie, kiedy wszystko było mi obojętne i nie czułam się chciana przez nikogo. Prawdę mówiąc, nie sposób pozbyć się cienia w słoneczny dzień. Potrzebowałam takiego zainteresowania i zasługiwałam na nie. Dziwne, ale dokładnie to samo, co mnie kiedyś pociągało, zaczęło mnie teraz odpychać.

- Przyjechałam tu do Debry - powiedziałam, otwierając tekturową teczkę.

- Wiem, wiem - Richard ściszył głos i przez chwilę przyglądał się ze zdumieniem Bobby'emu i Alejandrii. Gdybym nie wiedziała, o co chodzi, pomyślałabym, że próbuje naśladować ich namiętność.

Zadzwoił telefon i Alejandria wstała, żeby go odebrać.

- Nie czuję się komfortowo, kiedy twój były mieszka w sąsiedniej sypialni - powiedział Richard. - Mówiłem ci, co wygadywał o tobie. Nazwał cię suką i dziwką. A teraz paradujesz po domu w takim stroju.

- Tyrel zdążył się już napatrzeć na mój goły tyłek.

- Dlaczego mówisz takie rzeczy? - spytał ostro.

Zrobiłam numer w jego stylu i ostentacyjnie chrząknęłam. Richard stęknął i posłał mi piorunujące spojrzenie. Potem jego twarz złagodniała i przybrała niemal dziecinny wyraz.

- Nie powinno nas tu być - powiedział. - Nie wtedy, kiedy on tu jest.

- Masz rację. Nie powinno nas tu być.

Richard patrzył na mnie wyzywająco, ale ja pozostałam niewzruszona. Potem uśmiechnął się diabolicznie i wtedy to uzmysłowiłam sobie, jak bardzo przypomina swoją podobną do zwa-riowanej nauczycielki mamusię.

Richard przejechał palcami po moich włosach.

- Dlaczego nagle zrobiłeś się taki czuły? - spytałam. Wzruszył ramionami.

- Martwiłem się o ciebie, kiedy nie otwierałaś drzwi - powiedział. - Co się wtedy stało?

- Byłam zajęta - odsunęłam jego rękę. - I teraz też jestem zajęta.

Alejandria wróciła, trajkocząc po hiszpańsku do bezprzewodowego telefonu. Była boso, miała na sobie czarne spodenki kolarskie i obszerny podkoszulek. Mimo obfitego biustu nie nosiła stanika. Podeszła do Bobby'ego. Wyglądali na szczęśliwych i czułam to wraz z nimi.

- Dlaczego uśmiechasz się tak szeroko? - zapytał Richard.

- Lepsze to, niżbym miała się krzywić. Czy przeszkadza ci moja szczęśliwa mina?

- Co się z tobą dzieje?

Roześmiałam się. Richard zmarszczył brwi. Wyglądał na zmieszanego. Zwłaszcza kiedy obróciłam się na krześle przodem do niego tak gwałtownie, że aż podskoczył. Obdarzyłam go najbardziej uwodzicielskim z uśmiechów, a powłóczyście spojrzenie moich brązowych oczu omiotło go do stóp do głów. Przejechałam palcami po jego brodzie. Zawsze uważałam, że jest przyjemna w dotyku, ale teraz myślałam tylko o tym, że cholernie drapała mnie po twarzy.

- Co ty we mnie widzisz? - zapytałam.

- O co ci chodzi? - skrzywił się Richard.

- Dlaczego chcesz spędzić ze mną resztę życia? Na twarzy Richarda malowało się oszołomienie.

- Bo cię kocham - odparł.

- I tylko dlatego?

- Tylko dlatego? - zmrużył oczy. - Czy może być coś ważniejszego od mojej miłości do ciebie?

- Dobra, w porządku. Kochasz mnie. Ale kim ja jestem?

- Co? - Richard zrobił taką minę, jakby nie dosłyszał.

Przysunęłam twarz tak blisko niego, że nasze nosy niemal się zetknęły.

- Kim jestem? - powtórzyłam.

- Co się z tobą dzieje? - szepnął Richard.

Odskoczyłam, kiedy Debra zajrzała do salonu. Za jej plecami stał Tyrel. Dłoń Richarda przesuwała się po mojej nodze tam i z powrotem. Odsunęłam się, a jego ręka opadła bezwładnie. Debra stała na szczycie trzystopniowych schodków i gładziła się po brzuchu. Sprawiała wrażenie tak skoncentrowanej, jakby pogodziła się ze wszystkimi tymi uczuciami, których ja starałam się unikać.

- Cześć wszystkim - powiedziała z wigorem.

Tyrel omiotł posępnym spojrzeniem mnie i Richarda, po czym odwrócił się i znikł w głębi korytarza, gdy mój narzeczony ścisnął mnie za nogę. Od momentu naszego rozstania nie

zdarzyło się ani razu, aby Tyrel nie świdrował mnie przenikliwym spojrzeniem, i czułam się z tego powodu gorzej niż źle. Nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy, kiedy byłam na tyle spokojna, by podać mu rękę i powiedzieć coś uprzejmego. Przeżywaliśmy to samo cierpienie, ale nie przekazaliśmy sobie wyrazów ubolewania. Niezależnie od tego, jak bardzo nim pogardzałam, odzywała się we mnie ochota, by z nim poplotkować i dowiedzieć się, jak żyje. Niezależnie od tego, co myślał Richard.

Moje myśli rozproszył Richard, który przysunął się bliżej i gładził mnie palcami po udzie.

- Tyrel? - odezwałam się, przewyciężając dławienie w gardle. Ręka Richarda zamarła w bezruchu. Nie cofnął jej, tylko znieruchomiał, zachowując się jak pasażer na gapę.

Tyrel znów wytknął głowę przez drzwi i spojrzął na Alejandrię. Debra kołyszącym krokiem weszła do salonu i przytuliła wszystkich, zapewniając, że wszystko z nią w porządku. Richard usiłował przybliżyć rękę do mojego krocza.

- Nie rób tego - powiedziałam najdelikatniej, jak umiałam.

- Dlaczego? - spytał, kiedy odsunęłam jego łapę.

- Bo Shelby powiedziała, że nie - syknęłam.

Byłam cholernie zdenerwowana, ale podniosłam się na nogi i powoli zbliżyłam do podłoża schodków. Szłam z opuszczoną głową, wpatrzona w punkt, w którym powinnam się zatrzymać, by stanąć naprzeciwko Tyrela. Z każdym krokiem, z każdym ruchem bioder, ręce trzęsły mi się coraz bardziej, kiedy nawijałam na palce kosmyki włosów. Pokręciłam głową, aż coś chrupnęło. Zanim zdążyłam się zorientować, stałam w zasięgu oddechu mojego byłego kochanka. Patrzyłam na schludne markowe spodnie, parę sportowych butów i wciąganą przez głowę bluzę. Wkroczyłam w strefę opanowaną przez jego męski słodkawy zapach. Tyrel używał delikatnie aromatyzowanych balsamów do ciała. Zrezygnował z perfum po tym, jak kupiłam mu Red Musk. Wybierałam subtelne zapachy, których piękno wspólnie docenialiśmy w chwilach intymności.

Patrzyłam na dołek w jego brodzie i nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Trzymasz się jakoś? - zapytałam.

Tyrel skierował beznamiętny wzrok na Richarda. Za moimi plecami zapadła taka cisza, jakby wszyscy czekali na wybuch bomby. Potem usłyszałam szelest marszczącej się dżinsowej koszuli Richarda, ale nie spojrzałam za siebie. Tym razem nie dałam się powstrzymać.

- Tyrel - powiedziałam chłodnym tonem - Zadałam ci pytanie.

Uwaga Tyrela znów skupiła się na mnie. Jego spojrzenie działało mi na nerwy i kilka razy przestępowałam z nogi na nogę. Opuściłam lekko głowę, na tyle, by zerknąć przelotnie na jego pałakowate nogi.

- W porządku - odpowiedział. - Zawiozłem Debrę do lekarza.

- To miło z twojej strony.

- A co ty robisz?

- Odbieram telefony.

- Chcesz, żebym cię zastąpił? Ty i Richard moglibyście zrobić sobie przerwę.

- Nie, ale dziękuję - zaledwie poruszałam wargami, otwierając usta na tyle, by wymykały się z nich słowa. - Jak ci się podoba w San Francisco?

Cała ta gadka szmatka wydawała mi się taka poważna. Myślałam, że nie będę w stanie wymówić słowa, że będzie to trudniejsze, niż się okazało, albo że to, co miałam do powiedzenia, ulotni się, nim zdąży przybrać postać dźwięku.

Tyrel przypatrywał mi się jakoś dziwnie.

- Na co tak patrzysz? - spytałam.

- Na twoją szyję.

Cholera, zapomniałam. Uniosłam szybko rękę i dotknęłam tego miejsca. Plasnęło, jakbym zabijała komara. Nie zdążyłam oblać się rumieńcem, bo Richard stanął obok mnie i położył mi rękę na plecach. Po moim delikatnym uśmiechu nie zostało ani śladu, ale zachowałam zimną krew.

- Co jest? - zapytałam spokojnie, obracając się powoli do Richarda.

- Co tu się dzieje? - Oczy Richarda biegały między mną a Tyrelem, jakby obserwował mecz tenisowy na French Open. - Co się stało dziś rano?

- Był wywiad - odpowiedziałam. - Widziałeś.

- Co się stało? - zwrócił się do Tyrela.

Tyrel zamyślił się na moment, po czym odwrócił od Richarda pełne rezygnacji spojrzenie.

- Debra, wróć tu za chwilę - powiedział.

- Nie, nigdzie nie wyjdiesz - oznajmiłam. - Nie dokończyliśmy rozmowy.

Tyrel wydał pomruk dezaprobaty. Najwidoczniej dla Richarda świat nie był dostatecznie przestronny, bo nie przestawał na mnie napierać. Odsunęłam się od niego, by zyskać trochę miejsca.

- Richardzie - powiedziałam, patrząc na jego pięści. Oczy Richarda podążyły za moim spojrzeniem. Rozprostował palce. Kręciło mi się w głowie i czułam nerwowe mrowienie. Ciężko westchnęłam i zgromiłam go wzrokiem.

- O co ci chodzi? - Głos Richarda przybrał kategoriyczny ton. Odrobinę za mocny.

- Nie podnoś głosu na Shelby! - krzyknęła Debra. - Nie w moim domu.

Debra poderwała się z kanapy i nie odrywając dłoni od brzucha, ruszyła w moją stronę. Człapała stopami, jakby wybijała rytm swego gniewu.

- Debra, uspokój się - powiedziałam. - Wszystko w porządku?

Nawet Alejandria miała w oczach okrutne błyski. Zaczęło robić się nieciekawie, więc opuściłam ręce w uspokajającym geście, jakbym była dyrygentem chóru. Alejandria przygryzła wargę i ułożyła się z powrotem w ramionach męża.

- Przepraszam - odezwał się Richard, przyglądając włosy dłonią. - To jest niezręczna sytuacja. Nie chcę nic mówić, ale jest ciężko, kiedy wszystko idzie jak po grudzie.

- Shelby... - odezwał się Bobby.

- Posłuchajcie. Wszystko jest w porządku - zapewniłam po raz kolejny i byłam zaskoczona własnym spokojem. Ani razu nie podniosłam głosu.

- Już dobrze? - spytała Debra, podchodząc do mnie. - Co się stało? Chwyciliśmy się za ręce.

- Naprawdę, bardzo mi przykro, że jestem takim problemem. - Słowa z trudem przecho-
dziły mi przez gardło. - Przepraszam, że ściągnęłam całe to gówno do twojego domu.

- Wszystko dobrze - Debra ścisnęła moją dłoń. - To numer w twoim stylu.

- Nieprawda.

Richard wetknął jedną rękę do kieszeni, a drugą miętosił podbródek. Nie było przy nim jego mamy, więc nie mógł kontrolować sytuacji. Jednak gdyby pani Vaughn tu była, nie zmieniłyby to niczego. Miałam coś do powiedzenia, nie wiedziałam tylko, od czego zacząć i jak odcedzić wulgaryzmy, które powoli wzbierały w moim sercu.

- Richardzie. - Użyłam najśłodsze go tonu, jaki potrafiłam z siebie wydobyć.

- Tak? - Przestał skubać brodę. - Wszystko w porządku?

- Chodź ze mną, kochanie.

Śmignęłam po schodach i minęłam Tyrela, nie unosząc wzroku. Rzuciłam tylko beznamienne „Przepraszam”. Richard ledwie nadązał za moim zwawym krokiem. Minęłam kuchnię i

wyszłam wprost na zewnątrz. Byłam w połowie trawnika, kiedy Richard pojawił się w tylnym wyjściu.

- Proszę, zamknij za sobą drzwi - krzyknęłam.

Nogi same prowadziły mnie w stronę basenu. Powietrze wypełniał zapach chloru, mieszając się z aromatem świeżo ściętej trawy i odrobiną smogu. Pod bosymi stopami czułam chłodny beton. Zwolniłam na chwilę, by zamoczyć stopy w basenie, i poszłam dalej, zostawiając za sobą mokre ślady. Spojrzałam w dół. Moje sutki sterczały niczym dwa dziarskie rodzynki.

- O co w tym wszystkim chodzi? - krzyknął Richard.

W jego głosie zawsze było coś, co sprawiało, że czułam się prowokowana. Nie wiedziałam, jak to robił, ale potrafił sprawić, bym stonowała swoje słowa albo zmieniała zdanie na temat tego, co chciałam powiedzieć. Ale tym razem postanowiłam do tego nie dopuścić.

Kiedy zamknął za sobą furtkę, podeszłam bliżej, spojrzałam mu w oczy i szykowałam się, by zamienić w słowa wszystko, co mnie dręczyło.

Pogoda była niemal bezwietrzna, a na niebie piętrzyły się cumulusy. Nie było jeszcze ciemno, ale księżyc pojawił się już w całej okazałości. Księżyc zwracał się ku słońcu. DC-10 przedzierający się przez chmury w stronę portu lotniczego wydawał ledwie dosłyszalny szum. Niedaleko przeleciał helikopter, który prawdopodobnie kogoś ścigał.

- Okłamywałam cię - przeszłam do natarcia. - Ale cię nie okłamałam.

Richard zaniemówił na moment i wzdrygnął się jak oparzony.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał.

- To, że cię okłamywałam. Dzwoniłam do Tyrela.

- Kiedy?

- Och, nie wiem - w moim głosie nie było śladu emocji. Odrętwienie. Wzruszyłam ramionami - Dzwoniłam do niego. Może dwadzieścia, trzydzieści razy. Może z pięćdziesiąt. Już powiedziałam, nie wiem. Straciłam rachubę. Czasem dzwoniłam z domu. Raz albo dwa zadzwoniłam do niego od ciebie. Przepraszam cię za to. Czasem nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zadzwonić do niego z podróży. Ale nigdy z nim nie rozmawiałam.

- Dzwoniłaś do niego, ale z nim nie rozmawiałaś.

- Słuchałam jego głosu na automatycznej sekretarce...

- Z mojego domu?

- ... albo kiedy odebrał, ogarniał mnie strach i rozłączałam się.

- Dzwoniłaś do niego - Richard kiwał się z boku na bok. Wszystko w nim zdawało się słabnąć. Jego postawa i ton głosu straciły na sile. Twarz zaczęła błyszczeć od potu, który zbierał się na czole. Głos stał się surowy, ale nie dałam się speszyć. - Wiedziałem o tym. Przejrzałem twoje rachunki.

- Zaraz. Czytałeś moje rachunki telefoniczne? Grzebałeś w moich rzeczach?

- Musiałem to wiedzieć. Coś było nie w porządku i zrobiłem to, co uznałem za konieczne. A kiedy to zrobiłem, zobaczyłem twoje połączenia z San Francisco. I to, że wciąż trzymasz te śmieci, które od niego dostałaś. Okłamywałaś mnie, że je wyrzuciłaś, a wciąż leżą upchnięte na dnie szafy. Wymykałaś się tu, kiedy tylko miałaś okazję, i nigdy nie dawałaś mi numeru, pod którym mógłbym cię zastać. Więc nie mów, że nie miałem powodu, aby być podejrzliwy.

Rozdziawiłam usta, jakbym dostała skurczu żuchwy. Wzbierała we mnie świeża fala rozpalonego gniewu. Czułam żar w piersiach, które unosiły się i opadały, jakby płuca miały zaraz eksplodować. Jeżeli myszkował w moich rachunkach, przypuszczalnie na nich nie poprzestał.

- Myślałam, że naciśnąłeś ponowne wybieranie - powiedziałam.

- Zmyśliłem to. - Wzruszył ramionami. - Chciałem zobaczyć, co powiesz.

- Więc myślisz, że to jest jakaś gra?

- To nie jest gra.

Nagle wszystko sobie przypomniałam. Te wieczory, kiedy wydawało mi się, że słyszę jego samochód pod oknem. Głuche telefony, które odbierałam późno w nocy. Nie miałam jednak zamiaru pozwolić, aby oburzenie zbiło mnie z tropu. Wyłożyłam kawę na ławę.

- Tak, dzwoniłam do niego - powiedziałam. - Ale nigdy nie rozmawialiśmy.

- Dlaczego? - głos Richarda zaczął się łamać.

- Bałam się.

Richard rozpostarł ramiona i zrobił krok w moją stronę. Wyciągnęłam przed siebie wyprostowaną rękę. Był pogodny wieczór, ale we mnie wzbierała burza z piorunami. Richard zachował dystans. Wytarł dłonie w tył spodni i rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś nas nie obserwuje. Trzymałam uniesioną rękę, dopóki się nie cofnął.

- Czy twoi przyjaciele zabiegają o to, byście zeszli się z powrotem?

- To nie jest ich sprawa.

- Dlaczego? - Richard uderzał się pięścią po udzie.

- Dlaczego co?

- Dlaczego do niego dzwoniłaś?

- Tęskniłam za nim.

- Tęskniłaś? - Richard uderzył kilka razy obcasem w beton, za każdym razem przeklinając.

Szybkim krokiem zbliżył się do mnie i zanim znów zdążyłam wyciągnąć rękę, patrzył mi prosto w twarz. Zacisnął zęby i przechylił głowę.

- Pieprzyłaś się z nim, prawda?

- Co? Nie.

- Widziałem go, jak zeszłej nocy wychodził od ciebie.

- Co widziałeś? Proszę, przestań.

- Shelby, jeśli masz zamiar mówić prawdę, bądź konsekwentna.

- Nie musiałam ci tego wszystkiego mówić.

Richard nie spuszczał ze mnie wzroku, potrząsnął głową i wydał z siebie pomruk.

- Obudziłem się i widziałem go, jak czmychał z twojej sypialni - powiedział.

- Chciałbyś. Nawet nie próbuj mi tego wmówić.

- To czemu do cholery wymykał się z twojego pokoju o czwartej nad ranem?

- I to jest właśnie to, o co pytałaś mnie dziś rano?

- Pożerał cię oczami. To zabawne, że przebrałaś się w tę szmatę, dopiero kiedy wrócił.

- Tyrela nie było w mojej sypialni - naciągnęłam elastyczny materiał opinający mi pośladki. - Spałam z Debrą i wiesz o tym.

- Nie wiem, gdzie była Debra. Wczoraj miałaś z nim śpięcie, a teraz mnie ignorujesz i uganiaasz się za nim. Coś musiało się wydarzyć tej nocy. Umiem połączyć fakty.

- Jeżeli twierdzisz, że coś widziałeś, to dlaczego nie przyszedłeś, nie powiedziałeś czegoś?

- No bo tak.

- Bo kłamiesz.

- Bo cię kocham, do cholery. Nie pojmujesz tego?

Richard usiadł na jednym z krzeseł. Znów próbował przejąć nade mną kontrolę, zmusić mnie do przyjęcia tego, czego chciał. Tym razem jego bronią okazało się wyznanie miłości.

- Wróciłabyś do niego, gdybym tu nie przyjechał?

Usiadłam na krześle naprzeciwko Richarda. Przez chwilę patrzyłam w stronę domu. Nie wiadomo, jak potoczyłyby się sprawy, gdybym przyleciała sama. Być może nie zamieniliby-

śmy z Tyrelem ani słowa. Może zaczęlibyśmy rozmawiać o Leonardzie, połączyłoby nas to cierpienie i zapragnęlibyśmy je rozładować, parząc się jak dzikie króliki. A może podeszlibyśmy do tego na chłodno, wspominając ze śmiechem dawne czasy, zostalibyśmy przyjaciółmi na kilka dni, a potem rozjechalibyśmy się w różne strony. Niezależnie od wszystkiego moje uczucie do Richarda pozostałoby takie samo.

- I co, wróciłabyś? - powtórzył Richard.

- Być może.

- Chciałabyś z nim być?

- Co masz na myśli?

- Pieprzyłabyś się z nim?

- Kilka dni temu tak.

- Kiedy już byliśmy zaręczeni?

Pokiwałam głową.

- Jeżeli nie chcesz wiedzieć, to nie pytaj.

Richard zadrżał, a jego oczy zasnuła mgła. Trzymając się za brodę, wydał z siebie przeciągły jęk, który przejął mnie dreszczem bardziej niż wieczorny chłód. I tak byłam już zmarznięta, a moje sutki stwardniały z zimna. Sama nie wiedziałam, co robić. Nawet kiedy próbowałam być w porządku, ktoś zawsze musiał na tym ucierpieć. A przede wszystkim ja.

- Po tym, co zrobił? Po tym, jak cię sponiewierał?

- Nigdy mnie nie sponiewierał. - Mój głos stał się odległy i nieobecny, jakbym przypominała sobie, co się wtedy stało. - Tyrel mnie nie porzucił. To ja odeszłam od niego, bo zaszłam w ciążę i byłam zbyt przerażona, by myśleć normalnie.

- Byłaś w ciąży?

- Tak, byłam.

- Z nim?

- Tak.

- Nie mówiłaś, że mieliście dziecko...

- Nie mieliśmy. Wciąż nie mogę tego odżalować. Teraz ja i Debra mogłybyśmy mieć dzieci prawie w tym samym wieku. Mogłyby bawić się razem, jak my kiedyś. Ale nie będą. Jak mawiała moja mama, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

Richard nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Stał nieruchomo jak posąg. Otarłam oczy i opuszki moich palców pokryły się słoną wilgocią. Wyprostowałam się, odchrząknęłam i spojrziałam ze wzgórza na miasto, które lśniło jak milion świec.

- Przykro mi - powiedziałam. - Zdaje się, że wszyscy przeze mnie cierpią.

Richard stęknął, jakby cierpienie wywołało u niego obstrukcję. Zmagałam się z własnym bólem. Chciałam wyrzucić z siebie trochę powietrza, ale mój oddech był zbyt płytki.

- Nie rozumiem cię - odezwał się Richard.

- Jedynie ja muszę zrozumieć, dlaczego robię to, co robię. Ale w połowie przypadków nie mogę.

Richard odchylił się na oparciu krzesła i zamknął oczy. Po chwili uciążliwego milczenia jego ciało się rozluźniło.

- Kochasz mnie? - zapytał.

- Nie. Próbowałam, ale to nie przyjdzie.

- A więc zaręczyłaś się ze mną, ale za mnie nie wyjdiesz?

- Cóż, można by to tak ująć.

- Przyjęłaś ode mnie pierścionek przy całej rodzinie.

- Tak, z całą pewnością. Richard zaśmiał się gorzko.

- Potrzeba nam trochę więcej czasu - powiedział.

- Czas to nie problem. Tu chodzi o dopasowanie.

- A co z nim?

- Z nim, znaczy z kim? Dlaczego nie możesz użyć jego imienia?

- Czy kochasz...? - zakasłał. - Co czujesz do Tyrela?

- Co ma piernik do wiatraka? Rozmawiamy o mnie i o tobie.

- Shelby. - Jego głos był tak przepełniony boleścią, że miałam ochotę go przytulić, ale się powstrzymałam. - Kochasz go?

- Myślę, że tak.

- Jesteś w nim zakochana?

- Kiedyś byłam. Myślę, że jestem. Tak.

Richard zdawał się wędnać, jakby zaraz miał się skurczyć o połowę. Nie odzywał się i siedział w bezruchu przez dłuższą chwilę. Dał mi czas do namysłu. Czas, bym poczuła ciężar diamentu, który nosiłam na palcu. Może to nie było takie złe, że mama nie miała pierścionka, kiedy oddawałam ją ziemi. Richard wstał, kiedy właśnie zaczęłam oswajać się z ciszą i słyszeć

słowa mamy, które dobiegały do mnie jak poprzez wiatr. Otworzył oczy, uniósł rękę powoli, jakby była z ołowiu, i otarł twarz. Potem strzepnął nią gwałtownie, jakby wsadził palce do gniazdka.

- Odchodzę - sprawiał wrażenie wskrzeszonego. - Wracam do domu do San Diego.

Nie dyskutowałam z nim ani nie zadawałam pytań. Powoli wróciliśmy razem do domu. Pozwoliłam mu nawet potrzymać się za rękę. Teraz jego dotyk nie był nawet dla mnie taki przykry.

Kiedy dotarliśmy do drzwi, usłyszeliśmy głos Leonarda wypełniający cały dom. Słysząc też było śmiech i piski Debry.

W salonie Alejandria leżała na sofie z zamkniętymi oczami i kiwała nogą. Bobby siedział na podłodze z pilotem w dłoni i oglądał taśmę Leonarda i Debry. Sama ją nagrywałam i w tle słysząc było mój śmiech. Bobby przygotowywał fragmenty filmów do pokazania w domu po uroczystościach pogrzebowych. Wstał, kiedy weszłam do salonu. Richard, nie zatrzymując się, poszedł w stronę sypialni. Kiedy znikł za drzwiami, Bobby podszedł do mnie, marszcząc brwi. Alejandria też wstała, ale tkwiła w miejscu.

- W porządku? - spytał Bobby.

- Tak, w porządku.

Zmarszczki z jego cyfaminowej twarzy znikły, Alejandria zaś obdarzyła mnie promiennym uśmiechem. Pomachałam jej przyjaźnie dłonią i też się uśmiechnęłam.

- Jesteś spocona - zauważył Bobby.

- Wiem. Gdzie jest Debra?

- Poszła do sąsiadów - odpowiedziała Alejandria.

- A Tyrel? - ściszyłam głos.

- Gdzieś pojechał, kiedy wyszłaś z Richardem - wyjaśnił Bobby. - Myślę, że do kabaretu na pożegnanie Leonarda. Wybieracie się tam?

- Nie. Nie mam nastroju. Na dziś wystarczy mi sensacji.

Podeszłam do drzwi sypialni i uniosłam rękę do klamki, ale nie dotknęłam jej. Stałam i nasłuchiwałam. Węszyłam za Richardem tak, jak on węszył za mną. Szufłady komody otwierały się i zamykały. Wolnym krokiem ruszyłam w głąb korytarza.

Drzwi do pokoju Tyrela były uchylone. Zajrzałam do środka. Na łóżku leżały walizki. Odgarnęłam włosy do tyłu i weszłam do sypialni Debry. Przejrzałam się w lustrze, wzięłam

prysznic i włożyłam pożyczony od Debry podkoszulek z wizerunkiem Malcolma X i krótkie spodenki. Kiedy naciągałam postrzępione skarpetki, rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

Znieruchomiałam i odliczyłam od dziesięciu.

- Proszę - westchnęłam.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Richard. Miał przekrwione oczy i opuchniętą twarz. Zrobiło mi się go żal. Tak naprawdę zrobiło mi się żal nas obydwójga. Jeszcze raz zmarnowałam trochę swojego czasu.

- Chciałbym cię przeprosić - powiedział.

- Nic złego nie zrobiłeś.

- Wiedziałem, że ci na nim zależy, ale kocham cię i nie mogę tego znieść. Nie wiem, co robić ani jak sprawić, abyś mnie pokochała.

Nic nie odpowiedziałam, ale jego ckliwe oświadczenie nie było właściwie pytaniem. Był na tyle dorosły, by wiedzieć, że nie można nikogo nakłonić do miłości. Domyślałam się jednak, że mógł czuć się zraniony i nie myślał logicznie. Ogarnęło mnie współczucie. Starłam się mówić do niego łagodnie. Chciałam, aby nasze rozstanie przebiegło spokojnie. Był teraz tak niepodobny do tego pogrążonego w amoku mężczyzny, który przygniatał mnie i kąsał po szyi.

Trudno mi było jednak postępować wbrew temu, co czułam. Tyle złego wydarzyło się tak szybko. A być może działo się tak przez cały czas. Dla każdego wszystko wygląda inaczej. Leonard odszedł. Jeszcze trzy dni temu to on rządził na tym podwórku. Teraz go nie było. Zaczęłam się zastanawiać, co ze mną będzie za trzy dni. Ten związek był już martwy i należało go pochować.

- Spotkamy się i porozmawiamy, kiedy wrócisz? - zapytał Richard.

- Nie.

- Ot tak po prostu nie?

- Nie.

- Mam czekać, aż się do mnie odezwiesz?

- Nie.

- A odezwiesz się do mnie?

- Może.

- Może?

- Może. Ale nie liczyłabym na to.

- Możesz powiedzieć mi coś bardziej konkretnego?

- Nie wiem.

Richard westchnął.

- Proszę, nie naciskaj - powiedziałam. - Zawsze to robiłeś. Takie decyzje będę podejmować bez przymusu.

- Shelby...

- Do cholery. - Opuściło mnie współczucie. - W tej chwili nie wiem. Wszystko, co mogę ci powiedzieć, to „może”. Może, w porządku? Ale to nie jest obietnica.

Richard odchrząknął.

- Przepraszam, nerwowe przyzwyczajenie - wyjaśnił.

Mój pierścionek zaręczynowy zabłysnął, kiedy ściągałam go z palca.

- Nie. - Oczy Richarda się rozszerzyły. - Zatrzymaj go, dopóki się nie uspokoisz i nie porozmawiamy. Kupiłem go dla ciebie.

- Nie, to nie ma sensu. - Wiedziałam, co czuję, nie było tam miejsca na wahanie. - Nie chcę mieć wobec ciebie żadnych zobowiązań.

- O czym ty mówisz?

- Wszystko skończone.

- Ach tak.

- Pozwól to sobie wytłumaczyć. Nie masz pięciu lat. Nie oczekuj niczego.

- Nie oczekuj niczego - wyszeptał urażony.

Kiedy wyciągnął rękę po pierścionek i dotknął mnie, poczułam się dziwnie. Jakby to miał być ostatni raz, kiedy go dotykałam. Koniec. Bolało to na swój sposób. Przejmowałam się tym bardziej, niż przypuszczałam, ale nie rozczułałam się nad sobą. Dodałam to małe cierpienie do całej masy innych, wielkich. Nie czułam się uszczęśliwiona, ale nowy ból nie był nieznośny. Raczej przyćmiony i zanikający.

- Odwiozę cię na lotnisko - powiedziałam.

- Nie trzeba. Zrobiłem już rezerwację i zadzwoniłem po taksówkę. Dojedzie tu w kilka minut. Za parę godzin będę w domu, a siostra odbierze mnie z lotniska. Zaraz po powrocie zadzwonię do ciebie, że szczęśliwie dotarłem.

- Nie rób tego.

Richard prychnął ze wzgardą.

- Cóż, to przynajmniej pożegnaj ode mnie Debrę, Alejandrię i Bobby'ego - powiedział. - I przekaż Debrze moje kondolencje.

Potrząsnęłam głową.

- Daruj sobie - mój głos przybrał chłodny ton.

- Co?

- Wiesz, co zraziło mnie do ciebie bardziej niż cokolwiek innego? Richard był zdezorientowany.

- Mąż mojej najbliższej przyjaciółki nie żyje. A ty masz wielką kwiaciarnię i nie zadałeś sobie trudu, by przysłać choćby jeden kwiatek.

Moje ostre słowa sprawiły, że zacisnęła szczęki i wyprężyła się.

- Nie sądzisz, że to okropne? - spytałam.

Stał przez chwilę, przekrzywiając głowę. Jego oczy wciąż miały błagalny wyraz.

- Ja cierpię, Shelby - powiedział. - Wiesz, że mnie ranisz.

Richard spojrzał na pierścionek, potrząsnął nim w dłoni i podniósł wzrok na mnie. Nie zauważył niczego poza srogą miną. Mruknął z irytacją, po czym odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- Pamiętaj, że jak na coś się zanosi, to w końcu do tego dojdzie - powiedział, ocierając twarz.

- Już doszło.

Drzwi zamknęły się delikatnie za Richardem. Moja dłoń bez pierścionka była lżejsza. O wiele lżejsza. Kroki Richarda ucichły w korytarzu, kiedy włókł się w stronę sypialni. Dziesięć minut później przed domem rozległ się klakson i usłyszałam kroki zmierzające w stronę salonu. Otworzyły się frontowe drzwi, a po chwili taksówka odjechała.

Myślałam, że będę gotowa otworzyć butelkę szampana, ale ogarnęła mnie jakaś pustka. Cholera, czułam się wypalona.

Przez głowę przemykały mi rzeczy, o których czytałam. Bzdury takie jak „oczy są zwierciadłem duszy”, albo „myśl dużo, a mów mało”. Najcięższa z nich była myśl: „nie rodzisz się kobietą, ale stajesz się nią”.

Położyłam się na łóżku i wlepiłam wzrok w perłowobiały wirnik wentylatora sufitowego. Zataczał kręgi tak samo jak moje życie. Kilka razy pociągnęłam nosem i łzy spłynęły mi po twarzy na poduszkę Debry. Zagryzłam wargę i nuciłam piosenkę Luthera Vandrossa o domu bez duszy, okręcałam przez chwilę włosy na palcu. Potem sięgnęłam do szafki nocnej po chusteczki, by wydmuchać nos.

Kiedy się podniosłam, siedziałam na wprost lustra wbudowanego w drzwi szafy Powoli podeszłam do szklanej tafli i stanęłam twarzą w twarz ze swoim odbiciem. Wyciągnęłam dłoń i przyłożyłam do lustrzanej dłoni, odbijając ślad na zaplamionej powierzchni. Wszędzie zostawiałam swoje ślady.

41.

Tyrel

Siedziałem na dnie kabiny prysznicowej w strumieniach ciepłej wody, a pod zaciśniętymi powiekami widziałem ukąszenia na szyi Shelby. Wyobrażałem sobie ją i Richarda ogarniętych namiętnością i robiących takie rzeczy, przy których bladły moje najdziksze fantazje. Byłem tu i zmagalem się ze zgryzotą, a ta suka pieprzyła się w domu mojego przyjaciela.

Nie miałem ochoty jechać do klubu na pożegnanie Leonarda. Nie chciałem jechać w żadne miejsce, gdzie mógłby pojawić się smutek i łzy. Jedyne powód, dla którego się tam wybrałem, był taki, że potrzebowałem jakiegoś pretekstu, by wyjść z domu. Bobby i Alejandria powiedzieli, że mogliby tam pojechać, więc nie miałem już odwrotu. Przynajmniej żeby się pokazać. Zresztą tak należało postąpić. Nie byłem w najlepszym nastroju, więc zamierzałem pojechać do hotelu, przeczekać tam do trzeciej, może czwartej nad ranem i wśliznąć się do domu, kiedy Shelby i Richard skończą robić, cokolwiek by robili.

Musiałem skupić się na tym, co mnie tu przywiodło. Nie chciałem przysparzać Debrze kolejnych zmartwień. Nie było to dla mnie łatwe. Tyle razy musiałem ugryźć się w język.

Pięć minut później miałem już na sobie dżinsy marki Girbaud, czarne skórzane buty, białą koszulę bez kołnierzyka i blezer Pierre'a Cardin. Znowu trzeba było zadbać o styl, gdyż wiedziałem, jak wyglądają uroczystości w tych kręgach. Swobodny strój nigdy nie bywa traktowany dosłownie. Oznaczało to, że należy się przygotować na rewię mody.

Parking obok Color of Comedy był wypełniony po brzegi. Z samochodów wysiadały siostry i, kołysząc biodrami, zmierzały do klubu. Ich stroje stanowiły przegląd stylów, od wzorzystych afrykańskich sukni aż po dżinsy i obcisłe sukienki. Przyszli wszyscy, od bankruta do burżuja. Bracia nosili się z niewymuszoną elegancją albo hołowali modzie afrykańskiej. Nikt nie miał na nogach tenisówek.

Jeden z komików rozdawał czarne opaski z wyhaftowaną czerwoną literą L. Kiedy podszedłem do niego, powiedział mi, że nie muszę płacić za wstęp. Nasunąłem satynową wstęgę na ramię i wmieszałem się w tłum.

W klubie było około trzystu osób. Z głośnika płynęła wiązanka nostalgicznych kawałków. Znalazłem trochę miejsca na osobności w mieszczącej się z przodu, objętej rezerwacją sekcji Robina Harrisa. Zamówiłem 7up, pikantne skrzydełka i frytki. Występ zaczął się z trzydziestominutowym opóźnieniem.

Wszyscy komicy, jeden po drugim, oddawali cześć przyjaźni, jaka łączyła ich z Leonardem. Sala wybuchwała śmiechem, kiedy każdy z nich opowiadał jakąś anegdotę. Wierutne kłamstwa mieszały się z prawdą. Istna komedia.

Pewna siostra zwana A.J. opowiedziała zabawną bujdcę o tym, jak to samochód Leonarda zepsuł się w dzielnicy slamsów. Musiał go tam zostawić, a kiedy po niego wrócił, okazało się, że w środku zamieszkało troje bezdomnych i jednooki kot. Mieli jeszcze pretensje, że ośmiościeżkowy odtwarzacz Leonarda wciągał ich kasety.

Wszyscy mówili o nim w czasie przeszłym. Nie robiło to najlepszego wrażenia, zwłaszcza że czuło się jego obecność. Wiedziałem jednak, że za kilka dni jeden z tych stolików zostanie nazwany jego imieniem. Miałem nadzieję, że postawią go z przodu.

Po dwóch godzinach stoły odsunięto na bok i do dzieła przystąpił DJ. Podszedłem do baru, kiedy z głośników popłynął Warren G. i wszyscy zaczęli tańczyć.

Zanim zdążyłem pomachać na barmana, ktoś poklepał mnie po ramieniu. Była to Shelby. Stała tuż obok mnie, ubrana w czarny, przylegający do ciała komplet i biały żakiet. Całości dopełniały złote kolczyki, naszyjnik i bransoletki. Zobaczyłem ją i pożałowałem, że nie oslepiłem.

Shelby zdjęła opaskę, wsunęła ją do kieszeni i uśmiechnęła się do mnie.

- Cześć, Tyrel - powiedziała.

- Cześć, Shelby.

- Zobaczyłam cię, kiedy przyszliśmy - wskazała palcem. - Siedzieliśmy w sekcji Negro Baseball League.

Mój wzrok podążył za jej palcem. Bobby i Alejandria machali do mnie z parkietu.

- Masz ochotę zatańczyć? - spytała.

- Nie jestem teraz w nastroju do wygłupów - odparłem.

- Nie mów do mnie takim tonem.

- Dlaczego nie zejdziesz mi z oczu?

- Brzmi to, jakbyś chciał, żebym spakowała manatki i się wyniosła.

- To najlepsze, na co cię stać.

- Ale z ciebie dupek. Niektórzy bracia nigdy się nie zmieniają.

- Dlaczego mi się narzucasz?

- Zatańcz ze mną - poprosiła mnie ponownie i odciągnęła dolną wargę palcem. - No chodź, chcesz się ze mną zziać na parkiecie?

- Myślisz, że Richardowi by się to spodobało?

- Masz ochotę zatańczyć? - powtórzyła, a jej ciemna prześliczna skóra wciąż się śmiała.

Zrobiła zeza i gestykulacją akcentowała każde słowo. - Ogłuchłeś? Zatańczysz ze mną?

Roześmiała się, ale ja pozostałem poważny. Jej ton zmienił się, kiedy dotknęła śladów na szyi.

- Przestań mi się tak przyglądać - powiedziała.

Udawana wesołość powoli zaczynała ją opuszczać. Staliśmy, patrząc na siebie beznamiętnie, jakbyśmy przypadkiem weszli sobie w drogę.

- Tyrel, za minutę skończy się płyta.

- No i co?

Shelby wyciągnęła do mnie rękę, ale nie podałem jej swojej. Złapała mnie pod ramię i pociągnęła, przepychając się bezceremonialnie między ludźmi, aż znaleźliśmy się na parkiecie. Jej delikatna dłoń ześliznęła mi się po ramieniu i uchwyciła palce.

Shelby zawsze była znakomitą tancerką. Poruszała się gładko i wytwornie. Wszystkie te hiphopowe tańce nie były dla niej wyzwaniem i potrafiła nadać im swój niepowtarzalny styl. Podobnie jak Leonard i Debra, uwielbiała ostre potrząsanie tyłkiem. Mogli tańczyć całą noc i pocić się do ostatniej kropli.

Shelby zachwycała subtelnością. Parkiet był jedynym miejscem, gdzie sprawiała wrażenie uległej. Kiedy wczuwała się w piosenkę Toni Braxton, z trudem powstrzymywałem się, by nie stanąć obok i patrzeć, jak unosi ją fala muzyki. Tańczyliśmy cza-czę. Przy każdym ruchu uśmiechała się, zachęcając mnie, bym podążał za rytmem. Jej widok mnie dekoncentrował, ale dreptałem w miejscu, dopóki nie złapałem kroku. Shelby oplotła moje biodra rękami i przyciskała się coraz bliżej, kołysząc się wraz ze mną. Odsunąłem ją od siebie.

- Co się z tobą dzieje? - zapytałem.

- Co się z tobą dzieje? - przekrzywiła głowę, naśladując mój ton.

Zmieniła się muzyka i salę wypełnił powolny rytm. Odwróciłem się, by odejść, ale Shelby złapała mnie za rękę i przyciągnęła do siebie. Rozglądałem się za Richardem. Nie widziałem go na sali, ale tak czy inaczej chciałem się wycofać.

Przysunęła twarz tak blisko mojej, że czułem dotyk jej skóry. Jej perfumy działały na mnie jak magnes. Jej oddech był urzekający. Wciągnąłem powietrze, kiedy ona zrobiła wydech, by skraść ten aromat słodkiego likieru, który owiewał mi wargi. Jej dłoń przesuwiała się w górę i w dół po moich plecach. Przez moment byłem zupełnie zauroczony i zapomniałem, że się rozstaliśmy. Zdawało mi się, że gdy zerknę w lewo, zobaczę Leonarda i Debrę całujących się w tańcu. Zacisnąłem powieki, by nie widzieć czarnych opasek wypełniających salę, i wróciłem myślami do starych dobrych czasów. Przyciągnąłem Shelby bliżej. Wabiła mnie do siebie, a jej biodra powoli się kołysały. Poczulem pulsowanie w pachwinie. Omal nie zsunąłem ręki na jej pośladki. Najpierw się powstrzymałem, ale po chwili to zrobiłem. Shelby gwałtownie odchyliła głowę i posłała mi groźne spojrzenie. Myślałem, że chce mnie zwymyślać, ale położyła głowę z powrotem na moim ramieniu i gładziła mnie rękami po plecach tak samo jak ja ją.

- Muszę z tobą o czymś porozmawiać - wyszeptała.

- O czym? - spytałem zaniepokojony jej poważną miną. - Z Debrą wszystko w porządku?

- Debra ma się dobrze. O czymś innym.

- O jakim czymś?

- Po prostu o czymś.

- Dobrze.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła przez spocony tłum w stronę Alejandrii i Bobby'ego. Jej środkowy palec gładził wnętrze mojej dłoni.

- Ładny garnitur - uśmiechnąłem się do Bobby'ego.

- Kupiłam mu go - powiedziała Alejandria. - Próbuję go odzwyczaić od ciągłego chodzenia w starych brudnych dzinsach.

- Hmm, Bobby - odezwała się Shelby. - Będę wracała z Tyrelem.

Przeniknął mnie dreszcz. Musiałem przeoczyć część rozmowy, bo nie przypomniałem sobie, bym komuś proponował podwiezienie.

- Możemy rano wszyscy wspólnie zjeść śniadanie, co? - Alejandria uśmiechnęła się do Shelby i ujęła jej dłoń.

- Umowa stoi - powiedziała Shelby. - Zobaczymy się w domu. Uścisnęła Alejandrię, która po chwili wraz z mężem udała się na parkiet.

Potem Shelby pociągnęła mnie w stronę wyjścia. Kiedy wsiedliśmy do samochodu, wyciągnęła rękę, powstrzymując mnie przez zapaleniem silnika.

- Zaczekaj - powiedziała.

- Co się stało?

Rozsiadła się w fotelu, by móc obserwować moją twarz.

- Pocałowałeś mnie zeszłej nocy? - zapytała.

- Tak, pocałowałem. - Byłem jak zamroczony, ale to pamiętałem. - Leciutko.

- Leciutko?

- Nie można całować kobiety zbyt mocno, kiedy śpi.

- Debra mi powiedziała. Myślałam, że kłamie.

- Przepraszam. Byłem... Chyba byłem, no wiesz...

- Nie, nie wiem. - Chwyciła mnie za podbródek i obróciła moją głowę tak, bym patrzył na nią. - Zawsze całujesz śpiące kobiety?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, nachyliła się i mnie pocałowała. Najpierw jej delikatne wargi spoczęły na moich, delikatnie muskając je raz za razem. Potem rozchyliły się lekko i wsunęła mi język w usta. Przybliżyła się trochę bardziej i, poruszając się rytmicznie, całowała mnie powoli i namiętnie. Całowała mnie tak długo, aż jej oddech stał się chrapliwy od namiętności. Jej język smakował jak chablis z delikatną nutką mięty.

Kiedy skończyła pocałunek, rozsiadła się z powrotem na fotelu, zarumieniła się i poprawiła szminkę. Światło wpadające z ulicy wydobywało delikatne cienie z jej twarzy, która nabrała tajemniczego i zmysłowego wyrazu. Wygięte łuki brwiowe, idealny makijaż i cała postawa nadawała jej wygląd mądrej nubijskiej bogini. Była tak wyniosła, że aż niedostępna. A jednak siedziała obok mnie w samochodzie. Wsuwała mi język między wargi.

- Kochasz mnie? - Jej głos brzmiał czysto.

- Zawsze będę cię kochał. Nawet kiedy wyjdiesz za mąż.

- Tyrel, do cholery. Musiałeś to mówić? Wystarczyłoby zwykłe tak.

Roześmialiśmy się. Potem zaczęliśmy rozmawiać. O dawnych czasach. Swobodnie i na luzie. O koncertach, na których byłem. O sławnych osobistościach, które spotkała w samolocie. Shelby nachyliła się do mnie i jej spocone palce spoczęły na mojej wilgotnej dłoni. Czułem, że drży. Otworzyła szerzej oczy i wzięła kilka szybkich oddechów, a potem wszystko wróciło do normy. Wolną ręką odgarnęła włosy do tyłu.

- Tyrel, chciałabym coś wiedzieć.

- Co?

- Cóż, tak naprawdę, to ja chciałam ci coś powiedzieć. - Ścisnęła mocniej moją rękę.

- Słucham.

- To znaczy, muszę ci coś powiedzieć.

- W porządku.

- Muszę to dzisiaj z siebie wyrzucić - westchnęła. - Zanim opuści mnie odwaga.

- W porządku. - Kiwnąłem głową.

- Chciałam poczekać, aż będzie po pogrzebie, ale chyba nie mogę dłużej wytrzymać.

Zresztą nie wiem, jak długo tu będziesz. Powinniśmy oczyścić atmosferę, zanim rozjedziemy się w przeciwnych kierunkach.

Zamilkła na parę minut. Bobby i Alejandria, trzymając się za ręce, wyszli z klubu i udali na parking po drugiej stronie ulicy, gdzie można było znaleźć więcej miejsca. Chwilę później toyota Bobby'ego wyjechała na Martin Luther King Boulevard.

- Tyle wspomnień zostało w tym budynku - odezwała się Shelby.

- Tak.

- On naprawdę odszedł, co?

- Tak - odparłem po chwili. - Odszedł. Trzymaliśmy się za ręce, ale już w inny sposób.

- Chce ci się płakać? - spytałem.

- Nie wiem. Nie zwracaj na to uwagi. Nie rozczulaj się nade mną. Cofnąłem rękę.

- Coś nie tak? - zapytała.

- Gdzie jest Richard? - Moje pytanie wytrąciło ją z równowagi. Aż podskoczyła. Zdumiało mnie to, że w moim głosie było tyle niechęci.

- W San Diego. Wrócił do domu.

- Do domu?

- Tak.

- Ach, więc sobie wyjechał?

Shelby powiedziała, że ze sobą zerwali i przed kilkoma godzinami Richard wsiadł do taksówki. Nie zareagowałem w żaden sposób na tę wiadomość.

- A co z waszym ślubem?

Shelby uniosła lewą rękę i pokazała palec, na którym nie było pierścionka.

- To dlatego kręcisz się koło mnie? - spytałem.

- Co masz na myśli?

- Wykorzystujesz mnie, żeby wziąć odwet?

- Nie schlebiaj sobie.

Chciałem jeszcze o coś zapytać, ale mnie uciszyła. Ujęła ponownie moją rękę i poprosiła, bym posłuchał jej przez chwilę. Zamknęła oczy i ciężko westchnęła.

- Okłamałam cię - powiedziała drżącym głosem. - Usunęłam ciążę.

Dobierając powoli nerwowe słowa, opowiedziała mi o wszystkim. Ścisnąłem mocniej jej dłoń.

- Skłamałam. Byłam przerażona - wyznała.

Nie odezwałem się ani słowem, tylko patrzyłem na Shelby. Widziałem, jaka jest skruszona. Wczoraj było wczoraj, a co się stało, to się nie odstanie. Wszystko prócz tego, co się z nią działo, było bez znaczenia. Liczyło się to, co czuła obecnie. Przeszłość wydawała się tak trywialna w porównaniu z tym, przez co musiała przechodzić teraz i przez co przeszła. Nie miałem o tym pojęcia, bo o niczym mi nie mówiła, więc mogłem tylko się domyślać.

- No cóż, Tyrelu Anthony Williamsie. Przebaczysz mi?

- Tak.

- Proszę, bądź ze mną szczery.

- Której części słowa „tak” nie zrozumiałaś?

- Dlaczego?

- Bo cię kocham.

- Kim jestem?

- Shelby. Jediną kobietą, z którą pragnę być, jedyną osobą, z którą chcę wszystko dzielić.

- A kto to jest Shelby?

- Nie rób mi tego, dobrze? - Uśmiechnąłem się szeroko.

- Przestań się wykręcać. - Była rozpromieniona. Szturchnęła mnie pięścią w ramię. - Kim jestem?

- S jak seksowna, H jak hoża, E jak...

- Wciąż to pamiętasz? - zachichotała i oblała się rumieńcem. - Jak ty to robisz?

- Jesteś tą jedyną, której podarowałem trzy klucze.

- Klucz do swojego domu. - Otarła twarz.

- Tak. - Pokiwałem głową.

- Klucz do swojego samochodu.

- Tak.

- I klucz do swojego serca.

- Jestem zaskoczony, że pamiętasz.

- A myślałam, że ci miło. - Uśmiechnęła się. Shelby odchyliła oparcie do tyłu i patrzyła na gwiazdy.

- Ta noc, kiedy mi je dałeś, była piękna. Taka inna. Ale gdyby ktoś właśnie wszedł, mógłby pomyśleć, że mamy zamiar złożyć ofiarę z kozła.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Nie podobało ci się?

- Było cudownie. - Zaczęła wachlować twarz dłonią, jakby znalazła się znów w tamtym miejscu. - Zapaliłeś zbyt wiele świec. Było tak gorąco.

- Bo okazja była wyjątkowa.

- A gdzie są teraz te trzy klucze?

- Mam inne mieszkanie. Ten sam samochód. A trzeci klucz wciąż noszę w kieszeni.

- A dlaczego nie przyjechałeś ze swoją kobietą?

- Z nikim się nie spotykam.

- A kim była ta dziewczyna, która odbierała twój telefon?

- Jaka dziewczyna?

- Ta, która odbierała, kiedy dzwoniłam i się rozłączałam.

- Dlaczego się nie odzywałaś? - zapytałam.

- Myślałam, że mnie nienawidzisz. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Shelby zdjęła pantofelki na płaskiej podeszwie i położyła stopy na desce rozdzielczej. Wypiełgnowane stopy o kształtnych palcach, niewydzielające przykrego zapachu.

- Tęskniłam za twoją bliskością - powiedziała.

- Też za tobą tęskniłem.

- Aż cię to rozpiera. - Poklepała mnie po ramieniu.

- Dlaczego ty możesz powiedzieć, że za mną tęskniłaś, i jest fajnie, ale kiedy ja powiem to samo, jesteś ironiczna?

- Bo jesteś facetem, a wiem, jacy są faceci. Będziesz kłamać, żeby dostać to, czego chcesz.

- A kto powiedział, że czegoś chcę?

- Powiedz mi, że nie chcesz.

- Chyba ci odbiło.

- Troszeczkę.
- A więc czego chcę?
- Chcesz zawieźć mnie do Obispo i zachować się tak, jakby to była nasza ostatnia noc.
- Naprawdę?
- Tak, naprawdę.
- Na jakiej podstawie tak uważasz?
- Bo twój wacek zrobił się twardy, kiedy cię całowałam.
- Naprawdę?
- Nie jestem ślepa - odpowiedziała śpiewnie.

Było wpół do pierwszej w nocy i wszyscy zaczęli wychodzić z klubu.

- Zaraz wracam - Shelby otworzyła drzwi.
- Dokąd się wybierasz? Bobby już pojechał.
- Muszę zrobić siku.

Pięć minut później przecisnęła się przez tłum krążący po parkingu i znowu napełniła blaskiem mój samochód. Nachyliła się i pocałowała mnie, zanim zatrzasnęła drzwi. Przyprawiała mnie o wrzenie.

- Lepiej już wracajmy - zaproponowałam.
- Nie jestem śpiąca. A ty?
- Też nie.
- Hmm. Wszystko już zamknięte.
- Chcesz jechać do 5th Street Dick i posłuchać jazzu?
- Jest zbyt chłodno, żeby siedzieć na zewnątrz. - Jej głos brzmiał nerwowo. - Debra mówiła, że miałeś pokój w hotelu.
- Tak.
- To znaczy wciąż jeszcze masz ten pokój?
- Tak.
- Jedźmy tam - wyszeptała. - Chcę jeszcze trochę poplotkować. Jeżeli nie jesteś zbyt śpiąca i nie masz nic przeciwko temu.
- Nie ma sprawy.
- Tylko obiecuj, że niczego nie będziesz próbował.
- Zawsze możemy usiąść w holu.

- Tak. To byłoby miłe. Nie chcę, sam wiesz, żebyś mnie źle zrozumiał. - Poglaskała mnie po wewnętrznej stronie dłoni. Poczułem ucisk w gardle i przełknąłem ślinę. - Nadal kupujesz płyty?

- Tak. Przez BMG i Blockbuster.

- Tower ma swój sklep przy stojedynce w Sherman Oaks.

- Coś w tym rodzaju, jak Nordstrom's Rack w Chino?

- Tak.

Uruchomiłem silnik i wyjechałem z parkingu. Nie mogłem uwierzyć w to, że jestem z Shelby. Że rozmawiamy, dotykamy się i całujemy.

Zatrzymaliśmy się na światłach przy skrzyżowaniu z Crenshaw i znów zaczęliśmy się całować. Delektowaliśmy się sobą, jakby nasze usta były bardziej pożywne od ryżu z czerwoną fasolą. Całowaliśmy się, aż stojący za nami samochód zaczął trąbić i mrugać długimi światłami. Ktokolwiek to był, ominął nas, rzucił kilka przekleństw i przemierzył skrzyżowanie, by zniknąć za Baldwin Hills Crenshaw Plaza.

A my nie przestawaliśmy się całować. To nie był sen.

42.

SHELBY

Nie mogłam uwierzyć, że potrafię być taka zuchwała. Moje nerwy były tak napięte, że omal się nie posikałam. Targały mną dreszcze, a wnętrzności skręcały się na tyle mocno, by moje srebrne bransoletki zaczęły pobrzękiwać.

Zagadałam do niego. Oczywiście z kieliszkiem na odwagę w dłoni. Ale dobra, od początku. Kiedy weszłam do klubu w towarzystwie Bobby'ego i Alejandrii, zajęłam miejsce przy stoliku i zamówiłam białe wino. Potem siedziałam, wpatrując się w Tyrela. Obserwowałam go, patrzyłam, jak się uśmiecha i śmieje z dowcipów.

- Podejdz tam i usiądź razem z nim - poradziła Alejandria.

- Czy jestem aż tak ostentacyjna?

- Idź. - Alejandria puściła do mnie oczko i dała mi lekkiego kuksańca.

Zanim ruszyłam się z miejsca, rozdygotana czekałam, aż Tyrel podejdzie gdzieś, gdzie mogłabym swobodnie się do niego zbliżyć. Bar nadawał się do tego doskonale. Gdyby spotkała

mnie odmowa albo gdyby zaczął się na mnie wydzierać jak szaleniec, akurat tam nikt by tego nie zauważył. Mogłam się roześmiać, jakby właśnie opowiedział mi kawał, i szybko się wycofać, pokazując mu palec. Nawet kolejny kieliszek chablis nie zadziałał na mnie tak, jak słowa Tyrela, kiedy ze mną rozmawiał.

Kiedy poruszaliśmy się na parkiecie w powolnym tańcu, poczułam silne falowanie w brzuchu. To romantyczne napięcie, od którego może uwolnić tylko pocałunek. Dobrze, że kobiety nie dostają erekcji, bo moja mogłaby odrzucić Tyrela na jakieś dwadzieścia kilometrów i wylądowałaby w Santa Monica.

Przez całą drogę do hotelu trzymałam stopy na desce rozdzielczej i opuściłam lekko szybę, by owiało nas chłodne nocne powietrze. Zamknęłam oczy i rozkoszowałam się tym rześkim powiewem. Mijaliśmy Stocker, Slauson i Sepulveda, a ja wciąż trzymałam go za rękę i powtarzałam w myślach, że będziemy rozmawiać, tylko rozmawiać, że nie mam zamiaru iść z nim do pokoju. Że może o tym zapomnieć. Usiądziemy w holu i pogadamy sobie o dawnych czasach. Jeśli dopisze mu szczęście, to może dostanie całusa. A potem zmyjemy się stamtąd, wrócimy do Debry i wśliznę się do łóżka sama, samiuteńka, przytulę się do poduszki i zasnę. Zanim się zorientowałam, jechaliśmy windą.

Kiedy otworzyły się drzwi pokoju, zobaczyłam, że zasłony są rozsunięte, a światło z korytarza wydobyło z mroku dwa łóżka. Powiedziałam sobie, że nic z tego. Podeszłam prosto do fotela, usiadłam przy stoliku i skrzyżowałam nogi.

Tyrel wyciągnął swoje krzywe nogi, siadając naprzeciwko mnie. Milczeliśmy. Żadne z nas nie odezwało się słowem od wyjścia z windy. Właściwie niewiele rozmawialiśmy już od momentu, kiedy wysiedliśmy z samochodu. Wymieniliśmy jedynie kilka uwag na temat tego, jak bardzo zatłoczony jest parking. Niektóre samochody były zablokowane przez inne. Powiedziałam, że wolałabym, aby nie spotkało nas to samo. Potem ktoś wyjechał i Tyrel stwierdził, że na szczęście udało nam się znaleźć wolne miejsce z brzegu. To nie była prawdziwa konwersacja. Zbitki słów, aby wypełnić ciszę.

- Jak sobie dajesz radę? - zapytałam.

- Całkiem nieźle, dziękuję. A jak z tobą?

- W porządku. Jak na razie. Czułam się tak samo, kiedy umarła mama. Byłam spokojna, dopóki ziemia nie posypała się na trumnę.

W tym momencie rozmowa się urwała. Emocje uległy zmianie. Przynajmniej moje. Ogarnął mnie smutek, który sprawił, że poczułam przyływ melancholii. Zaczęłam rozmyślać, czy za trzy dni ziemia mogłaby się posypać na moją trumnę.

- A co u twojej rodziny? - starałam się, by mój głos zabrzmiał trochę żwawiej.

- Mój tato tu będzie. - Na twarzy Tyrela pojawił się dziecinny uśmiech.

- Naprawdę? To cudownie. - Uśmiechnęłam się tak szeroko, że widać było moje zęby mądrości. Cholera, czułam się podekscytowana. Ale było mi z tym dobrze.

Każde słowo Tyrela emanowało serdecznością i radością. Widziałam, jak odzywa w nim mały chłopiec. Poczulałam lekkie ukłucie zazdrości. Ilekroć wspominał o swoim ojcu, robił to z taką pasją, na jaką nigdy nie było mnie stać, gdy mówiłam o swej mamie.

- Tak - uśmiechnął się. - Jutro wieczorem wszyscy będziemy razem.

- Cała twoja rodzina. No cóż, potraktuj to jako dar niebios.

- Nigdy ci nie podziękowałam.

- Za co?

- Za to, że zachęciłaś mnie, bym zadzwonił do taty. Kiedy byliśmy w Obispo.

Skierowałam swoje przyjazne spojrzenie w dół. Kiwając nogą i nie podnosząc twarzy, zapytałam go o siostrę bliźniaczkę.

- Czuje się świetnie. Szczęśliwa jak zwykle.

- A wybuchowe dzieciaki?

- Dobrze. Rosną jak na drożdżach.

Potem udałam, że zainteresował mnie nowy zegarek Tyrela, i mogłam znów dotknąć jego ręki. On dotknął mojej. Nie trzeba było długo czekać, aby zwykły dotyk zamienił się w głaskanie. Poczulałam mrowienie. Przygryzłam wargę i omal nie sięgnęłam do tego wgłębienia w jego twarzy, które kiedyś należało do mnie.

Te pełne pożądania nieśmiałe pieszczoty trwały jeszcze minutę albo dwie, zanim udałam, że swędzi mnie twarz, by cofnąć rękę. Potem spojrzałam na zegarek i zamarkowałam ziewnięcie. Tyrel przemierzył jaskinię lwa, do której mnie zwabił, i włączył radio. Pokój wypełniły miłosne piosenki z nocnego programu radia KACE. Tyrel stał w miejscu i, kołysząc się w takt muzyki, obserwował mnie z uśmiechem na twarzy. Odsunęłam fotel i podeszłam do niego.

Coś we mnie zawrzało. Znów nerwowo spojrzałam na zegarek.

- Myślałam, że zostaniemy w holu - powiedziałam.

- Możemy tam wrócić. - Wzruszył ramionami. - Bar wciąż jest otwarty.

- Nie, tu mi dobrze. Na dole jest za dużo dymu i cały ten smród osiadzie mi na włosach. Czuję się zmęczona.

Była to prawda. Wyczerpanie po biegu w trzydziestostopniowym upale dawało o sobie znać. Chrząknęłam, wyjęłam zapasowe klucze do domu Debry i zadzwoniłam nimi.

- Pora już wracać - powiedziałam.

- Jasne - odparł, ale wciąż tkwił w miejscu. Patrzył na mnie, a ja na niego. Obydwoje trwaliśmy w bezruchu. Potem Tyrel zgasił światło.

Wydałam głośne westchnienie, które zabrzmiało jak wyznanie prawdy. Klucze wypadły mi z ręki i podeszłam do niego, prosto w otwarte ramiona. Kołysaliśmy się do piosenki Isley Brothers. Potem śpiewał nam Luther Vandross, a potem Anita Baker. Obejmował mnie w taki sam sposób, jak ja obejmowałam jego.

Potańczał nosem o moją twarz, całował okolice moich ust, pieścił ucho językiem. To był ten punkt. Zadreptałam w miejscu i wpiłam się ustami w jego szyję, gładziłam go po plecach i dotykałam pośladków. Potem dotknęłam palcem dołka w jego brodzie i zatoczyłam nim kółeczko.

Wtedy on odsunął moją rękę.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytałam.

- Przeszkadza ci to?

- Nie - odparłam, ale zrobiłam krok w tył i otworzyłam drzwi, aby światło z korytarza wskazało nam drogę do wyjścia.

Tyrel pożerał mnie wzrokiem. Patrzył na mnie oczami pełnymi miłości. Kiedy się odezwałam, mój głos zabrzmiał jakoś obco.

- Chcesz mnie? - zapytałam. Kiwnął głową.

Nie wykonałam żadnego ruchu ani nie odezwałam się słowem. Tyrel czekał.

Powoli zamknęłam drzwi i oparłam się o nie. Nie odrywając od niego wzroku, przekreśliłam zamek i uniosłam rękę nad głowę.

- Zdejmij ubranie. - Na jego twarzy malowała się czułość.

Mój głos nabrał aksamitnej miękkości, jakiej od dawna w nim nie słyszałam. Pożądlivego tonu, o którym zdążyłam już zapomnieć. Ale to nie miało wyglądać w ten sposób.

- Chcesz mnie, to sam je zdejmij - powiedziałam.

Ogarniająca mnie rozkosz sprawiła, że nie zauważyłam, kiedy ściągnął ze mnie zakiet. Całował moje plecy z góry na dół, ssał mnie i lizał to tu, to tam. Natrafił na jakiś czuły punkt,

doprowadzając mnie do takiego napięcia, że zaczęłam rzucać biodrami jak erotyczna tancerka. Krótkie spazmatyczne skurcze rozchodziły się we wszystkich kierunkach mego ciała.

- To nie jest w porządku, Tyrel.

- Chcesz, żebym przestał?

- Rób dalej tak, jak robisz, dopóki gliny nie zaczną się dobijać do drzwi.

Serce zabiło mi szybciej, kiedy myślałam, że ugną się pode mną nogi, ale utrzymały mnie i zaprowadziły do łóżka. Tyrel ssał moje palce. Cholera, podobało mi się to. Jego dziwaczne pieszczoty sprawiały, że zaczęłam się wić i wydawać najrozmaitsze odgłosy pożądania. Sprawiały, że miałam ochotę mówić jakieś bzdury. Tyrel położył mnie na brzuchu i powolnymi ruchami ściągał ze mnie ubranie, całując mnie raz za razem.

- Ooooch, Tyrel.

- Chcesz, żebym przestał?

- O, nie.

Doprowadził do tego, że błagałam go, niczym jakiś żebrak z Crenshaw.

- Proszę, nie przestawaj, kochanie, proszę, nie - jęczałam słodkim głosem.

Potem wprawnym ruchem odsłonił moje pośladki. Zrobił to z wielką łatwością, jakby kropla wody zsuwała się po gładkiej skale. Delikatnie skubał zębami i ssał mój tyłek, jakby to było danie dnia w restauracji Baskin-Robbins. Natrafił na kolejny nerw i płomienny dreszcz przeniknął moje plecy. Pod wpływem gorąca wygięłam się w łuk i mocniej przywarłam do łóżka.

- Podoba ci się?

- Zwolnij.

- Myślałem, że musisz wracać do Debry.

- Wracamy. Jeszcze dziesięć minut i wychodzimy.

- Dobrze.

- Zwolnij. Nie spiesz się.

Tyrel dotykał moich czułych punktów długo i mocno. Sprawił, że nuciłam pieśń rozkośzy i nieomal odgryzłam sobie wargę. Ogarnięta szałem namiętności uderzałam w poduszkę, szarpałam pościel i ugniatałam prześcieradło.

- Tyrel?

- Słucham.

- Mogę ci coś powiedzieć?

- Tak.

Obróciłam głowę i pocałowałam go.

- Słyszysz mnie?

- Ty płaczesz? - zapytał.

- Może.

I oto leżałam przed nim naga i bezbronna. Moje nogi były w ciągłym ruchu, ocierały się jedna o drugą, krzyżowały i rozplatały, podkurczały i rozluźniały. Kiedy uniosłam powieki, Tyrel patrzył mi prosto w oczy. Był taki podniecony. Jego spojrzenie mówiło mi, że bardzo mnie pragnie.

- Rozbierz się - powiedziałam.

- Jeszcze nie teraz - uśmiechnął się. - Nie spiesz się.

- Doprowadzasz mnie do szału.

Lizał moje łydki i zewnętrzne strony ud, po czym wrócił do kolan i podążył w górę wewnętrzną stroną. Zamknęłam oczy i wczepiłam dłoń we włosy, ciągnąc je, ogarnięta rozkoszą. Próbowałam ukryć, jak bardzo jest mi dobrze.

- Czy ty wiesz, co robisz? - zapytałam.

- Mam przestać?

- Nie.

Rozsunął moje nogi i posłał na rekonesans swoje kubki smakowe. Przesuwał język tam i z powrotem, doprowadzając mnie do szaleństwa. Zadygotałam, kiedy zagłębił się we mnie i zatoczył kilka kręgów, jakby czegoś szukał. Przez cały czas utrzymywał to samo niespieszne tempo, ten sam rytm i sprawiał, że rozkosz zakwitała w moim brzuchu i rozchodziła się po całym ciele, wirując w koniuszkach palców. Kręciłam biodrami opętana pożądaniem, a on chwycił mnie za uda i przejął moje tempo.

- Oooch, Tyrel!

Wciąż próbowałam udawać, że to nic wielkiego, zachowywać się tak, jakby nie było mi tak dobrze, jak w rzeczywistości. Próbowałam odgrywać miłosną grę, ale nawet gdybym chciała, nie umiałabym powstrzymać swych rozbujanych bioder. Ogarniała mnie ekstaza. Im bardziej wierzałam, tym mocniej on napierał. A im mocniej napierał, tym głośniejsze nuciłam pieśń rozkoszy, nie mogąc złapać oddechu. Gwałtowna fala wyniosła mnie już prawie na szczyt, a wtedy zwolnił, pozwalając, aby wszystko narosło od nowa. Omal nie zdarłam z łóżka białego

prześcieradła. Na podłodze walała się rozrzucona pościel. Było mi tak dobrze, że gdyby ktoś zapytał mnie, gdzie jestem, odpowiedziałabym tylko: „Tak, Tyrel, tak”.

- Tyrel, do cholery, kochanie - poklepałam go po czubku głowy. Pot zaczął szczypać mnie w oczy, a posklejane włosy przywarły mi do twarzy.

- Chcesz, żebym przestał?

- Nie - wyszeptałam i oblizyłam usta.

Uniosłam się lekko na łokciach i napałam na niego. Próbowałam zdusić krzyk, zagryzając wargi, ale na próżno. Było mi zbyt dobrze. Z rozmachem złączyłam nogi, gwałtownie ścisnąc udami głowę Tyrela.

- Cholera, Shelby.

Rozluźniłam uścisk, ale tylko nieznacznie.

- Wszystko w porządku? - spytałam.

- To bok.

- Ojej, głowa do góry - roześmiałam się.

- Nie ma sprawy. Zaraz ci oddam.

- Tylko spróbuj.

- Czy to zachęta?

Miał już zacząć od nowa, ale go powstrzymałam.

- Chcę cię w sobie poczuć. Obejmij mnie.

Moje ciało stało się zbyt wiotkie, bym mogła się poruszyć. Tyrel zrzucił ubranie i nagi położył się obok mnie. Trzymałam prawą rękę na piersi, by mieć pewność, że moje serce jeszcze bije. Tak, nadal żyłam.

Próbowałam go objąć, ale wciąż pulsowało we mnie subtelne echo rozkoszy. Cholera. A to była dopiero gra wstępna. Dwa orgazmy, a on nawet się nie zasapał.

- Shelby, z czego się śmiejesz?

- A jak myślisz?

Moja dłoń powędrowała w dół jego piersi i zatrzymała się między nogami.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Tak, tak - wyszeptałam jęklwym głosem. - Ale zaczekaj chwilę.

Sięgnęłam po zakiet i wyjęłam z kieszeni prezerwatywę. Nie zadawałam sobie trudu, by sprawdzić którą. Kiedy wróciłam do klubu, wpadłam do zatłoczonej męskiej ubikacji i wprawiłam w osłupienie kilku braci, którzy stali przy pisuarach, prosząc, aby któryś rozmienił mi

banknot dolarowy na drobne. Potem kupiłam w automacie cztery kondomy, tak na wypadek, gdyby nie udało nam się dotrzymać słowa. Jeden zwyczajny, jeden z żebrowaną powierzchnią, jeden o smaku wiśniowym i jeden z takimi dziwacznymi francuskimi wypustkami, które świecą w ciemności.

Kiedy pomogłam naciągnąć mu lateksowy ubiór ochronny, obrócił mnie znów na brzuch, a na mojej twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. Kolejne wspomnienie. Kiedyś w ten sposób budziliśmy się co rano. Przez większość czasu nienawidziłam wstawać wcześnie, ale nie było tak źle, kiedy witałam dzień z Tyrelem, który spał za moimi plecami.

Z niecierpliwością uniosłam się na kolana i oparłam ręce o ramę łóżka. Czułam, jak szuka drogi do moich drzwi. A potem stałam się nim, a on stał się mną. Kiedy wślizgnął się we mnie, wydałam odgłos jak noworodek łapiący swój pierwszy oddech. Zaczęłam chwytać powietrze gwałtownymi haustami, gdy ścisnął moje pośladki, poruszając się tam i z powrotem w rytmie muzyki Mozarta. Niemal oderwałam wezglowie łóżka, kiedy melodia przechodziła w powolne, wysublimowane partie.

Zaczęliśmy wędrować. Przenieśliśmy się na podłogę, później pod ścianę, aż w końcu wyładowaliśmy na drugim łóżku, kiedy zapragnęłam poczuć trochę więcej ucisku.

Uwielbiałam to, jak wsłuchiwał się w moje ciało, a jego ruchy stawały się dopełnieniem moich. Nie czułam, że muszę się spieszyć i zabiegać o swoje zadowolenie, zanim on osiągnie swoje.

Rozległ się kolejny przeciągły i niski pomruk, lecz tym razem nie potrafiłam odróżnić, czy pochodził ode mnie, czy od niego. Jak oszalała sięgnęłam w dół i ściągnęłam prezerwatywę, przechodząc do kolejnego etapu. Teraz musiały się wykazać moje pigułki i wkładka.

Chciałam, aby doświadczył wszystkiego, co miałam do zaoferowania. Chciałam, aby poczuł, co moje ciało ma do powiedzenia, aby posłuchał, jak bardzo za nim tęskniłam. Sięgnęłam do stojącej obok łóżka szafki i zapaliłam lampkę nocną. Chciałam, aby mnie zobaczył i sama musiałam widzieć jego. Tyrel masował moje spocone piersi, a potem oblizywał palce.

- Jesteś taki okropny - mruknęłam, ssąc jego szyję.

- Byłaś dobrą nauczycielką.

Znajdowaliśmy się w samym środku tańca, który nie miał sobie równych. Wzięłam jego rękę i zaczęłam ssać palce, każdy z osobna, jeden po drugim.

- Kochasz mnie? - Jego głos brzmiał łagodnie, kiedy cofnął się wytwornym ruchem i znów wślizgnął się we mnie. Wszedł. I wrócił. I znowu. Powoli. Szybko. I jeszcze raz powoli.

- Tak - zamruczałam drżącym głosem.

Położyłam go na plecach i usiadłam na nim.

- Chcę widzieć twoją twarz, kiedy będziesz dochodził.

Moje szybkie kołyszące ruchy przyprawiły go o nową rozkosz. Uśmiechałam się seksownie, widząc, jak ogarnia go napięcie. Jęczał, jakby wypełniały go gromy i błyskawice, a potem ścisnął mnie mocniej. Jego twarz była taka poważna. Pomrukiwał, jakby chciał uwolnić się z więzów, które na niego nałożyłam. Im mocniej unosił biodra, tym bardziej na niego napierałam. Miotalam się na wszystkie strony, byle tylko nie wypuścić go spod siebie. Uniósł się na łokciach, ale pchnęłam go z powrotem na plecy i chwyciłam za nadgarstki jak strażnik w więzieniu. Potem poczułam w sobie jego konwulsyjne szarpnięcia.

- Patrz na mnie, Tyrel, chcę cię widzieć, kochanie.

Kiedy jego biodra przestały wierzgać, zaczęłam go ujeżdżać, dopóki nie osiągnęłam tego, co on miał już za sobą. Nie była to już tak wielka eksplozja, jak poprzednim razem, ale na tyle mocna, bym znów poczuła dreszcze. Dałam się porwać tej kaskadzie doznań, unosiłam się na tej fali, dopóki całkiem nie ucichła.

Opadłam na niego. Roześmialiśmy się kilka razy, kiedy napisałam swoje imię na jego spoczonej piersi.

- Mówiłam ci, że chciałam porozmawiać - wyszeptałam.

- Zauważyłem - jego głos brzmiał chrapliwie.

- Słyszysz mnie?

- Każde słowo.

Nigdy w życiu nie czułam się tak dobrze. Znów pocałowałam go długo i namiętnie. Potem trochę rozmawialiśmy.

Po powrocie z łazienki położyliśmy się do łóżka i przytuliliśmy do siebie. Sen ogarnął mnie, zanim przestałam się pocić. Ale Tyrel dał mi spać tylko przez kilka minut.

* * *

Nie było jeszcze piątej, kiedy rozdzwonił się ten głupi telefon. Cholera, nienawidziłam tego dźwięku. Sprawiał, że miałam ochotę zrobić komuś krzywdę. Lubiłam budzić się stopniowo, a nie gwałtownie być przywracana przez kogoś do rzeczywistości. Gdyby to nie był telefon, ale budzik, roztrzaskałabym go o ścianę. Do czasu, kiedy miał nas obudzić ktoś z obsługi, brakowało jeszcze całej godziny.

Ponieważ miałam najbliżej, a Tyrel spał, jęcząc i przeklinając zerwałam bezprzewodową słuchawkę z podstawki, zanim rozległ się kolejny sygnał.

Spojrzałam na Tyrela. Wciąż spał. Wciąż przy mnie był. Uśmiechnęłam się, odgarnęłam włosy z twarzy i próbowałam nadać swojemu głosowi świeży i pełen entuzjazmu ton, ale wydozymałam z siebie tylko chrapliwy pomruk.

- Dzień dobry.

Nikt się nie odzywał. Może wystraszył się mojego głosu. Odchrząknęłam.

- Tak?

Idiota się rozłączył.

Trzymając słuchawkę, spojrzałam groźnie na Tyrela. Ciało ciążyło mi jak ołów, ale umysł zaczynał się budzić. Może to była dziewczyna Tyrela. Któż inny mógłby dzwonić do hotelu o tak wczesnej porze, a potem się rozłączyć, słysząc mój głos? Zaczęłam się zastanawiać, kto jeszcze mógł wiedzieć, że przyjechał i gdzie zamieszkał.

Zapytałam go, czy kogoś ma. Odpowiedział, że jest wolny. Nie musiało to jednak oznaczać, że jest wolny dla mnie. Wiedziałam, jacy potrafią być niektórzy bracia. Zalecali się, a potem odchodzili. Okłamałam go, kiedy powiedzenie prawdy nie powinno stanowić trudności. Dlaczego nie miałby odplacić mi pięknym za nadobne. Mała erotyczna przygoda w środku nocy zawsze była doskonałym narzędziem odwetu.

Niezależnie od tego pragnęłam, aby noce takie jak ostatnia powtarzały się bez końca. Pochyliłam się nad nim i pocałowałam dołek w jego brodzie, a potem przyciskając słuchawkę do piersi, położyłam się na plecach. Byłam cała obolała. Od stóp do głów czułam pulsowanie, które było zasługą wczorajszego biegu i Tyrela. Jeśli miałabym jeszcze kiedyś uprawiać z nim seks, powinnam najpierw zażyć garść ibuprofenu.

Gdy już zaczynałam się rozluźniać, zauważyłam, że na pościeli leży coś świecącego. Uśmiechnęłam się i kopnęłam kołdrę, aby ześlizgnęło się z łóżka na dywan.

Ogarniała mnie senna błogość. Czułam, że odpływam. Byłam tak zmęczona, że nie mogłam sobie przypomnieć, po co trzymam ten głupi telefon. Zamknęłam oczy, wciąż przyciskając słuchawkę do piersi.

Tyrel

Aż podskoczyłem, kiedy obudził mnie głośny irytujący dźwięk. Uszy wypełniał mi przenikliwy hałas o świdrującej, wysokiej częstotliwości, jaki wydawał ten przeklęty telefon.

Shelby zerwała się i rozejrzała dokoła. Miała dziki, oszołomiony wzrok, jakby nie wiedziała, gdzie jest. Telefon wysunął się jej z ręki i upadł na podłogę. Przyciskając rękę do piersi, nachyliła się, by go podnieść. Przytrzymałem jej uda, aby nie wypadła z łóżka. Odzyskała równowagę, trzymając w dłoni słuchawkę, którą cisnęła na bazę i przytuliła się do mnie.

- Rozmawiałaś przez telefon?

Położyła mi głowę na piersi i coś wymamrotała. Po chwili niewyraźne słowa zamieniły się w chrapanie i poświstywanie. Już spała. Telefon rozdzwonił się od nowa.

- Tyrel, telefon - Shelby uniosła rękę. Zamieniliśmy się miejscami i podniosłem słuchawkę.

- Porwałś Shelby?

- Tak, proszę pani.

- To czemu do cholery nikomu nie dałeś znać? Mam już dość zmartwień.

- Przepraszam, Debra. Zamierzaliśmy wrócić, zanim wstaniesz.

- Mogło wam się coś przytrafić.

- Dobrze się czujesz?

- Teraz tak. Spodziewałabym się takich wybryków po Shelby, ale nie po tobie.

- Masz rację. Dochodzi szósta. Co robisz tak wcześnie?

- Dziecko kopało i musiałam się wysikać - ziewnęła. - Dobrze się bawiliście tej nocy?

- Tak, było miło.

- To dobrze. Shelby jeszcze śpi?

- Śpisz? - zwróciłem się do Shelby.

Shelby sięgnęła po słuchawkę, nie wyjmując głowy spod poduszki, która tłumiała każde jej słowo. Na koniec zachichotała, oddała mi telefon i przytuliła się do mnie.

- Alejandria zawiezie mnie później do domu pogrzebowego. - W głosie Debry słychać było wyraźną ulgę.

- Wszystko dopilnowane?

- Tak. Programy wyglądają bardzo ładnie. To, co napisałeś, jest znakomite. Chciałabym trochę posiedzieć z Leonardem. Sama. Muszę się z nim pożegnać.

- W porządku. Westchnęła.

- Debra?

- Ostatniej nocy byłam taka wściekła na Leonarda. Podchodziłam do drzwi za każdym razem, kiedy wydawało mi się, że podjeżdża samochód.

Wiedziałem, o co jej chodzi. Rozumiałem, co czuje.

- Bobby jest tu jeszcze - powiedziała Debra. - Naprawia kuchenne drzwi, zanim doprowadzą mnie do szachu. Reszta rodziny pojawi się koło południa. Bądźcie punktualnie.

- Będziemy.

- Kocham cię, Tyrelu Anthony Williamsie - ziewnęła Debra. - Proszę, opiekuj się moją dziewczynką.

- Też cię kocham.

- Mówiłam poważnie.

- Będę się nią opiekował.

- Uważajcie na siebie, dobrze?

Debra odłożyła słuchawkę. Nie wiedziała, gdzie jesteśmy, dopóki nie zadzwoniła. Czyli to nie z nią rozmawiała wcześniej Shelby. Wiedziałem, w jakiej Shelby jest sytuacji, zanim ją tu przywiozłem. Pomyślałem, że należy posłużyć się magią, użyć czarodziejskiej różdżki i rzucić zaklęcie.

A może Shelby właśnie po raz ostatni korzystała z życia jako wolna kobieta, używając sobie i dając upust pożądaniu, zanim połączy się z Richardem i przeskoczy przez miotłę. Taka osobliwa forma pożegnania.

Powiedziała mi, że mnie kocha. Za te dwa słowa i sześć dolarów mógłbym dostać świeży omlet z groszkiem w Imperialu. Musiałem trzymać się tego, co realne. Wcześniej też mówiła, że mnie kocha, a mimo to mnie okłamała i opuściła.

SHELBY

Było zbyt wcześnie, aby to mogła być prawda.

Kiedy zabrzączał budzik, zamachnęłam się jak Jackie Chan i zgasłam go ciosem karate. Zasłony były rozsunięte, a poranne słońce zalewało blaskiem salon samochodowy Saturna, cmentarz przy Slauson i Pepperdine University. Moja skóra i włosy pachniały mieszanką potu, moich perfum i balsamu Tyrela. Zawodząc i przeklinając, próbowałam wypędzić z siebie senność. Omiotłam językiem wnętrze ust, czując nieświeży, przypominający krede smak indyka i wina.

Zamknęłam oczy na sekundę, a kiedy je ponownie otworzyłam, wypełniający pokój blask słońca wydawał się jaśniejszy. Otarłam usta i spojrzałam na cyfrowy radiobudzik. Było czternaście po ósmej. Dwie godziny upłynęły nam na drzemce. Teraz wiedziałam, jak musiał się czuć Rip Van Winkle.¹⁹ Podciągnęłam z powrotem ciężką kołdrę pod brodę i wtuliłam się w Tyrela, pocierając piersiami o jego ciepłą skórę. Zaczęłam go całować i gładzić delikatnie palcami. Przyszedł czas, by go obudzić, jeżeli chcieliśmy zdążyć na czas. Bawiłam się włosami na jego piersi, kiedy przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

¹⁹ Bohater opowiadania Washingtona Irvinga, który uśpiony przez duchy budzi się po dwudziestu latach. Również potoczne określenie człowieka niezorientowanego w aktualnej sytuacji - przyp. tłum.

Pod prysznicem Tyrel umył mnie i wymasował mi ramiona. Powiedziałam, że mam obolałe nogi, więc położył mnie na łóżku i zrobił masaż, podczas gdy ja jęczałam i wylałam. Nie musiałam dotykać głowy, aby wiedzieć, że mam zmierzwiłone włosy. Na komodzie nie znalazłam jednak nic poza hotelowymi broszurami, jadłospisem i porzuconymi częściami naszej garderoby.

- Masz grzebień albo szczotkę? - zapytałam.

- Niestety - ziewnął Tyrel. - Wszystko zostawiłem w domu.

- Cholera. - Uniosłam się na ramionach, próbując zerknąć w lustro. - Nie mam przy sobie nic, żeby się uczesać albo zrobić makijaż. Obydwoje jesteśmy w rozsypce.

- Mów za siebie.

- Ty też wyglądasz jak sponiewierany. Wyjdziemy stąd jak dwoje zniszczonych, zapyzia-
łych, skołtunionych Afroamerykanów.

- Ale będziemy się uśmiechać. Przynajmniej ja.

- Ja też. Cholera, chyba nie będę w stanie powstrzymać się od tego przez cały dzień.
Dom będzie pełen uśmiechów i chichotów. Starzy Leonarda i Debry pomyślą, że mi odbiło.

- No i co?

- Każdy, kto na nas spojrzy, będzie wiedział.

- Co wiedział?

- No wiesz.

- Wstyd ci?

- Nie. - Zarumieniłam się i schowałam twarz w dłoniach. - No, może troszeczkę.

Cierpienie i ekstaza wypełniały mnie jednocześnie, kiedy Tyrel ugniatał moje łydki.
Wciąż czułam go w sobie. Bez wątpienia zostawił swój ślad.

- Wiesz, za czym tęsknię najbardziej? - zapytał Tyrel.

- Za czym?

- Za naszą przyjaźnią. Nie wiem, jakim byłem dla ciebie przyjacielem, ale ty dla mnie
byłaś doskonała. Leonard był moim kumplem, ale ty byłaś przyjaciółką w innym sensie. Bra-
kowało mi tego. Może dlatego jesteś dla mnie taka wyjątkowa.

- Może dlatego nie mogłam o tobie zapomnieć. Zastanawiam się, jak by teraz było mię-
dzy nami, gdybyśmy... to znaczy, gdybym nie odeszła. Gdybym nie zrobiła tego, co zrobiłam.

- Och, prawdopodobnie wciąż jeszcze byś mnie nienawidziła.

- Prawdopodobnie - roześmiałam się, ziewając.

Czułam się piekielnie zmęczona i obolała. Moje ciało znów stawało się ociężałe, ale nie
byłam aż tak wyczerpana, aby sen i odpoczynek nie mogły zaczekać.

Pomyślałam o pogrzebie, który miał się odbyć za dwa dni.

Tyrel zaczął mi masować drugą nogę. Wygięłam plecy i pokręciłam głową z boku na
bok. Tyrel nie powiedział ani słowa na temat mojej pokąsanej szyi. Całował wszystko to, co
Richard Szperacz zostawił po sobie. Przygryzłam spierzchniętą wargę i zaczęłam się zastana-
wiać, co będzie, kiedy wrócę do San Diego.

Zaskoczyło mnie, że nic nie czułam do Richarda. Nie miałam żadnego poczucia winy z
powodu tego, że przespałam się z Tyrelem, żadnych wyrzutów sumienia związanych z tym, że
tak bezceremonialnie wysłałam go do domu. Nie odczuwałam skruchy, choć obudziłam się

obok Tyrela i zrobiliśmy szybki numer, zanim udaliśmy się pod prysznic. Zresztą gdybym nie była taka wykończona, próbowałabym uwieść go jeszcze raz przed wyjściem. Nie z powodu lubieżnych hormonów, ale dlatego, że nie wiedziałam, jaka rzeczywistość zaistnieje między nami, kiedy opuścimy ten pokój. Chciałam przedłużyć miłe chwile i sprawić, by jeszcze trwały.

Na korytarzu zagrzechotał wózek obsługi hotelowej i wyobraziłam sobie tacę wypełnioną talerzami z jajecznicą, owocami i rogalikami z masłem i dżemem. Zaburczało mi w brzuchu.

- Jesteś głodna? - spytał Tyrel.

- Głodna jak wilk. Pospieszmy się. Jeżeli zjedli wszystko to, co przygotowała Alejandria, sama zrobię ci śniadanie.

Kiedy tylko to powiedziałam, złapałam się za brzuch i zaczęłam pokładać ze śmiechu. To była typowa, szablonowa odpowiedź skierowana do faceta, który przyrzadził porcję dobrego seksu i zasługuje, by uzupełnić mu bak. Wyobraziłam sobie siebie, jak stoję przy staromodnej żeliwnej kuchence, w fartuchu i kraciastej chusteczce na głowie, a pot leje się ze mnie strumieniami, kiedy śpiewam i stepuję.

Ubrałam się, nie zadając sobie nawet trudu, by rozprostować włosy. Doskonale pasowały do mojego wygniecionego ubrania. I tak miało być.

- Wyglądam jak bezdomna - jęknęłam, wydymając usta. Czuję się taka odmłodzona. - A na twoim ubraniu nie ma nawet zmarszczki.

- Będę musiał się przebrać, zanim pojedę po tatę - powiedział Tyrel.

- O której przylatuje?

- Za jakieś dwie godziny z kawałkiem.

- Będę mogła z tobą pojechać?

- Oczywiście - uśmiechnął się.

Nie wyobrażałam sobie, jak w takim stanie miałabym się pokazać w holu hotelowym, więc namówiłam Tyrela, abyśmy skorzystali z zatechłej klatki schodowej, w nadziei, że zobaczy nas tylko parę osób. Zeszłego wieczoru okolony palmami parking hotelowy był zajęty, gdyż jakaś organizacja społeczna urządzała w sali balowej uroczystą galę na zakończenie tygodniowej konferencji, więc musieliśmy zostawić auto na parkingu podziemnym.

Kiedy wyszliśmy z klatki schodowej, zobaczyliśmy półciązarówkę odholowującą czterodrzwiowy samochód z wypożyczalni. Tyrel zaklął. Za jego nissanem stała biała corsica z nalepką Hertz na szybie, która blokowała wyjazd w podobny sposób, jak wiele innych samochodów ubiegłej nocy.

- Ojoj - spojrzałam na zegarek. - Debra się wścieknie. I tak jest mi głupio, że nie wróciłam do domu na noc.

Tyrel podszedł do tego idiotycznego samochodu, który stał zaparkowany w poprzek tak, że wóz Tyrela był uwięziony między nim a ścianą. Miał jakieś dwadzieścia centymetrów przestrzeni, by manewrować, nie urywając przy tym zderzaka.

Powinnam być wściekła, ale się uśmiechałam. Pomyślałam, że może jacyś ludzie zrobili coś takiego jak my. Że doszło do pojednania i przenieśli swoje uczucia do ciepłego pokoju, zrzucili z siebie ubranie i oddali się namiętności, która wciąż jeszcze trwała.

- Niech to szlag - Tyrel potrząsnął głową.

Skierował pilota w stronę swego samochodu. Zapiszczał alarm i odblokowały się drzwi. Potem obszedł chevroleta i zajrzał do środka, zanim położył rękę na klamce.

- Zamknięty - powiedział.

- Zostawili kluczyki?

- W Los Angeles. Żartujesz sobie, co?

- To nie żarty tylko nadzieja. - Zaczęłam masować jego ramiona, by zmniejszyć ogarniającą go napięcie. - Chyba razem wpadliśmy w pułapkę.

Z windy wyszło kilka osób, ziewających i zbyt zmęczonych, by się uśmiechać, ale wszyscy udali się w przeciwnym kierunku.

- Silnik jest zimny - Tyrel oparł dłonie na masce chevroleta.

- Pewnie spędzili tu noc.

- Miejmy nadzieję, że się zameldowali i wpisali numery wozu do formularza - powiedział, wskazując palcem na leżącą w środku pustą butelkę z etykietką Jack Daniels i opakowanie po ciastkach Twinkie. - Przyjechali zalani.

Tyrel uniósł brwi i oblizał usta.

- Gdybyśmy nie musieli jechać, mógłbym uprowadzić cię na dłużej i poczekać.

- Hmm, brzmi kusząco. - Puściłam do niego oczko. - Gdybyśmy nie musieli jechać, dałabym się porwać.

- Może innym razem?

Zarumieniłam się. Poczułam ulgę, kiedy się okazało, że może to być coś więcej niż jednorazowa przygoda z byłym kochankiem.

- Może. Jeżeli jesteś grzecznym chłopcem i będziesz dla mnie miły, to znowu ci się poszczęści.

Uśmiechnęliśmy się do siebie szeroko.

- Chodźmy zgłosić w recepcji, że ktoś nas zablokował - powiedział Tyrel.

Pokręciłam głową, zerkając na swoje wymięte ubranie. Nie miałam grzebienia ani szczotki, ani tuszu do rzęs, ani płynu do płukania ust. Ani odrobiny luksusu.

- Idź sam. Ja wyglądam jak wybrakowany towar od Heidi Fleiss.²⁰ Lepiej, jak tu poczekam.

²⁰ Zwana Hollywoodzką Madam, słynna właścicielka luksusowej agencji towarzyskiej - przyp. tłum.

Wymieniliśmy pocałunek, łącząc nieświeże oddechy i spierzchnięte języki, po czym Tyrel wręczył mi kluczyki do swego samochodu i poszedł do hotelu.

- Kup jakąś gumę - krzyknęłam za nim, oblizując usta.

Pomachał do mnie i ruszył dalej. Uwielbiałam patrzeć, jak jego pałukowate nogi poruszają się w płynnym, wysportowanym rytmie, i przypomniałam sobie, jak biegaliśmy po plaży z Venice do Santa Monica.

Tyrel wskoczył do windy. Oparłam się o samochód i próbowałam rozprostować parę uporczywych fałd na swoim zakiecie, na wypadek, gdybyśmy musieli jechać prosto na lotnisko po ojca Tyrela. To pierwsze wrażenie mogłoby okazać się katastrofalne. Próby wygładzenia stroju dłońmi były skazane na niepowodzenie.

Westchnęłam z uśmiechem. Powietrze w tym lochu nie miało żadnej cyrkulacji, ale było na tyle chłodno, że wokół nie unosił się zapach stęchlizny. Parking był zakurzony, ale mnie to nie przeszkadzało.

Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi windy, ludzie podchodzili do innych samochodów. Przyjeżdżało ich jeszcze więcej. Jeden zaparkował obok mnie. Siedziała w nim jakaś wiekowa biała kobieta w bladoniebieskim kostiumie. Kiedy mnie zobaczyła, wyduła wargi i odwróciła wzrok. Potem ściskając kurczowo torebkę, szybkim krokiem poszła do windy. Wyciągnęłam w jej kierunku środkowy palec.

Popatrzyłam znów na swój kostium Kobiety Kota, biały zakiet i zmierzwione włosy. Nie chciałam, aby ktoś pomyślał sobie coś niewłaściwego, więc weszłam do samochodu, odchyliłam oparcie i zamknęłam oczy. Postanowiłam się zdrzemnąć. Ułożyłam się wygodnie i z uśmiechem na ustach zaczęłam rozmyślać o całej tej miłości, jaką obdarzyłam Tyrela ostatniej nocy. Myślałam o tym, jak go pieściłam, o tym, jak szybko się podniecał, i w myślach przybiłam sobie piątkę.

Ogarnęła mnie euforia i zaczęłam marzyć, że jestem królową wszystkich królowych i płynę po Nilu otoczona niewolnikami o skórze w kolorze karmelu, którzy karmią mnie winogronami i wachlują twarz kolorowymi pawimi piórami.

Obudziło mnie delikatne pukanie w szybę.

- Chcesz gumę? - zapytał.

- Szybko ci poszło, kochanie - ziewnęłam.

Chichocząc, usiadłam, uśmiechnęłam się szeroko i otworzyłam oczy. To nie był Tyrel. Nasze spojrzenia się spotkały. To z całą pewnością nie był Tyrel.

Nachylał się tak blisko, że od jego oddechu szyba pokryła się mgiełką. Zapiszczałam wystraszona. Miał na sobie tak wymięte i brudne ubranie, że bezdomny wyglądałby porządniej. Jego włosy były posklejane w strąki.

Obróciłam się tak gwałtownie, że omal nie pękły mi żebra. Rozglądałam się rozpaczliwie w poszukiwaniu pomocy, ale w garażu nie było żywej duszy. Próbowałam przełknąć ślinę, ale się nią zakrztusiłam.

Oczy Richarda Szperacza miały kolor zjełczałego keczupu. Powiedział, bym otworzyła drzwi. Pokręciłam głową i odsunęłam się od okna. Zaczął walić w szybę, szarpać za klamkę i krzyczeć.

Serce podeszło mi do gardła, kiedy samochód zaczął kołysać się jak huśtawka. Spoconą twarz Richarda przesłonił obłoczek papierosowego dymu. Wyglądał jak smok, który szykuje się, by spalić mnie na popiół.

- Co się z tobą dzieje? - wrzasnęłam.

- Dzień dobry, Shelby - Richard przestał na moment dobijać się do drzwi, by wyrzucić niedopałek i przydeptać go. - Miło spędziłaś ostatnią noc?

Z niedowierzaniem przełknęłam ślinę i zaczęłam rozglądać się gorączkowo we wszystkie strony. W podziemnym garażu nie było nikogo poza mną i Richardem. Nie wiedziałam, skąd przyszedł ani co mam robić. Cofnął się o krok, uśmiechnął i rozpostarł ramiona.

- Chodź tu Shelby, Już.

Raz za razem powtarzał, bym wysiadła i podeszła do niego. Jego twarz wykrzywił nienawistny grymas. Byłam w potrzasku, kiedy więc odsunął się jeszcze o metr, wyskoczyłam z samochodu i zatrzasnęłam drzwi. Ich odgłos przypominał szczęk zatraskujących się stalowych sideł. Zrobiłam krok w jego stronę, przybierając wojowniczą postawę, a moje poważne spojrzenie mówiło mu, by nie próbował żadnych głupot.

Richard ruszył w moją stronę. Zaczęłam się cofać w stronę bagażnika. To było takie nie-realne, że zamrugałam kilka razy i uszczypnęłam się, ale kiedy uniosłam powieki, stał tuż przede mną.

- Nie wyglądasz, jakbyś dzisiaj dużo spała - syknął przez zęby Richard, a jego oddech cuchnął bardziej niż zgniły owoc. - Ja też nie. A wiesz dlaczego?

Był to moment, w którym powinnam pobiec do windy, jakbym była Gail Devers²¹, mój umysł krzyczał „biegnij”, ale kończyny były jak sparaliżowane. Nie mogłam opanować swego ciała, a poza tym nie wiedziałam, dokąd uciekać, czy w stronę hotelu, czy na ulicę. Potrafiłam biegać szybciej od Richarda, ale nie wiedziałam, czy zdołam mu umknąć w pantofelkach na gładkich podszwach. Gdyby nawet nie dogonił mnie na podjeździe ani na zewnątrz budynku, na pewno nie zamierzałam wparować do holu czterogwiazdkowego hotelu pełnego białych i Azjatów, wyglądając tak niechlujnie i uciekając przed wzburzonym czarnym mężczyzną.

²¹ Yolanda Gail Devers, amerykańska lekkoatletka, sprinterka, mistrzyni olimpijska - przyp. tłum.

- Czego chcesz, Richardzie?

- Co się dzieje? - wypluł ślinę, która zebrała mu się w kącie ust, i wcisnął ręce do kieszeni.

Serce dudniło mi jak oszalałe. Richard wyjął pogniecioną paczkę cameli, wytrząsnął z niej ostatniego papierosa i przypalił zieloną jednorazową zapalniczką. Zrobił wdech i tytoń zajął się żarem.

- Wiesz - zakasłał - mogłem je palić i się nie krztusić. Ale tak było, zanim cię poznałem. Nawet o tym nie wiesz, że dla ciebie rzuciłem palenie. W dniu, kiedy cię poznałem, zapytałaś mnie, czy palę. Odpowiedziałem, że nie, że przebywałem w towarzystwie palących. Ze sposobu, w jaki zapytałaś, wywnioskowałem, że nie spodobałby ci się mężczyzna, który pali, więc przestałem - pstryknął palcami - ot tak. Jesteś ze mnie dumna, kochanie? Zrobiłem to wszystko dla ciebie.

Zmiał pustą paczkę i cisnął mi w twarz. Próbowałam się osłonić, ale nadleciała zbyt szybko i ugodziła mnie nad prawym okiem.

Z każdą sekundą odległość pomiędzy Richardem a mną malała, tak samo jak kurczyła się moja szansa na uwolnienie. Z ulicy dobiegały odgłosy przejeżdżających samochodów, ale żaden z nich nie skręcał w naszą stronę.

- Dobrze się bawiłaś? - Richard z szyderczym uśmiechem zaciągał się dymem, kasłał i splotwał. - A temu gnojnikowi było dobrze? Poruszyliście świat w posiadach?

- Co ty tu robisz? - zapytałam.

- Chciałaś powiedzieć, co wy tu robicie? - wycodził, przyciskając górną wargę do zębów

- A jak myślisz, co tu robię? Śledziłem cię.

- Dlaczego?

Wydmuchał dym kącikiem ust i nosem równocześnie.

- Jesteś inteligentna - powiedział. - A jak myślisz, dlaczego?

- Dlaczego sobie to robisz?

- Dlaczego wy mi to robicie?

Zanim przebrzmiało echo jego krzyku, z windy wysiadło dwoje młodych szpanerów ubranych w bermudy i obcisłe podkoszulki. Odwrócili głowy i oddalili się tak szybko, że słyszałam tylko pospieszne kłapanie ich sandałów. Chwilę później ich samochód wyjechał z parkingu.

- Wracasz do mnie? - Richard złapał mnie za ramię.

- Richardzie, możesz mnie zostawić? - jęknęłam, wyrrywając się z jego uścisku.

Złapał mnie znów i znów mu się wyrwałam.

- Błagasz mnie, żebym odszedł? - krzyknął.

- Tak, cokolwiek sprawi, że twoja gęba zniknie mi z oczu. A teraz, proszę, zostaw mnie w spokoju.

Wyobraziłam sobie, jak Tyrel znajduje mnie na zimnym betonie, leżącą w kałuży krwi. Jak ładują mnie do karetki i podłączają kroplówkę. Jak obrzmiałymi ustami próbuję wyjaśnić odchodzącej od zmysłów Debrze, co się stało.

- Patrz na mnie! - rozkazał.

- Czego kurwa ode mnie chcesz? - krzyknęłam mu prosto w twarz.

- Jak ci było?

- Richardzie, nie wygłupiaj się.

- Jak ci było?

- Po co ci to?

- Bo chcę wiedzieć, do cholery. Był lepszy ode mnie?

- Nie twój zasrany interes. A teraz zostaw mnie w spokoju, zrozumiałeś? Proszę, do kurwy nędzy, odejdz i przestań mnie nękać.

- Aż się nie możesz doczekać, kiedy sobie pójdę, co? Mogłaś przynajmniej poczekać, aż wsiądę do samolotu. Wiesz, takie gówno naprawdę kurewsko boli - Richard kopnął w asfalt i upuścił papierosa. - Wiesz, co powinienem zrobić?

Uderzył pięścią w maskę chevroleta. Odsunęłam się, ale szybko zaszedł mi drogę. Ten brat był bardziej rąbnięty niż Norman Bates.²² Podniósł papierosa i zaciągnął się nim głęboko. Moje oczy zaczęły lustrować ściany w poszukiwaniu kamer monitorujących. Mogłabym zacząć podskakiwać i gestami wezwać pomoc.

Richard stał niczym rozjuszony byk i wydawał niedźwiedzie pomruki.

- Posłuchaj, nawet mimo tych numerów, jakie mi wycinasz, wciąż cię kocham i ożenię się z tobą. To znaczy, chcę się z tobą ożenić i moglibyśmy razem z tego wyjść. Może będziemy potrzebowali fachowej porady i... mogę ci to wybaczyć, bo rozumiem, że zdarzyło ci się coś, od czego musiałaś się uwolnić, i nawet jeśli mi się to nie podoba, był to jedyny sposób, żebyś się przekonała, jak naprawdę jest.

- Richardzie, przestań. Proszę! To już skończone. Nie ma już mnie i ciebie.

- Nie pozwól, aby ten czarnuch stanął między nami.

- To nie z powodu Tyrela.

- Rozumiem. Nie musisz się wstydzić. Wybaczam ci.

- Co?

Richard oparł się o swój samochód.

- Kochanie... - zaczął.

- Nie pasujemy do siebie. Weź lustro i popatrz na siebie. Popatrz, jak się zachowujesz. Myślisz, że zechciałabym z tobą być?

- To wszystko przez ciebie. - Splunął na mnie. - Przez ciebie!

- Sam sobie to robisz.

- Więc porzucasz mnie dla niego?

- To nie dotyczy jego ani ciebie. To dotyczy mnie.

- Próbujesz mi powiedzieć, że przy nim jesteś szczęśliwa?

- Kurwa. Nie słuchasz mnie.

- Słucham. Dlatego tu jestem. Wiedziałem, co tu się dzieje. Wiedziałem, że do niego dzwoniłaś. Wiedziałem o ostatniej nocy. Bo słucham.

Uśmiechnął się i sięgnął, by dotknąć mojej twarzy. Uderzyłam jego rękę z całej siły i popchnęłam go tak mocno, że się zatoczył. Wybałuszył oczy. Od razu wiedziałam, że moje posu-

nięcie nie było dobre. Podbiegł i rzucił mną o samochód Tyrela tak mocno, że uderzyłam bokiem o maskę. Straciłam równowagę, ale udało mi się nie upaść. Popchnął mnie jeszcze raz. Piszcząc, przetoczyłam się po karoserii i uderzyłam całym ciałem o twardy asfalt.

- Widzisz do czego mnie doprowadziłaś? - ryknął.

- Jesteś wariatem! - krzyknęłam, próbując się podnieść.

Takiego Richarda nigdy wcześniej nie znałam. To nie był biznesmen, który sprzedawał kwiaty i błagał mnie, żebym pozwoliła mu się gdzieś zaprosić. Zaraz, a może taki właśnie był prawdziwy Richard pozbawiony swojej maski. Gdybym go poślubiła, może tak właśnie wyglądałoby moje życie.

Kiedy już stanęłam na nogi, zapragnęłam kopnąć go w jaja tak mocno, by wyszły mu gardłem, ale stał bokiem, jakby się spodziewał, że chcę trafić w punkt za milion dolarów.

Hotel zdawał się być tak odległy. Gdybym zaczęła krzyczeć, mógłby zacząć mnie dusić, zanim ktoś zwróciłby uwagę na mój krzyk. Znow się poruszyłam, a on znow zastąpił mi drogę. Skurwiel wyzywał mnie i popychał. Cisnął mną z takim impetem, że uderzyłam o samochód mocniej niż za pierwszym razem.

Kiedy grzmotnęłam o ziemię, w mojej kieszeni zadzwoniły kluczyki Tyrela. Kiedy wsunęłam tam rękę, natrafiłam na pilota leżącego między trzema prezerwatywami. Pomyślałam, że mogłabym użyć tych kluczyków jako broni. Zaatakować go, wykluć mu oczy i rozharatać twarz. Oznaczało to jednak, że musiałabym podejść zbyt blisko. Gdybym znalazła się na tyle blisko, by go dosięgnąć, on z kolei mógłby mnie uderzyć.

- Zostaw mnie w spokoju, Richardzie, przestań.

- Nie. Nikt nie będzie robił mnie w chuja, a zwłaszcza jakaś dziwka.

- Richardzie, możesz znaleźć sobie kogoś innego.

- Jestem przeznaczony tobie.

- Dorośnij.

- Dorośnij? Już się nie liczę? Znalazłaś się wśród tych swoich... tak zwanych przyjaciół i ci się odmieniło. Ot tak, zniecka, masz mnie w dupie. Nawet nie poinformowałaś Debry, że mamy zamiar się pobrać. I nie kłam, widziałem to w jej oczach. A ja byłem taki miły i przyjazny dla twojego zasranego towarzystwa. Nie można tak traktować ludzi, a potem odchodzić, jak gdyby nic się nie stało. Żeby liczyło się tylko to, czego chce Shelby, a wszyscy inni niech się pieprzą. Jak na coś się zanosi, to w końcu do tego dojdzie. I właśnie doszło, trafiło prosto do ciebie, przesyłka specjalna.

- Proszę przestań. Przepraszam cię i błagam, w porządku? Masz rację. Popełniłam błąd.

A teraz przestań.

- Przepraszasz mnie?

- Tak, przykro mi, że tak się stało.

- Więc to napraw.

- Jak?

Richard podszedł do swojego samochodu i otworzył drzwi po stronie pasażera.

- Wsiadaj, Shelby. Wyjeżdżamy.

- Dokąd?

- Pojedziemy do Las Vegas i pobierzemy się już teraz.

- Nigdzie z tobą nie jadę.

- Wsiadaj albo skopię ci dupę i wrzucę tam siłą. Ale już.

Ruszył w moją stronę, wykrzywiając twarz, jakby był nadzorcą próbującym poskromić krnąbrną niewolnicę. Przebiegłam na drugą stronę samochodu Tyrela, wyciągnęłam kluczyki, i odchodząc od zmysłów, próbowałam sobie przypomnieć, który z szarych guziczków nacisnąć. Richard podskoczył, kiedy zapiszczał alarm i zaskoczyły zamki w drzwiach. Potem zapiszczał jeszcze raz, kiedy odblokował i zablokował się zamek od bagażnika. A potem alarm zaczął wyć, głośnym wibrującym i drażniącym tonem. To było właśnie to, co chciałam zrobić. Uruchomić alarm i narobić zamieszania. Z początku ogarnęło mnie uczucie triumfu, ale szybko uzmysłowiłam sobie, że moje nadzieje są płonne. To było Los Angeles. Nikt nie przejmował się jakimś pieprzonym samochodem. Nie miałam dokąd uciekać, nie miałam gdzie się schronić, a Richard szedł prosto na mnie niczym walec drogowy.

Rozsunęły się drzwi windy i wyszło z niej trzech braci. Jeden z nich był łysy, nosił bródkę i wyglądał, jakby nie miał szyi. Poruszał się jak byczek i przypominał piłkarza, który pakuje w siebie sterydy.

Zaczęłam się miotać i podskakiwać, wrzeszcząc o pomoc.

Cała trójka zwolniła kroku.

- Hej, siostró - powiedział byczek i opuścił czerwoną torbę sportową. - Wszystko w porządku?

- Co tu się dzieje? - odezwał się jeden z jego zwalistych kolegów.

- Wszystko w porządku - odparł Richard.

- Jak cholera. Nie rozumiecie, co znaczy *pomocy*? - darłam się tak głośno, jakby zaraz miały popękać betonowe filary. - Ten skurwiel mnie prześladowuje. Zaczaił się i teraz usiłuje mnie zgwałcić. Uderzył mnie, przewrócił na ziemię.

Bracia spojrzeli po sobie, coś wymamrotali i powolnym krokiem ruszyli w moją stronę, wyprężając piersi. Richard posłał mi pełne wściekłości spojrzenie i zaczął skubać brodę, a potem zastygł w bezruchu. Wciąż miał ślinę w kąciku ust.

- Zakłamana dziwka - warknął, a potem zachwiał się i ruszył pędem do swego samochodu. - Nie warto na ciebie splunąć.

Bracia zrobili kilka kroków i przystanęli, obserwując, jak Richard zmienia kierunek i zatacza się w stronę samochodu. Kiedy wskoczył do środka, tak długo naciskałam guziczki, aż w końcu znalazłam właściwą kombinację, by uciszyć alarm w samochodzie Tyrela.

Richard opuścił szybę. Nie był już blisko, ale przerażał mnie tak bardzo, że nawet przez myśl mi nie przeszło, by się odprężyć. Zazgrzytał zębami, a żyła pulsowała mu na szyi.

- Suka. Powiedz swojemu frajerowi, że może sobie wziąć swoją kurwę z powrotem.

- Co?

- Moja mama zawsze mi powtarzała, że nie jesteś warta nawet splunięcia. Mówiła, że widzi fałsz w twoich oczach. Gdybym kiedyś cię jeszcze spotkał... - przechylił głowę i cmoknął przez zęby, a potem wyciągnął szyję i splunął na mnie. Ślina wylądowała na moim żakiecie.

Miotając przekleństwa, patrzyłam, jak jego samochód rusza z piskiem opon, zarzucając bagażnikiem. Omal nie uderzył w jeden ze słupów. Najpierw ucichł odgłos silnika, a potem usłyszałam, jak jego koła wypalają dziurę w asfalcie, kiedy skręcał w Centinela Avenue. W stronę lotniska. Odbijający się od betonowych ścian przenikliwy jazgot w końcu umilkł.

- Wszystko dobrze?

To był jeden z tych braci. Zamrugałam. Myślałam, że sobie poszli i zostałam sama. Otrząsnęłam się z transu.

- Jesteś cała? - zawołał byczek.

- Dziękuję - powiedziałam. - Wszystko w porządku.

- Chcesz zadzwonić po pały?

- Po co?

- Pały. No wiesz, gliny.

- Ach, policję. Tak. To znaczy, nie. Dam sobie radę. Dzięki.

- A chcesz, żebym został z tobą, cukiereczku? - Uśmiech byczka sprawił, że poczułam się naga. - Chcesz, żebym cię zbadał?

- Ochronimy cię, skarbieńku - odezwał się drugi.

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie. Ale dziękuję wam za pomoc.

Próbowałam zebrać się w sobie i przywołać ten stanowczy ton, jakiego używa personel pokładowy. Miałam nadzieję, że nie wpadłam z deszczu pod rynnę.

- Mój mąż zaraz wróci - powiedziałam.

Wciąż szli w moją stronę. Uśmiechali się. Znowu ogarnęło mnie to uczucie, jakbym tonęła przykuta do dna basenu i walczyła o każdy haust powietrza. Ugięłam lekko kolana i nachyliłam się w pozycji sprinterskiej. Gdyby zrobili jeszcze dwa kroki, pognałabym w stronę holu, wrzeszcząc wniebogłosy.

Wtedy rozsunęły się drzwi windy i najpierw wyszły z niej dwie blondynki w sandałkach i cienkich podkoszulkach narzuconych na skąpe bikini. Potem pojawił się Tyrel. Zaczęłam drobić w miejscu i machać, jakbym znalazła się na bezludnej wyspie, a on był przepływającym nieopodal statkiem miłości.

Uśmiechnął się, a potem parsknął śmiechem.

- Hej, kochanie - zawołałam i skupiłam na nim całą uwagę, jakby był jedyną osobą w tym garażu. Jedyną osobą w moim świecie. Głos mi się łamał, kiedy ocierałam łzy. - Co tak długo?

Kiedy Tyrel, szczerząc zęby, uniósł torbę z zakupami, pan byczek-bez-szyi miał jeszcze dość tupetu, by puścić do mnie oczko i wystawić podrygujący koniuszek języka. Skurwiel. Wszyscy trzej odwrócili się i poszli za tymi smukłymi białymi kobietami, próbując z nimi flirtować. Pierwszy raz w życiu poczułam zadowolenie, widząc, jak brat ugania się za lalką Barbie.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza, które uszło ze mnie serią krótkich, przerywanych wydechów. Uniosłam rękę i zaczęłam nawijać włosy na palce. Kiedy Tyrel to zobaczył, jego mina spochmurniała i cały się wyprężył.

- Co się dzieje? - krzyknął, przyspieszając kroku.

- Szybciej - wykrztusiłam, nie mogąc się poruszyć.

Tyrel biegł w moją stronę.

Tyrel

W tłumie rozlegał się gwar rozmów prowadzonych w dziesięciu różnych językach. Wszystko, począwszy od DC-10, aż po L1011, huczało, kołując po betonowych pasach. Samoloty lądowały jeden po drugim. Pracownicy w niebieskich kombinezonach, butach ze stalowymi noskami i ochraniaczach na uszy ładowali i rozładowywali samoloty oraz kierowali je w różne strony.

Shelby wręczyła mi bukiet czerwonych róż i poprawiła letnią sukienkę odsłaniającą ramiona. Przesunęła czapkę na tył głowy i syknęła z bólu, dotykając plastrów, którymi zakleiła dwa połamane paznokcie. Potem ze zmarszczonymi brwiami obejrzała zadrapania na dłoni i otarła chusteczką pot z twarzy. Zanim zdążyłem wymeldować się z hotelu, Shelby jeszcze raz wzięła prysznic i przebrała się. Rękaw jej zakietu był prawie w całości oderwany, więc wyrzuciła zniszczony ciuch do kosza.

Staliśmy w terminalu United Airlines już jakieś pół godziny. Na monitorze widniała informacja, że samolot taty przylatuje punktualnie i będzie lądował za dziesięć minut.

Nie wracałem na parking tak długo, bo w recepcji powiedziano mi, że corsica nie została zgłoszona, a samochód z pomocy drogowej, który mógłby ją odholować, może pojawić się dopiero za godzinę. Mogło to jeszcze bardziej uszczuplić nasz czas, więc zadzwoniłem do Debry, by poinformować ją, co się dzieje. Potem udałem się do sklepu z upominkami i wybrałem dla Shelby przewiewną wzorzystą sukienkę. Kupiłem też przybory do mycia zębów, grzebień i szczotkę oraz balsam do ciała, abyśmy mogli zaprezentować się trochę schludniej. Znalazłem też dla niej bejsbolówkę w afrykański deseń, na wypadek, gdyby wolała jednak ukryć swoją fryzurę. Zajęło mi to mnóstwo czasu, ale kupiłem wszystko poza paczką gumy do żucia, po którą poszedłem.

Z głośników popłynął komunikat ponagląący pasażerów do zajmowania miejsc w samolocie, który odlatywał do Waszyngtonu. Stojąca za nami siostra płakała, ponieważ jej facet właśnie wracał do Howard. Odsunęliśmy się na bok, aby mieli tę chwilę wyłącznie dla siebie.

- Przepraszam cię - Shelby ujęła mnie za rękę i ścisnęła kilka razy.
- Nie możesz się winić za to, co zrobił.

- Wiem. Chodzi mi o to, że nie chciałam ci popsuć tego dnia. Zależy mi, żebyś był uśmiechnięty, kiedy twój tato wyjdzie z samolotu.

Przysunęła się bliżej.

- Tyrel, żałujesz czegoś?

- Tylko tego, że nie było mnie przy tobie, kiedy się pokazał. - Przytuliłem ją. - Dobrze się czujesz?

- Potrafię udawać przygnębioną.

- Co z niego za mężczyzna, żeby zrobić ci coś takiego?

Shelby stała w słońcu, które grzało przez szybę, i zakrywając dłonią twarz, potrząsnęła głową.

- Podły prostak, który nie ma za grosz charakteru. A kiedyś myślałam, że jest miły.

- Zawsze traktował cię w ten sposób?

- W ten sposób nie.

Im więcej mówiła, tym bardziej była wzburzona i mocniej zaciskała pięści. Czekaliśmy na uboczu międzynarodowego, wielokulturowego tłumu, który paplał w stu różnych językach.

Przyjechaliśmy z hotelu na lotnisko i zajrzeliśmy prawie do każdego terminala, z którego odlatywały samoloty do San Diego. Zdążyłem się przekonać, że wiele chevroletów corsica porusza się po drogach Los Angeles. Dwa razy śledziłem takie auto i próbowałem zajechać mu drogę, napędzając strachu jakimś azjatyckim rodzinom.

Stojący obok nas młody brat miał walkmana i słuchał muzyki tak głośno, że nie były w stanie jej zagłuszyć podawane przez głośniki komunikaty.

- Chcesz to zgłosić na policji? - zapytałem Shelby.

- Teraz cieszę się tylko, że już go nie ma. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Debra nas potrzebuje.

- Powiedz mi tylko, co chcesz zrobić, i będzie załatwione.

Zacisnąłem pięść i zaraz ją rozluźniłem, kiedy przeniknął mnie dreszcz. Poczułem braterską dłoń, która poklepywała mnie po ramieniu, radząc, bym odpuścił i nie zawracał sobie głowy. To musiał być znak od Leonarda.

Poczułem się młody jak w czasach, kiedy wraz z Leonardem zajmowaliśmy się sklepem, a ojciec siedział na zapleczu i zajmował się papierkową robotą. Myliśmy podłogę i poprawialiśmy stojące na półkach rzędy puszek. Leonard, kiedy przychodził do sklepu i pracował, dosta-

wał kieszonkowe od mojego taty. Niemniej praca w naszym wydaniu polegała głównie na robieniu kawałów.

Shelby trąciła mnie łokciem. Wierciła się, jakby chciało się jej sikać. Uśmiechnąłem się i położyłem rękę na jej plecach. Nic jej się nie stało. Była przy mnie.

- Cieszę się, że tamci bracia sobie poszli - powiedziałem.

- Ja też.

- A co powiesz na to, żeby postarać się o wydanie mu zakazu zbliżania się do ciebie?

- Nie chcę teraz o tym myśleć, dobrze? Samolot twojego taty właśnie podchodzi do lądowania.

Samolot taty był kierowany na pas, a obsługa naziemna czekała w gotowości. Most między przeszłością a teraźniejszością był gotowy do przerzucenia. Rozłąka miała stać się wspomnieniem.

- Denerwujesz się? - zapytała.

Przełknąłem ślinę i skinąłem głową. Shelby ujęła mnie za rękę i pocałowała moje palce, a potem wzięła bukiet, który kupiliśmy po drodze. Jeszcze raz przyglądała ubranie i poprawiała szminkę.

- Powinam zdjąć czapkę? - spytała nerwowo.

- Wygląda ładnie - odpowiedziałem spokojnie.

Poprawiła mi koszulę i zdjęła z niej jakiś kłaczek. Potem oblizała palec i wytarła mi coś z twarzy. Zauważyła w szybie swoje odbicie, wyszczerzyła zęby i przybrała pozę modelki.

- Nie wyglądam jak chłopczyca, prawda? - zapytała.

- Byłabyś najpiękniejszą chłopczycą, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Cholera, tylko nie to.

- Co?

- Nie mam perfum.

- Bez nich też jest dobrze.

- Powinam zwracać się do niego po imieniu czy „panie Williams”.

- Shelby, uspokój się.

- Ty też powinieneś być zdenerwowany.

- Dlaczego?

- Bo spotykasz się z ojcem, dlatego.

Patrzyliśmy, jak samolot podchodzi do lądowania, poruszając się wolno, jakby wszystkim chciał zrobić na złość. Nashville wreszcie dotarło do Los Angeles.

Wziąłem Shelby za rękę i przeciskając się przez tłum, znaleźliśmy dogodniejszą pozycję w pobliżu bramki, skąd mogliśmy obserwować nowo przybyłych pasażerów wchodzących do tunelu.

Szli w pośpiechu całą gromadą, śmiejąc się i ziewając.

Czekaliśmy. Czekaliśmy do momentu, aż nikt już nie szedł w naszą stronę.

Oczy Shelby zasnuły się mgłą. Bukiet w jej ręce opadł bezwładnie.

Potem samolot opuściła załoga, ustępując miejsca zmiennikom, którzy weszli na pokład. Maszyna wzniosła się do nieba i znikła w chmurach.

Spojrzałem na karteczkę z informacjami o locie. Sprawdziłem numer bramki i godzinę. Dwa razy sprawdziłem numer rejsu.

Podszedłem do automatu telefonicznego i wybrałem numer domowy ojca. Okazało się, że został zmieniony. Na numer zarezerwowany. Został zmieniony.

- Wszystko dobrze? - Shelby głaskała mnie po plecach.

Zacząłem wprowadzać numer do jednego ze sklepów, do tego największego, ale zanim nacisnąłem ostatnią cyfrę, rozmyśliłem się. Rozprostowałem dłoń, z której wysliznęła się słuchawka. To samo stało się ze świstkiem, na którym miałem informacje o przylocie.

Shelby przycisnęła kwiaty do piersi, wydała z siebie chrapliwe westchnienie i spojrzała na mnie tak, jakby chciała odczytać moje uczucia. Jej oczy pytały mnie, czy wszystko ze mną w porządku. Pocałowałem ją,trzymałem przez chwilę w ramionach, a potem wziąłem za rękę i poszliśmy. Oddaliliśmy się bez słowa, bez ani jednej łzy.

Za nami skrzeczał telefon, informując mnie, że połączenie zostało przerwane.

SHELBY

Kiedy wyjechaliśmy z lotniska, poprosiłam Tyrela, żeby skręcił w stronę Great Western Forum i zawiózł mnie na cmentarz Inglewood. Nie byłam tam od paru lat. Staliśmy przez chwilę nad grobem mojej mamy i wymieniliśmy parę wspomnień. Potem Tyrel odszedł na bok i uśmiechnął się do jakiejś pięknej kobiety, a ja zmówiłam krótką modlitwę. Była nieskładna, ale płynęła prosto z serca. Róże, które Tyrel kupił dla swojego ojca, zostawiliśmy na grobie mamy.

Kiedy dotarliśmy wreszcie na Don Diego, ślepa uliczka zatłoczona była niczym giełda samochodowa. Było tam wszystko, od pinto do rolls-royce'a i z trudem znaleźliśmy w tej ciasnocie miejsce do parkowania. Wczesnym rankiem przyszło wielu sąsiadów, by pomóc przy dekorowaniu domu, który przypominał teraz bramę afrykańskiej wioski. Dlatego też przez większość dnia Debra miała mnóstwo gości.

Wkrótce po naszym powrocie pojawili się matka i ojczym Leonarda. Furgonetka, którą przyjechali, była pełna krewnych. Matka zobaczyła, co się dzieje, i nabuzowana wyskoczyła z samochodu, mówiąc, że liczyła na coś skromniejszego.

Debra wyszła im naprzeciw. Była uprzejma, lecz stanowcza.

- Wiem, że był waszym synem, to nie podlega dyskusji - powiedziała łagodnym tonem, który dawał do zrozumienia, że należy się z nią liczyć. - Ale był też moim mężem. Znaliśmy go tak samo, ale ja znałam go też w pewien wyjątkowy sposób. Uwierzcie mi, to jest to, czego by sobie życzył.

Stałam obok Debry, potwierdzając cichymi westchnieniami każdą rzecz, którą powiedziała. Dołączył do nas Tyrel, który oznajmił, że muzyka powinna grać długo i głośno i że nie będziemy słuchać niczego poza ulubionymi kawałkami Leonarda, czyli hip-hopem, rapem, reggae i R&B. Korzystając z okazji, dorzuciłam swoje trzy grosze, mówiąc, że gdyby mieli poczuć się przez to lepiej, możemy puścić kilka zwawszych pieśni gospel w wykonaniu Yolandy Adams i Kirka Whaluma. Ale jeśli mają zamiar zostać do późna, lepiej, żeby nie nastawiali się na nic poza ostrym jazzem.

Nawet po tym, jak powiedzieliśmy im to wszystko, nie pojęli, o co nam chodzi, i wciąż wyrażali przekonanie, że Debra powinna obchodzić żałobę w „tradycyjnym stylu”, cokolwiek do cholery miałyby to oznaczać.

Rozpuściliśmy wieści od pustyni aż po ocean i od gór po doliny i wszyscy uszanowali życzenie Debry, tylko rodzice Leonarda byli ubrani na czarno. Jego ojczym miał na sobie czarny poliestrowy garnitur, a twarz matki skrywała się za gęstą mroczną woalką.

Zawsze musi znaleźć się ktoś taki, kto musi się wyróżnić za wszelką cenę.

Zachowanie matki Leonarda, sposób, w jaki potrzasała głową na wszystko, co pozytywne, stroiła minę za miną, widząc ludzi w jaskrawych strojach, i załamywała ręce, sugerował, iż jest przekonana, że Debra postradała zmysły i chce posłać jej syna prosto do piekła.

- Jestem w żałobie - powiedziała z naciskiem Debra, przykładając do brzucha prawą dłoń. - Nie jest mi z tym łatwo, ale tak chciałby Leonard. To wszystko dla niego, nie dla nas. Nie chcę pogrzebać jego pamięci, chcę ją zachować przy życiu. Każdy z nas dźwiga swoje życie. Dzisiaj chcę uczcić fakt, że Bóg nam je dał. Kocham was obydwój i zrobię dla was wszystko i chcę, abyście tu byk, wraz z resztą moich przyjaciół i rodziną, ale jeśli wróćcie teraz do samochodu i odjedziecie, nie poczuję się urażona.

Zostali.

* * *

O czwartej po południu słońce uśmiechało się nad światem, a ogród za domem był pełen ludzi z rodzin obu stron i z sąsiedztwa. Paru polityków skorzystało z okazji, żeby pozować do zdjęć. Przyjaciele. Dawne sympatie. Komicy. Aktorzy. Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób. Kilkoro grało w domino. Inni w szachy. Nieopodal basenu rozsiedli się karciarze. Poważne sąsiedzkie przyjęcie. Dwie starsze siostry Debry, które przyleciały z Seattle i Minnesoty, wspólnie wybrały się do piekarni Shabazz po ciastka i placki. Jej najmłodszy brat, który mieszkał w Nowym Jorku, miał się pojawić dopiero późnym wieczorem, mniej więcej w tym samym czasie, co matka i siostra Tyrela.

Do piątej cała impreza z grillem i tańcami rozkręciła się na całego. Prowadzącą do basenu furtkę oraz otaczające go drzewa i krzaki przystroiliśmy kolorowymi balonikami i serpentynami.

Było tak pięknie. Tak jak powinno być.

Wielu ludzi przyniosło jedzenie. Bobby czuwał przy grillu i piekł indyki i kurczaki. Alejandria smażyła rybę. Znała sekretny meksykański przepis i zioła, których używała, sprawiały, że wszyscy zapominali o wyśmienitych specjałach Bobby'ego.

Kilkoro z nas weszło do domu i stłoczyło się przed wielkim ekranem telewizora. W salonie z trudem można było znaleźć miejsce stojące, kiedy zaczęliśmy oglądać taśmy z występami i filmami Leonarda. Urządziliśmy istny Maraton DuBois. Było przy tym mnóstwo śmiechu. Kilka osób wprawdzie płakało, ale nie trwało to długo. Debra rozejrzała się, przyglądając każdemu z osobna, a potem z uśmiechem siadła na sofie obok mnie i Tyrela.

- Z przyjemnością oddałabym wszystko, co mam, by jeszcze raz móc pocałować swojego męża i usłyszeć jego głos. Nie mówię tego, żeby wam było smutno, bo jeśli ktoś zacznie płakać, wystawię go za drzwi, aż przestanie - wszyscy parsknęli śmiechem. - Po prostu nie chcę, abyście traktowali się nawzajem jako coś danego na zawsze. Nigdy

Ścisnęłam dłoń Tyrela i pocałowałam go w policzek. Otoczył mnie ramieniem. Zapragnęłam całować go każdego ranka. Każdej nocy.

* * *

Tyrel zaprowadził mnie przed dom i usiedliśmy w jego samochodzie. Słońce obniżyło się na tyle, by oblać całe miasto pomarańczową poświatą. Po raz pierwszy od dłuższego czasu mogłam się rozluźnić. Zauważyłam wtedy, jak szybko słońce chowa się za horyzontem, nawet kiedy się je obserwuje.

- Wieczorem będzie tu Chiquita - uśmiechnęłam się do Tyrela. - Chciałabym, żebyś ją poznał. Jest męcząca, ale na swój sposób fajna.

Pomyślałam, że gdy tylko zobaczy mnie z Tyrelem, uśmiechnie się szeroko i zacznie kreślić serduszka w powietrzu. Prawie już słyszałam, jak chwali mnie, mówiąc z południowym akcentem:

- Dziewczyno, to jest zwrot o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Z tyłu domu zaczęła pohukiwać jakaś rapowa piosenka, a wszystkie dzieciaki, krzycząc, podśpiewywały jej tekst i tańczyły. Pograżyłam się w myślach, które napełniły mnie spokojem. Tyrel też był zamyślony.

- Co ci chodzi po głowie? - szturchnęłam go łokciem.

- Piosenki Billie Holiday. Gruszki. Delikatne pocałunki w ciemności. A tobie?

- Plaże w Rio. Zmysłowa muzyka o zachodzie słońca. Kolacje przy świecach.

Trzymając się za rękę, wróciliśmy do swoich marzeń. Miałam ich tyle i tym razem wszystkie były takie wyraziste.

- Oto co zrobię. - Pierwsza przerwałam ciszę.

- Chcesz się pochwalić?

- Obiecuj, że nie będziesz się śmiał.

- Obiecuję. - Tyrel uniósł rękę jak skaut.

Odchrząknęłam i wzięłam głęboki oddech, po czym wolno wypuściłam powietrze.

- Kiedy wrócę do San Diego, spakuję swoje rzeczy i przewiozę je tutaj, do garażu Debry. Myślałam jeszcze o napisaniu złośliwego listu do matki Richarda, ale szkoda byłoby mi na to atramentu, ponieważ wredne babsko nie zna nawet mojego imienia. Dość już o Richardzie, bo nie obchodzi mnie on na tyle, by marnować na niego papier. Przeprowadzam się do Debry. Ona mnie potrzebuje. Tym razem od niczego nie uciekam. Po prostu wracam do miejsca, którego nigdy nie powinnam była opuszczać.

- Starsza i mądrzejsza?

- Trochę mądrzejsza. Nigdy, przenigdy się nie zestarzeję.

- Nieważne.

- Tak czy owak... - szturchnęłam go - ... przeniosę się tu z powrotem, chociaż nie wiem, kiedy to nastąpi, bo teraz wszyscy chcą koniecznie mieszkać w Los Angeles. Ale to nie powinno potrwać długo. Na razie będę kursować tam i z powrotem.

- Coś jeszcze? - zachichotał Tyrel.

- Zadam ci pytanie, czy nadal chcesz się ze mną widywać. A jeśli odpowiesz, że tak, poproszę cię, żebyś też się tu przeprowadził. Mógłbyś zamieszkać ze mną i z Debrą. A ponieważ niedługo pojawi się dziecko, będziesz musiał dzielić ze mną pokój, żeby maleństwo miało swój własny. I zamienię swojego nissana na coś z czterema siedzeniami, może na jeepa, bo mi się tak bardzo podoba. Będziemy wtedy mogli jeździć razem. Mówisz, że mnie kochasz, a ja wiem, że Kocham Ciebie, Cóż, nie mogłam lepiej trafić. Dochodzę do wniosku, że skoro jesteś dostatecznie dobry, bym mogła z tobą sypiać, jesteś równie dobry, bym za Ciebie wyszła. Ale to dopiero wtedy, gdy się przekonam, jak nam ze sobą jest, bo upłynęło sporo czasu. A jeżeli się okaże, że nadal chcemy ze sobą być, a mam nadzieję, że tak będzie, przyrzeknę ci, że nigdy cię nie opuszczę i zawsze będę rozmawiać o tym, co mi się nie podoba. No dobra, przynajmniej spróbuję, bo czasem nic na to nie umiem poradzić. Wychodzi ze mnie natura i naprawdę ciężko

przechodzę napięcie przedmiesiączkowe. Ale gdybyś powiedział nie, to wiem, że przynajmniej spróbowałam.

- Sprawiasz, że wszystko wydaje się takie łatwe.

- Ej, sam mnie o to pytałeś.

Ostrożnym ruchem wziął mnie w ramiona. Poczułam się przy nim jak uczennica na pierwszej randce. Uwielbiałam to uczucie.

- Coś jeszcze? - zapytał.

- Chcę dwie dziewczynki i chłopczyka. Z czego parę bliźniaków.

- Skończyłaś?

- Daj mi minutę. Niech się zastanowię.

- Potrzebujesz pomocy? - drażnił się ze mną Tyrel.

Zamruczałam i zamknęłam oczy. Z uśmiechem delectowałam się dotykiem nocnego powietrza. Całe moje ciało ogarniała namiętność, jaką we mnie budził Tyrel.

- Chcę się przy tobie poczuć tak młodo, jak wyglądam, i czerpać radość z młodzieńczych marzeń - powiedziałam. - Wiesz, jaka jestem sentymentalna.

- Całkiem sporo jak na zwykłą fantazję.

- To tylko taki romantyczny kaprys, nic więcej. Moja mała kraina baśni. Życie nigdy nie wygląda w ten sposób.

- Nie trać nadziei. To jest piękne.

- Wiesz, czego bym naprawdę chciała? Tak bez żartów?

- Czego?

- Chciałabym, żebyś zadzwonił do mnie i zaprosił na randkę. Żebyś po mnie przyjechał i zabrał do kina. Kupił mi popcorn i rodzynki w czekoladzie. A może wybralibyśmy się nad ocean, do Pacific Coast Marina.

- Do tej lodziarni obok kina?

- Tak. Opuszczasz dach, a ja kładę stopy na desce.

- I czego byś jeszcze chciała? - zaśmiał się Tyrel.

- Wybacz, ale musisz wiedzieć, że jeszcze nikomu nie sprzedałam auta. Właśnie muszę zapłacić ubezpieczenie, a zostały mi tylko jeszcze dwie raty. Kino i kubek popcornu wystarczą. Jak na razie.

Parsknęliśmy śmiechem.

- Mógłbym dostać twój numer telefonu? - szepnął Tyrel.

- Pewnie. A twój już znam na pamięć.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Jeśli znajdziesz chwilę w swoim terminarzu, chciałabym odzyskać swoje trzy klucze. - Położyłam palec w dołku na jego brodzie. - Moją jaskinię też chcę z powrotem. To moja nieruchomości.

- Ale sama będziesz depozytem. Nasze wargi zetknęły się w pocałunku.

Z domu wyszła Debra. Jadła coś i głaskała się po brzuchu.

- Szukałam was wszędzie - powiedziała. - Wszystko z wami w porządku?

Tyrel uśmiechnął się i przytaknął.

- Co tu robicie tak całkiem sami? Uśmiechnęłam się i szybko zatrzepotałam powiekami.

- Dobrze - ożywiła się Debra.

Stała obok Tyrela, a potem posłała mi szczere i ciepłe spojrzenie, które mówiło „nie spieprz tego tym razem”. Idąc od domu aż do ulicy, cały czas oblizywała palce.

- Kurde. To jest takie dobre? - zapytałam.

- Sama mi powiedz - odparła Debra znacząco.

- Co? - zarumieniłam się. - Nie. Ty mi nie powiedziałaś.

Debra cofnęła się o krok i spojrzała w stronę La Brea, a potem uniosła wzrok w górę, w stronę gwiazd.

- Szkoda, że go tu nie ma - powiedziała. - Że nie może was zobaczyć, kiedy rozmawiacie. Byłby w siódmym niebie. I wymyśliłby dobry dowcip. Byłby taki szczęśliwy, widząc was znowu razem. Na pewno by był.

Debra miała wciąż tę samą sympatyczną minę, ale z oczu popłynęły jej łzy. Podeszłam, by ją przytulić, a wtedy i mnie wymknęła się kropelka żalu.

- Przestań - powiedziałam. Cholera. Tym razem rola tej silniejszej nie przyszła mi łatwo. Zanim pomogłam jej osuszyć łzy, musiałam najpierw powstrzymać swoje. - Będziesz się mazać i jeszcze zadławisz się kością z kurczaka.

- Jem rybę, ty głupia.

- Nieważne. - Wzięłam ją za rękę i stałyśmy tak przez parę minut, pomagając sobie nawzajem opanować płacz.

- Shelby - odezwał się Tyrel.

- Yhm? - przestałam ocierać łzy.

- A gdzie chciałabyś wybrać się ze mną na randkę? Do kina? A może, gdybyś miała czas, wstąpilibyśmy jeszcze na lody? Znam takie przyjemne miejsce nad oceanem. Moglibyśmy jechać wzdłuż wybrzeża z opuszczonym dachem. Położyłabyś stopy na desce.

- Bardzo tego chcę. - Zarumieniłam się i otarłam jego zamglone oczy. - Dopóki nie będziesz próbował zaciągnąć mnie do Obispo.

Debra wycierała twarz papierowym ręcznikiem.

- Wyglądacie na obłaskawionych. - Jej głos zabrzmiał bez troski.

Tyrel stanął pomiędzy nami, przytulił nas i wszyscy kołysaliśmy się przez chwilę. Przez cały czas wycierałam oczy Debry. Miała rozmazany makijaż, tak samo jak ja. Przejął mnie dreszcz i nie mogłam powstrzymać płaczu. Debra ujęła mnie pod brodę i, ocierając mi twarz, trzymała tak długo, aż nasze oczy się spotkały.

- Nie jestem stewardesą - odezwała się, zniżając głos. - Należę do personelu pokładowego. Stewardesa za bardzo kojarzy mi się z kelnerką.

- A ja nie jestem żadną kelnerką - roześmiałam się.

- Jaki to ma smak? - dodał Leonard.

- To musi być truskawka - zachichotałam.

Debra opowiedziała jeden z dowcipów Leonarda. Ja opowiedziałam drugi, a Tyrel swój spalił, ale i tak się śmialiśmy.

Staliśmy przed domem i spoglądaliśmy w stronę miasta. Patrzyliśmy na przylatujące samoloty i uganiające się za sobą światła samochodów. Ochłodziło się i przyłgnęliśmy do siebie, by nie zmarznąć.

- Jutro pochowamy Leonarda - odezwała się Debra, a potem umilkła, jakby się zastanawiała. - Chcę, żeby każdy miał na sobie jasne ubranie. Każdy. Chcę, żeby to wyglądało jak morze szczęścia.

Masowałam brzuch Debry. Dotykając, czułam jego ciepło.

- A ja i Leonard Junior długo będziemy potrzebować was, rodziców chrzestnych - powiedziała Debra, uśmiechając się z czułością.

- Wiem - odparł Tyrel.

- Teraz najważniejsze dla mnie jest być dobrą matką i uświadamiać mojemu dziecku, co reprezentował sobą jego ojciec.

Wciąż ocierałam łzy z twarzy Debry.

- Wracajmy na imprezę, zanim rozkleimy się do reszty - westchnęła moja przyjaciółka.

- Dobrze - pocałowałam ją w policzek.

- Shelby - powiedziała Debra. - Wyglądasz jak szop.

- Ale ty jesteś ten brzydszy.

Tyrel ujął nas za ręce i ruszyliśmy z powrotem do domu.



L R